

Bruce Sterling

SONS OF ANARCHY



# Bruce Sterling

## Schismatrix

*(Schismatrix)*

*Przełożył Wojciech T. Szypuła*

# NSB 2010

Spis treści

[Prolog](#)

[Część pierwsza](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Część Druga](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Część trzecia](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

## Prolog

Kolorowe samoloty leciały przez środek świata. Lindsay z zadartą głową stał po kolana w trawie i śledził ich lot.

Napędzane pedałami, delikatne jak latawce lekkoloty nurkowały i kręciły piruety wysoko, w strefie nieważkości. Za nimi, w oddali, po przeciwnej stronie zamkniętego cylindra, zakrzywiona ziemia mieniła się żółcią pszenicy i cętkowaną zielenią pól bawełny.

Zasłonił oczy przed blaskiem słońca wpadającym przez podłużne okno świata. Jedna z maszyn, o skrzydłach z białego materiału, zdobionych delikatnym rysunkiem błękitnych piór, przecięła snop światła i bezgłośnie przemknęła Lindsayowi nad głową. Kiedy znów poderwała się do góry, mignęły mu długie włosy siedzącej za sterami kobiety. Zdawał sobie sprawę, że i ona go widziała; chciał krzyknąć, pomachać jej wesoło, ale był obserwowany.

Strażnicy – jego żona i wuj, dwoje starych arystokratów – wreszcie go dogonili. Szli powoli, z mozołem; twarz wuja oblała się rumieńcem – musiał podkreślić rozrusznik serca.

– Uciekłeś! – powiedział wuj. – Uciekłeś!

– Chciałem rozprostować nogi – odparł wyzywająco Lindsay. – Od bezczynności dostaję skurczy..

Wuj podniósł głowę, by podążyć za spojrzeniem Lindsaya. Pokrytą starczymi plamami dłonią osłonił oczy. Podobny do ptaka lekkolot unosił się teraz nad Gnilem, podmokłym terenem pośrodku panelu rolniczego, gdzie pleśń i zgnilizna wżarły się głęboko w glebę.

– Wpatrujesz się w Gnilec, co? To tam pracuje ten twój Constantine? Podobno daje ci stamtąd znaki.

– Philip jest entomologiem, wujku. Nie kryptografem.

Lindsay kłamał. Odkąd znalazł się w areszcie domowym, tylko dzięki tajnym sygnałom Constantine'a orientował się w najnowszych wydarzeniach. Byli politycznymi sprzymierzeńcami. Kiedy wprowadzono sankcje, Lindsaya internowano w rodzinnym majątku, lecz Philip Constantine okazał się niezastąpiony jako ekolog. Dlatego wciąż przebywał na wolności i pracował na Gnilecu.

Długie uwięzienie przyprawiało Lindsaya o rozpacz. Najlepiej czuł się wśród ludzi, mogąc w pełni wykorzystywać wyuczone zdolności dyplomatyczne. W odosobnieniu stracił na wadze – w jego twarzy wysokie kości policzkowe rysowały się teraz ostro i wyraźnie, a szare oczy nabrały ponurego, mściwego wyrazu. Kiedy rzucił się biegiem przez łąkę, modnie ułożone, kręcone czarne włosy zmierzwiły mu się na czole. Był wysoki i smukły, miał wydatny podbródek i łukowato wygięte brwi klanu Lindsayów.

Alexandrina, jego żona, złapała go za ramię. Była ubrana zgodnie z najnowszymi trendami mody – w długą plisowaną spódnicę i białą tunikę lekarską. Skręcone loczki opadały jej na czoło, a blada, gładka cera zdawała się zupełnie pozbawiona życia, jakby stanowiła perfekcyjnie zadrukowaną, papierową replikę żywej skóry.

– Mówiłeś, że nie będziesz więcej wspominał o polityce, James – rzekła do starszego mężczyzny i przeniosła wzrok na Lindsaya. – Jesteś taki blady, Abelardzie. Zdenerwował cię.

– Blady? – powtórzył Lindsay i sięgnął pamięcią do kształcerskiego szkolenia dyplomatycznego. Policzki mu się zarumieniły, po chwili błysnął odsłoniętymi w uśmiechu zębami. Jego wuj cofnął się o krok i zmarszczył brwi.

Alexandrina uwiesiła się Lindsayowi na ramieniu.

– Nie lubię, kiedy to robisz – oznajmiła. – Przerażasz mnie.

Była od niego o pięćdziesiąt lat starsza. Całkiem niedawno wymieniono jej kolana i nie zdążyła się jeszcze przyzwyczaić do mechanicznych, teflonowych rzepek.

Lindsay przełożył oprawiony wydruk do lewej ręki. Czas w areszcie domowym upływał mu na tłumaczeniu dzieł Szekspira na nowoczesny, solarny angielski, do czego namówiła go starszyzna klanu. Mieli nadzieję, że studia nad starożytnością zaprzętną go na tyle, by nie miał czasu spiskować przeciw państwu. W nagrodę pozwolono mu przedstawić wynik pracy w Muzeum. Lindsay skorzystał z tej okazji, żeby choć na krótko wyrwać się z niewoli.

Muzeum było istną wylęgarnią wywrotowców. Zachowawcy, bo tak się nazwali, tworzyli reakcyjny ruch młodzieżowy, odznaczający się romantycznym przywiązaniem do sztuki i kultury przeszłości. Z Muzeum uczynili swoją twierdzę polityczną.

Ich świat nosił nazwę Okołoksiężycowej Republiki Korporacyjnej Mare Serenitatis. Liczył sobie dwieście lat i był sztucznym satelitą mieszkalnym ziemskiego Księżyca. Jako jedno z najstarszych państw narodowych w kosmosie zdążył wykształcić własną, wysoką kulturę i stanowił prawdziwą oazę tradycji.

Zmiany nie dały jednak długo na siebie czekać. Ich źródłem były nowe, silniejsze państwa z Pasa Asteroid i Pierścieni Saturna. Wrogość rządzonych przez mechanistów i kształcerzy supermocarstw sięgnęła także Mare Serenitatis i podzieliła mieszkańców cichego miasta-państwa: Zachowawcy

Lindsaya stanęli naprzeciw Starych Radykałów, zbuntowany plebs stawił czoło zamożnej arystokracji.

Sympatycy mechów zyskali w Republice przewagę.

Starzy Radykałowie sprawowali władzę z rządowych szpitali. Organizmy wiekowych arystokratów – każdy liczył sobie dobrze ponad setkę – funkcjonowały dzięki najnowszym zdobyciom techniki mechanistów i importowanej technologii protetycznej, lecz wydatki na cele medyczne z wolna przyczyniały się do upadku Republiki. Mare Serenitatis było beznadziejnie zadłużone w kartelach i zanosilo się na to, że niebawem stanie się jeszcze jednym państwem klienckim mechanistów.

Kształcerze dysponowali własnym arsenałem pokus. Dawno temu przekonali Lindsaya i Constantine'a do swoich idei i poddali ich szkoleniu, a przeciągnąwszy w ten sposób na swoją stronę dwójkę liderów młodego pokolenia, podsycali w nich gniew i poczucie krzywdy. Napięcie w Republice narastało i lada drobiazg mógł doprowadzić do wybuchu.

W grę wchodziło życie. Śmierć miała stać się orężem ostatecznym.

Wuj Lindsaya nie mógł złapać tchu. Musnął dłonią monitor na nadgarstku i spowolnił bicie serca.

– Dość tych sztuczek – wysapał. – Czekają na nas w Muzeum. – Zmarszczył brwi. – I pamiętaj, żadnych przemówień. Masz wygłosić przygotowane oświadczenie.

Lindsay nie odrywał wzroku od biało-niebieskiego lekkolotu, który właśnie zanurkował.

– Nie! – krzyknął, cisnął książkę w trawę i rzucił się biegiem.

Maszyna rozbiła się tuż poza kręgiem siedzeń na widowni odkrytego amfiteatru. Leżała potrzaskana, z powykrzywianymi i podartymi skrzydłami.

– Vera! Vera! – krzyczał Lindsay.

Wydobył jej ciało z delikatnego wraku. Oddychała jeszcze, choć krew buchała jej z ust i nosa. Miała połamane żebra; dusiła się. Rozdzierając pierścieniowaty kołnierz jej skafandra, poharatał sobie drutem dłoń. Kombinezon przypominał strój astronautów; harmonijkowe osłony łokci były zmiażdżone i zaplamione krwią.

Wszędzie dookoła z trawy podrywały się do lotu małe białe ćmy. Gromadziły się w powietrzu nad wrakiem, jak gdyby przyciągał je zapach krwi.

Lindsay rzucił białego motyla z twarzy kobiety i przycisnął usta do jej warg. Puls na jej szyi zaniknął. Umarła.

– Vera! – wyjęczał. – Najdroższa...

Ogarnęła go fala smutku i uniesienia zarazem. Skulił się i osunął w trawę. W powietrze wzbiło się jeszcze więcej owadów.

Zrobiła to. Teraz wyglądało to tak prosto. Rozmawiali o tym ze sto razy, dyskutowali po nocach w Muzeum, a także w łóżku: samobójstwo, protest ostateczny. Przed oczyma Lindsaya rozpostarła się wszechogarniająca wizja czarnej wolności. Poczul paradoksalny przyptyw siły.

– Kochana, już niedługo...

Kiedy wuj, szary na twarzy, znalazł go, Lindsay klęczał nieopodal wraku.

– Och... Co za podłość! – powiedział starszy mężczyzna. – Coś ty zrobił?

Lindsay zataczając się wstał.

– Zostaw ją w spokoju!

Wuj nie odrywał oczu od martwej dziewczyny.

– Ona nie żyje! Ty głupcze, miała dopiero dwadzieścia sześć lat!

Lindsay wyszarpnął z rękawa długi, wykuty z metalu, nieszlifowany sztylet. Wziął zamach i wycelował ostrze w swoją pierś.

– W imię ludzkości! Z własnej woli wybieram...

Wuj złapał go za przegub. Przez chwilę siłowali się, patrząc sobie wściekle w oczy, aż wreszcie Lindsay wypuścił sztylet. Wuj podniósł go i wrzucił do kieszeni laboratoryjnego kitla.

– To nielegalne – stwierdził. – Zostaniesz oskarżony o posiadanie broni bez zezwolenia.

Lindsay zaśmiał się słabo.

– Jestem waszym więźniem, ale nie powstrzymacie mnie, jeśli postanowię umrzeć. Wcześniej czy później... co za różnica?

– Jesteś fanatykiem. – Wuj przyglądał mu się z nieskrywaną pogardą. – Kształcerskie nawyki niełatwo ustępują, co? Republika wydała fortunę na twoje przeszkolenie, a ty wykorzystujesz swoje umiejętności, by uwodzić i mordować.

– To była czysta śmierć! Lepiej spłonąć w mgnieniu oka, niż przeżyć dwieście lat jako mechanistyczny druciak!

Starszy z Lindsayów spojrział na chmurę ciem, które tymczasem obsiadły ciało zmarłej.

– I tak jakoś cię za to dorwiemy, ciebie i tego parweniusza Constantine'a.

Lindsay nie wierzył własnym uszom.

– Ty durny, mechanistyczny palancie! Spójrz na nią! Nie rozumiesz, że już nas zabiliście?! Była z nas wszystkich najlepsza! Była naszą muzą!

Wuj znowu się nachmurzył.

– Skąd się bierze to robactwo? – Uklęknął i rozgarnął ćmy rękoma.

Nagle Lindsay zerwał delikatne złote puzderko z szyi kobiety. Wuj złapał go za rękaw.

– To moje! – wykrzyknął Lindsay i zaczęli się szarpać. Wuj z łatwością uwolnił się z niezdarnego chwytu i dwa razy kopnął przeciwnika w brzuch. Lindsay padł na kolana.

Starszy mężczyzna dyszał ciężko, podnosząc klejnot.

– Napadłeś na mnie – wykrztusił z niedowierzaniem. – Użyłeś przemocy wobec innego obywatela Republiki.

Otworzył puzderko. Gęsta, oleista ciecz pociekła mu na rękę.

– Co to, żadnej wiadomości? – zdziwił się i powąchał palce. – Tylko perfumy?

Lindsay wciąż klęczał, usiłując opanować mdłości, gdy nagle jego wuj krzyknął.

Setki białych ciem zlatywały się, zbierały wokół niego i cisnęły do rozsmarowanego na dłoniach olejku.

Atakowały go. Znowu krzyknął i zaczął uderzać się po twarzy.

Lindsay odturlał się czym prędzej. Jego wuj leżał w drgawkach, jakby dostał ataku padaczki. Na czworakach, tyłem, Lindsay odczołgał się jeszcze dalej.

Monitor na nadgarstku starca zaśnił czerwienią. Wuj Lindsaya znieruchomiał. Białe ćmy rozpełzły się po całym jego ciele, a po krótkiej chwili odfrunęły i zniknęły w trawie.

Lindsay zerwał się na równe nogi i obejrzał przez ramię. Żona szła ku niemu powoli.

## Część pierwsza

# Astrognidy

## Rozdział 1

*Okołoksiężycowe Zaibatsu Ludowe Mare Tranquillitatis, 27. 12.'15*

Skazanego na wygnanie Lindsaya wysłano w drogę na pokładzie najtańszego mechanicznego statku bezzałogowego. Przez dwa dni lotu nic nie widział i nie słyszał, nafaszerowany środkami uspokajającymi i wtopiony w gęstą maź antyakceleracyjną.

Wystrzelony z portu towarowego Republiki statek z cybernetyczną precyzją poleciał na orbitę innego okołoksiężycowego państwa. Łącznie istniało dziesięć takich światów, nazwanych od mórz i kraterów na powierzchni Księżyca, z których czerpały surowce. To właśnie one najwcześniej zerwały wszelkie stosunki z wyniszczoną Ziemią i od stu lat ich przymierze stanowiło osnowę cywilizacji. Z początku ruch handlowy pomiędzy „światami związkowymi” był bardzo intensywny.

Dni chwały przeminęły jednak i postępy w badaniu odległych zakątków Układu Słonecznego przyćmiły znaczenie Związku; sąsiedztwo ziemskiego Księżyca zmieniło się w prowincję, przymierze się rozpadło i pozostała po nim grupa kłótliwych, coraz bardziej zacofanych państweczek, które najlepsze dni miały dawno za sobą. Żadne z nich zaś nie przeżyło takiej zapaści jak miejsce zesłania Lindsaya.

Kamery śledziły jego przybycie, gdy wypchnięty przez właz cumowniczy unosił się w stanie nieważkości w komorze celnej Okołoksiężycowego Zaibatsu Ludowego Mare Tranquillitatis. Kiedyś znajdował się tu apartament dla nowożeńców, którzy mogli sobie pobaraszkować w zerowym ciężeniu, później jednak zamieniono go w bezduszne biuro. Na ścianach z matowej księżycowej stali poharatana żywica epoksydowa znaczyła miejsca, z których zerwano ozdobną okładzinę.

Środki usypiające, które podano Lindsayowi przed startem, wciąż działały, toteż od wewnątrz prawego łokcia podłączono mu kroplówkę z ożywczym płynem. Do jego nagiej skóry przylgnęły samoprzylepne biomonitory. W pomieszczeniu znajdował się jeszcze tylko robot z kamerami, zaopatrzony w dwoje poruszanych tłokami ramion.

Lindsay otworzył zaspane, niewidzące oczy. Miał niebrzydką twarz o bladej cerze i łukowato wygiętych, ładnych brwiach, która teraz jednak wyglądała jak twarz chorego w letargu. Ciemne kręcone włosy opadały na pokryte trzydniowym zarostem policzki.

Ramiona mu zadrżały, kiedy stymulatory zaczęły działać i nagle w pełni odzyskał świadomość. Nabyte podczas szkolenia nawyki uderzyły wezbraną falą: mięśnie twarzy poruszyły mu się w sposób, jakiego nie dopuszcza zwyczajna ludzka mimika, zęby zgrzytnęły. Z nienaturalnie czujnym błyskiem w oczach rozejrzał się po pomieszczeniu, popatrzył po sobie, po czym przeniósł wzrok na kamerę i łagodnie, z wdziękiem się uśmiechnął.

Miało się wrażenie, że nawet powietrze wokół rozgrzewa się od jego dobroduszości.

Przewód kroplówki odłączył się i schował w ścianie. Kamera przemówiła:

– Czy nazywa się pan Abelard Malcolm Tyler Lindsay? Czy pochodzi pan z Okołoksiężycowej Republiki Korporacyjnej Mare Serenitatis? Czy szuka pan azylu politycznego? Czy nie ma pan żadnych substancji czynnych biologicznie w bagażu ani w ciele? Czy nie przewozi pan materiałów

wybuchowych ani agresywnych programów komputerowych? Czy pańska flora bakteryjna została wysterylizowana i zastąpiona standardowym dla Zaibatsu zestawem mikroorganizmów?

– Zgadza się – potwierdził Lindsay, mówiąc, tak jak kamera, po japońsku. – Nie mam bagażu.

Znajomość języków obcych wchodziła w zakres jego szkolenia. Odpowiadała mu współczesna postać japońskiego – uproszczony dialekt handlowy pozbawiony tradycyjnych zwrotów grzecznościowych.

– Wkrótce znajdzie się pan w miejscu, które poddano ideologicznej dekryminalizacji. Przed opuszczeniem komory celnej powinien pan przyjąć do wiadomości obowiązujące w nim ograniczenia. Czy koncepcja praw człowieka jest panu znajoma?

– W jakim kontekście? – spytał ostrożnie Lindsay.

– Zaibatsu uznaje tylko jedno prawo człowieka: prawo do śmierci. Może pan z niego skorzystać w dowolnym momencie i dowolnych okolicznościach. Wystarczy poprosić. Nasze audiomonitory są rozsiane po całym terenie Zaibatsu. Jeżeli zechce pan skorzystać z przysługującego panu prawa, zostanie pan bezzwłocznie i bezboleśnie zgładzony. Czy to jasne?

– Jasne – przytaknął Lindsay.

– Śmierć jest również nieunikniona w pewnych szczególnych wypadkach. Przy próbie fizycznego zagrożenia Zaibatsu zostanie pan unicestwiony. Przy próbie manipulowania urządzeniami monitorującymi zostanie pan unicestwiony. Przy próbie wejścia w strefę sterylną zostanie pan unicestwiony. Śmiercią karane są również zbrodnie przeciw ludzkości.

– Zbrodnie przeciw ludzkości? – powtórzył Lindsay. – Jaka jest ich definicja?

– Chodzi o biologiczne i protetyczne działania, które uznajemy za niewłaściwe. Informacje techniczne, określające granice naszej tolerancji, są tajne.

– Rozumiem – przytaknął Lindsay. W ten sposób mieli prawo zabić go w każdej chwili i z prawie dowolnej przyczyny. Należało się tego spodziewać w świecie, który stał się schronieniem dla astrognid: dezertków, zdrajców, wyrzutków i banitów. Nie przypuszczał, żeby dało się tu rządzić w inny sposób. W przestrzeni okołosłonecznej istniało zbyt wiele dziwnych, przez nikogo nie kontrolowanych technologii; setki pozornie nieszkodliwych zajęć, takich jak hodowla motyli, mogły okazać się śmiertelnym zagrożeniem.

Wszyscy jesteście przestępcami, pomyślał Lindsay.

– Czy chce pan skorzystać z przysługującego panu prawa?

– Nie, dziękuję – odrzekł grzecznie. – To jednak wielka dla mnie pociecha, że rząd Zaibatsu mi je przyznał. Nie zapomnę o waszej uprzejmości.

– Wystarczy dać znać – powiedziała kamera z zadowoleniem.

Rozmowa się skończyła. Koziółkując w nieważkości, Lindsay zerwał z ciała biomonitory, odebrał od automatu kartę kredytową i standardowy, jednoczęściowy, workowaty kombinezon Zaibatsu, który z wysiłkiem udało mu się włożyć.

Przybył na zesłanie sam. Wprawdzie Constantine również został oskarżony, ale jak zwykle okazał się zbyt cwany, żeby dać się zamknąć.

Constantine od piętnastu lat był jego najbliższym przyjacielem. Rodzina krzywo patrzyła na znajomość z plebejuszem, jednakże Lindsay postawił na swoim. Wtedy jeszcze starszyzna miała nadzieję, że uda im się balansować na linii rozgraniczającej rywalizujące supermocarstwa. Skłaniali się ku przymierzowi z kształcerczami i nawet wysłali Lindsaya do Rady Pierścieni, żeby uczył się na dyplomatę. Dwa lata później trafił tam i Constantine, mający specjalizować się w biotechnologii.

Tymczasem jednak mechanisci zawładnęli Republiką i Lindsay z Constantine'em stali się wstydlivym symbolem porażki w polityce zagranicznej. Ich wpływy zaczęły się rozprzestrzeniać

niczym zaraza wśród biedoty i młodych arystokratów. Połączywszy siły, byli przeciwnikiem, z którym należało się liczyć: Constantine odznaczał się żelazną determinacją i subtelnością przy tworzeniu długofalowych planów, obdarzony zaś darem wymowy i teatralną elegancją Lindsay odgrywał publicznie rolę lidera.

I wtedy weszła pomiędzy nich Vera Kelland – artystka, aktorka i arystokratka, pierwsza męczennica Zachowawców. Wierzyła w słuszność ich sprawy z mocą, jakiej nie potrafili wykrzesać z własnych dusz; stała się ich muzą. Była żoną starszego o sześćdziesiąt lat mężczyzny, ale cudzołóstwo tylko dodałoby smaczku długiemu romansowi. W końcu Lindsay ją zdobył – i przekonał się, jak nieugięta potrafi być w swym postanowieniu.

Wszyscy troje zgadzali się co do tego, że samobójstwo doprowadzi do zmian w Republice, gdy wszystkie inne środki zawiodą. Osiągnęli porozumienie: Philip miał przeżyć, żeby kontynuować ich dzieło – w ten sposób znalazłby pociechę w samotności, jaka musiała nastąpić po śmierci Very i Lindsaya. Potem potajemnie, z gorączkowym zapałem zaczęli szykować się na śmierć, aż wreszcie Vera faktycznie się zabiła. Piękne ideały zmieniły się w ohydny rzeczywistość.

Robot z kamerą otworzył służbę komory celnej. Rozległ się zgrzyt źle nasmarowanej hydrauliki i Lindsay otrząsnął się ze wspomnień, a potem wolno przeleciał odartym z ozdób korytarzem w stronę słabej dziennej poświaty. Wynurzył się z tunelu na lądowisku pośród dziesiątków brudnych samolotów.

Lotnisko znajdowało się w samym środku strefy nieważkości cylindrycznego świata. Przed oczyma Lindsaya, na długości pięciu kilometrów, rozciągało się Zaibatsu w całej okazałości, spowite kłębamii mętnego, cuchnącego powietrza.

Najpierw jego uwagę przyciągnęły chmury o dziwnych kształtach i wstrętnym żółtawym odcieniu. Bezustannie marszczyły się i falowały, poruszane prądami powietrznymi wznoszącymi się z paneli uprawnych.

Odrażająca woń była wszechobecna. Każdy z dziesiątki krążących po księżycowej orbicie światów odznaczał się własnym, charakterystycznym zapachem i Lindsay pamiętał doskonale, jak po pierwszym okresie pobytu w kształcerskiej akademii zdawało mu się, że jego Republika paskudnie cuchnie, tu jednak miał wrażenie, że odór może go zabić. Od razu dostał kataru.

Każdy starzejący się świat Związku borykał się z problemami natury biologicznej. W centymetrze sześciennym żywej ziemi musiało znajdować się co najmniej dziesięć milionów bakterii. Rój niewidzialnych żyjątek stanowił podstawę wszystkiego, co płodne – i ludzie ponieśli go ze sobą w kosmos.

Odrzucili jednak zarazem ochronny płaszcz atmosfery; promieniowanie sięgnęło nieznanych dotąd poziomów. Nowe ośrodki mieszkalne otaczały się liczącymi dziesiątki metrów grubości osłonami z księżycowych odpadów, lecz nawet one nie chroniły przed nagłymi wybuchami na Słońcu i promieniowaniem kosmicznym.

Bez mikroorganizmów gleba zmieniała się w martwą warstwę importowanego z Księżyca pyłu; obecność bakterii zaś oznaczała stałą groźbę mutacji.

Republika bezustannie walczyła z klęską ekologiczną, by Gnilec nie rozszerzał się na sąsiednie tereny, natomiast w Zaibatsu wybuchła prawdziwa epidemia: zmutowane grzyby rozmnażały się i rosły jak plamy oleju na wodzie, tworząc pod powierzchnią gleby elastyczną skorupę. Ta z kolei nie przepuszczała wody, co prowadziło do zagłady drzew i trawy. Martwe rośliny natychmiast atakowała zgnilizna, ziemia schła, powietrze stawało się wilgotne, na umierających polach i w sadach pleśń pieniała się w najlepsze – szare, podobne do mchu płyty rozrastały się bezkarnie...

Kiedy sprawy zaszły tak daleko, uratowanie świata wymagało iście desperackiego wyczynu:



należało go ewakuować, zdekompresować, a następnie – w próżni – wypalić całą wewnętrzną powierzchnię cylindra i od nowa zazielenić. Związane z tym wydatki przerastały możliwości kolonii i ich mieszkańcy masowo uciekali z okolic Ziemi. Z czasem pozakładali własne społeczności i poprzyłączali się do karteli Mechów w Pasie Asteroid albo weszli w skład kształcerskiej Rady Pierścieni na orbicie Saturna.

Większość mieszkańców Ludowego Zaibatsu wyniosła się stąd, ale garstka najbardziej upartych wciąż odmawiała przyznania się do porażki. Lindsay ich rozumiał, potrafił dostrzec ślad godności w ich ponurym odosobnieniu.

Wolno przemieszczające się wiry powietrzne wgrzyzały się w gumistą ziemię, podrywając drobinki przegniłej gleby w prześwietlone blaskiem zmierzchu powietrze. Szklane panele słoneczne pokrywał kleisty amalgamat kurzu i pleśni. W miejscach, w których panele \*ostały strzaskane, uzupełniono je prowizorycznymi, kratownicowymi wstawkami.

Było zimno. Przez brudne, spękane szkło do wnętrza przedostawały się jedynie resztki blasku, toteż panele musiały działać na okrągło – tylko po to, żeby Zaibatsu nie zamarzło. Noc oznaczała niebezpieczeństwo i nie można sobie było na nią pozwolić. Noc nie miała tu wstępu.

Lindsay w stanie nieważkości przebierał niezdarnie rękoma i nogami, przemieszczał się wolno po lądowisku. Samoloty – kilkanaście mięśniolotów w fatalnym stanie i parę poobijanych elektrycznych maszyn – zacumowano przysawkami do porysowanej stalowej powierzchni.

Pomacał wsporniki płatów antycznego elektryka, którego pokryte materiałem skrzydła zdołał japoński wzór. Płozy, w tej chwili pokryte warstwą zaschniętego błota, pozwalały maszynie lądować także w normalnym ciężeniu. Lindsay odepchnął się i opadł na metalowy fotel pilota. Wpasował plastikowo-szmaciane pantofle w strzemiona, po czym z kieszeni na piersi wyjął kartę kredytową. Czarny kawałek plastiku miał złotą obwódkę i diodowy wyświetlacz, na którym pokazywała się liczba godzin kredytu. Wsunął kartę w szczelinę i maleńki silniczek z cichym buczeniem zbudził się do życia.

Lindsay wystartował i dał się porwać opadającej strudze powietrza. Pozwolił jej się nieść do chwili, aż poczuł działanie grawitacji, po czym przeorientował się tak, by mieć ziemię pod nogami.

Z lewej strony miał częściowo oczyszczony panel słoneczny. Baryłkowate roboty zdzierały z niego skorupę brudu i polerowały porysowane szkło. Skierował samolocik w tamtą stronę, żeby przyjrzeć im się z bliska. Roboty miały po dwie nogi i były dość prymitywnie zaprojektowane. Lindsay dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że ma przed sobą ludzi w skafandrach i maskach gazowych.

Słupy blasku z czystych fragmentów szklanej płyty cięły mglisty półmrok niczym światła reflektorów. Lindsay wleciał w snop światła, skręcił i dał się ponieść prądowi wznoszącemu. Światło padało na przeciwległy panel uprawny, pośrodku którego znajdowało się skupisko zbiorników, pełnych zielonej brei: algi. Ostatnią rolniczą placówką w całym Zaibatsu była farma tlenowa.

Zniżył lot i z ulgą wciągnął do płuc czystsze powietrze. Cień samolotu prześliznął się po płataninie rur rafineryjnych.

Patrząc w dół, Lindsay dostrzegł podążający jego śladem podobny cień. Skręcił ostro w prawo, ale druga maszyna z cybernetyczną precyzją powtórzyła jego ruch. Poderwał więc samolot w górę i obrócił się w fotelu, żeby zerknąć za siebie. Doznał szoku, że śledzący go automat znajduje się tak blisko. Miał na ogonie zdalnie sterowany, bezzałogowy samolot szpiegowski o płaskich, kwadratowych skrzydłach, zasilany bezgłośnym Śmigłem, ukrytym w kapturze na rufie. Kamuflaż z buro-szarych plam idealnie maskował go na tle wewnętrznego nieba, na które składały się zaniedbane panele uprawne. Z umieszczonej na dziobie matrycy sterczały krótkie cylindry. Lindsay

miał nadzieję, że to teleobiektywy, choć równie dobrze mogły okazać się laserami rentgenowskimi. Odpowiednio ustawiony laser tego typu potrafił wypalić od wewnątrz organizm człowieka, nie zostawiając ani śladu na skórze. Poza tym promieni Roentgena nie widać.

Na myśl o tym ogarnął go strach. Sztuczne światy były z natury delikatne. Bezpieczeństwo tych oaz życiodajnego ciepła i atmosfery we wrogiej pustce kosmosu stanowiło uniwersalną podstawę moralności ich mieszkańców. Broń musiała być groźna, co czyniło ją godną pogardy, lecz w świecie astrognid tylko użycie siły gwarantowało zachowanie ładu. Nie zmieniło to faktu, że Lindsaya zalała fala instynktownego gniewu.

Wleciał w chmurę żółtawej mgły kłębiącą się w pobliżu osi obrotu Zaibatsu, a kiedy wynurzył się z drugiej strony, śledzący go samolot zniknął.

Nigdy nie będzie wiedział, czy go nie obserwują; w każdej chwili niewidzialna dłoń może pstryknąć przełącznikiem i nastąpi koniec.

Był zaskoczony gwałtownością własnych uczuć. Wpojone podczas szkolenia nawyki ulotniły się bez śladu i nie mógł powstrzymać cisnącego mu się przed oczy wspomnienia Very Kelland – pikowała w dół, uderzała o ziemię, skrzydła lekkolotu rozrywały się, odpadały...

Skreślił. W dali, za zdewastowanymi panelami uprawnymi, dostrzegł pierścień czystej bieli opasujący cały świat i stykający się z południową ścianą Zaibatsu. Obejrzał się za siebie; przeciwległa ściana była wklęsła i gęsto usiana porzuconymi, zrujnowanymi fabrykami i magazynami. Naga ściana przed nim zaś była płaska, pionowa i chyba zbudowana z cegieł.

W dole szeroki pas wysypany pobielonymi kamieniami lśnił oślepiającym blaskiem. Pośród bieli kamyków tu i ówdzie sterczały dziwacznie ukształtowane głązy, niczym ciemne wyspy na tle morza. Lindsay zniżył lot, żeby lepiej im się przyjrzeć i rozpoznał wieżyczki czarnych bunkrów, które obracały się wyraźnie, śledząc jego lot błękitnawymi lufami dział. Znalazł się nad Strefą Sterylną.

Natychmiast poderwał maszynę i zaczął się wznosić.

W samym środku południowej ściany ziała olbrzymia dziura, wokół której nieustannie unosiły się stada samolotów szpiegowskich, przywodzące na myśl rój rozszoszczonych szerszeni. Z krawędzi otworu sterczały liczne anteny opatrzone kablami w pancерnej izolacji.

Lindsay nie widział, co znajduje się w samym otworze – za ścianą leżała połowa jego nowego świata, ale gnidy nie miały do niej prawa wstępu.

Sfrunął w dół; drucziane odciągi płatów lekkolotu zajęczały boleśnie.

Na północy, na drugim z trzech paneli uprawnych Zaibatsu, zobaczył efekty pracy gnid: uciekinierzy zdemolowali i rozszabrowali większość budowli w sektorze przemysłowym, a z pozyskanych w ten sposób materiałów wybudowali toporne, hermetyczne kopuły – od małych bąbli dmuchanego plastiku, przez wielobarwne uszczelnione wielościanny, aż po stojącą samotnie, olbrzymią półkulę.

Zatoczył ostrożnie koło ponad największą z konstrukcji. Całą jej powierzchnię pokryto warstwą czarnej pianki izolacyjnej, a wokół zewnętrznej krawędzi ułożono na ziemi pierścień z cętkowanych odłamków księżycowej skały. W przeciwieństwie do reszty kopuł, tej nie zdobiły żadne anteny.

Rozpoznał ją; wiedział, że tu będzie.

Przestraszył się. Zamknął oczy i przywołał na pomoc całe szkolenie zdobyte wśród kształcerzy, wyrytą w sercu siłę dziesięciu lat psychotechnicznej dyscypliny. Poczul, jak umysł przeskakuje leciutko w drugi tryb pracy; jego ciało wyprostowało się, ruchy nabrały płynności, serce zaczęło szybciej bić. Uśmiechnął się, gdy odczuł przyływ pewności siebie. Miał wrażenie, że mózg pracuje mu teraz szybciej, ostrzej, wolny od zwykłych zahamowań, gotów do zmiany i manipulacji. Strach i poczucie winy zbladły, odpłynęły, wtapiając się w kłębowisko błahych spraw.

Jak zwykle w tym odmiennym stanie świadomości Lindsay gardził swoją wcześniejszą słabością. Tak właśnie wyglądało jego prawdziwe „ja”: pragmatyczne, ruchliwe, wolne od emocjonalnego balastu. Nie było czasu na półśrodki; Lindsay miał swoje plany i jeśli chciał przeżyć, musiał skoczyć rzeczywistości do gardła.

Dostrzegł prowadzącą do wnętrza kopuły śluzę, z poślizgiem wylądował tuż obok niej. Wyjął z czytnika kartę kredytową i zszedł z fotela, a lekkolot sam wzbił się w bure niebo.

Po ułożonej z kamieni ścieżce podszedł do zagłębienia w ścianie kopuły. Wbudowany w jej powierzchnię panel ożył i zamrugał lampkami. Z lewej strony wpatrywał się w Lindsaya obiektyw kamery, wbudowany obok osłoniętego pancernym szkłem ekranu. Pod spodem ze szczeliny na kartę sączyło się słabe światło. Obok znajdował się stalowy prostokąt wjazdu.

Znacznie większe przesuwane wrota, w głębi wnęki, strzegły głównej śluzy kompleksu. W rowku przewodnicy zalegała gruba warstwa dawno nie ruszanego pyłu. Czarni Medycy Nephryne niechętnie przyjmowali gości.

Czekał cierpliwie, układając sobie w głowie przygotowane kłamstwa.

Minęło dziesięć minut. Powstrzymywanie kataru sprawiało mu coraz większą trudność, gdy nagle ekran ożył i pojawiła się na nim kobieta.

– Proszę włożyć kartę kredytową w szczelinę – powiedziała po japońsku.

Była szczupłą, miała ciemne, jakby zbyt duże oczy i krótko przycięte, kasztanowe włosy. Nie potrafiłby określić, ile ta kobieta ma lat. Obrzucił ją baczym spojrzeniem, starając się oszacować jej kinezykę. Ubrana była w biały lekarski kitel, w którego kołnierzyk wpięła znaczek – złotą laskę oplecioną przez dwa czerwonoookie węże z czarnej emalii. W ich otwartych paszczach widniały gotowe do ataku zęby jadowe.

Lindsay się uśmiechnął.

– Nie zamierzam niczego kupować.

– I tak poświęcam ci uwagę, prawda? Włóż kartę.

– Nie prosiłem, żeby się pani pojawiła na ekranie – powiedział Lindsay po angielsku. – W każdej chwili może się pani wyłączyć.

Posłała mu pełne złości spojrzenie.

– Oczywiście, że mogę – odparła, również przechodząc na angielski. – Mogę również kazać cię tu wciągnąć i posiekać na kawałki. Czy ty w ogóle wiesz, gdzie jesteś? To nie przytułek dla astrognid, tylko siedziba Czarnych Medyków Nephryne.

W Republice nie słyszano o Medykach, ale Lindsay dowiedział o ich istnieniu w Radzie Pierścieni. Po trochu biochemicy, po trochu kryminaliści, żyli na obrzeżach kształcerskiego półświatka; cieszyli się opinią skrytych i pozbawionych sumienia twardzieli. Wiedział, że mają kilka rozproszonych po całym Układzie Słonecznym baz i laboratoriów – i właśnie trafił do jednego z nich.

Uśmiechnął się przymilnie.

– Niech pani posłucha, chciałbym po prostu wejść do środka. Byłe w jednym kawałku.

– Chyba żartujesz. Nie jesteś wart nawet tyle, żeby opłacało się nam cię zdezynfekować.

Lindsay uniósł w zdumieniu brwi.

– Mam standardową florę bakteryjną.

– To środowisko sterylne. Nephryne żyją w czystości.

– To znaczy, że nie możecie wyjść na zewnątrz? – Lindsay udał zaskoczonego. – Jesteście uwięzieni w tej kopule?

– My tu mieszkamy – odparła z naciskiem. – To ty jesteś uwięziony. Na zewnątrz.

– Szkoda, miałem nadzieję znaleźć chętnych do pracy. Chciałem tylko być uczciwy. – Lindsay

wzruszył ramionami. – Miło mi się z panią rozmawiało, ale czas mnie goni. Będę się zbierał.

– Zaraz, nigdzie nie pójdziesz, dopóki ci na to nie pozwolę.

Lindsay pozwolił sobie na okazanie udawanej obawy.

– Proszę posłuchać – powiedział – nikt tu nie kwestionuje waszej reputacji. Sęk w tym, że nie możecie wyjść na zewnątrz. Jesteście dla mnie bezużyteczni. – Przeczesał palcami włosy. – To nie ma sensu.

– Co ty sugerujesz? I kim w ogóle jesteś?

– Nazywam się Lindsay.

– Lin Dze? Nie wyglądasz na Azjatę.

Lindsay popatrzył kobiecie prosto w oczy i wytrzymał jej spojrzenie. Trudno było skutecznie symulować ten efekt za pośrednictwem kamery, ale zrobił to tak niespodziewanie, że sztuczka zadziałała znakomicie na poziomie podświadomym.

– A pani jak się nazywa?

– Cory Prager – przyznała niechętnie. – Doktor Prager.

– Dobrze, Cory. Otóż jestem przedstawicielem Kabuki Intrasolar, komercyjnego przedsiębiorstwa teatralnego – łgał jak z nut. – Szukam obsady do nowego przedstawienia. Dobrze płacimy. Skoro jednak, jak mówiłaś, nie możecie wyjść, to tylko tracę czas. Nie będziecie mogli nawet zasiąść na widowni. – Westchnął. – Oczywiście, to nie moja wina. Nie ja za to odpowiadam.

Kobieta roześmiała się nieprzyjaźnie, ale Lindsay, który zapoznał się już z jej kinezyką, nie miał wątpliwości, że jest zaniepokojona.

– Myślisz, że interesuje nas, co się dzieje na zewnątrz? Kontrolujemy tutejszy rynek i nic więcej nas nie obchodzi.

– Cieszę się, że tak mówisz. I żałuję, że inne grupy nie podzielają waszych poglądów. Jestem przecież artystą, nie politykiem i chciałbym umieć z równą łatwością unikać zbędnych komplikacji. – Lindsay rozłożył ręce. – Teraz, kiedy wyjaśniliśmy to sobie nawzajem, czas się pożegnać.

– Zaczekaj! Jakie komplikacje masz na myśli?

– To nie moja wina – zastrzegł się Lindsay. – Wszystko przez te inne grupy. Jeszcze nie udało mi się zebrać do końca ekipy, a oni już knują coś między sobą. Występ w sztuce jest dla nich okazją do negocjacji.

– Możemy wysłać sprzęt monitorujący i śledzić przebieg spektaklu – zaproponowała doktor Prager.

– Przykro mi. – Lindsay zeszywniał. – Nie możemy się zgodzić na nagrywanie naszych przedstawień ani nadawanie ich na żywo. Zaszкодziłoby to sztuce. Nie wolno mi zawieść zaufania ludzi – dodał smutno. – Dziś, dzięki mnemonikom, każdy może być aktorem.

– My też sprzedajemy środki mnemoniczne: wazopresynę, karbolinę, endorfinę, stymulatory, środki uspokajające, rozśmieszające, przerażające – co tylko zechcesz. Jeśli jest choćby minimalne zapotrzebowanie na towar, nasi chemicy go przygotowują; gdyby nie udało się go zsyntetyzować, można zawsze wyizolować z żywej tkanki. Czego tylko zapragniesz, co ci tylko przyjdzie do głowy. – Zniżyła głos. – Bo wiesz, my jesteśmy przyjaciółmi tych za ścianą. Mają o nas dobre mniemanie.

Lindsay wzniósł oczy ku niebu.

– Jasne.

Doktor Prager zerknęła poza kadr; Lindsay usłyszał stukot klawiatury.

– Rozmawiałeś z tymi kurwizszonami, prawda? – Kobieta podniosła wzrok. – Z Geisha Banku?

Lindsay postanowił zachować ostrożność; pierwszy raz słyszał tę nazwę.

– Lepiej chyba będzie, jeśli informacje o moich klientach pozostaną tajemnicą.

– Byłbyś głupcem, gdybyś uwierzył w ich obietnice.

– A jaki niby mam wybór? – Lindsay uśmiechnął się niepewnie. – Aktorów łączy z kurwami naturalne pokrewieństwo ducha.

– Musieli cię ostrzec przed nami. – Doktor Prager z roztargnieniem przycisnęła do lewego ucha parę słuchawek.

– Mówiłem przecież, że chcę tylko grać uczciwie – powtórzył Lindsay, ale kobieta, zamiast zareagować na jego słowa, powiedziała coś szybko do maleńkiego mikrofonu. Jej twarz zniknęła z ekranu, a zjawilo się poorane zmarszczkami oblicze starszego mężczyzny. Przez ułamek sekundy Lindsay mógł ujrzeć go takiego, jak wyglądał naprawdę – siwe, zmierzwiłone włosy, oczy w czerwonych, przekrwionych obwódkach – zanim włączył się program korygujący i linia po linii wygładził, zretuszował i podkolorował obraz.

– Posłuchajcie, przecież to nie ma sensu – rzucił pośpiesznie Lindsay. – Nie próbujcie przekonać mnie, żebym zrobił coś, czego będę potem żałował. Mam przygotować przedstawienie i szkoda mi czasu na...

– Dość tego gadania – przerwał mu mężczyzna. Metalowe wrota otworzyły się, odsłaniając złożony w kostkę płat przezroczystego winylu. – Ubierz się w to i wejdź do środka.

Lindsay rozpieczętował paczkę i wytrząsnął z niej kompletny skafander dekontaminacyjny.

– Prędeż! – ponaglił go starszy mężczyzna. – Cały czas mogą cię śledzić.

– Nie wiedziałem – powiedział Lindsay i z wysiłkiem wskoczył w zakończone butami spodnie. – To dla mnie zaszczyt – dodał, po czym wśliznął się w górną część kombinezonu, znalazł rękawy i hełm, a następnie uszczelnił strój w talii.

Drzwi służby otworzyły się ze zgrzytem, zdzierając nagromadzoną w przewodnicy warstwę brudu.

– Wchodź – rzucił krótko mężczyzna z ekranu. Lindsay posłuchał go, a wówczas drzwi się za nim zamknęły.

Podmuchał powietrze wzburzył zalegający na ziemi kurz. Zaczął padać drobny, brudny deszcz. Podobny do szkieletu robot podszedł na czterech pajęczych odnóżach do wrót i wycelował w nie kamerę.

Upłynęła godzina. Deszcz ustał i w górze mignęły dwa bezgłośnie samoloty szpiegowskie. Na północy, w opuszczonym sektorze przemysłowym, szalała burza pyłowa. Zrobotyzowana kamera nie opuszczała posterunku przy drzwiach.

Lindsay zataczając się wyszedł ze służby. Położył czarną dyplomatkę na kamiennej ziemi i mozolnie wygrzebał się ze skafandra. Wepchnął go z powrotem do służby, a potem z udawanym wdziękiem ruszył po kamieniach.

Cuchnęło tu przeraźliwie. Lindsay przystanął i kichnął.

– Hej – odezwała się kamera. – Panie Dze, chciałbym z panem porozmawiać.

– Jeżeli chce pan wziąć udział w sztuce, będzie się pan musiał stawić na spotkanie osobiście – ostrzegł Lindsay.

– Zaskakuje mnie pan – stwierdziła kamera w handlowym japońskim. – Przyznam, że jestem pod wrażeniem pańskiej odwagi. Czarni Medycy cieszą się jak najgorszą reputacją. Nie zdziwiłbym się, gdyby poszatkowali pana tylko po to, by pozyskać zawarte w pańskim ciele surowce chemiczne.

Lindsay ruszył na północ. Ślady jego szmacianych butów odciskały się wyraźnie w błocie. Kamera wlokła się za nim, poskrzypując lewą tylną podporą.

Zszedł z niskiego pagórka i znalazł się w sadzie, wśród spróchniałych drzew pokrytych grubym kożuchem sadzy. Poniżej znajdował się staw. Na wodzie unosiła się warstwa ohydnej piany, na brzegu zaś stała waląca się herbaciarnia. Niegdyś elegancki, wykładany glazurą budynek zmieniał

się teraz w stertę wyschniętego, próchniejącego drewna. Lindsay kopnął jedną z belek i zaniósł się kaszlem, gdy w powietrze buchnęła chmura próchna i zarodników grzybów.

– Ktoś powinien tu posprzątać – zauważył na głos.

– I co zrobić z tym wszystkim? – zdziwiła się kamera.

Lindsay rozejrzył się dookoła: drzewa zasłaniały ich przed ewentualnymi obserwatorami. Przeniósł wzrok na towarzyszący mu automat.

– Pańskiej kamerze przydałby się generalny remont – powiedział.

– To wszystko, na co mogłem sobie pozwolić.

Lindsay rozbijał trzymaną w ręku teczkę. Zmrużył oczy.

– Robot jest chyba dość powolny i delikatny, prawda?

Automat ostrożnie cofnął się o krok.

– Ma pan gdzie się zatrzymać, panie Dze?

Lindsay potarł z namysłem podbródek.

– Coś mi pan proponuje?

– Nie powinien się pan kręcić po otwartym terenie, zwłaszcza bez maski.

– Medykom powiedziałem, że chronią mnie najnowocześniejsze antyseptyki. – Lindsay się uśmiechnął. – Byli pod wrażeniem.

– Nic dziwnego. U nas nie oddycha się nieprzetworzonym powietrzem, jeśli człowiek nie chce, żeby jego płuca wyglądały jak ten sad. – Głos z kamery umilkł na chwilę. – Nazywam się Fiodor Riumin.

– Miło mi pana poznać – odrzekł Lindsay po rosyjsku. U Medyków wstrzyknęli mu przez skafander wazopresynę i miał wrażenie, że zdolność postrzegania i rozumienia niezmiernie mu się wyostrzyła. Czuł się nieznośnie inteligentny, jak gdyby gdzieś na skraju świadomości coś zaraz miało w nim pęknąć. Przejście z japońskiego na rosyjski nie sprawiło mu żadnej trudności, jakby zmienił taśmę w odtwarzaczu.

– Znów mnie pan zaskoczył – przyznała kamera, również po rosyjsku. – Pobudza pan moją ciekawość... Rozumie pan ten zwrot? Pytam, bo nie wchodzi on w zakres standardowej handlowej odmiany rosyjskiego. Proszę iść za robotem i oddychać jak najpłycej. Mieszkam niedaleko.

Dom Riumina znajdował się w małej, plastikowej zielono-szarej kopule, nieopodal jednego z brudnych i częściowo potłuczonych paneli słonecznych. Lindsay rozpiął suwak w zewnętrznej powłoce i wszedł do śluzy.

Czyste powietrze natychmiast sprowokowało u niego atak kaszlu. Namiocik był nieduży – miał może z dziesięć kroków średnicy; podłogę zaścielały splątane kable łączące stosy sfatygowanego sprzętu wideo ze starym akumulatorem, ustawionym na ceramicznych dachówkach. Pośrodku stał maszt opleciony siateczką przewodów. Zawieszono na nim filtr powietrza i nagą żarówkę, u góry zaś sterczały kable prowadzące do baterii anten.

Riumin siedział po turecku na macie, trzymając w dłoniach przenośny joystick.

– Pozwoli pan, że najpierw przypilnuję robota – powiedział. – Potem zajmę się panem.

Choć był blondynem, rysy jego twarzy zdradzały azjatyckie korzenie. Dłonie miał kościste, pomarszczone, a na policzkach charakterystyczne dla podeszłego wieku plamy. Był masywnie zbudowany, ale jego nadgarstki wydawały się nieproporcjonalnie szczupłe, czaszka zaś sprawiała wrażenie zbyt delikatnej. Do skroni miał przyklepione dwa czarne krążki – wybiegały z nich przewody, które dalej spływały mu na plecy i ginęły w gąszczu kabli. Miał zamknięte oczy.

Wyciągnął przed siebie rękę, namacał przełącznik obok kolana i wcisnął go, po czym zerwał z głowy samoprzylepne dyski. Otworzył oczy – niebieskie i błyszczące.

– Nie jest tu za ciemno? – zatroskał się.

Lindsay zerknął na dyndającą mu nad głową żarówkę.

– Raczej nie.

Riumin postukał się w skroń.

– Elektroniczne wszczepy na nerwach wzrokowych – wyjaśnił. – Trochę mi dokucza ślepotą ekranowa: słabo widzę obraz, który nie składa się z linii na monitorze.

– Jest pan mechanistą – stwierdził Lindsay.

– To aż tak widać? – ironicznie spytał Riumin.

– Ile ma pan lat?

– Sto czterdzieści. Nie, sto czterdzieści dwa. – Riumin się uśmiechnął. – Proszę się nie bać.

– Nie jestem uprzedzony – skłamał Lindsay; czuł odrobinę lęku, który tłumił nabyte podczas szkolenia nawyki. Przypomniawszy sobie Radę Pierścieni i długie, nienawistne, antymechanistyczne sesje indoktrynacyjne.

Wspomnienie wewnętrznego buntu pozwoliło mu wrócić do rzeczywistości. Przystąpił ponad kłębowiskiem przewodów i postawił teczkę na niskim stoliku, obok opakowanego w folię kawałka syntetycznego tofu.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, panie Riumin – rzekł. – Jeśli to ma być szantaż, niewłaściwie mnie pan ocenia. Nie pójdę na współpracę. Jeżeli więc źle mi pan życzy, proszę bardzo, niech mnie pan zabije. Od razu.

– Na pana miejscu nie mówiłbym tak głośno – ostrzegł go Riumin. – Samolot szpiegowski mógłby pana ustrzelić. Bez trudu przebiłby się przez ściankę namiotu. – Lindsay się wzdrygnął, a jego rozmówca wyszczerzył zęby w niewesołym uśmiechu. – Widziałem już takie przypadki. A poza tym, gdybyśmy mieli się nawzajem mordować, prędzej pan powinien mnie zabić; to ja ryzykuję, bo ja mam coś do stracenia. Pan jesteś tylko wygadana astrognidą. – Riumin zwinął przewód joysticka. – Moglibyśmy do końca świata na zmianę zapewniać się o braku złych zamiarów i żaden nie przekonałby drugiego. Albo sobie zaufamy, albo nie.

– Zaufam panu – zgodził się Lindsay. Zsuł ubłocone buty.

Riumin wolno wstał z podłogi. Kiedy schylił się, żeby zabrać obuwie gościa, coś głośno trzasnęło mu w krzyżu.

– Włożę je do mikrofalówki – wyjaśnił. – Jak człowiek tu mieszka, musi się strzec błocka.

– Zapamiętam to sobie – powiedział Lindsay, czując, że jego mózg pławi się w zalewie mnemonicznych narkotyków. Zdawało mu się, że doznał objawienia; każdy kawałek kabla i każda taśma nabrała nagle ogromnego znaczenia. – Możesz je pan spalić. – Wyjął z nowego pakunku kremowy kitel.

– To dobre buty – zauważył Riumin. – Warte co najmniej trzy, może nawet cztery minuty.

Lindsay ściągnął skafander. Na prawym pośladku miał dwa sine ślady po zastrzykach. Riumin zmrużył oczy.

– Widzę, że nie udało się panu wyjść z tego bez szwanku.

Lindsay włożył pomięte białe spodnie.

– To wazopresyna – wyjaśnił.

– Wazopresyna – powtórzył z namysłem gospodarz. – Wydaje mi się, że ma pan w sobie coś z kształcerza. Skąd pan pochodzi, panie Dze? Ile ma pan lat?

– Mam trzy godziny – odrzekł Lindsay. – Pan Dze jest człowiekiem bez przeszłości.

Riumin spuścił wzrok.

– Nie mogę mieć do kształcerza pretensji, że usiłuje ukryć swoje pochodzenie. W całym Układzie

nie brakuje wam wrogów. – Zerknął na gościa. – Przypuszczam, że był pan dyplomatą.

– Niby dlaczego?

– Powiodło się panu z Czarnymi Medykami; jestem pod wrażeniem pańskich umiejętności. Poza tym dyplomaci często kończą jako astrognidy. – Riumin przyglądał mu się uważnie. – Rada Pierścieni uruchomiła tajny program szkoleniowy dla pewnego szczególnego rodzaju dyplomatów. Wielu odpadło, ale połowa z tych, którzy go ukończyli, okazała się buntownikami i zdrajcami.

Lindsay zapiął zamek w koszuli.

– Czy tak właśnie było z panem? – zapytał Riumin.

– Mniej więcej.

– To niesamowite. Dawniej często spotykałem postludzi z pogranicza, ale nigdy kogoś takiego jak pan. Czy to prawda, że wymuszali u was przejście w drugi, zupełnie odmienny stan świadomości? I że kiedy człowiek w nim funkcjonuje, to sam nie wie, czy mówi prawdę, czy kłamie? I że psychotropami wyniszczało się wrodzoną szczerłość?

– Szczerść... – powtórzył Lindsay. – To śliskie pojęcie.

Riumin się zawahał.

– Zdaje pan sobie sprawę, że takich jak pan ścigają zawodowi kształcercy zabójcy?

– Nie wiedziałem o tym – przyznał ponuro Lindsay. Do czego to doszło, pomyślał. Po tylu latach... Czy po to właśnie bioelektroniczne kraby wpijały mu się w rdzeń kręgowy, właczały wiedzę, wypalając ją w każdym nerwie? Po to była cała ta indoktrynacja, narkotyki, taśmy mnemoniczne... Trafił do Pierścieni mając lat szesnaście, po czym dziesięć lat pracowali nad nim psychotechnicy. Kiedy wrócił do Republiki, przypominał uzbrojoną bombę, gotową służyć dowolnym celom. Jednakże jego umiejętności wzbudziły paniczny lęk ludzi stojących u steru władzy i stracił ich zaufanie. Teraz zaś kształcercy sami zaczęli na niego polować. – Dziękuję, że mi pan powiedział.

– Nie martwiłbym się nimi zbytnio. Kształcercy są w tarapatach; mają za dużo zmartwień, żeby zawracać sobie głowę zapomnianymi astrognidami. – Riumin się uśmiechnął. – Jeżeli naprawdę pan przez to przeszedł, nie może pan mieć więcej niż czterdzieści lat.

– Trzydzieści. Cwany drań z pana, Riumin.

Gospodarz wyjął solidnie wypalone buty Lindsaya z mikrofalówki, obejrzał je bacznie i włożył na bose stopy.

– Ile zna pan języków? – zapytał.

– Normalnie cztery, ale na mnemonikach radzę sobie z siedmioma. Do tego dochodzi standardowy język programowania kształcerskiego.

– Ja też znam cztery – powiedział Riumin. – Chociaż nie zaśmieciam sobie pamięci formami pisanymi.

– Nic pan nie czyta? W ogóle?

– Maszyny mogą mnie w tym wyręczyć.

– Wobec tego jest pan ślepy na całe kulturalne dziedzictwo ludzkości.

Riumin wyglądał na zaskoczonego.

– Dziwnie brzmią takie słowa w ustach kształcerza. Jest pan antykwariuszem, co? Chciałby pan złamać reguły interdymtu, studiować te tak zwane nauki humanistyczne i tak dalej? Teraz rozumiem, skąd ten teatralny gambit; musiałem zajrzeć do leksykonu, żeby się dowiedzieć, co znaczy „sztuka” w tym kontekście. Zdumiewający obyczaj. Naprawdę chce się pan tym zająć?

– Owszem. Czarni Medycy sfinansują mi ten projekt.

– Rozumiem. Geisha Bank nie byłby nim zainteresowany; siedzą po uszy w kredytach i ekonomii.

Lindsay przysiadł na podłodze obok kłębu przewodów i wyjął z kołnierzyka szpilkę Czarnych



Medyków. Obrócił ją w palcach.

– Niech pan mi o nich opowie – zaproponował.

– Gejsze to kurwy i finansiści. Zauważył pan pewnie, że kartę kredytową ma pan wycenioną w godzinach.

– Tak.

– To godziny usług seksualnych. Mechanisci i kształcerze posługują się kilowatami w charakterze waluty, ale kryminalny półświatek w Układzie musi mieć swój czarny rynek, żeby istnieć. Przewinęło się przez niego całe mnóstwo nielegalnych walut. Kiedyś napisałem o tym artykuł.

– Naprawdę?

– Tak, z zawodu jestem dziennikarzem. Zabawiam zblazowanych nowobogackich oszałamiającymi rewelacjami kryminalnymi, opowiastkami z życia niższych klas. – Riumin pokiwał głową. – Przez jakiś czas były w obiegu narkotyki, lecz to dawało przewagę kształcerskim chemikom. Później z jakimś sukcesem sprzedawano czas na komputerach, ale z kolei mechanisci mają lepszą cybernetykę. Ostatnio w modzie jest seks.

– Czy to znaczy, że ludzie specjalnie przybywają na to zadupie, żeby sobie pobzykać?

– Nie trzeba iść do banku, żeby skorzystać z karty, panie Dze. Geisha Bank ma szerokie kontakty w kartelach. Piraci często się tu zatrzymują, żeby wymienić łup na nielegalne kredyty. Poza tym trafiają do nas uchodźcy polityczni z innych światów okołoksiężycowych. Ci, którzy mają pecha.

Lindsay nie dał nic po sobie poznać; był jednym z uchodźców.

Teraz miał przed sobą proste zadanie: przeżyć. Świadomość tego faktu w cudowny sposób oczyściła mu umysł. Mógł zapomnieć o całym dotychczasowym życiu; buncie Zachowawców, wystawianych w Muzeum politycznych sztukach... Wszystko to przeszło do historii.

I dobrze, pomyślał. Dawne czasy minęły; tamte wydarzenia miały miejsce w innym świecie. Na myśl o tym nagle zakręciło mu się w głowie. Przeżył. A Vera nie.

Constantine chciał go zabić, wykorzystując stado zmutowanych owadów. Ciche, delikatne motyle sprawdziły się doskonale jako nowoczesna broń. Zagrażały tylko ludzkiemu ciału, nie zaś całemu środowisku. Ale to wuj Lindsaya otworzył puzderko zerwane z szyi Very i zaopatrzone w mechanizm uwalniający chmurę feromonów, które doprowadziły śmiertelne ćmy do szału. Wuj zginął zamiast niego. Lindsay poczuł wolno wzbierającą falę mdłości.

– Z mechanistycznych karteli przybywają ci najbardziej wyczerpani, żeby umrzeć z rozkoszy – ciągnął Riumin. – Za odpowiednią cenę Geisha Bank proponuje shinju: podwójne samobójstwo, w towarzystwie jednego z członków personelu. Bo wie pan, klienci bardzo się cieszą, kiedy nie muszą umierać samotnie.

Przez dłuższą chwilę Lindsay toczył wewnętrzną walkę. „Podwójne samobójstwo” – te słowa przeszły go niczym sztylet. Przed oczyma majaczyła mu drżąca twarz Very, wzmocniona wspomagającymi pamięć narkotykami. Jego ciałem targnęły gwałtowne torsje; zwymiotował na podłogę.

Chemikalia go pokonały. Odkąd opuścił Republikę, nie miał nic w ustach. W gardle go zapiekło i nagle poczuł, że brakuje mu powietrza. Zaczął się dusić.

Riumin przyskoczył w jednej chwili, opadł mu kościstymi kolanami na pierś i wydusił powietrze z płuc przez zaciśniętą tchawicę. Lindsay przetoczył się na bok i zaczął spazmatycznie oddychać. W dłoniach i stopach poczuł delikatne ukłucia gorących igiełek. Nabral jeszcze raz powietrza i zemdłał.

Riumin złapał Lindsaya za nadgarstek i przez moment stał nieruchomo, sprawdzając tętno. Kiedy młodszy mężczyzna stracił przytomność, starego mecha ogarnęło uczucie dziwnego, sennego spokoju. Przywykł do własnego tempa; od dawna już był stary.

Ostrożnie wciągnął Lindsaya na matę i przykrył go kocem. Niespiesznie podszedł do masywnej, ceramicznej beczki z wadą, wziął garść szorstkiego papieru filtracyjnego i pozbierał wymiociny. Powolne, pełne namaszczenia ruchy pozwalały mu ukryć fakt, że bez dopływu danych z kamer jest praktycznie ślepy.

Założył okularosłuchawki i skoncentrował się na taśmie z nagraniem spotkania z Lindsayem. W sieci przewodów myśli i obrazy przychodziły mu bez trudu.

Klatka po klatce analizował obraz młodej astrognidy; Lindsay miał długie, chude ramiona i łydki, wielkie dłonie i stopy, ale poruszał się swobodnie i z wdziękiem. Przyjrząwszy się bliżej, Riumin dostrzegł w jego ruchach niezwykłą płynność, jednoznacznie wskazującą, że układ nerwowy poddano subtelnym i długotrwałym modyfikacjom. Ktoś poświęcił sporo czasu, żeby nauczyć Lindsaya owej lekkości kroków.

Riumin przeglądał taśmę błyskawicznie, z wprawą nabytą podczas stuletniej praktyki. Układ jest duży, pomyślał. Znajdzie się w nim miejsce dla tysięcy różnych istot żywych, tysięcy potencjalnych potworów. Zrobiło mu się przykro na myśl o tym, co zrobiono temu człowiekowi, ale nie odczuwał strachu. Tylko upływ czasu mógł wykazać różnicę między aberracją i postępem. Riumin nikogo nie chciał już osądzać; kiedy mógł, wyciągał tylko pomocną dłoń.

Przyjazne gesty niosły oczywiście pewne ryzyko, lecz nigdy nie umiał się od nich powstrzymać; lubił obserwować efekty. Ta ciekawość skazała go na życie gnidy. A przecież był niegłupi i miał kiedyś swoje miejsce w radzie kolonii. Zaszkoziła mu skłonność do zadawania źle widzianych pytań i snucia niewygodnych rozmyślań.

Dawniej poczucie moralnej słuszności dodawało mu sił, a choć młodzieńczy wigor ulotnił się dawno temu, Riumin wciąż umiał się litować nad innymi i chciał im pomagać. Przyzwoitość stała się jego starczym nawykiem.

Śpiąca astrognida obróciła się na drugi bok. Twarz młodego mężczyzny marszczyła się i wykrzywiała dziwnie. Riumin przyglądał mu się z niedowierzaniem. To był dziwny człowiek. Niby nic nadzwyczajnego – w Układzie nie brakowało niezwykłych ludzi – ale gdy tacy jak on wymykali się spod kontroli, robiło się naprawdę ciekawie.

\* \* \*

Lindsay się obudził. Jęknął.

– Jak długo spałem?

– Trzy godziny i dwanaście minut – odparł Riumin. – Ale tu nie ma dnia ani nocy, panie Dze. Czas nie gra roli.

Lindsay podniósł się i oparł na łokciu.

– Głodny? – Gospodarz podał mu miskę zupy.

Oka tłuszczu pływały po powierzchni rosółu, kilka białych grudek topiło się w misce. Lindsay zerknął na zupę nieufnie, ale nabrał łyżkę i spróbował. Smakowało lepiej, niż się spodziewał.

– Dziękuję – powiedział, jedząc pośpiesznie. – Przepraszam za kłopot.

– Jaki kłopot? Wymioty to normalka dla każdego przybysza w Zaibatsu – wystarczy, że nowe bakterie dadzą mu po żołądku.

– Dlaczego śledził mnie pan kamerą?

Riumin nalał sobie zupy.

– Z ciekawości. Zainstalowałem radar, który na okrągło przeczesuje okolice wejścia do Zaibatsu.

Większość astrognid trafia tu w grupach; samotni goście stanowią rzadkość. Chciałem poznać pańską historię. Przecież w ten sposób zarabiam na życie. – Siornął rosołu z miski. – Niech mi pan opowie o swojej przyszłości, panie Dze. Jakie ma pan plany?

– Pomoże mi pan, jeśli je zdradzę?

– Mógłbym. Ostatnio raczej się tu nudzę.

– W grę wchodzi pieniądze.

– Coraz lepiej – powiedział Riumin. – A konkretnie?

Lindsay wstał i wygładził rękawy koszuli.

– Zagramy parę ról. „Złapać ptaka w zwierciadło – oto potrzask idealny”, jak mawiali moi nauczyciele. Dowiedziałem się o Czarnych Medykach w Radzie Pierścieni. Mają niezmienną strukturę genetyczną. Kształcerze gardzili nimi, więc sami postanowili się odizolować. Taką już mają tradycję, i tutaj również ją kultywują. Są jednak żądni podziwu i poklasku, toteż zmieniłem się w lustro i pokazałem im ich własne pragnienia, a potem obiecałem prestiż i wpływy, należne mecenasom teatru. – Lindsay sięgnął po kurtkę. – Tylko czego może chcieć Geisha Bank?

– Pieniędzy – podpowiedział Riumin. – Władzy. No i zniszczenia wrogów, a tak się składa, że są nimi Czarni Medycy.

– Trzy linie natarcia. – Lindsay się uśmiechnął. – Tego mnie uczono. – Uśmiech zniknął mu z twarzy. Lindsay przycisnął dłoń do brzucha. – Ta zupa... To była syntetyczna proteina, prawda? Chyba się z nią nie dogadamy...

Riumin zrezygnowany pokiwał głową.

– Nowe bakterie. Musi pan odwołać zaplanowane na najbliższe dni spotkania, panie Dze. Ma pan dyzenterię.

## Rozdział 2

*Okoloksiężycowe Zaibatsu Ludowe Mare Tranquillitatis, 28. 12.'15*

Noc nigdy nie zapadała nad Zaibatsu, przez co cierpienia leżącego w gorączce Lindsaya nabierały pozorów beczasowości, niczym przerywana napadami mdłości sielanka.

Antybiotyki mogły mu pomóc, ale prędzej czy później organizm musiał się pogodzić z nowym zestawem bakterii. Chcąc umilić Lindsayowi czas upływający pomiędzy skurczami żołądka, Riumin zabawiał go miejscowymi plotkami i anegdotkami. Historia Zaibatsu była skomplikowana i przygnębiająca, unurzana w zdradzie, małostkowej rywalizacji o wpływy i bezsensownych walkach o władzę.

Najliczniejszą i najbardziej zamkniętą grupę mieszkańców stanowili farmerzy hodujący algi – ponurzy, ograniczeni fanatycy, o których powiadano, że praktykują kanibalizm. Byli też matematycy, prekszałcerski odłam społeczeństwa, zajęty głównie rozważaniami natury zbiorów nieograniczonych. Najmniejsze kopuły w Zaibatsu zajmowały przeróżne ekipy piratów i wolnych strzelców: Odłam Hermesa, Radykałowie Szarego Torusa, Wielcy Megalikowie, Sojuz Eklektyków i im podobni, którzy zmieniali nazwy i personel równie łatwo, jak podrzynali konkurentom gardła. Bezustannie wojowali między sobą, nikt jednak nie odważył postawić się Czarnym Medykom

Nephriane ani Geisha Bankowi. Dawno temu próbowano – lecz z tych czasów zostały tylko wstrząsające legendy.

Ludzie za ścianą mieli własną, podlegającą gwałtownym przemianom mitologię. Żyli ponoć w dżungli przerośniętych sosen i mimoz, i nie stronili od kazirodztwa, co doprowadziło do makabrycznych zniekształceń – mieli na przykład po dwa kciuki i byli głusi od urodzenia.

Byli i tacy, którzy utrzymywali, że za ścianą nie ma niczego, co choćby z grubsza przypominało człowieka – tylko rozrastające się wciąż oprogramowanie, które dorobiło się autonomii.

Istniała oczywiście i taka możliwość, że kraj za ścianą został potajemnie podbity przez... obcych. Na tym przyprawiającym o dreszczyk pomyśle osnuto cały postindustrialny folklor, zwieńczony sprytną argumentacją. Wszyscy się spodziewali, że prędzej czy później obcy się zjawią – ot, po prostu nowa wersja apokaliptycznego tysiąclecia.

Riumin okazywał choremu niewyczerpaną cierpliwość. Kiedy Lindsay rzucał się w gorączce przez sen, on wysyłał kamerę, żeby patrolowała całe Zaibatsu i zbierała nowinki. Wreszcie nadeszło przesilenie choroby. Lindsay zdołał zatrzymać w żołądku odrobinę zupy i parę smażonych grud przyprawionej proteiny.

Jeden ze stosów aparatury zahuczał – rozległ się przewiercający uszy, czysty, elektroniczny pisk. Riumin podniósł głowę znad przeglądanych kaset.

– To radar – stwierdził. – Niech mi pan poda słuchawki, dobrze?

Lindsay podczołgał się do radaru i wyplątał z kabli samoprzylepne okularosłuchawki. Riumin przykleił je sobie do skroni.

– Radar ma słabą rozdzielczość – powiedział, zamykając oczy. – Jakiś tłum ludzi... Pewnie piraci. Pełno ich na lądowisku. – Zacisnął i tak już zamknięte powieki. – Razem z nimi porusza się coś ogromnego. Przywieźli to ze sobą... Chyba lepiej będzie przełączyć się na teleobiektyw. – Szarpnął sznur słuchawek i wyrwał wtyczkę z gniazdka.

– Wyjdę na zewnątrz się rozejrzeć – zaproponował Lindsay. – Czuję się już dobrze.

– Najpierw sprzęt – zwrócił mu uwagę Riumin. – Proszę wziąć kamerę i słuchawki.

Lindsay umocował do ciała zapasowy komplet aparatury, rozpiął zamek w słuzie i wyszedł z namiotu. Owionęło go skwaśniałe powietrze.

Na skraju najbliższego panelu uprawnego odwrócił się, a potem szybkim krokiem podszedł do pobliskich schodów prowadzących na szczyt niskiej, metalowej ścianki i wycelował kamerę w górę.

– Bardzo dobrze – dobiegł go głos Riumenta. – Proszę podkreślić jasność, dobrze? Wzmacniacz uruchamia się tym małym guzikiem po prawej... Dziękuję, teraz lepiej. Jak pan sądzi, co to jest, panie Dze?

Lindsay przymrużył oczy. Wysoko, w pobliżu północnego końca osi Zaibatsu, kilkanaście sylwetek mocowało się w nieważkości z olbrzymim srebrzystym worem.

– To chyba jakiś namiot – rzekł. – Nadmuchują go.

Nagle srebrna powłoka zmarszczyła się i wyduła, zmieniając się w tępo zakończony cylinder. Na jego bocznej ścianie widniał duży, wielkości człowieka, czerwony rysunek z szablonu: czerwona czaszka i dwa skrzyżowane pioruny.

– Piraci! – powiedział Lindsay.

Riumin zachichotał.

– Tak podejrzewałem.

Gwałtowny podmuch wiatru sprawił, że Lindsay zachwiał się i obejrzał przez ramię. Cały pas szkła okiennego znaczyły ślady zniszczenia – sześciokątne płyty metaszklą pokrywało mrowie czarnych zatyczek, przytrzymywanych pajęczyną ciężkich, stalowych odciągów. Szpary spryskano

uszczelniającym plastikiem. Światło sączyło się niemrawo przez pozostałe fragmenty szkła.

– Nic się panu nie stało? – zaniepokoił się Riumin.

– Przepraszam. – Lindsay znów wycelował kamerę do góry.

Foliowy balon piratów unosił się już w powietrzu, napędzany dwoma maleńkimi silniczkami. Oddalił się wolno od lądowiska, a potem szarpnął i ruszył szybko naprzód. Przyczepiono do niego jeszcze coś – dziwny, czarny obiekt wielkości człowieka.

– To meteoryt – poinformował Lindsaya Riumin. – Prezent dla ludzi zza ściany. Widział pan te czarne kamienie w Strefie Sterylnej? To wszystko dary od piratów. Taka tradycja.

– Nie łatwiej byłoby go ciągnąć po ziemi?

– Żartuje pan? Każdy, kto postawi nogę w Strefie Sterylnej, zginie na miejscu.

– Rozumiem. Muszą je zrzucić z powietrza. Poznaje ich pan?

– Nie, to jacyś nowi. Właśnie dlatego potrzebny im meteoryt.

– Ktoś jednak ich tu zna – rzekł Lindsay. – Popatrz na to.

Przeniósł ostrość obrazu dalej, za plecy piratów, na pochyły, bury trzeci panel uprawny Zaibatsu. W większości pokrywało go przemieszane z pleśnią błoto, nad nim zaś unosiły się kłęby żółtawej mgły.

Nieopodal północnego krańca znajdowała się przysadzista, wielobarwna kopuła, zbudowana niczym układanka ze znalezionych resztek plastiku i płytek ceramicznych. Ze śluzy wynurzyła się właśnie skrócona w perspektywie obiektywu, przypominająca stado mrówek grupa astrognid. Z zadartymi głowami patrzyły w górę; na twarzach miały maski filtracyjne. Z kopuły wyciągnęły też niezdatną, plastikowo-metalową maszynę z mnóstwem kół zębatach, dźwigni i lin, po czym podniosły ją tak, żeby jednym końcem celowała w niebo.

– Co robią? – zdziwił się Lindsay.

– Kto to może wiedzieć? To Ósma Armia Orbitalna – przynajmniej tak się sami nazywają. Do tej pory uchodzili za zupełnych odludków.

Balon piratów przesuwał się właśnie nad kopułą Ósmej Armii Orbitalnej, rzucając drżące cienie na wszystkie trzy panele uprawne – a wtedy jedna z gnid uruchomiła maszynę.

Długi stalowy harpun wystrzelił do góry i trafił w cel. Lindsay patrzył, jak metalowa folia z tyłu dmuchanej kopuły pęka i rwie się w strzępy. Harpun koziołkując lśnił odbłaskami światła – siła Coriolisa i zderzenie zakłóciły jego lot – aż wreszcie zniknął pośród resztek drzew zniszczonego sadu.

Balon zapadał się w sobie. Jego załoga wymachiwała bezradnie rękoma i nogami w powietrzu, usiłując odsunąć go jak najprędzej poza zasięg ostrzału z ziemi. Olbrzymi kamień, który holowali, siłą rozpędu podążał po dotychczasowej trajektorii, a kiedy lina napięła się niebezpiecznie, oderwał do reszty tylną część kopuły.

Rozległ się głośny syk uciekającego gazu i nadmuchiwany statek powietrzny zmienił się w wymiętą metalową szmatę. Silniki spadły pierwsze, wciągając za sobą resztę powłoki w migotliwy korkociąg.

Piraci miotali się, jakby tonęli, za wszelką cenę starając się utrzymać w strefie nieważkości. Znaleźli się w rozpaczliwym położeniu, w okolicy bowiem nie brakowało wolnych, opadających prądów powietrznych, które musiały ich w końcu zassać i pociągnąć w dół, ku śmierci.

Meteoryt zbliżył się tymczasem do wzburzonej krawędzi nabrzmiałego obłoku, majestatycznie obniżając lot i kołysząc się w powietrzu, po czym zniknął w chmurze. W chwilę później wynurzył się poniżej niej i śmignął w dół po złowieszczym łuku Coriolisa.

Uderzył prosto w połataną szklą panelu słonecznego. Lindsay, który śledził jego lot kamerą, doskonale usłyszał chrzęst towarzyszący zderzeniu. Metal i szkło zgrzytnęły z ogłuszającym rykiem.

Zawieszona nad panelem chmura obniżyła się, wyciągnęła ku dołowi i zaczęła obracać wokół własnej osi. Nad otworem rozpełzł się biały pióropusz, podobny do pokrywającego okolicę szronu: to zawarta w powietrzu para wodna skraplała się w nagle obniżonym ciśnieniu.

Trzymając kamerę nad głową Lindsay zeskoczył na brudną powierzchnię panelu i mimo protestów Riumina popędził wprost do otworu. Po minucie biegu na przełaj znalazł się tak blisko dziury, jak tylko odważył się podejść – dziesięć metrów – i przykucnął za pordzewiałym odciałem jednej z uszczelk. Spojrzawszy przez szkło, po którym stąpał, dostrzegł długą smugę kryształków zamarzającego powietrza, rozpościerającą się niczym tęczowy wachlarz w odbitym od luster blasku słońca.

Wiejący ku otworowi wiatr niósł pierwsze krople deszczu. Lindsay osłaniał dłonią obiektyw kamery, gdy kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

Po szklanej powierzchni z wysiłkiem brnęła grupa ludzi z farm tlenowych, w maskach i skafandrach. Zeszli z sąsiedniego panelu uprawnego, ciągnąc za sobą długi gumowy wąż. Posuwali się powoli, walcząc z wiatrem, omijając uszczelki i odciały.

Jeden z samolotów szpiegowskich dostał się w ściągany do otworu strumień powietrza, spadł i roztrzaskał się na krawędzi dziury. Wrak natychmiast został wyspany na zewnątrz.

Wąż szarpnął się i plunął strugą gęstego szaro-zielonego plastiku, który już w locie zaczął zastygać, po czym opadł na szkło i przylgnął do otworu. Pod ciśnieniem powietrza pomarszczył się i powybrzuszał, ale wytrzymał, a kiedy z węża poląła się następna porcja uszczelniającej masy, porywy wiatru ustały. Z mniejszych szczelin dobiegał tylko przenikliwy świst.

Po zalepieniu uszkodzenia farmerzy jeszcze przez dłuższą chwilę pompowali plastik, oblepiając nim najbliższe sąsiedztwo otworu. Z poruszonych, przetaczających się górą chmur padał gęsty deszcz. Nieco dalej, przy oknie, stała druga grupa ludzi. Pochylali się ku sobie i pokazywali na niebo.

Lindsay podążył wzrokiem za ich spojrzeniami. Chmury nad otworem ułożyły się w nabrzmiąły pierścień. Przez pozostałą w jego centrum lukę dostrzegł po przeciwnej stronie Zaibatsu kopułę Ósmej Armii Orbitalnej, otoczoną spoczywającymi na ziemi małymi nieruchomymi figurkami.

Zogniskował teleobiektyw na odległym obrazie. Fanatycy z Ósmej Armii leżeli z rozrzuconymi ramionami. Część z nich usiłowała schronić się we wnętrzu kopuły – ci skupili się wokół śluzy i tam padli bezwładnie.

Po piratach zniknął wszelki ślad. Przez moment Lindsay zastanawiał się, czy to możliwe, żeby wszyscy wrócili na lądowisko, ale wtedy zauważył jednego z nich, roztrzaskanego na sąsiednim panelu słonecznym.

– Znakomity materiał – 52 Riumin. – Chociaż zachował się pan głupio.

– Miałem u pana dług – odparł Lindsay i znów spojrzał na zabitych. – Idę tam – oznajmił.

– Lepiej nie, wyślę robota. Lada chwila na miejsce dotrą szabrownicy.

– W takim razie chcę się z nimi spotkać. Mogą się jeszcze okazać użyteczni.

Przeszedł przez następny wspornik i znalazł się na panelu uprawnym. Płuca paliły go żywym ogniem, ale postanowił nie zakładać maski – jego reputacja liczyła się teraz bardziej niż ewentualne ryzyko.

Wyminął twierdzę Czarnych Medyków i przeszedł po drugim oknie, kierując się na północ, wprost ku zbudowanej z odpadów kopule Ósmej Armii. Była jedynym osiedlem ludzkim na trzecim panelu, którym zawładnęła pewna szczególnie zjadliwa forma zarazy. Niegdyś znajdowały się tu pola uprawne, toteż na specjalnie użyźnionej glebie wyrosły gdzieś placki sięgającej kostek pleśni. Skonstruowane z pastelowej ceramiki i plastiku zabudowania gospodarcze obrabowano, ale ich nie zniszczono. Sztwne syntetyczne ściany i ziejące pustką okna zdawały się tęsknić za nieosiągalnym

dla nich stanem wiecznej zgnilizny.

Samą kopułę zbudowano z plastikowych paneli drzwiowych, przyciętych do odpowiednich rozmiarów i posklejanych uszczelniaczem. Leżący wokół niej zabici mieli nienaturalnie rozrzucone ręce i nogi – zginęli, zanim upadli na ziemię, toteż w chwili upadku byli bezwładni. Całej tej scenie w zadziwiający sposób brakowało naturalnej grozy. Osłonięte maskami twarze i otulające ciała hermetyczne skafandry potęgowały wrażenie, że mordu dokonano z bezkrwawą precyzją i skutecznością. Gdyby nie wojskowe naszywki na ramionach, trudno byłoby rozpoznać, że to ludzie Lindsay naliczył osiemnaście ciał. Okulary masek zaparowały od wewnątrz.

Z góry doleciało go ciche buczenie silników. Dwa lekkoloty zatoczyły koło nad kopułą i z poślizgiem usiadły nieopodal: przybyło dwoje powietrznych piratów. Lindsay zogniskował na nich kamerę, kiedy wysiadali i zabierali z samolotów karty kredytowe. Maszyny odkołowały na bok, a piraci ruszyli w jego stronę, pociągając lekko ugiętymi nogami – nie byli przyzwyczajeni do grawitacji. Ich czerwone mundury zdobił rysunek naturalnej wielkości srebrnych szkieletów.

Wyższy z przybyszów trącił najbliższe zwłoki nogą.

– Widzieliście, jak to się stało, obywatelu? – zapytał po angielsku.

– Samoloty ich zabiły – wyjaśnił Lindsay. – Zagrażali środowisku.

– Ósma Armia Orbitalna... – Pirat spojrzał na naszywki i zamyślił się.

– Faszyści – mruknęła jego towarzyszka spod maski. – Antynacjonalistyczne szumowiny.

– Znaliście ich?

– Mieliśmy już z nimi do czynienia – rzekł mężczyzna. – Chociaż nie spodziewaliśmy się, że ich tu spotkamy. – Westchnął ciężko. – Myślicie obywatelu, że w środku jest ich więcej?

– Wszyscy martwi. Samoloty strzelają z laserów rentgenowskich.

– Naprawdę? – zdziwił się pirat. – Chciałbym dostać taką zabawkę w swoje ręce.

Lindsay uczynił szybki gest lewą dłonią, dając mężczyźnie znak, że są obserwowani. Pirat zadarł głowę. Na twarzowej części kombinezonu wymalowane miał czaszki. Wrócił spojrzeniem do Lindsaya; jego oczy były ukryte za lśniącymi srebrzyście goglami.

– Gdzie wasza maska? – zapytał.

– Tutaj. – Lindsay dotknął własnej twarzy.

– Negocjator, co? Szukacie pracy? Nasz poprzedni dyplomata zaliczył właśnie twarde lądowanie. Jak sobie radzicie w nieważkości?

– Niech pan uważa, panie prezydencie – odezwała się towarzysząca mu kobieta. – Proszę pamiętać o przesłuchaniach.

– Implikacje prawne proszę zostawić mnie – przerwał jej niecierpliwie mężczyzna. – Pozwolicie, że się przedstawię. Jestem prezydentem Górniczej Demokracji Fortuny, a to moja żona, przewodnicząca parlamentu.

– Lin Dze, Kabuki Intrasolar – powiedział Lindsay. – Jestem impresariem teatralnym.

– To jakiś rodzaj dyplomaty?

– Czasem tak, Wasza Ekscelencjo.

Prezydent pokiwał głową.

– Niech mu pan nie ufa, panie prezydencie – ostrzegła przewodnicząca parlamentu.

– Polityka zagraniczna leży w gestii władzy wykonawczej, więc zamknij się wreszcie! – warknął prezydent. – Posłuchajcie no, obywatelu. To był ciężki dzień. Powinniśmy siedzieć teraz w Banku, wykapać się, może czegoś się napić, ale nie! Faszyści musieli do nas strzelić z tego ustrojstwa, wyprowadzić atak z wyprzedzeniem. Nasz statek spłonął i straciliśmy ten cholerny kamień.

– To przykre – przyznał Lindsay.

Prezydent podrapał się w kark.

– W tym biznesie nie sposób coś sobie zaplanować. Człowiek się uczy chwytac życie w locie. – Zawahał się. – Mniejsza z tym, trzeba doprowadzić sprawę do końca. Może w środku znajdziemy coś ciekawego.

Wyjawszy z pochwy przy pasie ręczną piłę mechaniczną, przewodnicząca parlamentu rozcięła powłokę kopuły. Uszczelka łącząca plastikowe panele ustąpiła bez oporu.

– Jeżeli chcesz przeżyć, musisz zaskoczyć przeciwnika – wyjaśnił prezydent. – Nigdy, ale to przynigdy nie wolno wchodzić przez służę. Nie wiadomo, co może w niej być.

Powiedział jeszcze coś, ale tym razem słowa skierowane były do komunikatora na nadgarstku; użył szyfru operacyjnego i Lindsay nie zrozumiał ani słowa.

Piraci we dwójkę wkopali do środka nadwerężony fragment ściany i weszli do kopuły. Lindsay z kamerą w ręku podążył za nimi. Wstawili wycięty panel na miejsce, po czym kobieta spryskała jego krawędzie masą uszczelniającą z noszonej przy pasie puszki.

Prezydent zdjął maskę i wciągnął do płuc powietrze. Miał płaską, piegowatą twarz z szerokim, zadartym nosem i rzadkie, krótkie, rudawobrazowe włosy. Skóra czaszki dziwnie mu połyskiwała.

Znaleźli się we wspólnej kuchni Ósmej Armii Orbitalnej: mieli przed sobą niskie stoły, poduszki do siedzenia, kuchenkę mikrofalową, skrzynkę opakowanej w folię proteiny i kilka wysokich, bulgoczących donośnie baniaków fermentacyjnych. Przy drzwiach leżały zwłoki kobiety o jakby spalonej słońcem twarzy.

– Dobrze – rzekł prezydent. – Mamy co jeść.

Przewodnicząca parlamentu również zdjęła maskę, odsłaniając kościstą twarz o podejrzliwych, podobnych do szparek oczach. Paskudnie wyglądająca wysypka pokrywała jej żuchwę i sięgała szyi.

Ostrożnie weszli do następnego pomieszczenia, będącego połączeniem zbiorowej sypialni i centrum dowodzenia. Pośrodku znajdował się zespół gwałtownie migających monitorów. Jeden przekazywał obraz z jakiegoś teleobiektywu – widać na nim było dziewięciu piratów w czerwonych skafandrach, schodzących po północnej ścianie Zaibatsu i wyszukujących drogę wśród ruin.

– Idzie reszta – powiedziała kobieta.

– Całkiem nieźle. – Prezydent rozejrzał się dookoła. – Zostajemy tutaj. Będziemy przynajmniej mieli świeże powietrze.

Coś zaszeleściło pod jednym z łóżek. Przewodnicząca parlamentu rzuciła się pod nie głową naprzód, a Lindsay śledził jej ruchy kamerą. Rozległ się pisk, potem odgłosy krótkiej szarpaniny i kobieta wynurzyła się, ciągnąc za sobą dziecko, unieruchomione skomplikowanym, jednoręcznym chwytem. Postawiła je na nogi.

Stało przed nimi ciemnowłose, brudne stworzonko o ponurym" spojrzeniu i nieokreślonej płci, odziane w szyty na miarę mundur Ósmej Armii Orbitalnej. Miało jakieś pięć lat i brakowało mu części zębów.

– A więc nie wszyscy zginęli! – stwierdził prezydent. Przykucnął obok dzieciaka i spojrzał mu w twarz. – Gdzie reszta? – Nie wiadomo skąd w jego ręce pojawił się nóż. – Gadaj, obywatelu! Bo inaczej zaraz będziesz oglądał własne flaki!

– Niech pan da spokój! – wtrącił się Lindsay. – Tak się z dziećmi nie rozmawia.

– Kogo próbujecie przechytrzyć, obywatelu? Ten mały może równie dobrze mieć z osiemdziesiąt lat. Są przecież kuracje hormonalne...

Lindsay uklęknął przy dziecku.

– Ile masz lat? – zapytał łagodnie. – Cztery? Pięć? Po jakiemu umiesz mówić?

– Niech pan przestanie – powiedziała przewodnicząca parlamentu. – Tu jest tylko jedno małe



łóżko. Samoloty musiały je przeoczyć.

– Albo oszczędzić – zauważył Lindsay.

– Jasne, obywatelu. – Prezydent zaśmiał się sceptycznie. – Moglibyśmy sprzedać to coś kurwom z banku. Powinno wystarczyć, żeby poświęciły nam parę godzin.

– To niewolnictwo – rzekł Lindsay.

– Niewolnictwo? O czym ty mówisz? Nieprawie mi kazań, obywatelu. Niepodległe państwo przekazuje jeńca wojennego stronie niezaangażowanej w konflikt – to legalna transakcja handlowa.

– Nie chcę iść do dziwek – zapiszczało zniecka dziecko. – Chcę spotkać farmerów.

– Farmerów? – powtórzył prezydent. – Nie, nie chcesz być farmerem, mikroobywatelu. Umiesz się obchodzić z bronią? Przydałby nam się mały zabójca, który przeciśnie się szybem wentylacyjnym..

– Nie radziłbym lekceważyć farmerów – przerwał mu Lindsay i wyciągnął rękę ku jednemu z ekranów. Ze dwudziestu mężczyzn zeszło właśnie po krzywiźnie Zaibatsu i ładowało martwych osmoarmistów na czworo płaskich sań zaopatrzonych w uprzęże dla ludzi.

– Szlag! – zaklął prezydent. – Sam chciałem ich zgarnąć. – Uśmiechnął się złowieszczo. – Ale chyba nie mogą mieć do nich pretensji. W każdym ciele jest sporo porządnego białka.

– Ja chcę do farmerów – upierało się dziecko.

– Puśćmy je – powiedział Lindsay. – Robię interesy z Geisha Bankiem. Załatwię wam wizytę.

Przewodnicząca parlamentu puściła rękę dziecka.

– Naprawdę?

Lindsay skinął głową.

– Potrzebuję tylko paru dni na negocjacje.

Kobieta spojrzała na męża. Ich oczy się spotkały.

– Facet jest w porządku. Zrobimy go sekretarzem stanu.

\* \* \*

### *Okółksiężycowe Zaibatsu Ludowe Mare Tranauillitatis, 2. 01.'16*

Siedziba Geisha Banku znajdowała się w kompleksie starszych budynków, które łączył labirynt wyłożonych polerowanym drzewem korytarzy i papierowych, przesuwanych śluz. Teren ten był zamknięty dla obcych dużo wcześniej, niż Zaibatsu podupadło. Bank szczylił się swoim dziedzictwem i z dumą kultywował ekscentryczne, dystygowane tradycje lepszych czasów.

Lindsay przyprował jedenastu obywateli Górniczej Demokracji Fortuny do antyseptycznej sauny, gdzie zajęli się nimi niewzruszeni łaźiebni. Dla przybyszów była to pierwsza prawdziwa kąpiel od miesięcy. Ich chude ciała przeżyły się węzłami mięśni, wytrenowanych dzięki ciągłemu uprawianiu ju-jutsu w nieważkości. Spoconą skórę pokrywały przerażające tatuaże i wysypki uczuleniowe.

Nie został z nimi, lecz przeszedł do wykładanej drewnem szatni i zdobyty u Czarnych Medyków strój oddał do prania. Włożył miękkie brązowe kimono. Podeszła do niego męska gejsza niższej rangi, w kimonie przewiązanym obi.

– Czego pan sobie życzy?

– Chciałbym rozmawiać z *yarite*.

Mężczyzna w kimonie spojrzał na niego z wyuczonym sceptycyzmem.

– Jedną chwileczkę. Zapytam, czy szefowa przyjmuje gości.

Zniknął. Pół godziny później zjawiała się blondynka w oficjalnym żakiecie z obi.

– Pan Dze? Proszę za mną – powiedziała.

Weszli do windy. Pilnowało jej dwóch strażników uzbrojonych w pałki z mnóstwem wystających elektrod. Byli prawdziwymi olbrzymami – Lindsay ledwie sięgał im do łokci. Pociągłe, kamienne twarze o nabrzmiałych szczękach i sterczących kościach policzkowych sugerowały akromegalię. Obojhojnie potraktowano hormonem wzrostu.

Winda podjechała trzy piętra, stanęła i drzwi się otworzyły.

Lindsay ujrzał gęstą sieć ozdobioną masą różnokolorowych paciorków. Tysiące delikatnych żyłek z nanizanymi koralikami zwieszały się z sufitu, sięgając aż do podłogi. Najmniejszy nieostrożny ruch z pewnością pobudziłby je do drgań.

– Proszę wziąć mnie za rękę – powiedziała kobieta. Lindsay szedł za nią, powłócząc nogami. Co chwilę potracał koraliki. – Niech pan uważa. Tu są pułapki.

Zamknął oczy i pozwolił się prowadzić. Przewodniczka nagle się zatrzymała. W lustrzanej ścianie otworzyły się ukryte drzwi. Lindsay przeszedł przez nie i znalazł się w prywatnych apartamentach *yarite*.

Na podłodze ze starego, ciemnego drewna, nawoskowanego i wypolerowanego do połysku, leżały płaskie, kwadratowe poduszki z nadrukowanym wzorem z bambusów. Dwuskrzydłowe szklane drzwi, wstawione w długą ścianę z lewej strony, prowadziły na zalany słońcem drewniany taras, za którym znajdował się wspaniały ogród; gałęzie powykrzywianych sosen i ozdobnych pigw spletały się ponad wygrabionymi ścieżkami wysypanymi białym żwirem. Powietrze w pokoju miało żywiczny aromat. Lindsay zdał sobie sprawę, że patrzy na Zaibatsu takie, jakie było, zanim uległo zgniliznie. Miał przed sobą obraz przeszłości, wyświetlany na fałszywych drzwiach, które w ogóle się nie otwierały.

*Yarite* siedziała po turecku na poduszce. Okazała się zasuszoną, wiekową mechanistką o ściągniętych ustach i podobnych do gadzich ślepi oczach z obwisłymi powiekami. Jej pomarszczoną głowę zdobiła przypominająca kask, lakierowana peruka, umocowana szpilkami do resztek włosów. Kobieta miała na sobie sztywne, malowane w kwiaty kimono, zbyt obszerne jak na nią.

Druga kobieta klęczała tuż obok, plecami do prawej ściany, zapatrzona w wizerunek ogrodu. Lindsay od razu poznał, że jest kształcerką. Jej oszałamiająca uroda sama w sobie byłaby wystarczającym dowodem, ale oprócz tego kobieta roztaczała wokół siebie tę nieuchwytną, charyzmatyczną aurę, która niczym pole magnetyczne otaczała wszystkich przekształconych. W jej osobie zmieszały się geny afrykańskie i azjatyckie: miała lekko skośne oczy, a przy tym ciemną skórę. Jej długie włosy układały się w delikatne loki. Z pokorną czcią klęczała przed stojakiem, na którym rozmieszczono muzyczne klawiatury.

– Zajmij się swoimi obowiązkami, Kitsune – przemówiła *yarite* nie odwracając głowy.

Dłonie dziewczyny pomknęły ku klawiaturze i rozległy się dźwięki najstarszego z japońskich instrumentów – synteзаторa.

Lindsay uklęknął na poduszce przed starszą kobietą. Podtoczyła się do niego taca z herbatą i z dyskretnym dźwięczeniem jedna z czarek napełniła się wrzątkiem. Obrotowa miotełka do parzenia herbaty zanurzyła się w wodzie.

– Twoi przyjaciele piraci doprowadzą cię do bankructwa – zauważyła kobieta.

– To tylko pieniądze.

– To nasz pot i nasz seks. Czy sądzisz, że lubimy być rozrzutni?

– Musiałem jakoś zwrócić waszą uwagę – powiedział Lindsay, od razu dając się ponieść nabytym podczas szkolenia nawykom. Jednakże młoda dziewczyna wciąż budziła jego lęk. Nie spodziewał się spotkania z kształcerką. W dodatku coś mu się bardzo nie podobało w kinezyce starszej z kobiet –

niepokojący efekt spowodowały albo narkotyki, albo mechanistyczne manipulacje w układzie nerwowym.

– Przeszedłeś do nas w mundurze Czarnych Medyków – rzekła kobieta. – Tak więc zwróciłeś na siebie uwagę. Mów; słuchamy.

Z pomocą Riumina Lindsay znacznie rozbudował swoje plany. Geisha Bank dysponował wystarczającą władzą, by je pokrzyżować, toteż należało go wciągnąć w realizację przedsięwzięcia. Wiedział, czego chcą i był gotów zmienić się dla nich w lustro. Niech rozpoznają w nim swoje ambicje i pragnienia – wtedy wygra.

Rozpoczął przemowę. W pewnej chwili przerwał, by zwrócić uwagę *yarite*:

– Widzicie więc, co Czarni Medycy mogą zyskać na tej inscenizacji. Żyją w odosobnieniu, są oddzieleni od reszty świata, czują się wyizolowani i popadają w paranoję. Sponsorując moją sztukę mają nadzieję zyskać znaczny prestiż. Ja natomiast muszę skompletować obsadę i Geisha Bank jest dla mnie naturalnym źródłem talentów. Mogę odnieść sukces bez udziału Nephryne; nie ma jednak mowy, żeby udało mi się bez was.

– Rozumiem – przytaknęła kobieta. – Wyjaśnij mi teraz, jakie mielibyśmy odnieść korzyści z realizacji twoich ambicji.

Lindsay zrobił minę, jakby uraziła go tym pytaniem.

– Przybyłem tu, by zorganizować wydarzenie kulturalne. Czy to nie wystarczy?

Przeniósł wzrok na dziewczynę, której dłonie migały nad klawiaturami. Wtem spojrziała na niego – i uśmiechnęła się nieśmiało, dyskretnie. Między idealnie równymi zębami mignął koniuszek jej języka. Był to uśmiech godny drapieżnika, zdradzający żądzę i skłonność do figli, i w jednej chwili krew zapłonęła Lindsayowi w żyłach, włoski na karku stanęły mu dęba.

Wbił wzrok w podłogę, czując w całym ciele ukłucia drobnych igiełek.

– No dobrze – powiedział z wysiłkiem. – To nie wystarczy. Powiniennem być się tego spodziewać... Proszę posłuchać. Od lat Medycy są waszymi głównymi rywalami. Tym razem macie szansę wywabić ich z ukrycia i zaskoczyć na waszym terenie. W sprawach finansowych są naiwni i chciwi. Nie podoba im się, że muszą działać w sterowanym przez was systemie ekonomicznym, toteż jeżeli uwierzą, że mają szansę, z radością spróbują utworzyć własny obieg finansowy. Pozwólmy im zaangażować się w taki projekt. Niech chełpią się sukcesami do czasu, aż zatracą poczucie wszelkich proporcji i dadzą się omamić pieniądзом. A wtedy ich kopuła będzie należała do nas.

– To absurdalne – rzekła *yarite*. – Dlaczego niby aktor miałby dyktować bankierom, co powinni zrobić?

– To nie jest kartel mechów – stwierdził z naciskiem Lindsay. Wiedział, że dziewczyna nie spuszcza z niego wzroku; czuł to. – Mamy tam trzystu techników, znudzonych, wystraszonych, całkowicie odciętych od świata. Idealny materiał do wzbudzenia masowej hysterii. Gorączka hazardu rozpleni się wśród nich jak zaraza... Proszę o wsparcie. Będę waszym liderem, agentem i pośrednikiem. Nigdy się nie dowiedzą, że to wam zawdzięczają swój upadek, ba, wręcz przyjdą do was po pomoc.

Pociągnął łyk herbaty. Miała smak syntetyków.

Stara kobieta nie od razu odpowiedziała, jakby rozważała jego propozycję. Wyraz jej twarzy zupełnie nie pasował do zachowania; próżno by w niej szukać choćby śladu mimowolnego drżenia powiek czy kącików ust, przetykania śliny, jakie zwykle towarzyszą procesowi myślowemu u ludzi. Jej oblicze nie było po prostu spokojne, lecz martwe.

– Twój plan może się powieść – przyznała wreszcie – ale bank musi kontrolować sytuację. Dyskretnie, lecz w pełni. Jak chcesz nam to zagwarantować?

– Wszystkie sznurki znajdują się w waszych rękach. Jako przykrywkę użyjemy mojej firmy, Kabuki Intrasar. Wykorzystacie wasze wpływy poza Zaibatsu, żeby wyemitować fikcyjne akcje, ja zaś wystawię je tu na sprzedaż. Geisha Bank zawaha się z podjęciem decyzji, a wtedy Czarni Medycy wyprowadzą decydujący cios: przejmą kontrolę nad Kabuki. Podstawieni przez was fikcyjni akcjonariusze zareagują wybuchem paniki, zaczną słać prośby do nowych właścicieli i składać im oferty na wyrost. To im pochlebi i uciszy wszelkie wątpliwości.

Jednocześnie będziemy otwarcie współpracować. Dostarczycie mi aktorów; więcej, będziecie zażarcie walczyć o ten przywilej. Wasze gejsze nie będą rozmawiać z klientami o niczym innym; zaczniecie rozsiewać plotki na mój temat – same superlatywy o moim uroku osobistym, inteligencji, powiązaniach. Będziecie finansować moje ekstrawagancje, dzięki czemu wytworzy się swobodna atmosfera nieskrępowanego hedonizmu. Cały świat da się na to nabrać.

Stara kobieta siedziała przed Lindsayem bez ruchu. Jej oczy lśniły matowo.

Niskie, czyste dźwięki syntezatora umilkły bez uprzedzenia. Zapadła pełna napięcia cisza.

– To się musi udać, prawda? – zapytała cicho dziewczyna zza klawiatury.

Lindsay spojrział na nią. Pokora zniknęła z jej twarzy niczym zbędna już warstwa makijażu, ale najbardziej poruszyły go jej oczy: przepęłniała je szczerą, zwierzęcą żądzą. Wiedział, że dziewczyna nie udaje; jej spojrzenie było absolutnie prawdziwe – i nieludzkie.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, podniósł się na jedno kolano, nie odrywając od niej wzroku.

– Tak – wykrztusił chrapliwie. – Przysięgam, że się uda.

Poczuł pod rękoma chłód desek podłogi i zauważył, że nieświadomie, nie wstając z klęczek, zaczął przesuwać się w kierunku dziewczyny.

Posłała mu zdumione, pożądliwe spojrzenie.

– Powiedz mi, kim jesteś, kochanie. Kim naprawdę jesteś.

– Jestem tym, kim i ty jesteś – odparł Lindsay. – Dziełem kształcerzy. – Ręce zaczęły mu się trząść.

– Chcę ci opowiedzieć, co mi zrobili – rzekła dziewczyna. – Wyjaśnić, jaka jestem.

Lindsay skinął krótko głową. W ustach zaschło mu z podniecenia.

– Dobrze, Kitsune. Mów.

– Oddali mnie w ręce chirurgów – zaczęła dziewczyna. – Wycięli moje łono i wstawili w nie tkankę mózgową. Przeszczep z ośrodków przyjemności, najdroższy, połączony z kręgosłupem, ustami i odbytem. To lepsze niż być Bogiem. Pocę się perfumami; jestem czystsza od wysterylizowanej igły; wszystko, co opuszcza moje ciało, można pić jak wino i jeść jak cukierki. Zostawili mi też całą inteligencję, żebym wiedziała, co znaczy poddaństwo. Wiesz, co to jest, kochanie?

– Nie. – Lindsay oddychał głośno. – Wiem za to, jak to jest nie przejmować się śmiercią.

– Jesteśmy inni niż reszta – powiedziała. – Pomagają nam przekroczyć granice, a potem możemy z nimi zrobić, co chcemy, prawda?

Jej śmiech przyprawił go o gwałtowne dreszcze. Z gracją baletnicy przeskoczyła nad stojakiem z instrumentami.

Bosą stopą kopnęła starą kobietę w ramię i *yarite* z chrzęstem przewróciła się na plecy. Rozległ się trzask odlepianej taśmy, peruka się zsunęła i na mgnienie oka Lindsayowi mignęła czaszka upstrzona elektrodami.

– Klawiatura! – wykrzyknął zdumiony.

– Jest moją marionetką – wyjaśniła Kitsune. – Całe moje życie tak wygląda: maski, maski, maski... Tylko rozkosz jest prawdziwa, przyjemność płynąca z władzy.

Lindsay przejechał językiem po spierzchniętych wargach.

– Daj mi to, co prawdziwe – rzekła.

Rozwiązała obi. Jej kimono zdobił wzór z fiołków i irysów; jej skóra była jak sen umierającego człowieka o skórze idealnej.

– Chodź – powiedziała. – Przytknij usta do moich ust.

Lindsay podczołgał się bliżej i objął ją. Wsunęła język głęboko między jego wargi. Poczł smak korzennych przypraw.

Smak narkotyku; gruczoły w jej ustach wydzielały narkotyki.

Położyli się na podłodze, na wprost przed leżącą z przymkniętymi powiekami starą kobietą.

Kitsune wsunęła ręce pod luźne kimono Lindsaya.

– Kształcerzu – powiedziała – pragnę twoich genów. Wszędzie.

Pieściła go ciepłą dłonią. Zrobił to, o co prosiła.

\* \* \*

### *Okołoksiężycowe Zaibatsu Ludowe Mare Tranquillitatis, 16. 01.'16*

Lindsay leżał na wznak na podłodze w namiocie Riumina i przyciskał dłonie do skroni. Lewą rękę zdobiły mu dwie złote obręcze z błyszczącymi rubinami. Miał na sobie połyskliwe czarne kimono z delikatnie plecionym deseniem z irysów i hakamę, spodnie o nowoczesnym kroju.

Na prawym rękawie kimona widniał znak fikcyjnej firmy Kabuki Intrasolar – stylizowana biała maska, ozdobiona na oczach i policzkach zamaszystymi smugami czerni i czerwieni. Kiedy Lindsay podniósł ręce do skroni, rękawy kimona zsunęły się niżej i na lewym przedramieniu odsłonił się siniak po zastrzyku. Był na wazopresynie.

– W porządku – powiedział do mikrofonu. – Scena trzecia: Amijima. Jihei mówi: „Nieważnie, jak daleko odejdziemy. Nigdzie nie znajdziemy dobrego miejsca na samobójstwo. Zabijmy się tutaj”.

Koharu odpowiada: „To prawda. Każde miejsce jest dobre do umierania, ale trochę o tym myślałam. Jeżeli znajdą nasze ciała obok siebie, zaczną mówić, że Koharu i Jihei popełnili samobójstwo razem, jak kochankowie. Wyobrażam sobie, jak twoja żona będzie mnie nienawidzić i zazdrościć mi. Powinieneś zatem zabić mnie tutaj, a potem znaleźć sobie inne miejsce, daleko stąd”.

Jihei mówi...

Lindsay umilkł. W czasie kiedy on dyktował słowa dramatu, Riumin znalazł sobie niezwykle zajęcie; wysypywał drobinki czegoś, co przypominało brunatną fakturę, na wąski pasek białego papieru. Następnie ostrożnie zwinął papier w rulonik i pośliniwszy brzegi zalepił.

Wetknął koniuszek rurki w usta, podniósł w górę jakiś mały metalowy przedmiot i pstryknął przełącznikiem.

Lindsay spojrzał na niego i krzyknął:

– Ogień! Boże, pali się, pali się!

Riumin wydmuchnął kłęb dymu.

– Co się z panem dzieje, do cholery? Przecież taki płomyczek nie może być groźny.

– Ale to jest ogień! Przez całe życie nie widziałem otwartego ognia! – Lindsay ściszył głos. – Na pewno się pan nie zapali? – Niespokojnie obserwował Riumina. – Z pana płuc leci dym.

– Nie, nie, spokojnie. To tylko taka nowinka, drobny nowy nałóg. – Stary mechanista wzruszył ramionami. – Może trochę niebezpieczny, ale nie bardziej niż inne.

– Co to jest?

– Kawałki tektury nasączone nikotyną, z dodatkiem jakiegoś aromatu. Całkiem niezłe. – Zaciągnął

się papierosem. Lindsay patrzył z lękiem na żarzący się koniuszek. – Nie ma się czego bać – uspokoił go Riumin. – Tu nie jest tak jak w innych koloniach. Ogień nie stanowi dla nas zagrożenia, bo błoto i tak się nie zapali.

Lindsay z jękiem osunął się z powrotem na podłogę. Mózg pławił mu się w powodzi mnemoników, głowa pękała z bólu; w dodatku odczuwał bliżej nieokreślone swędzenie pod czaszką, jak w pierwszym ułamku sekundy doznawania wrażenia deja vu. Jakby chciał kichnąć i nie mógł.

– Przez pana się zgubiłem – powiedział zirytowany. – Ile to dla mnie znaczyło! W tych sztukach znajdowało się wszystko, co warte zapamiętania w ludzkim życiu... Nasza spuścizna, zanim pojawili się mechanisci i kształcerze. Człowieczeństwo, śmiertelność, życie, z którym się nie igrza.

Riumin strzepnął popiół do czarnej zaślepki od obiektywu.

– Mówi pan, jakby się urodził na orbicie Księżyca, panie Dze. Jak obywatel Związku. Skąd pan pochodzi? Z SRR Crisium? Ze Wspólnoty Kopernikańskiej?

Lindsay wciągnął powietrze przez zęby.

Riumin mówił dalej:

– Proszę mi wybaczyć, jestem stary i wścibski. – Wydmuchnął kolejną chmurę dymu i potarł zaczerwieniony placek na skroni, gdzie przyklejał słuchawki. – Pozwoli pan, że . wyjaśnię pański problem, panie Dze. Do tej pory wyrecytował pan trzy utwory: „Romeo i Julię”, „Tragiczną historię doktora Faustusa” oraz, przed chwilą, „Samobójstwo kochanków w Amijimie”. Szczerze mówiąc, mam do nich pewne zastrzeżenia.

– Czyżby? – zdziwił się Lindsay.

– Owszem. Po pierwsze, są niezrozumiałe, po drugie, niemiłosiernie ponure, a po trzecie, i to jest najgorsze, pochodzą z czasów preindustrialnych. Powiem panu, co o tym myślę. Próbuje pan wykręcić odważny numer, powoduje ogromne zamieszanie, całe Zaibatsu trzęsie się z ciekawości i zniecierpliwienia. Ludziom należy się chyba odrobina rozrywki.

– Rozrywki?

– Właśnie. Ja ich znam. Chcą się bawić, a nie dostać po łbie jakimś zabytkiem piśmiennictwa. Chcą usłyszeć opowieść o zwykłych ludziach, nie jakichś dzikusach.

– Ale to nie będzie kultura ludzkości.

– No i co z tego? – Riumin zaciągnął się papierosem. – Zastanawiałem się nad tym. Wysłuchałem tu trzech „sztuk”, toteż znam już środek wyrazu, ale niewiele z niego wynika. Sądzę, że w dwa, może trzy dni sam napisałbym coś podobnego.

– Naprawdę tak pan myśli?

Riumin pokiwał głową.

– Parę rzeczy trzeba będzie wyrzucić.

– Na przykład?

– Przede wszystkim grawitację. Nie wyobrażam sobie, jak można ładnie tańczyć czy efektownie walczyć przy włączonym ciężeniu.

Lindsay usiadł.

– Chodzi zatem o taniec i walkę, tak?

– Właśnie. Na widowni będą kurwy, farmerzy, piraci i pięćdziesięciu zbiegłych matematyków. Wszyscy z przyjemnością obejrzeliby popisy taneczne czy reżyserowaną bójkę. Darujmy sobie scenę – jest za płaska. Tak samo kurtyna, tylko by przeszkadzała. Podobny efekt uzyskamy operując odpowiednio światłem. Może pan jest przyzwyczajony do starych światów orbitalnych, które symulowały grawitację obrotem wokół własnej osi, ale dziś ludzie kochają nieważkość. Ci biedacy dość się wycierpieli; niech to będą dla nich wakacje.

– Powinniśmy zatem jakoś wzbić się w strefę zerowego ciężenia.

– W rzeczy samej. Zrobimy aerostat, wielką hermetyczną kulę. Wypuścimy ją z lądowiska i zakotwiczmy. I tak musiałby pan zbudować teatr, nie? Czemu w takim razie nie wznieść go w powietrze?

– Oczywiście – przyznał Lindsay i uśmiechnął się, oswajając z nowym pomysłem. – Możemy na nim wymalować logo firmy.

– I obwiesić go reklamami.

– I sprzedawać bilety w środku. Bilety i akcje. – Lindsay wybuchnął głośnym śmiechem. – Wiem już nawet, kto go dla mnie zbuduje.

– Będziemy potrzebować nazwy dla naszego statku – zauważył Riumin. – Nazwiemy go... Balon Kabuki!

– Balon! – krzyknął Lindsay i uderzył otwartą dłonią w podłogę. – Co jeszcze? – Riumin z uśmiechem przygotował następnego skręta. – Niech pan i mnie da spróbować.

\* \* \*

Z UWAGI NA FAKT, iż w całych dziejach państwa jego obywatele zawsze chętnie podejmowali nowe wyzwania, oraz

Z UWAGI NA FAKT, iż nasz sekretarz stanu, Lin Dze, osobiście potrzebuje doświadczonych inżynierów konstrukcji powietrznych, a obywatele naszego państwa mogą mu służyć swym wyjątkowym doświadczeniem w tym względzie, oraz

Z UWAGI NA FAKT, iż sekretarz Dze, reprezentujący niezależne przedsiębiorstwo Kabuki Intrasolar, zgodził się hojnie zapłacić naszemu państwu udziałami Kabuki Intrasolar,

PARLAMENT GÓRNICZEJ DEMOKRACJI FORTUNY za Zgodą senatu postanawia, że państwo zbuduje audytorium o nazwie „Balon Kabuki”, zapewni należyłą promocję akcjom Kabuki oraz rozciągnie polityczną i fizyczną ochronę na wszystkich członków personelu Kabuki oraz wszelki majątek firmy.

\* \* \*

– Znakomicie – stwierdził Lindsay. Podpisał dokument i włożył pieczęć stanową Fortuny z powrotem do teczki. – Naprawdę ulżyło mi, kiedy GDF zobowiązała się nas chronić.

– Cała przyjemność po naszej stronie – powiedział prezydent. – Każdy gość, który będzie potrzebował ochrony, może liczyć na eskortę przez okrągłą dobę. Zwłaszcza wybierając się do Geisha Banku.

– Proszę dokument powielić i rozkolportować po całym Zaibatsu – polecił Lindsay. – Powinno wystarczyć, żeby akcje skoczyły o dziesięć punktów. – Spojrzał na prezydenta z powagą. – Pohamujcie swoją chciwość. Kiedy cena dojdzie do stu pięćdziesięciu, zaczniacie sprzedawać, tylko powoli. I przygotujcie statek, żeby szybko się stąd wyrwać.

Prezydent mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Spokojna głowa. Nie siedzimy tu przecież z założonymi rękoma. Zabiegamy w kartelu mechanistycznym o przydział. Ta umowa o ochronie jest niegłupia, ale ludzie zaczynają się niecierpliwić. Jak tylko „Czerwona Zgoda” wróci do dawnej formy, nadejdzie nasz czas. Będziemy zabijać i jeść.

*Okoloksiężycowe Zaibatsu Ludowe Mare Tranquillitatis, 13. 03.'16*

Wyczerpany Lindsay spał z głową opartą na dyplomatce. Przez fałszywe szklane drzwi do pokoju sączył się blask sztucznego poranka. Kitsune siedziała zamyślona, bawiąc się klawiszami syntezatora.

Jej biegłość dawno już wykroczyła poza granice zwykłej technicznej umiejętności i stała się sztuką wyrosłą z mrocznych pokładów intuicji. Syntezator potrafił naśladować każdy instrument – a nawet go przewyższyć; rozkładał profil dźwiękowy na czyste formy falowe, a potem odtwarzał tony na wyższym poziomie sterylnej abstrakcji. W muzyce brzmiała bolesna, krucha doskonałość.

Inne instrumenty bezskutecznie usiłowały osiągnąć ten stopień perfekcji, ale niepowodzenie tylko przydawało im humanizmu. Świat ludzi składał się ze straconych nadziei i poczucia winy; był niedoskonały, pełen tęsknoty za miłosierdziem, empatią, współczuciem.. To nie był jej świat.

Kitsune żyła w nierealnym, idealnym królestwie najczystszej pornografii, gdzie żądza nie gasła ani na chwilę, niezmordowana i wieczna, przerywana jedynie spazmami o nieludzkiej intensywności. Tłumiła inne aspekty życia, podobnie jak zawodzenie sprzęgającej się aparatury potrafi zagłuszyć orkiestrę.

Kitsune była sztucznym tworem; przyjmowała swój niespokojny świat jak drapieżnik, bez zastanowienia. Wiodła czyste, abstrakcyjne życie, niczym rozpaloną pożądaniem, zdeformowaną parodię żywota świętej.

Zwykła kobieta, poddana podobnym chirurgicznym manipulacjom, zmieniłaby się w erotyczne zwierzę o tępych spojrzeniu, ale Kitsune posiadała nieprzeciętną odporność i inteligencję kształcerki. Przemieniła się w obiekt ostry i śliski zarazem, jak nasmarowany olejem sztylet.

Osiem z dwudziestu przeżytych lat spędziła w Geisha Banku, gdzie miała do czynienia zarówno z klientami, jak i z rywalkami – na zasadach, które dogłębnie rozumiała. Zdawała sobie jednak sprawę z istnienia królestwa doświadczeń psychicznych, które ludzie przyjmowali jako coś oczywistego, a które dla niej miało na zawsze pozostać zamknięte.

Wstyd. Duma. Miłość. Odczuwała te emocje na kształt mętnych cieni, były dla niej jak odpady, które płomień rozkoszy wypalał na popiół. Nie była zdolna do ludzkich uczuć, które wydawały się jej zbyt blade i niegodne uwagi. Zepchnęła je do odległej podświadomości, przesłoniła nieludzkim trybem rozumowania. Jej świadomość stanowiła amalgamat lodowatej, pragmatycznej logiki i konwulsyjnej przyjemności.

Kitsune patrzyła na Lindsaya jak na kalekę, upośledzonego przez prymitywny sposób myślenia. Na swój sposób współczuła mu, choć nie rozpoznałaby tego uczucia i nie potrafiłaby się sama przed sobą do niego przyznać. Podejrzewała, że jest bardzo stary i wywodzi się z jednej z pierwszych generacji kształcerzy, u których manipulacje genetyczne miały ograniczony zakres, przez co trudno było ich odróżnić od zwykłych ludzi. Musiał zatem mieć prawie sto lat, skoro jednak wciąż wyglądał tak młodo, wybrał zapewne rozsądną technikę przedłużenia życia.

Pochodził z czasów, kiedy sztuka kształcerzy nie osiągnęła jeszcze szczytowego punktu rozwoju; w jego ciele wciąż roilo się od bakterii. Kitsune nie mówiła mu ani o antybiotykach, które przyjmowała w pastylkach, czopkach i globulkach, ani o bolesnych prysznicach antyseptycznych. Nie chciała, by wiedział, że ją zanieczyszcza; to, co ich łączyło, powinno pozostać nieskalane.

Traktowała Lindsaya z chłodnym szacunkiem, on zaś stanowił dla niej źródło podniosłej, platonicznej satysfakcji. Podziwiała go, tak jak rzeźnik mógłby zachwycać się ostrą piłą do kości. Wykorzystywała go i czerpała z tego przyjemność. Chciała więc, żeby na długo jej starczył, toteż



opiekowała się nim i spełniała wszystkie jego potrzeby, których zaspokojenia w jej mniemaniu wymagał.

Dla niego związek z Kitsune oznaczał katastrofę.

Lindsay otworzył oczy i natychmiast sięgnął ręką za głowę w poszukiwaniu dyplomarki. Kiedy jego palce zacisnęły się na gładkiej plastikowej rączce, obwód ostrzegawczy się wyłączył, a jednocześnie uruchomił inne systemy. Lindsay otrząsnął się z resztek snu i przeszedł w stan niespokojnej czujności.

Stwierdził, że znajduje się w pokoju Kitsune. Od dawna martwy ogród tonął w fałszywym porannym świetle, które wpadało do wnętrza, odbijało się w pokrywach ozdobnych skrzyń na ubrania i padało na perspektową kopułkę skrywającą skamieniałe bonsai. Lindsay w głębi duszy krzyczał z rozpaczy, ale nie miał ochoty tolerować własnych słabości. Zmieniona dieta, złożona z nowych środków chemicznych, wyzwalała w pełni jego umiejętności kształcerskie. Napięcie, przywodzące na myśl sprężynowe sidła, połączone z bezmierną cierpliwością pozwalało mu utrzymywać w pełnej gotowości wyostrzone zmysły.

Usiadł.

– Dzień dobry – powiedział do Kitsune.

– Jak się masz, kochanie. Dobrze spałeś?

Lindsay się zastanowił. Język mu zdrętwiał od jakiegoś środka odkażającego, który mu podała; plecy miał obolałe w miejscach, gdzie bezlitośnie wbijały się jej silne, kształcerskie palce; w gardle czuł złowieszcze drapanie – efekt zbyt długiego oddychania na zewnątrz bez maski.

– Czuję się dobrze – odpowiedział z uśmiechem i otworzył skomplikowany zamek teczki. Włożył pierścionki i spodnie.

– Zjesz coś? – zapytała Kitsune.

– Najpierw zastrzyk.

– W takim razie pomóż mi włączyć moją figurantkę.

Lindsay nienawidził zaszuszonego, woskowatego, cyborganicznego ciała *yarite* i Kitsune dobrze o tym wiedziała, ale zmuszała go, by jej pomagał, bo akt ten był miarą sprawowanej przez nią władzy.

Chciał jej pomóc, chciał odplącić – w rozumiały dla niej sposób – za rozkosz, jaką mu dawała. Nie umiał jednak pohamować odrazy. Kiedy kształcerskie szkolenie zawodziło, a działało się tak zawsze pomiędzy jednym zastrzykiem a drugim, budziły się tłumione emocje i Lindsay nagle zdawał sobie sprawę, jak przeraźliwie smutny jest ich romans. Odczuwał litość wobec Kitsune, przepełnione smutkiem współczucie, do którego nigdy by się nie przyznał, żeby jej nie urazić. Chciał jej ofiarować zwyczajne zaufanie, zwyczajny szacunek.

Zwyczajną obojętność.

Kitsune wyciągnęła *yarite* z oplecionej siecią czujników kołyski pod podłogą. Cyborganiczne ciało przekroczyło już granicę śmierci klinicznej – czasem wymagała solidnego klapsa, żeby zacząć funkcjonować. Lindsayowi przywodziło to na myśl zapalenie korbą niesprawnego silnika.

Technologia odpowiedzialna za utrzymywanie zgrzybiałej kobiety w tym stanie nie różniła się specjalnie od stosowanej w cyborgach Starych Radykałów i mechanistycznych karteli. W krwiobiegu *yarite* znajdowała się cała masa filtrów i biomonitorów; pracą gruczołów i narządów wewnętrznych sterował komputer; w serce i wątrobę wszczepiono implanty odpowiedzialne za pobudzanie tych organów prądem i hormonami. Autonomiczny układ nerwowy dawno już posypał się i przestał spełniać swoje funkcje.

Kitsune spojrzała na odczyty przyrządów i pokręciła głową.

– Stężenie kwasu rośnie równie szybko jak kurs naszych akcji, najdroższy. Wtyczki niszczą jej

mózg. Bardzo stary, połatany, odrutowany mózg.

Posadziła staruchę na podłodze i wepchnęła jej do ust łyżeczkę witaminizowanej papki.

– Powinnaś sama sięgnąć po władzę – rzekł Lindsay, mocując ociekającą końcówkę kroplówki w zaworze na żyłastym przedramieniu *yarite*.

– Chciałabym, ale nie mogę się jej pozbyć. Trudno byłoby wyjaśnić te elektrody w głowie. Można by je ukryć pod przeszczepioną skórą, ale przy sekcji wszystko wyszłoby na jaw... Pracownicy spodziewają się, że ona będzie żyła wiecznie. Sporo na nią wydali i byłiby ciekawi, jak umarła.

*Yarite* poruszyła konwulsyjnie językiem. Papka wyciekła jej z ust. Kitsune syknęła ze złości.

– Uderz ją w twarz – poleciła.

Lindsay przygładził zmierzwione włosy.

– Jeszcze za wcześnie – zaoponował na wpół błagalnym tonem.

Kitsune nic nie powiedziała, lecz wyprostowała plecy i ramiona. Jej twarz zmieniła się w nieruchomą maskę. Lindsay od razu poczuł się pokonany. Wziął zamach i uderzył *yarite* na odlew. Na woskowym policzku wykwitła plama koloru.

– Pokaż mi jej oczy – zażądała Kitsune. Lindsay złapał ściągnięte policzki starej kobiety i wykręcił jej głowę tak, żeby spojrzała na dziewczynę. Z obrzydzeniem zarejestrował cień świadomości na obliczu *yarite*.

Kitsune odsunęła jego rękę i lekko pocałowała wewnątrz jego dłoni.

– Oto mój ukochany – powiedziała i wsunęła łyżkę pomiędzy obwisłe wargi staruchy.

\* \* \*

### *Okołoksiężycowe Zaibatsu Ludowe Mare Tranguillitatis; 21. 04.'16*

Piraci z Fortuny unosili się jak czerwono-srebrne papierowe wycinanki na tle wewnętrznych ścian Balonu Kabuki. Ich krzątanie towarzyszył wściekły trzask spawarek, jazgot szlifierek obrotowych i świst filtrów powietrza.

Luźne kimono i spodnie Lindsaya powiewały swobodnie w nieważkości, gdy wspólnie z Riuminem przeglądali scenariusz.

– Robił pan próby? – zapytał Lindsay.

– Pewnie. Tekst im się podoba, jest świetny. Niech się pan nie martwi.

Lindsay przecesał palcami puszyste włosy.

– Nie bardzo wiem, jak to rozumieć.

Pomalowany w maskujące barwy samolot szpiegowski wcisnął się do wnętrza kopuły tuż przed tym, jak została zamknięta i uszczelniona. Agresywny kamuflaż sprawiał, że na tle trójkątnych pastelowych płatów materii maszyna rzucała się w oczy niczym oderżnięty kciuk. Pikowała i kręciła piruety w kopule o średnicy pięćdziesięciu metrów, niezmordowanie poruszając obiektami i mikrofonami na wszystkie strony. Lindsay cieszył się z jej obecności, choć zarazem był zaniepokojony.

– Mam wrażenie, jakbym już znał tę historię – przyznał i przekartkował wydruk. Cały margines pokrywały narysowane pośpiesznie figurki jak z kreskówek, umieszczone tam z myślą o analfabetach. – Wyjaśnijmy to sobie po kolei: grupa piratów w pasie asteroid trojańskich porywa kobietę, kształcerkę, która jest specjalistką w zakresie uzbrojenia, tak?

Riumin skinął potakująco głową. Świetnie czuł się w roli zamożnego przedsiębiorcy; miał na sobie jedwabny skafander w gustownym niebieskim odcieniu, uzupełniony, zgodnie z panującą w kartelach

modą, luźnym beretem. Srebrna perełka mikrofonu lśniła przyklejona do jego górnej wargi.

– Kształcerze obawiają się, że piraci mogą wykorzystać jej doświadczenie – ciągnął Lindsay. – Zawierają sojusz i zaczynają oblegać ich siedzibę, aż wreszcie podstępem dostają się do środka i wszystko niszczą. – Podniósł wzrok. – Czy tak się zdarzyło naprawdę?

– To stara historia – odparł Riumin. – Prawda wyglądała prawie tak samo, tego jestem pewien, ale po przebicciu numerów seryjnych stała się moją własnością.

Lindsay wygładził fałdy na kimonie.

– Mógłbym przysiąc, że... Do diabła z tym. Mówią, że jak człowiekowi coś ucieknie na wazopresynie, nigdy już sobie tego nie przypomni. Efekt wypalenia pamięci.

Zrezygowany potrząsnął plikiem kartek.

– Wyreżyseruje to pan? – zapytał Riumin.

Lindsay pokręcił głową.

– Chciałem, ale chyba lepiej będzie, jak zostawię to panu. Przecież pan wie, co robi, nie?

– Nie – odpowiedział wesoło Riumin. – A pan?

– Nie... Sytuacja wymyka się nam spod kontroli. Zagraniczni inwestorzy usiłują kupić akcje Kabuki; w Geisha Banku był przeciek. Obawiam się, że Czarni Medycy sprzedadzą swoje udziały jakiemuś kartelowi mechów. A wtedy... nie wiem... To by znaczyło...

– Że Kabuki Intrasolar stanie się legalną firmą.

– No właśnie. – Lindsay się skrzywił. – Wygląda na to, że Czarni Medycy wyjdą z tego bez szwanku, a nawet mogą coś zyskać. Geisha Bank nie będzie zadowolony.

– I co z tego? Musimy przeć naprzód, bo w przeciwnym wypadku wszystko się posypie. Bank zdobył już punkty, sprzedając Medykom akcje Kabuki Intrasolar. Ta starucha, która rządzi Geisha Bankiem, ma świra na punkcie pana. Kurwy cały czas mówią tylko o panu.

Riumin wyciągnął rękę w stronę sceny, którą stanowił sferyczny obszar pośrodku audytorium, poprzecinany owiniętymi w miękką otulinę drutami. Kilkunastu aktorów powtarzało swoje role: uprawiali akrobacje powietrzne w nieważkości, łapali się odciągów, kręcili salta, śruby i piruety.

Dwoje z nich zderzyło się w locie i młóciło ramionami w poszukiwaniu punktu oparcia.

– To są piraci, rozumie pan? – powiedział Riumin. – Cztery miesiące temu za kilowat jeden poderznąłby drugiemu gardło. Ale teraz wszystko się zmieniło, panie Dze. Mają za dużo do stracenia. Scena ich oszołomiła. – Riumin zachichotał konspiracyjnie. – Chociaż raz staną się kimś więcej niż kieszonkowymi terrorystami. Kurwy też przestaną być zabawkami do uprawiania seksu. Będą prawdziwymi aktorami, którzy grają według prawdziwego scenariusza przed prawdziwą publicznością. Nieważne, że pan i ja wiemy, że to przekręt. Symbol ma znaczenie wówczas, gdy ktoś mu je nada. Oni wkładają w to całe serce.

Lindsay patrzył, jak aktorzy wracają do ćwiczeń. Z obłąkańczą determinacją przeskakiwali pomiędzy odciągami.

– To żałosne – powiedział.

– Tragedia dla tych, którzy czują; komedia dla tych, co myślą.

Lindsay zerknął na Riumina podejrzliwie.

– A w ogóle to co w pana wstąpiło? Co pan knujesz?

Riumin odął wargi i przybrał nonszalancki wyraz twarzy.

– Moje potrzeby są nieskomplikowane. Mniej więcej co dziesięć lat lubię wrócić do karteli i zobaczyć, czy poczyniono jakieś postępy w pracach nad moimi starymi kośćmi. Postępujący ubytek wapnia, nie ma się z czego śmiać. Prawdę mówiąc, staję się coraz bardziej kruchy. – Przeniósł wzrok na Lindsaya. – A jak to jest z panem, panie Dze? – Poklepał go po ramieniu. – Może by pan

wyruszył ze mną, co? Warto porozglądać się trochę po Układzie. W kosmosie żyje dwieście milionów ludzi; są tam setki osiedli, istna eksplozja kultur. Nie wszyscy walczą o przetrwanie, jak ci biedni bezprizorni tutaj. Większość z nich należy do burżuazji i żyje w zbytku! Owszem, możliwe, że technika przeobraża ich w istoty, które nie są do końca ludźmi, ale to ich wybór, rozsądna decyzja. – Riumin ogarnął gestem audytorium. – Zaibatsu jest zwykłą enklawą kryminalną. Mogę panu pokazać tych, co spijają śmietankę. Powinien pan zobaczyć kartele.

– Kartele... – powtórzył Lindsay. Przyłączyć się do mechanistów znaczyłoby ulec ideom Starych Radykałów. Rozejrzał się z dumą dookoła. – Niech one do mnie przyjdą!

\* \* \*

### *Okoloksiężycowe Zaibatsu Ludowe Mare Tranquillitatis, 1. 06.'16*

Wybierając się na premierę, Lindsay zrezygnował z elegancji i włożył zwykły, prosty skafander. Dyplomatę okrył połą płaszczą, żeby ukryć znaczek Kabuki Intrasolar.

Miał wrażenie, że w balonie zebrały się wszystkie astrognydy z Zaibatsu; na widowni zasiadło z górą tysiąc ludzi. Nie pomieściliby się w środku, gdyby audytorium nie znajdowało się w strefie nieważkości. Elita Geisha Banku zajęła miejsca w delikatnych łóżach, pośledniejsze kurwy zwisały z osłoniętych ochronnym opłotem drutów niczym jaskółki.

Większość jednak wolą unosić się swobodnie w powietrzu i tworzyła pozostającą w bezustannym ruchu masę, złożoną z koncentrycznych sfer. Chwilami tu i ówdzie otwierały się spontanicznie tunele, posłuszne złożonym prawom kinezyki tłumu. Panował gwar, słyhać było najróżniejsze dialekty.

Sztuka się rozpoczęła. Lindsay obserwował widownię. Przy pierwszych fanfarach wybuchły krótkie przepychanki, ale do czasu rozpoczęcia dialogów tłum zdążył się uspokoić. Lindsay cieszył się z tego i żałował, że nie ma przy boku strażników z Fortuny.

Piraci wywiązali się z zobowiązań wobec niego i pośpiesznie przygotowywali statek do odlotu. Lindsay i tak czuł się w miarę bezpiecznie dzięki swej anonimowości. Gdyby przedstawienie zrobiło totalną klapę, byłby po prostu jednym z wielu widzów; gdyby zaś odniosło sukces, zdąży się przebrać, żeby w stosownym momencie odebrać gratulacje.

W pierwszej scenie porwania piraci uprowadzili młodą, piękną specjalistkę od uzbrojenia, graną przez jedną z najlepszych podwładnych Kitsune. Ludzie wyli z zachwytu na widok kłębow sztucznego dymu i widowiskowych w zerowym ciężeniu bryzgów syntetycznej krwi.

Rozmieszczone w balonie komputery na bieżąco tłumaczyły tekst na dziesiątki języków i dialektów, ale Lindsayowi wydawało się nieprawdopodobne, żeby wielojęzyczna gawiedź mogła zrozumieć dialogi. Miał wrażenie, że ogląda naiwną, sentymentalną opowiastkę, w dodatku zmasakrowaną w przekładzie. Wszyscy słuchali jednak z uwagą.

Po trwających godzinę trzech pierwszych aktach nastąpiła długa przerwa. Scenę zaciemniono. Pojawiły się spontaniczne grupy klakierów, potworzone z piratów, którzy oklaskiwali swoich faworytów.

Lindsay czuł klucie w nosie. Powietrze w teatrze zostało sztucznie nasycone tlenem, żeby ludzie odczuwali uniesienie wywołane hiperwentylacją. Nawet wiedząc o tym, Lindsay też dał się ponieść fali emocji. Chrapliwe okrzyki entuzjazmu okazały się zaraźliwe, sytuacja rozwijała się posłuszna własnym prawom dynamiki i na dobre wymknęła mu się z rąk.

Podleciał do ściany balonu, gdzie kilku przedsiębiorczych farmerów otworzyło stragan z własnymi

produktami. Sprzedaż szła całkiem niezłe. Wpięci niezdarne w umocowane do powłoki pętle na stopy oferowali miejscowe przysmaki: nienazwane smażone zielone grudy z chrupiącą skórką i białe, kleiste kostki na patyku, podawane na gorąco, wprost z mikrofalówki. Firma miała zapewniony udział w zyskach, ponieważ to Lindsay podsunął pomysł urządzenia stoiska. Farmerzy chętnie spłacali należność akcjami Kabuki.

Lindsay postanowił zachować ostrożność z udziałami w firmie. Z początku zamierzał niemiłosiernie wywindować ich cenę i tym samym doprowadzić Czarnych Medyków do ruiny, z czasem jednak dał się ponieść urokowi papierowych pieniędzy. Za długo czekał i Czarni Medycy ze sporym zyskiem sprzedali udziały obcym inwestorom.

Teraz nie mógł im nic zrobić. Co więcej, zapewniali go o swojej wdzięczności i z szacunkiem nagabywali o dalsze cenne wskazówki na temat rynku.

Wszyscy byli zadowoleni. Przewidywał, że sztuka długo będzie się cieszyła powodzeniem. A potem, pomyślał, przyjdzie czas na następne, bardziej wyrafinowane sztuczki. Pozbawiony celu istnienia świat astrognid idealnie się do tego nadawał; chodziło tylko o to, żeby się nie zatrzymywać, nie oglądać za siebie i nie wybiegać myślami w przyszłość dalej niż do najbliższego przekrętu.

Kitsune tego dopilnuje. Spojrzał na łożę, w której zasiadała. Unosiła się w powietrzu za plecami dostojników bankowych – jej marionetek – ze znajomym, pokorno-drapieżnym wyrazem twarzy. Nie dopuściłaby do tego, żeby czuł wątpliwości czy żal, i w jakiś pokrętny sposób był jej za to wdzięczny. Dzięki niepokromionej ambicji Kitsune mógł zapomnieć o własnych konfliktach.

Trzymali cały świat w garści. Gdzieś jednak w głębi, pod niepewnym poczuciem zwycięstwa, uparte cierpienie nie dawało mu spokoju. Zdawał sobie sprawę, że Kitsune jest po prostu bezlitosna, ale to w nim kryła się przykra pustka, linia styku kształcerskiego szkolenia i jego dawnego „ja”, brak, który nawet teraz, w chwili triumfu kładł się cieniem na jego szczęściu.

Tłum szalał, ale Lindsay nie mógł się cieszyć razem z ludźmi. Czuł się oszukany, ograbiony z czegoś nieuchwytnego. Sięgnął po inhalator. Potrzebował dobrego niucha.

Ktoś pociągnął go z tyłu za ubranie. Spojrzał przez ramię za siebie.

Ciemnowłosa, chudy młody mężczyzna o stalowoszarych oczach złapał go za skafander palcami prawej stopy.

– Cześć, ofiarno – powiedział i uśmiechnął się przymilnie.

Lindsay patrzył na tę twarz, usiłując wyczuć jej kinezykę, i nagle doznał wstrząsu. To była jego własna twarz.

– Spokojnie, ofiarno – rzekł zabójca głosem Lindsaya.

Coś w wyglądzie tego mężczyzny było nie do końca poprawne... Skóra zdawała się zbyt gładka, jak nowa... Jak sztuczna.

Lindsay obrócił się i znalazł twarzą w twarz z intruzem, który trzymał oburącz jeden z odciągów. Dwoma pierwszymi palcami muskularnej lewej stopy złapał Lindsaya za nadgarstek. Uścisk miał paraliżujący i Lindsay poczuł, jak drętwieje mu dłoń. Pod skórą stóp mężczyzny przeżyły się nienaturalnie rozwinięte mięśnie, a jego kończyny zginały się w niezwykły sposób, jakby subtelnie przemodelowano mu stawy.

Szturchnął Lindsaya w pierś palcem prawej stopy.

– Odpręż się – powiedział. – Porozmawiajmy chwilę.

Lindsay dał się ponieść wytrenowanemu nawykowi i fala adrenaliny zmieniła panikę w lodowate opanowanie.

– Jak się panu podoba przedstawienie? – zapytał.

Mężczyzna roześmiał się w odpowiedzi i Lindsay wiedział, że tym razem słyszy jego prawdziwy

głos. Od śmiechu zabójcy przebiegły go ciarki.

– Księżycowe światy są pełne niespodzianek – zauważył obcy.

– Powinien pan przyłączyć się do obsady – rzekł Lindsay. – Ma pan talent do naśladowania innych.

– Raz tak, raz nie – odparł zabójca i przekręcił lekko nogę w kostce. Kości przegubu Lindsaya zazgrzytały nieprzyjemnie. Ciemne plamy bólu mignęły mu przed oczyma. – Co masz w tej teczce, śmieciu? Może coś, o czym chcieliby się dowiedzieć w domu?

– W Radzie Pierścieni?

– Właśnie. Ci mechanistyczni druciarze twierdzą, że złapali nas w potrzask, ale nie wszystkie kartele są równie silne. A my przeszliśmy solidne szkolenie. Możemy się schować pod plamą na ich własnym sumieniu.

– Sprytne – przyznał Lindsay. – Umiem docenić wyrafinowaną technikę. Może udałoby się nam dojść do porozumienia.

– To byłoby interesujące – rzekł grzecznie zabójca, Lindsay zaś zrozumiał, że nie uratuje go żadna łapówka.

Mężczyzna puścił jego rękę i lewą stopą sięgnął do kieszeni na piersi. Kolano i biodro wykręciły mu się pod niewiarygodnym kątem.

– To dla ciebie – powiedział, wyjmąwszy czarną kasetę wideo. Pudełko zawisło w powietrzu przed twarzą Lindsaya, który schował je do kieszeni. Kiedy ją zapiął, podniósł wzrok, ale zabójca zniknął. Na jego miejscu pojawił się korpulentny mężczyzna w takim samym zgniółobrazowym skafandrze. Miał jasne włosy, był masywniej zbudowany i patrzył na Lindsaya obojętnym wzrokiem.

Lindsay wyciągnął rękę, jakby zamierzał go dotknąć, ale cofnął ją, zanim mężczyzna się zorientował.

Rozbłysły światła i tancerze weszli na scenę. Przez audytorium przetoczyła się fala entuzjastycznych okrzyków. Lindsay przeleciał wzdłuż ściany balonu. Lawirując w gąszczu zaczepionych o pętle rąk i nóg, dotarł do przedniej śluzy.

Wsiadł do jednego z zaparkowanych na zewnątrz lekkolotów i poleciał wprost do Geisha Banku.

Bank świecił pustkami, ale dzięki karcie kredytowej Lindsay dostał się do środka. Olbrzymi strażnicy rozpoznali go i ukłonili się. Chciał im coś powiedzieć, ale co by to miało być? „Zabijcie mnie, kiedy następny raz się spotkamy”?

Złapać ptaka w zwierciadło – oto potrzask idealny.

Ukryje się w sieć koralików *yarite*. Kitsune mu pokazała, jak się nimi posługiwać, znalazłszy się w środku. Gdyby nawet zabójca unikał pułapek, można go było porazić prądem albo posiekać kartaczami.

Lindsay bezbłędnie pokonał niebezpieczny odcinek drogi i wpadł do komnat *yarite*. Otworzył ekran, włączył odtwarzacz i włożył kasetę.

To była twarz z przeszłości, twarz jego najlepszego przyjaciela, człowieka, który próbował go zabić – Philipa Khouri Constantine'a.

– Witaj, kuzynie – powiedział Constantine.

Słów takich mógł użyć tylko posługujący się slangiem arystokrata Republiki, a przecież Constantine pochodził z plebsu. Poza tym Lindsay nigdy nie słyszał, żeby przemawiał z taką nienawiścią.

– Pozwalam sobie skontaktować się z tobą na wygnaniu. – Constantine sprawiał wrażenie pijanego; mówił trochę zbyt starannie i precyzyjnie. Na oliwkowej skórze jego szyi, pod okrągłym kołnierzykiem zabytkowego garnituru perlił się pot. – Niektórzy z moich przyjaciół kształcerzy

podzielają zainteresowanie twoją karierą. I nie nazywają swoich agentów zabójcami, lecz antybiotykami.

Działają i tutaj. Opozycja nie sprawia szczególnych kłopotów, zwłaszcza przy tak częstych zgonach „z przyczyn naturalnych”. Moja stara sztuczka z motylami, prędką i ryzykowną, to teraz dziecinada. Ale owady spisały się na medal... Czas ucieka, kuzynie. Przez pięć miesięcy wiele się zmieniło.

Oblegający nas mechowie słabną. Jeśli złapać kształcerzy w pułapkę i przycisnąć, wyciekną przez szczeliny. Pamiętasz, jak powtarzaliśmy sobie te słowa, Abelardzie? Byliśmy dziećmi, a nasza przyszłość rysowała się tak jasno, że chwilami oślepialiśmy się nawzajem. To dawne czasy, kiedy nie wiedzieliśmy jeszcze, ile znaczy krew...

Republika potrzebuje kształcerzy. Kolonia gnije i nie zdołają przeżyć bez uciekania się do nauk biologicznych. Wszyscy to rozumieją, nawet Radykałowie. Nigdy tak naprawdę nie rozmawialiśmy z tymi starymi druciarzami, kuzynie. Nie zgodziłbyś się na to; za bardzo ich nienawidziłeś. Teraz wiem, dlaczego bałeś się stawić im czoło. Są tak samo skalani jak ty, Abelardzie. W pewnym sensie są twoim lustrzanym odbiciem. Wiesz już, jaki to szok zobaczyć własne odbicie.

Constantine wyszczerzył zęby w uśmiechu i zręcznym ruchem przygładził włosy.

– Ja jednak z nimi porozmawiałem, osiągnęliśmy porozumienie... Doszło do zamachu stanu, Abelardzie. Rada Konsultacyjna została rozwiązana. Władzę sprawuje Rada Wykonawcza Przetrvania Narodowego, czyli ja i kilku naszych przyjaciół Zachowawców. Tak jak się spodziewaliśmy, śmierć Very wszystko odmieniła. Mamy męczennicę, dzierzymy w dłoniach stal i kieruje nami złość. Starzy Radykałowie odchodzą, emigrują do mechanistycznych karteli, gdzie jest ich miejsce. Arystokraci będą musieli za to zapłacić.

Są i tacy, którzy zmierzają właśnie do ciebie, kuzynie – mnóstwo zbankrutowanych arystokratycznych rodów: Lindsayowie, Tylerowie, Kellandowie, Morrisseyowie... Uchodźcy polityczni. Jest wśród nich twoja żona. Znaleźli się między młotem i kowadłem: z jednej strony kształcerskie dzieci, z drugiej – dziadkowie mechanisci. Zostali wyrzuceni, jak śmieci. Należą do ciebie.

Chcę, żebyś po mnie posprzątał, zaprowadził porządek w niedokończonych sprawach. Jeżeli się na to nie zgodzisz, wróc do mojego posłańca. On się tobą zajmie. – Constantine znów uśmiechnął się od ucha do ucha, odsłaniając drobne, równe zęby. – Z tej gry nie można zrezygnować. Pozostaje tylko śmierć. Oboje z Verą o tym wiedzieliście. Teraz zaś to ja jestem królem, a ty pionkiem.

Lindsay wyłączył odtwarzanie.

Jego życie legło w gruzach. Balon Kabuki okazał się groteskowo solidny, lecz wygórowane ambicje przywiodły Lindsaya do zguby.

Znalazł się w potrzasku. Uchodźcy z Republiki z pewnością go zdemaskują i błyskotliwe kłamstwa runą. Kitsune też się na nim pozna, ujrzy w nim ludzkiego parweniusza, nie zaś kształcerskiego kochanka.

Myśli kłębiły mu się w głowie. Miałby zostać tu i żyć na warunkach narzuconych przez Constantine'a, znosić jego kaprysy i pogardę?

Musiał uciekać, już teraz, bez chwili zwłoki. Nie miał czasu na snucie planów.

Na zewnątrz czekał wynajęty morderca mający jego twarz; kolejne spotkanie oznaczałoby pewną śmierć, ale może zdołałby się wymknąć, gdyby zrobił to natychmiast. Czyli zostawali piraci.

Lindsay potarł posiniaczony nadgarstek. Z wolna wzbierał w nim gniew na kształcerzy. Przeżyli, ale z ich walki narodziły się potwory, takie jak zabójca. Jak Constantine. Jak on sam.

Constantine był od niego młodszy, ufał mu, podziwiał go. Kiedy jednak Lindsay przyjechał na urlop

z Rady Pierścieni, boleśnie odczuł, jak bardzo kształcerze go zmienili. A przecież z rozmysłem posłał Constantine'a w ich ręce. Jak zwykle potrafił sensownie uzasadnić swą decyzję, a nowe umiejętności Constantine'a faktycznie okazały się bezcenne. Lindsay wiedział jednak, że postąpił samolubnie – chciał mieć jakieś towarzystwo.

Constantine zawsze był ambitny, ale miejsce dawnego zaufania zajęło wyrachowanie; zamiast wspólnych ideałów dzielili teraz sekret morderstwa.

Lindsay czuł ohydne powinowactwo z zabójcą, który musiał przejść bardzo podobny trening. Nienawiść do samego siebie nieoczekiwanie wzmocniła jego lęk przed mordercą.

Miał jego twarz... Nagle Lindsay zdał sobie sprawę, że może tę sytuację wykorzystać. Mógł podszyć się pod zabójcę, popełnić okrutną zbrodnię, a wina spadnie na barki Constantine'a.

Kitsune potrzebowała tej zbrodni. Będzie to jego prezent pożegnalny, wiadomość, którą tylko ona zrozumie. Mógł ją uwolnić i kazać nieprzyjacielowi ponieść konsekwencje.

Wytrząsnął z teczki plik akcji. Otworzył klapę w podłodze i popatrzył na nagie ciało starej kobiety spoczywające na powierzchni wodnego łóżka. A potem zaczął rozglądać się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby ciąć.

## Rozdział 3

*Na pokładzie „Czerwonej Zgody”, 2. 06.'16*

Kiedy ostatnia rakieta pomocnicza Zaibatsu odzepiła się od kadłuba i ryknęły główne silniki „Czerwonej Zgody”, Lindsay doszedł do wniosku, że jest już bezpieczny.

– No i jak, panie sekretarzu? – zapytał go prezydent. – Udało się odskoczyć z łupem? Co ma pan w teczce? Lodowate prochy? A może gorący software?

– Nie teraz – odparł Lindsay. – To może poczekać. Najpierw musimy sprawdzić twarze wszystkich obecnych i przekonać się, że każdy ma własną.

– Ależ pan jest pokręcony, sekretarzu – zauważył jeden z senatorów. – Gadka o antybiotykach to propagandowe bzdury. Oni nie istnieją.

– Jest pan bezpieczny – zapewnił go prezydent. – Proszę mi wierzyć, znamy każdy angstrom wnętrza tego statku. – Strząsnął na podłogę olbrzymiego karalucha, który wolno pełził po dyplomatce Lindsaya. – Nachapał się pan, nie? I teraz zamierza się pan wkupić w łaski jednego z karteli? Mamy zlecenie do wykonania, ale możemy polecieć okreśną drogą i zahaczyć o którąś osadę w Pasie, Bettinę albo Themis, do wyboru. – Prezydent wyszczerzył zęby w okrutnym uśmiechu. – Za odpowiednią cenę, rzecz jasna.

– Zostaję z wami – rzekł Lindsay.

– Czyżby? W takim razie to też należy do nas! – Prezydent wyszarpnął Lindsayowi teczkę i rzucił ją przewodniczącej parlamentu.

– Otworzę ją dla was – zapewnił go pośpiesznie Lindsay. – Pozwólcie mi tylko wszystko wyjaśnić.

– Pewnie – odparła przewodnicząca. – Sami ocenimy, ile jest warta.

Przycisnęła do teczki ostrze ręcznej piły. Trysnęły iskry i w powietrze buchnął odór palonego plastiku. Lindsay odwrócił twarz.

Kobieta sięgnęła do wnętrza teczki, dla wygody oparłszy ją sobie o kolano; na pokładzie statku



panowało zerowe ciśnienie. Jednym ruchem wydobyła z niej łup Lindsaya – odciętą głowę *yarite*.

Natychmiast wypuściła ją z rąk, sycząc jak kot, który oparzył sobie pysk.

– Brać go! – wrzasnął prezydent.

Dwóch senatorów odbiło się od ścian, dopadło Lindsaya i unieruchomiło bolesnymi dźwigniami jujutsu.

– To ty jesteś mordercą! – krzyczał dalej prezydent. – Wynajęto cię, żebyś zdjął tę starą mechanistkę! Nie masz żadnego łupu! – Z niesmakiem popatrzył na upstrzoną wtyczkami i elektrodami głowę. – Wrzucicie ją do przetwornika odpadków. Nie chcę mieć czegoś takiego na pokładzie. Albo zaraz... – dodał, kiedy jeden ze starszych mężczyzn z wahaniem złapał za rzadkie włosy. – Zabierzcie ją najpierw do warsztatu i wydlubcie całą elektronikę. A więc taką gierkę prowadzisz? – zwrócił się ponownie do Lindsaya. – Jesteś płatnym zabójcą?

– Oczywiście – odparł Lindsay odruchowo, uznając, że lepiej potakiwać. – Co tylko zechcecie.

Zapadła złowieszczą cisza, przerywana tylko odległymi termicznymi stukami dobiegającymi z silników statku.

– Wyrzucmy tego durnia przez śluzę – zaproponowała przewodnicząca parlamentu.

– Nie możemy – zaproponował pierwszy sędzia Sądu Najwyższego, stary, trzęsący się mechanista, cierpiący na krwotoki z nosa. – Wciąż jest naszym sekretarzem stanu i nie można go osądzić, jeżeli senat uprzednio nie pozbawi go władzy.

Troje senatorów – dwóch mężczyzn i kobieta – wyraźnie się ożywiło. W małej Demokracji Fortuny senat nie miał wiele do roboty, a jego członkowie nie dość, że nie cieszyli się zaufaniem załogi, to jeszcze mieli przeciw sobie bardziej liczną izbę niższą.

Lindsay wzruszył ramionami. Zrobił to znakomicie: idealnie wyczuł kinezykę prezydenta i to odebrane podświadomie naśladowanie rozładowało napięcie na ułamek sekundy. Tyle mu wystarczyło, żeby zebrać myśli.

– To była robota polityczna – rzekł tonem zdradzającym znużenie. Chciał przytłumić ich żądze krwi i wprowadzić sytuację na bardziej przewidywalne tory. – Pracowałem na zlecenie Republiki Korporacyjnej Mare Serenitatis. Doszło tam do zamachu stanu i właśnie wysyłają do Zaibatsu wielu swoich byłych obywateli. Miałem oczyścić teren.

Uwierzyli mu, mówił więc dalej:

– Ale to faszyści, a ja wolę służyć demokratycznemu rządowi. Poza tym wysłali moim śladem anty bioty ka... Przynajmniej wydaje mi się, że to oni. – Uśmiechnął się i rozłożył ręce w geście wyrażającym całkowitą niewinność. – Nie okłamałem was przecież, prawda? Nigdy nie twierdziłem, że nie jestem zabójcą. Poza tym nie zapominajcie o pieniądzach, jakie dla was zarobiłem.

– Owszem – przyznał niechętnie prezydent. – Tylko czy naprawdę musiałeś oderznąć jej głowę?

– Wykonywałem rozkazy – powiedział Lindsay. – Jestem w tym dobry, panie prezydencie. Proszę mnie wypróbować.

\* \* \*

*Na pokładzie „Czerwonej Zgody”, 13. 06.'16*

Lindsay wykradł głowę cyborga, by wyzwolić Kitsune i zagwarantować, że nikt się nie dowie o jej roli w grze o władzę. Oszukał ją, ale zaoferował wolność w charakterze przeprosin. O morderstwo oskarżą kształcerskiego zabójcę; miał nadzieję, że Geisha Bank każe go rozszarpać na strzępy.

W myślach odsunął niedawny horror na bok. Kształcercy nauczyciele ostrzegali go przed podobnymi uczuciami; kiedy dyplomata znalazł się w nowym środowisku, powinien wyciszyć wszelkie wspomnienia i jak najszybciej przybrać barwy ochronne.

Poddał się wpojonym nawykowi. Ściśnięty na pokładzie maleńkiego stateczku z liczącym jedenaście osób społeczeństwem Fortuny, odbierał ciasnotę niemal jak fizyczny ucisk. Nie jest łatwo zachować dystans, znalazłszy się w takiej puszczy w towarzystwie jedenastu szaleńców.

Od czasów szkoły w Radzie Pierścieni nie leciał prawdziwym statkiem kosmicznym. Automat towarowy mechów, który przywiózł go na wygnanie, nie liczył się; jego pasażerowie przypominali raczej nafaszerowane prochami bryły mięsa. Na „Czerwonej Zgodzie” ludzie prowadzili prawdziwe życie. Statek wszedł do służby przed dwustu piętnastoma laty.

W kilka dni, opierając się na śladowych dowodach rozsianych po pokładzie maszyny, Lindsay poznał więcej z jej historii, niż wiedzieli górnicy z Fortuny.

Pokłady załogowe „Czerwonej Zgody” zajmowali w przeszłości przedstawiciele od dawna nieistniejącego ziemskiego państwa zwanego Związkiem Radzieckim, w skrócie CCCP. Moduły pasażerskie wystrzelono z Ziemi, by weszły w skład jednej z budowanych na orbicie „stacji obronnych”.

Statek miał kształt cylindra; pomieszczenia wykorzystywane przez załogę zajmowały łącznie cztery połączone pokłady. Każdy z nich mierzył cztery metry wysokości i dziesięć średnicy. Niegdyś były oddzielone prymitywnymi śluzami powietrznymi, które jednak wyrwano ze ścian i zastąpiono nowoczesnymi, samouszczelniającymi się włóknami ciśnieniowymi.

Z pokładu rufowego zdarto całe wyposażenie, pozostawiając wyłożone miękkimi ścianami. Piraci używali go jako salki treningowej, w której ćwiczili walkę w stanie nieważkości. Często również kładli się tu na spoczynek, aczkolwiek, z braku podziału doby na dzień i noc, drzemali też w każdym innym miejscu i o każdej porze.

Następny pokład, idąc w kierunku dziobu, przeznaczono na zapchany aparaturą do granic możliwości lazaret oraz zaopatrzoną w ołowiane ekrany „saunę”, w której można było ukryć się przed promieniowaniem z wybuchów na Słońcu. W „schowku na szczotki” wisiało kilkanaście zabytkowych, wymiętych skafandrów kosmicznych. Obok stał stojak ze spryskiwaczami szelakowymi, leżały strzelby gazowe z uprężkami, klucze, zapadki i inne narzędzia do pracy na zewnątrz. Na tym pokładzie znajdowała się śluza w kadłubie – stara pancerna śluza, na której wciąż widniały resztki naklejek z wypisaną cyrylicą instrukcją obsługi.

Dalej zainstalowano system podtrzymywania życia. Prawie całe pomieszczenie zajmowały bulgoczące kadzie z algami. Poza tym znalazło się tu też miejsce na toaletę i syntezytor żywności, połączone bezpośrednio z kadiami. Na tym samym poziomie urządzono maleńki warsztat, w którym dzięki nieważkości udało się wykorzystać każdy, nawet najmniejszy skrawek przestrzeni.

Pokład dziobowy mieścił mostek i końcówki mocy od baterii słonecznych. To właśnie miejsce Lindsay polubił z czasem najbardziej – głównie ze względu na muzykę. Sterownia miała swoje lata, choć wiele brakowało jej do wieku całej „Czerwonej Zgody”. Zaprojektował ją jakiś zapomniany teoretyk przemysłowy, głęboko wierzący w sens wykorzystywania sygnałów akustycznych. Półkolisty panel kontrolny, zawierający wszystkie niezbędne na mostku przyrządy, miał niewiele ekranów i wyświetlaczy. Aparatura sygnalizowała funkcjonowanie pomrukami, buczeniem i regularnym popiskiwaniami.

Z początku dźwięki brzmiały dziwacznie, z czasem jednak wnikały delikatnie w umysł i sadowiły się na progu świadomości. Człowiek przestawał zwracać na nie uwagę, ale każda najdrobniejsza zmiana stawała się natychmiast zauważalna. Lindsay doszedł do wniosku, że ta muzyka go uspokaja.

Reszta dziobu nie przedstawiała się już tak korzystnie – zawierała pełną paskudnego sprzętu zbrojownię oraz ohydne działo molekularne. Lindsay unikał jak ognia zaglądania do tego pomieszczenia; nigdy też nie wspominał o nim w rozmowach.

Nie mógł jednak uciec od świadomości, że „Czerwona Zgoda” była statkiem wojennym.

– Posłuchaj – tłumaczył mu prezydent – odstrzelić jakąś starą mechanistkę, której mózg dawno się wyłączył, to jedno. Ale załatwić gromadę uzbrojonych kształcerzy – to już zupełnie co innego. W Narodowej Armii Fortuny nie ma miejsca dla mięczaków i tchórzów.

– Tak jest – odparł Lindsay.

Narodowa Armia Fortuny była zbrojnym ramieniem rządu Demokracji. Służyli w niej ci sami ludzie, którzy zasiadali w rządzie, ale nie miało to żadnego znaczenia. Wojsko było zupełnie inaczej zorganizowane i miało inne procedury operacyjne. Na szczęście prezydent pełnił jednocześnie funkcję szefa sztabu i głowy państwa.

Ćwiczenia wojskowe odbywały się na pokładzie rufowym, z którego usunięto sprzęt, pozostawiając tylko ściany obite zapleśniałą ochronną wykładziną. Znajdowały się tu trzy wieloczynnościowe rowery i komplet sprzętowych ciężarków, u wejścia stał rząd szafek na ubrania.

– Zapomnij o czymś takim jak „góra” i „dół” – powiedział Lindsayowi prezydent. – Kiedy dochodzi do walki w stanie nieważkości, liczy się tylko *haragei*. Nic więcej. – I grzmotnął go w żołądek. Lindsay sapnął i zgiął się wpół, a opatrzone rzepami podeszwy jego butów z głośnym trzaskiem odczepiły się od bocznej ściany.

Prezydent złapał go za rękę, pchnął, wykorzystując rozpęd i przyczepił mu stopy do grodzi od strony dziobu.

– Teraz wiesz głową w dół, prawda?

Lindsay stał na grodzi, prezydent zaś przykucnął na wprost niego, tak że ich stopy były skierowane w przeciwne strony. Spojrzał Lindsayowi w oczy; w jego oddechu dawało się wyczuć woń surowych alg.

– To właśnie nazywa się lokalnym pionem – pouczył Lindsaya. – Ciało jest przystosowane do życia w grawitacji i oczy będą szukać kierunku ciężenia niezależnie od usytuowania ciała. Tak już mamy ułożone obwody w mózgu. Człowiek szuka pionowych linii i stara się ustawiać zgodnie z ich przebiegiem. Jeśli tak zrobisz, żołnierzu, zginiesz. Zrozumiano?

– Tak jest! – odkrzyknął Lindsay. W Republice od dziecka uczono go gardzić przemocą, którą wolno było stosować w ostateczności tylko wobec własnej osoby. Bliskie spotkanie z antybiotykiem odmieniło jednak jego sposób myślenia.

– Po to właśnie jest *haragei*. – Prezydent poklepał się po brzuchu. – Środek masy, środek obrotu. Spotykasz wroga w zerowym ciężeniu, splatacie się w uścisku... Twoja głowa jest na dobrą sprawę tylko wypustką; co stanie się dalej, zależy od położenia twojego środka ciężkości. *Haragei*. Punkty, do których możesz sięgnąć ręką albo nogą, zadać cios, wyznaczają sferę, której środkiem jest twój brzuch. Musisz cały czas pamiętać o tej otaczającej cię bańce.

– Tak jest – przytaknął Lindsay, całkowicie skupiony na słowach instruktora.

– To była zasada numer jeden. Teraz czas na numer dwa: grodzie. Kto kontroluje grodz, kontroluje przebieg walki. Jeśli wyprostuję nogi i odbiję się od grodzi, to jak sądzisz, z jaką siłą cię uderzę?

– Wystarczająco mocno, żeby złamać mi nos – odparł rzeczowo Lindsay.

– Racja. A gdybym przed wyprostowaniem zaparł się mocno nogami i przyjął na ciało impet zderzenia?

– Przetrąci mi pan kark.

– Prawidłowo rozumiesz, żołnierzu. Człowiek bez oparcia jest bezradny. Jeżeli nie masz pod ręką nic, o co mógłbyś się zaprzeć, użyj ciała przeciwnika. Odrzut jest wrogiem uderzenia. Uderzenie to obrażenia, a zadawanie obrażeń prowadzi do zwycięstwa. Jasne?

– Odrzut jest wrogiem uderzenia. Uderzenie to obrażenia, a zadawanie obrażeń prowadzi do zwycięstwa – powtórzył natychmiast Lindsay.

– Bardzo dobrze – powiedział prezydent. Wyciągnąwszy przed siebie rękę szybkim, obrotowym ruchem oparł przedramię Lindsaya na kolanie i z trzaskiem mu je złamał.

– Numer trzy – powiedział, gdy Lindsay przestał wyć. – Ból.

\* \* \*

– No cóż – rzekła sędzina. – Widzę, że pokazał ci zasadę numer trzy.

– Tak, proszę pani.

Kobieta wbiła Lindsayowi igłę strzykawki w przedramię.

– Nie przejmuj się – powiedziała łagodnie. – To już nie sala treningowa, tylko szpital. Możesz do mnie mówić „druga sędzino”.

Po złamanej ręce rozlało się uczucie gumistej drętwoty.

– Dzięki, sędzino.

Druga sędzina była starszą kobietą – zapewne dobiegała już setki, ale trudno byłoby to stwierdzić z całą pewnością. Ciągłe nadużywanie kuracji hormonalnych sprawiło, że jej metabolizm wykazywał głównie rozmaite anomalie. Brodę znaczyły jej plamki trądziku, ale nadgarstki i łydki miała pomarszczone i żylaste.

– Nic ci nie będzie, sekretarzu. Wyjdiesz z tego.

Wstawiła znieczulone ramię Lindsaya w obłany gumą otwór staromodnego skanera medycznego. Zahuczały rentgeny i na ekranie pojawił się trójwymiarowy obraz złamanej ręki.

– Ładne, czyste złamanie, bez przemieszczeń – oceniła chłodno. – Wszystkim nam się to zdarza... A teraz jesteś przecież prawie jednym z nas. Chcesz, żebym cię wykaligrafowała, póki jesteś znieczulony?

– Co takiego?

– Tatuaż, obywatelu.

Zdziwił się, ale powiedział bez wahania:

– Pewnie. Śmiało.

– Od początku wiedziałam, że jesteś w porządku – powiedziała sędzina i szturchnęła go pod żebra. – Wyświadczę ci przysługę i wstrzyknę trochę sterydów. W mgnieniu oka przybędzie ci mięśni, a prez niczego się nie domyśli.

Szarpnęła delikatnie za ramię. Chrobot wyszczerbionej kości dobiegał do Lindsaya z daleka, jakby z drugiego końca teleskopu.

Sędzina zdjęła ze ściany przyczepiony na rzepy przybornik do tatuażu.

– Jaki wzór lubisz? – spytała.

– Chcę mieć wytatuowane ćmy.

\* \* \*

Historię Górniczej Demokracji Fortuny można streścić krótko. Fortuna była sporą, liczącą niemal dwieście kilometrów średnicy asteroidą, bogatą w surowce. Podekscytowani udanym znaleziskiem

górnicy czym prędzej ogłosili niepodległość.

Wszystko szło po ich myśli, dopóki mieli rudę: mogli wykupić się z politycznych tarapatów i opłacać kuracje przedłużające życie – na innych, bardziej zaawansowanych technologicznie planetach.

Kiedy surowce się wyczerpały i Fortuna zmieniła się w wydrążoną górę śmiecia, górnicy dostrzegli, że popełnili tragiczną omyłkę. Majątek rozpląnął się bez śladu, oni zaś nie starali się nadać za rozwojem techniki z desperacją, jaką wykazywały konkurencyjne kartele. Ludzie zaczęli uciekać; najlepsi, najambitniejsi pracownicy znikali, podkupieni przez zamożniejsze ośrodki. Fortuna straciła flotę kosmiczną, gdyż dezertrzy uciekli z całym sprzętem, jaki zdołali ze sobą zabrać.

Upadek postępował w tempie wykładniczym. Rząd rozpadał się na coraz mniejsze grupy twardegłowych. Fortuna pogrążyła się w długach i musiała zacząć wyprzedawać infrastrukturę przemysłową kartelom mechów; na aukcję wystawili nawet powietrze, którym oddychali. Populacja skurczyła się do garstki bezmyślnych mętów, głównie astrognid, które przybyły na Fortunę z braku lepszych perspektyw.

Nadal jednak oficjalnie sprawowali pełnię władzy jako rząd państwowy i dysponowali kompletnym aparatem wykonawczym do obsługi stosunków zagranicznych i protokołu dyplomatycznego; mogli przyznawać obywatelstwo Fortuny, bić własną monetę, wydawać listy kaperskie, podpisywać traktaty, negocjować umowy rozbrojeniowe. Zostało ich może kilkunastu, lecz nie miało to najmniejszego znaczenia. Mieli parlament podzielony na izbę niższą i senat, mieli precedensy prawne, mieli swoją ideologię.

Na nowo określili granice terytorium państwowego Fortuny jako obręb ostatniego ze swych statków kosmicznych, „Czerwonej Zgody”. Dzięki temu, dysponując przenośnym państwem, mogli dokonywać oficjalnej aneksji własności innych ludzi i włączać je w swoje granice. Nie była to kradzież; państwa nie kradną. Ten fakt prawny okazał się dla ideologów GDF wygodną wymówką. Protesty przyjmował aparat prawny Fortuny, w pełni skomputeryzowany i charakteryzujący się godną podziwu złożonością.

Nieporozumienia prawne stanowiły główne źródło dochodów pirackiego państewka, zwłaszcza że większość z nich rozstrzygano poza oficjalną jurysdykcją – w praktyce wystarczyło wręczenie łapówki, by przekonać piratów do odstąpienia od żądań. Oni jednak nade wszystko dbali o formy i szczylicili się tym, że kultywują najlepsze tradycje przeszłości.

\* \* \*

*Na pokładzie „Czerwonej Zgody”, 29. 09.'16*

– Co robisz w saunie, sekretarzu?

Lindsay uśmiechnął się niepewnie.

– Chodzi o apel do narodu – powiedział. – Wolałbym nie musieć go słuchać.

Dźwięki przemowy prezydenta rozbrzmiewały w całym statku, wnikając do sauny przez uchylony właz. W wejściu stała drobna postać – jedna z posłanek do parlamentu. Po chwili wśliznęła się do środka i zatrzasnęła ciężki właz.

– To brak patriotyzmu, sekretarzu. Jesteś tu nowy; powinieneś go wysłuchać.

– Sam mu go napisałem – powiedział Lindsay. Wiedział, że z tą kobietą powinien postępować ostrożnie. Budziła w nim niepokój; jej płynne ruchy, złowroga doskonałość rysów i ostre, nazbyt natrętne spojrzenie świadczyły o tym, że została przekształcona.

– Ech, wy kształcerze – powiedziała. – Śliscy jak węże.

– Doprawdy?

– Nie jestem kształcerką – dodała. – Popatrz na moje zęby. – Otworzyła usta, odsłaniając przekrzywione i zachodzące na siebie siekacze i kły.

– Sama to zrobiłaś – stwierdził z powątpiewaniem Lindsay.

– Urodziłam się normalnie. Nie zostałam uformowana.

Lindsay potarł blednący siniak na kości policzkowej, pozostałość po treningu. W saunie było ciasno i gorąco. Czuł zapach tej kobiety.

– To była forma okupu – przyznała. – Byłam zapłodnionym jajem, które donosiła obywatelka Fortuny. – Wzruszyła ramionami. – To prawda, sama skrzywiłam sobie zęby.

– Jesteś zatem renegatką wśród kształcerzy – stwierdził Lindsay. – To rzadkość. Robiono ci badania ilorazu?

– Inteligencji? Nie. Nie umiem czytać – rzekła z dumą. – Ale jestem pierwszą posłanką, reprezentuję większość parlamentarną. Moim mężem jest pierwszy senator.

– Serio? Nigdy mi o tym nie mówił.

Młoda kształcerką poprawiła czarną opaskę na skroniach. Miała długie rudoblond włosy upięte różowymi spinkami.

– Pobraliśmy się ze względów podatkowych. Gdyby nie to, może bym nawet ci obciągnęła, sekretarzu. Przystojny jesteś. – Podpłynęła bliżej. – Zwłaszcza teraz, jak złamanie się zagoiło. – Przesunęła palcem po liniach tatuażu na nadgarstku Lindsaya.

– Wkrótce czeka nas karnawał.

– Karnawał się nie liczy – powiedziała. – Nie poznałbyś mnie po nafaszerowaniu się afrodyzjakami.

– Do randki jeszcze trzy miesiące – zauważył Lindsay. – Czyli mogę trzy razy zgadywać.

– Widziałeś karnawał; wiesz, jak to jest, jak się człowiek napruje. Przystajesz być sobą. Stajesz się kupą miecha.

– Mógłbym cię jeszcze zaskoczyć – rzekł Lindsay i spojrzał jej w oczy.

– Jeżeli tak się stanie, zabiję cię, sekretarzu. Cudzołóstwo jest przestępstwem.

\* \* \*

*Na pokładzie „Czerwonej Zgody”, 13. 10.'16*

Jeden z zamieszkujących statek karaluchów obudził Lindsaya, próbując wyskubać mu rzęsy. Lindsay zrzucił go z twarzy ze wstrętem.

Sypiał nago, tylko w osłonie na krocze. Wszyscy mężczyźni je nosili, bo zapobiegały swobodnemu majtaniu się genitaliów w stanie nieważkości. Z czerwono-srebrnego skafandra strząsnął jeszcze jednego robaka, który pożywiał się złuszczonego martwym naskórkiem.

Ubrał się i rozejrzał po salce gimnastycznej. Dwoje senatorów wciąż spało. Skuleni w pozycji płodowej mieli stopy przypięte rzepami do ścian. Karaluch spijał pot z szyi kobiety.

Gdyby nie robactwo, „Czerwona Zgoda” udusiłaby się w końcu w pleśniejących resztkach naskórka i nawarstwiających się osadach substancji organicznych, wydechanych i wypacanych przez załogę. Lizyna, alanina, metionina, mocznik, kwas mlekowy, feromony – nad ludzkimi ciałami dniem i nocą unosił się równy strumień organicznych oparów. Karaluchy stanowiły więc niezwykle istotny składnik ekosystemu statku.

Gnieździły się w pojazdach kosmicznych niemal od początku; zawsze okazywały się zbyt odporne i za łatwo przystosowywały się do nowych warunków, żeby udało się je wyplenić, a teraz były przynajmniej należycie wyszkolone. Nauczyły się żyć w zgodzie z ludźmi, posłuszne chemicznym przynętom drugiego postła. Jednakże Lindsay nienawidził karaluchów i nie potrafił obserwować ich krzątaniny, skoków i lotów w nieważkości bez dreszczyku obrzydzenia i głębokiego przekonania, że powinien znajdować się zupełnie gdzie indziej. Gdziekolwiek.

Krętym lotem pokonał zapory z włókien ciśnieniowych dzielące pokłady: plastikowe drzwi zmieniały się w luźne pasma, gdy się do nich zbliżał, po czym scalały i uszczelniały na powrót, kiedy znalazł się po drugiej stronie. Były cienusieńkie, ale hermetyczne i pod naciskiem twarde jak stal. I były dziełem kształcerzy – kradzionym, jak Lindsay przypuszczał.

Na mostku zastał większość załogi. Prezydent, dwoje posłów i trzeci sędzia mieli na twarzach gogle wizyjne i oglądali propagandową audycję kształcerską.

Pierwszy sędzia siedział przypięty pasami do fotela przy sięgającej mu piersi konsoli i sterował automatyczną sondą odbiorczą. Był najstarszym członkiem załogi. Nigdy nie uczestniczył w karnawale – ten fakt, w połączeniu z podeszłym wiekiem i powagą sprawowanego urzędu, czynił zeń bezstronnego arbitra w sporach między obywatelami Fortuny.

– Co słychać? – zapytał głośno Lindsay, przysuwając usta do słuchawek na uszach sędziego.

– Oblężenie trwa – odparł mechanista bez wyraźnej satysfakcji. – Kształcerze się trzymają. – Sędzia zagapił się oczyma bez wyrazu w przestrzeń. – Przechwalają się zwycięstwem w Związku.

Na mostku pojawiła się druga sędzina.

– Komu ketaminy? – zapytała.

Pierwsza posłanka zdjęła gogle.

– Dobra jest?

– Prosto z chromatografu. Sama ją przyrządziłam.

– Za moich czasów Związek był prawdziwą potęgą – powiedział pierwszy sędzia; nie zdjął słuchawek, więc nie słyszał wymiany zdań między kobietami, a coś w transmisji, której słuchał, poruszyło w nim odwieczne, głęboko ukryte pokłady żalu. – Całym cywilizowanym światem.

Kobiety jak zwykle go zignorowały, podnosząc tylko głos.

– Za ile? – spytała posłanka.

– Czterdzieści tysięcy za gram?

– Czterdzieści tysięcy? Mogę dać dwadzieścia.

– Daj spokój, dziewczyno, zdarłaś ze mnie dwie dychy za zrobienie paznokci.

Lindsay jednym uchem przysłuchiwał się tej rozmowie, zastanawiając się, czy mógłby się wtrącić. W GDF wciąż funkcjonowały banki i choć szalała niebotyczna inflacja, waluta pozostawała w obiegu jako jedyny legalny środek płatniczy jedenaściorga miliardów. Niestety, Lindsay, mający najkrótszy staż, miał najwięcej długów.

– Mare Serenitatis – ciągnął sędzia. – Republika Korporacyjna. – Wbił w Lindsaya spojrzenie szarych oczu. – Podobno dla nich pracowałeś.

Lindsay nie posiadał się ze zdumienia. Wedle niepisanej umowy obowiązującej na „Czerwonej Zgodzie”, nigdy nie rozmawiano o przeszłości. Twarz starego mecha, przypominająca dobrze dopasowaną maskę, rozjaśniła się pod wpływem wspomnień.

– Bardzo krótko – skłamał Lindsay. – Nie znam dobrze okołoksiężcówek.

– Urodziłem się tam.

Pierwsza posłanka obrzuciła starca zaniepokojonym spojrzeniem.

– Niech będzie, czterdzieści tysięcy – powiedziała i razem z sędziną udały się do laboratorium.

Prezydent zdjął okulary, posłał Lindsayowi sardoniczny uśmiech i z rozmysłem podkreślił głośność w słuchawkach. Pozostała dwójka, czyli drugi poseł i siwowłósy trzeci sędzia, nie zwracali w ogóle uwagi na to, co się dzieje.

– Za moich czasów w Republice obowiązywał system – rzekł stary mechanista. – Najważniejsze były rody polityczne: Tylerowie, Kellandowie, Lindsayowie. Dalej mieliśmy podklasę uchodźców, przyjętych do Republiki na krótko przed ogłoszeniem interdyktu z Ziemią. Nazywaliśmy ich plebejuszami. Na samym końcu odlecieli z planety, tuż przed tym, jak wszystko się rozpadło. Byli goli; my mieliśmy kieszenie pełne kilowatów i luksusowe dwory, a oni – plastikowe slumsy.

– Pochodzi pan z arystokracji? – zapytał Lindsay, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

– Jabłka... – westchnął smutno mech, w jego głosie pobrzmiwała głęboka tęsknota. – Jadłeś kiedyś jabłko? To owoc pewnej rośliny.

– Chyba tak.

– Ptaki. Parki. Trawa. Chmury. Drzewa. – Proteza prawej ręki mężczyzny zahuczała cicho, gdy jednym palcem strząsnął karalucha z konsoli. – Wiedziałem, że to się źle skończy, cała ta sprawa z plebem... Napisałem nawet sztukę na ten temat.

– Sztukę? Teatralną? Jaki miała tytuł?

W oczach starca pojawił się cień zaskoczenia. – „Pożoga” – odparł.

– Nazywa się pan Evan James Tyler Kelland – rzekł Lindsay. – Ja... Widziałem pańską sztukę. W archiwum.

Evan Kelland był jego prawujem, ciemnym, ograniczonym radykałem, którego sztuka, będąca wyrazem protestu społecznego, przeleżała całe lata zapomniana i dopiero Lindsay ją odkrył, szukając w Muzeum broni. Zaaranżował nawet jej powrót na scenę, żeby rozdrażnić Starych Radykałów. Ludzie, którzy wygnali Kellanda z Republiki, nadal po stu latach stali u władzy, podpierając się mechanistyczną technologią. A potem, w stosownym czasie, pozbyli się i Lindsaya.

Teraz zaś, jak sobie nagle uświadomił, zbratali się z kartelami. Constantine, spadkobierca plebejuszy, dobił targu z druciarzami i dla arystokracji przyszedł wreszcie czas zapłaty, tak jak Kelland to przewidywał. Rzecz tylko w tym, że Lindsay i stary sędzia zapłacili przedwcześnie.

– Wystawiłeś moją sztukę – powiedział Kelland. Podejrzliwość zmieniła bruzdy na jego twarzy w głębokie rozpadliny. Spuścił wzrok; w jego oczach malował się ból i niejasne upokorzenie. – Powinieneś być poprosić mnie o zgodę.

– Przepraszam – rzekł Lindsay i z nowym lękiem spojrzał na mechaniczne ramię kuzyna. – Nie wracajmy do tej rozmowy.

– Tak będzie najlepiej – przyznał Kelland. Podkreślił głośność w słuchawkach; sprawiał wrażenie, że jeszcze chwila, a przestanie panować nad wzburzeniem.

Lindsay przeniósł wzrok na pozostałych, którzy woleli pozostać ślepi, kryjąc się za goglami. Nic się nie wydarzyło.

\* \* \*

*Na pokładzie „Czerwonej Zgody”, 27. 10.'16*

– Masz kłopoty ze snem, obywatelu? – spytała druga sędzina. – Sterydy rozpychają się pod skórą, co? Nie pozwalają spać? To się da naprawić. – Odsłoniła w uśmiechu trzy stare, odbarwione zęby, tkwiące w stelażu pełnym lśniącej porcelany.

– Byłbym wdzięczny – przyznał Lindsay, z trudem zachowując ugrzeczniony ton. Po sterydach jego



ręce pokryły się węzłami mięśni, konstelacje sińców z treningów jujutsu zniknęły i zdarzały mu się gwałtowne napady złości. Źle sypiał, właściwie tylko drzemał.

Kiedy tak patrzył podkrążonymi oczyma na lekarkę, przyszła mu na myśl jego była żona. Alexandra Lindsay odznaczała się tą samą precyzją ruchów, miała identycznie pergaminową skórę i podobne, zdradzające wiek zmarszczki wokół stawów palców. Oszłomiła go wywołana wspomnieniami fala podniecenia.

– To powinno wystarczyć – powiedziała druga sędzina, napełniając strzykawkę mętną cieczą z fiołki z plastikowym zamknięciem. – Wzmacniacz fazy REM, aktywator serotoninowy, środek rozluźniający mięśnie i szczypta mnemoników, żeby uwolnić dręczące podświadomość wspomnienia. Sama cały czas używam tej mieszanki; jest znakomita. Jak będziesz nieprzytomny, wykaligrafuję ci drugą rękę.

– Jeszcze nie teraz – powiedział Lindsay przez zaciśnięte zęby. – Wciąż nie zdecydowałem, co chciałbym na niej mieć.

Sędzina z wyrazem rozczarowania na twarzy odwiesiła przybornik do tatuażu. Lindsayowi przyszło na myśl, że ta kobieta żyje igłami, oddycha igłami i prawdopodobnie żywi się nimi.

– Nie podoba ci się moje dzieło? – zapytała.

Spojrzał na prawą rękę. Kości zrosły się bez śladu, ale przybyło mu tyle mięśni, że rysunki zupełnie się zdeformowały. Węże dwuosioowych kabli z oczyma w kształcie monitorów, białe czaszki z płaskimi skrzydłami baterii słonecznych, sztylety oplecione piorunami... I wszędzie pośród nich, między nimi, nad i pod nimi stada białych ciem. W skórę od nadgarstka po biceps wsącżyło się tyle tuszu, że ramię było zimne w dotyku i nie wydzielalo potu.

– Świetna robota – rzekł Lindsay, gdy strzykawka wbiła się w pusty oczodół jednej z czaszek. – Ale zaczekajmy z resztą, aż przestaną mi puchnąć mięśnie. Dobrze, obywatelko?

– Kolorowych snów – odparła.

\* \* \*

Nocą Republika była w pełni, naprawdę sobą. Zachowawcy woleli noc od dnia, bo wtedy starsi udawali się na spoczynek i przymykali wiecznie czujne oczy. Prawdy ukryte w świetle dnia odsłaniały się w oślepiających reflektorach prześwietlających noc. Energia elektryczna, gromadzona przez baterie słoneczne, stanowiła walutę Republiki. Jedynie najbogatsi mogli sobie pozwolić na to, by trwonić fortunę.

Z prawej strony, przy północnym końcu cylindrycznego świata, szpitale zalewały okolicę powodzią blasku. W umieszczonych w pobliżu osi cylindra klinikach, w warunkach bliskich nieważkości, spoczywały kruche kości Starych Radykałów. Fontanny światła tryskały z odległych okien i lądowisk niczym rozmazana, fałszywa Droga Mleczna dla bogaczy.

Nagle Lindsay znalazł się za tymi oknami, w sterylnym apartamencie swojego pradziadka. Stary mechanista unosił się w powietrzu, we wzbogaconej w tlen atmosferze, opleciony pajęczyną przewodów aparatury podtrzymującej życie. Oczy miał podłączone bezpośrednio do kamer wideo.

– Wyjeżdżam, dziadku – powiedział Lindsay.

Starzec podniósł powykrzywianą reumatyzmem rękę, a jego dłoń zafalowała i zmieniła się w rój opatrzonych igłami rurek, które rzuciły się na Lindsaya. Lgnęły do jego skóry, kłuły, wysysały. Otworzył usta do krzyku...

Światła były daleko. Szedł po wielokrotnie łątanym, szklanym panelu słonecznym, aż dotarł do panelu uprawnego. Wiatr przyniósł słabą, kwaśną woń: zbliżał się do Gnilca.

Jego buty szeleściły, kiedy deptał genetycznie zmienioną drutotrawę na skraju mokradeł. Ukryte w poszyciu świerszcze cykały miarowo; jakieś okryte chitynowym pancerzem zwierzę wielkości szczura uciekło w popłochu.

Wiatr zawiał silniej i poły namiotu Constantine'a załopotwały donośnie w mroku. Umieszczone przy wejściu świetliste kule na drągach emanowały żółtawym, bioluminescencyjnym blaskiem.

Rozłożysty namiot Constantine'a wyróżniał się na porośniętym drutotrawą pograniczu; na północ od niego leżał Gnilec, z drugiej strony – żyzne pola. Na ziemi niczyjej, gdzie Philip wydał walkę zarazie, szeleściły i skrzypiały skrzydełkami nowe wytwory jego laboratoriów.

Ze środka dobiegł głos Constantine'a, na wpeł zdławiony szlochem.

– Philipie! – rzekł Lindsay i wszedł do namiotu.

Constantine siedział na drewnianej ławie przy długim metalowym stole badawczym, zastawionym kształcierskim szkłem laboratoryjnym. Steláže obwieszane okazami badanych owadów stały wszędzie dookoła niczym regały na książki. Kule na smukłych, giętkich wspornikach dawały słabe żółte światło.

Zgarbiwszy chłopięce ramiona pod kitlem, Constantine wyglądał niepozornie. Miał okrągłe, przekrwione oczy i zmierzwione włosy.

– Vera splonęła – powiedział. Zadrżał i ukrył twarz w dłoniach. Lindsay objął go kościstym ramieniem.

Siedzieli obok siebie, tak jak robili często, dawno, dawno temu. Przerzucali się żartami w swoim na wpeł tajnym żargonie, opartym na slangu Rady Pierścieni, przekazując sobie na zmianę inhalator. Śmiali się wspólnie, cicho, niczym konspiratorzy; byli młodzi, łamali wszystkie zasady, a po kilku dłuższych wdechach stawali się wspanialszy i mądrzejszy od wszystkich ludzi. Nikt nie mógłby nawet marzyć, że im dorówna. Constantine śmiał się radośnie, a jego usta były pełne krwi.

Lindsay otrząsnął się ze snu, otworzył oczy i rozejrzał po lazarecie na pokładzie „Czerwonej Zgody”. Zaraz jednak zapadł ponownie w sen.

Policzki miał mokre od łez. Nie wiedział, od jak dawna tak siedzą i pochlipują wspólnie z Constantine'em; chyba już bardzo długo.

– Czy możemy tu swobodnie rozmawiać, Philipie?

– Nie potrzebują tu szpiegów i tajnej policji – odparł gorzko Constantine. – Po to mamy żony.

– Przykro mi z powodu tego, co zaszło między nami, Philipie.

– Vera nie żyje – rzekł Constantine i zamknął oczy. – Ty i ja to zrobiliśmy; przygotowaliśmy jej śmierć. Wspólnie ponosimy za nią winę. Znamy już swoją moc i odkryliśmy dzielące nas różnice.

Otarł oczy okrągłym płatkami papierowego filtru.

– Okłamałem ich – powiedział Lindsay. – Powiedziałem, że mój wuj zmarł na atak serca. Oficjalne śledztwo tyle właśnie wykazało, więc pozwoliłem im tak myśleć, żeby cię kryć. Ty go zabiłeś, Philipie, chociaż chciałeś zabić mnie. Po prostu wuj przypadkiem wpadł w twoją pułapkę.

– Rozmawiałem o tym z Verą – rzekł Constantine. – Przypuszczała, że nie zdołasz dotrzeć przysięgi. Znała twoje słabości, ja też je znałem. Wyhodowałem te ćmy; miały żądła i jad. Rewolucja potrzebuje broni. Dałem Verze feromony, które miały doprowadzić ćmy do szału. Chętnie je ode mnie przyjęła.

– Nie ufaliście mi – stwierdził Lindsay.

– Przecież przeżyłeś.

Tym razem Lindsay nic nie powiedział.

– Popatrz tylko! – krzyknął Constantine i ściągnął rękawicę. Oliwkowy naskórek dłoni łuszczył mu się, jakby Philip był gadem i zmieniał skórę. – To wirus. Nieśmiertelność na modłę kształcerczy,

wyływająca bezpośrednio z komórek, bez pośrednictwa mechanistycznych protez. Ja już dokonałem wyboru, kuzynie. – Chwycił w palce elastyczny strzęp skóry. – Vera wybrała ciebie, nie mnie. Będę żył wiecznie i w nosie mam ciebie i twoje humanistyczne komunały. Ludzkość jest martwa, kuzynie; nie ma już duszy, tylko stany umysłu. Jeżeli uważasz, że możesz temu zaprzeczyć, proszę bardzo. – Podał Lindsayowi skalpel. – Udowodnij, że nie rzucałeś słów na wiatr. Pokaż, że lepiej być martwym i zachować człowieczeństwo.

Lindsay spojrział na swoją dłoń. Trzymał w niej nóż. Przeniósł wzrok na gardło Constantine'a. Wzniósł ostrze nad głowę, wycelował i krzyknął.

W tym momencie się obudził. Był w lazarecie na statku. Druga sędzina, ze wzrokiem zamglonym narkotykami, wodziła żyłastą dłonią po wewnętrznej stronie jego uda.

\* \* \*

*Na pokładzie „Czerwonej Zgody”, 20. 11.'16*

Trzeci poseł, zwany też w skrócie pos 3, był krępy, wiecznie uśmiechniętym młodym człowiekiem o nosie pokrytym bliznami i krótko przyciętych włosach koloru piasku.

Podobnie jak większość specjalistów od technologii EVA, wykazywał fanatyczne wręcz uwielbienie dla otwartego kosmosu i większość czasu spędzał na zewnątrz statku, pozwalając się holować na kilometrowej długości linie. Gwiazdy przemawiały do niego, Słońce było mu przyjacielem. Nigdy, nawet na pokładzie „Czerwonej Zgody”, nie zdejmował skafandra próżniowego, toteż po ściągnięciu hełmu przez uchylony kołnierz buchała szczypiąca w oczy fala wielokrotnie sfermentowanej woni jego ciała.

– Zamierzam wysłać sondę – powiedział do Lindsaya, kiedy razem zasiedli do posiłku na mostku. – Możesz się do niej podpiąć ze statku. To będzie prawie tak, jakbyś znalazł się na zewnątrz.

Lindsay odstawił pusty pojemnik po zielonej paście. Sonda planetarna pochodziła z zamierzchłych czasów, kiedyś dawno ściągnięto ją z jakiejś zapomnianej orbity, ale teleskopy i anteny mikrofalowe miała wciąż sprawne, mogła więc przekazywać sygnały. Wypuszczona na światłowodowym kablu, mierzącym kilkaset kilometrów, odbierała transmisje w głębokim kosmosie i oszukiwała radary wroga, zakłócając im odbiór.

– Oczywiście, obywatelu – rzekł Lindsay. – Co mi szkodzi.

Pos 3 z zapalem pokiwał głową.

– To będzie coś pięknego, sekretarzu. Poczujesz, jak mózg rozciąga ci się w nieskończoność i robi się cieniutki jak druga skóra.

– Nie zamierzam nic łykać – zastrzegł się Lindsay.

– Nie wolno brać żadnych prochów – powiedział pos 3. – Bo Słońce nie zechce z tobą rozmawiać.

Wziął do ręki leżące na konsoli gogle wideo i dopasował Lindsayowi do głowy. Zamontowany w nich maleńki układ wideofoniczny wyświetlał obrazy wprost na siatkówce oka. Sonda na razie była nieaktywna, toteż Lindsayowi migaly przed oczyma tylko tajemnicze rzędkie niebieskich, alfanumerycznych symboli, przebiegające u dołu pola widzenia.

– Na razie wszystko gra – powiedział.

Zaraz potem usłyszał stukot klawiatury, kiedy trzeci poseł włączał sondę, a później cały statek zatrzęsł się łagodnie, gdy automat oderwał się od kadłuba. Po odgłosie Lindsay poznał, że jego przewodnik również zakłada gogle i oczyma kamer sondy pierwszy raz ujrzał „Czerwoną Zgodę” od zewnątrz.

Wyglądała niechlujnie, jak żałosna prowizorka. Stare silniki zostały wyrwane z rufy i zastąpione improwizowanym tunelem abordażowym – długą, harmonijkową, elastyczną rurą opatrzoną na końcu żełbiskami przerobionego świdra górniczego. Nowy kulisty silnik, jeden ze staromodnych kształcerskich SEPS-ów elektromagnetycznych, przyspawano do kadłuba na czterech długich wspornikach. Stwarzał ryzyko poparzenia mikrofalami, toteż umieszczono go jak najdalej od kabin załogowych. Owinięte folią przewody sterujące niczym węże oplatały wsporniki, topornie przyśrubowane do pokładu rufowego.

Pod wspornikami przycupnął nieruchomy korpus robota górniczego. Ujrzawszy go, Lindsay natychmiast zdał sobie sprawę, jak groźną bronią mógł się stać; szeroko rozpostarte, ostre jak brzytwa pazury rozdarłyby kadłub statku niczym cienką folię.

Do zewnętrznej powłoki statku przywarł jeszcze jeden automat: podwieszana, ruchoma rakieta manewrowa. Na starym, skorodowanym kadłubie nie brakowało śladów po jej magnetycznych zaczepach – dzięki temu, że mogła przenosić się z miejsca na miejsce, spełniała wszystkie funkcje silnika hamującego.

Na wysokości trzeciego pokładu, zajętego przez system podtrzymywania życia, znajdowała się jedna wielka płatanina opasyłych rur wentylacyjnych i przewodów hydraulicznych; niektóre były tak wiekowe, że izolacja się na nich postrzępiła i zwisała nieważkimi serpentynami.

– Nic się nie martw, tych już nie używamy – zapewnił go lekceważącym tonem pos 3.

Cztery połączone panele słoneczne rozpościerały się poziomo z czwartego pokładu – miedziana kratownica wypełniona lśniącymi płacami czarnego krzemu. Paskudna lufa działa molekularnego wychylała się dyskretnie zza krzywizny kadłuba.

– Małe gwiazdne państwko pod okiem Słońca – powiedział poseł i okręcił sondę wokół osi, tak że przez moment Lindsay widział łączący ją z kadłubem światłowód.

Po chwili kamery zogniskowały się na osprzęcie żagla słonecznego. Na dziobie znajdował się schowek, w tej chwili pusty – dziewiętnaście ton metalicznej tkaniny, reagującej na ciśnienie światła, rozpościerało się dwukilometrowej rozpiętości łukiem. Na zbliżeniu Lindsay dostrzegł, że żagiel jest bardzo stary. W wielu miejscach pokrywały go zmarszczki i cały był podziurawiony mikrometeoritami.

– Prez mówi, że jak będzie nas stać, kupimy sobie rozpylacz monowarstwowy. Wyruszymy na żaglu ogromną czaszkę i dwa skrzyżowane pioruny – dorzucił trzeci poseł.

– Świetny pomysł – przyznał Lindsay. Sterydy przestały działać i zrobił się bardzo tolerancyjny.

– Polecę dalej – powiedział pos 3, znów rozległ się terkot klawiatury i nagle sonda z przerażającą szybkością pomknęła w czarną otchłań. W kilka sekund „Czerwona Zgoda” skurczyła się do rozmiarów napałka na obrusie żagla słonecznego. Lindsay poczuł mdłości i zawrót głowy, wbił więc kurczowo palce w konsolę i zacisnął spazmatycznie powieki. Kiedy znów je otworzył, rozpościerała się przed nim panorama głębokiego kosmosu.

– Droga Mleczna – poinformował go przewodnik. Olbrzymi łuk bieli przesłaniał im pół pola widzenia. Lindsay stracił poczucie perspektywy. Zdawało mu się przez chwilę, że miliardy lśniących punkcików na skraju Galaktyki napierają mu bezlitośnie na oczy. Znów spuścił powieki, głęboko wdzięczny, że naprawdę nie znalazł się na zewnątrz statku.

– Stamtąd przybędą obcy – powiedział pos 3.

Lindsay otworzył oczy. To tylko ogromna bańka, powtarzał sobie, bańka, na której wymalowano mrowie białych kropeczek. A ja znajduję się w jej środku... W końcu udało mu się ustabilizować obraz.

– Jacy obcy?

– Obcy, sekretarzu. – Trzeci poseł sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego. – Przecież wiesz, że istnieją.

– No jasne.

– Chcesz zobaczyć Słońce? Może coś nam powie.

– A może Marsa? – zaproponował Lindsay.

– Nie warto, jest teraz w opozycji. Chociaż możemy spróbować z asteroidami. Sprawdzę ekliptykę.

Na chwilę zapadła cisza, wypełniana tylko łagodną muzyką aparatury na mostku. Gwiazdy się obracały; Lindsay przypomniał sobie o *haragei* i poczuł obrót sondy jako delikatny ruch wokół jego własnego środka ciężkości. Ciężki trening procentował – Lindsay czuł się pewnie, stabilnie, bezpiecznie. Oddychał głęboko, przeponą.

– Mamy jedną – oznajmił pos 3.

Daleki punkcik świetlny ustawił się w centrum ich pola widzenia, po czym zaczął puchnąć i rozrastać się w podłużną plamę. Kiedy dorównała wielkością palcowi u ręki, jej brzegi rozmyły się, stały nieostre. Poseł włączył korektę komputerową i ich oczom ukazał się podobny do kielbaski cylinder rozświetlony fałszywymi, bitowymi barwami.

– To wabik – stwierdził pos 3.

– Tak sądzisz?

– Pewnie, widywałem już takie. Kształcerska robota. Powłoka polimerowa, jak w balonie. Hermetyczna, więc ktoś może siedzieć w środku.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Są ich tysiące.

Poseł mówił prawdę. Kształcerscy uzurpatorzy od lat produkowali wabiki na leżących w obrębie Pasa asteroidach. Polimerowa kapsuła mogła swobodnie pomieścić ekipę szpiegów informacyjnych, porywaczy sond czy deztererów. Przyszłe mechanistyczne astrognidy kryły się w wabikach przed policją, a kształcerscy spece od deszyfracji podsłuchiwali stamtąd transmisje w obrębie karteli.

Strategia sprowadzała się do przeciążenia mechanistycznych systemów tropiących samą liczbą potencjalnych kryjówek. Na początku wojny o Pas kształcerze wystąpili ostro przeciw mechom i do tej pory na tyłach wroga działały odosobnione grupy ich agentów. Przenosili się z jednej komórki do drugiej, podczas gdy oblężenie Rady Pierścieni ciągle trwało. Wiele wabików wyposażono w propagandowe nadajniki, inne miały wykrywacze wiatru słonecznego, dzięki którym mogły zmieniać trajektorię lotu, jeszcze inne zaś potrafiły okresowo kurczyć się i nadymać, na przemian ginąc z radarów i pojawiając się na nich. Taniej było je produkować, niż tropić i niszczyć, co dawało kształcerzom finansową przewagę.

Placówką, którą miała ostrzelać „Czerwona Zgoda”, był właśnie ośrodek ich produkcji.

– W czasie pokoju wystarczy zebrać kilkanaście takich kapsuł – wyjaśnił Lindsayowi poseł – połączyć je rurami komunikacyjnymi i ma się gotową, taną stację państwową.

– A czy kiedyś zapanuje tu pokój?

Ściany buczały cicho, gdy „Czerwona Zgoda” obracała się spokojnie.

– Kiedy przybędą obcy – rzekł trzeci poseł.

\* \* \*

Na pokładzie „Czerwonej Zgody” 30. 11.'16

Cwiczyli w salce gimnastycznej.

– Wystarczy na dzisiaj – oznajmił prezydent. – Świetnie się prezentujecie. Nawet nasz sekretarz stanu przyswoił sobie podstawy.

Troje posłów odpowiedziało mu śmiechem i zdjęło hełmy. Lindsay pstryknął w uszczelkę i również ściągnął hełm; symulowana walka była długa. W skafandrze ukrył wkład z wazopresyną do inhalatora. Wiedział, co ma się teraz zdarzyć, i zdawał sobie sprawę, że będzie musiał w pełni wykorzystać swoje kształcerskie umiejętności, ale opary działały trochę zbyt silnie. Kręciło mu się w głowie i bolał go pęcherz.

– Zaczerwieniłeś się, sekretarzu – rzekł prezydent. – Zmęczony?

– To przez to powietrze w kombinezonie – skłamał Lindsay. Własne słowa dudniły mu donośnie w uszach. – Za dużo tlenu.

Wazopresyna rozszerzała mu podskórne naczynia krwionośne.

Pierwsza posłanka parsknęła śmiechem.

– Sekretarz stanu to cienias.

– Spocznij, obywatele – powiedział prezydent. – Mam coś do załatwienia z sekretarzem.

Posłowie – poza trzecim – w mgnieniu oka wyszli z kombinezonów przez podkówkowaty otwór w kroku i na udach. Zaraz potem opuścili salkę gimnastyczną.

Zostali tylko Lindsay z prezydentem. Lindsay wysunął stopy z ciężkich, magnetycznych buciorów. Strząsnął skafander z ramion i ściągnął go przez głowę, w ostatniej chwili przyciskając trzymaną w ręku strzykawkę. Igła wbiła mu się głęboko w nasadę dłoni. Wyrwał ją i pozwolił strzykawce opaść do wnętrza rękawicy.

Nie zapinając skafandra, wziął go pod pachę. Nikt nie będzie w nim grzebał, kiedy zostawi go do wywietrzenia. Kombinezon należał do Lindsaya; wyróżniały go naszywki dyplomaty GDF na barkach. Wśliznął się w ślad za prezydentem na wyższy pokład i odwiesił strój na stojak.

Znaleźli się sami w „schowku na szczotki”. Prezydent był wyraźnie zdenerwowany.

– Jesteś gotów, żołnierzu? Dobrze się czujesz? To znaczy – pod względem ideologicznym?

– Tak jest – odparł Lindsay. – Podjąłem już decyzję.

– W takim razie chodź ze mną.

Pokonali jeszcze dwa pokłady i trafili na mostek. Prezydent precyzyjnie przycisnął się głową naprzód przez wąską zbrojownię i wpłynął do kabiny, z której kierowało się ogniem.

Lindsay podążał za nim. Krew pulsowała mu rytmicznie pod czaszką, rozszerzone naczynia dudniły miarowo. Wziął głęboki wdech i stopami naprzód wśliznął się do kabiny. Natychmiast znalazł się w mrocznym królestwie paranoi.

– Gotów?

– Tak jest – powiedział Lindsay. Wolno poprzypinał się pasami do metalowego fotela. Złowrogie zabytkowe działo robiło ogromne wrażenie. Poczul nagły przebłysk intuicji, mrozącą krew w żyłach pewność, że lufa działa jest wycelowana prosto w jego żołądek; jeżeli pociągnie za spust, strzał rozerwie go na strzępy.

Pamiętał wszystkie procedury, jakby wypisano mu je bezpośrednio na powierzchni mózgu. Przejechał dłonią po matowoczarnej powierzchni panelu sterowania i pstryknięciem przełącznika uruchomił zasilanie. Stłumiona muzyka mostka zabrzmiała oktawę niżej, kiedy działo zaczęło pobierać energię. Na niesamowitym błękitnym ekranie celowniczym złowieszczą rozbłysły czerwone punkciki i rzędy cyfr.

Lindsay przeniósł wzrok dalej, poza ekran, gdzie żebrowana lufa lśniła oleistą poświatą. Okalające ją grube żebra były w istocie nadprzewodzącymi elektromagnesami, z których niczym

jelita wylewały się sploty okrytych folią przewodów zasilających – pornografia śmierci, degradacja ludzkiego geniuszu do poziomu samobójstwa gatunku.

Kolejnym przełącznikiem Lindsay uzbroił działo. Zerwał pierwszy bezpiecznik i wsunął prawą rękę w znajdującą się pod nim pustą przestrzeń. Zaciśnął palce na szorstkim plastikowym uchwycie i kciukiem przesunął kolejny wyłącznik. Broń ożyła z cichym buczeniem.

– Wszyscy musimy to robić – powiedział prezydent. – Nie może być tak, że ten obowiązek spoczywa na barkach tylko jednej osoby.

– Rozumiem, panie prezydencie. – Lindsay ćwiczył już wcześniej tę kwestię. Działo nie zostało wymierzone w żaden konkretny obiekt; celowało w pustkę poza płaszczyzną ekliptyki. Nikomu nie stanie się krzywda.

Wystarczyłoby, że pociągnie za spust, ale nie był do tego zdolny.

– Wszyscy tego nienawidzimy – uspokajał go prezydent. – Na co dzień broń jest opieczętowana, ale musimy ją mieć. Nigdy nie wiadomo, co się przydarzy w czasie kolejnego lotu. Może trafimy wielką wygraną, która pozwoli nam wkupić się w łaski kartelu i znów stać się państwem. Wtedy to monstrum pójdzie na złom.

– Tak jest.

To nie było coś, z czym Lindsay mógł się zmierzyć otwarcie, co mógłby spokojnie przemyśleć. Sekret krył się znacznie głębiej, niczym w samych podwalinach wszechświata.

Świat mógł eksplodować. Wokół niewielkiego statku rozciągała się bezlitosna, absolutna ciemność, śmiertelna nicość nagiego kosmosu. W starych światach okołoksiężycowych, w nowoczesnych kartelach mechów, w Radzie Pierścieni, a nawet w najodleglejszych przyczółkach górniczych na kometach i w rozżarzonych hutach na orbicie poniżej Merkurego każda rozumna istota miała tę świadomość. Zbyt wiele pokoleń żyło i umierało w cieniu katastrofy, który od dzieciństwa sączył się w duszę każdego człowieka.

Kolonie mieszkalne były święte, nietykalne ze względu na swą delikatność, która zresztą miała charakter uniwersalny; jeżeli zniszczono by choć jedno z takich sztucznych osiedli, nikt nigdzie nie mógłby już poczuć się bezpiecznie. W totalnej wojnie wszystkie światy spłonęłyby niczym tysiącokrotne piekło.

Nigdy nie istniało coś takiego jak prawdziwe bezpieczeństwo. Świat można było zabić na setki sposobów: ogień, ładunek wybuchowy, trucizna, sabotaż... Nieustanna czujność, obowiązująca wszystkie zamknięte społeczności, jedynie zmniejszała ryzyko, każdy bowiem mógł stać się siewcą zagłady. Wszyscy dzielili odpowiedzialność; widmo destrukcji ukształtowało moralny paradygmat wszystkich światów i ideologii.

Los człowieka w kosmosie nie należał do najprzyjemniejszych; wszechświat Lindsaya nie był wcale nieskomplikowany. Zdarzały się epidemie samobójstw, toczono bezlitosne walki o władzę, pieniły się okrutne uprzedzenia technologiczno-rasowe, uciskano i krzywdzono całe narody.

Jednakże wciąż udawało się uniknąć ostatecznego obłędu. Trwała wojna, to prawda; małe oddziały wpadały w zasadzki, ginęły statki, zagarniano obozy górnicze, mordując ich nielicznych mieszkańców. Konflikty wybuchały nieustannie na styku stref wpływów dwóch supermocarstw – kształcerskiego i mechanistycznego – ale ludzkość trwała i miała się świetnie.

I na tym polegał jej największy triumf. W głębi ludzkich umysłów, na tym samym poziomie, na którym krył się wieczny strach, znajdowały się pokłady silniejszej od niego nadziei i pewności siebie. Wszyscy dzielili ten triumf, tak fundamentalny i bezdyskusyjny, że stopniowo o nim zapomniano, spychając go do głębokich pokładów podświadomości.

Tymczasem piraci – jak na piratów przystało – dysponowali bronią masowej zagłady, zabytkowym

orężem pochodzącym z ery lunarnej, kiedy to człowiek pierwszy raz dobrał się do fizycznej puszki Pandory. Niewiarygodne rodzaje broni rozpleniły się po całej Ziemi niczym plamy po wylewach w mózgu paralityka.

– W zeszłym tygodniu sam z niego strzelałem – rzekł prezydent. – Dzięki temu wiem, że służby bezpieczeństwa Zaibatsu nie założyły w nim pułapki. Niektóre kartele mają to w zwyczaju: przechwytyją statek patrolowy cztery tysiące kilometrów od swych granic, odłączają ci broń, a potem wstawiają w obwody własny chip z opóźnionym zapłonem. Naciskasz spust, moduł wybucha i uwalnia chmurę gazu paralizującego... Nieważne. Jeśli w walce pociągniesz za spust, to i tak jesteś martwy, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Kształcerze, których atakujemy, dysponują isticie apokaliptyczną bronią, a my musimy im dorównać. Mieć to, co oni mają, zrobić to, do czego oni są zdolni. Tak wygląda wojna jądrowa, żołnierzu. Jeśli postąpilibyśmy inaczej, może w ogóle byśmy nie rozmawiali. Ognia, żołnierzu.

– Ognia! – krzyknął Lindsay. Nic się nie stało. Działo ani drgnęło. – Coś się zepsuło – stwierdził.

– Nie jest gotowe do strzału?

– Nie, to moja ręka. Moja ręka... – Lindsay szarpnął się całym ciałem w tył. – Nie mogę wypuścić uchwytu z ręki. Skurcz mnie złapał.

– Co takiego?! – zdziwił się prezydent i złapał go za przedramię. Zaciśnięte w paralizującym skurczu mięśnie przeżyły się pod skórą jak grube liny.

– O Boże! – wyszeptał Lindsay z wyćwiczoną nutką hysterii w głosie. – Nie czuję jej. Niech mnie pan uszczypnie w rękę.

Prezydent zmiażdżył mu ramię w bolesnym uścisku.

– Nic – rzekł Lindsay. Wygrzebując się ze skafandra, zrobił sobie zastrzyk znieczulający, samo zaś zeszywnienie było dyplomatycznym trikiem, i to wcale niełatwym; dłoń zacisnęła się na uchwycie działa wbrew jego woli.

Prezydent wbił mu sękaty palec w zagłębienie z tyłu łokcia. Ból miażdżonych nerwów przebił się przez znieczulenie i ręka Lindsaya drgnęła lekko. Puścił uchwyt.

– Coś poczułem, ale słabo – powiedział spokojnie. Mógł coś zrobić, żeby zapanować nad bólem, gdyby tylko wazopresyna pozwoliła mu sobie przypomnieć, co takiego... Właśnie: ból przekształcił się, stracił wigor i stał się czymś niepokojąco bliskim rozkoszy.

– Mógłbym spróbować lewą – zaproponował Lindsay bohatercko. – Oczywiście, gdyby i wtedy stało się to samo...

– Do cholery, co się z tobą dzieje, sekretarzu? – Prezydent bez litości wbił palec w splot nerwów na przegubie Lindsaya. Tym razem ból przypominał zimną czarną zasłonę, którą spuszczone mu na mózg. Lindsay omal nie stracił przytomności, ale tylko zamrugał i uśmiechnął się słabo.

– To chyba element kształcerskiego szkolenia – powiedział. – Programowanie neuronowe. Ustawili mnie tak, żebym nie mógł tego zrobić. – Z wysiłkiem przełknął ślinę. Pot perlił mu się na czole. Nafaszerował się taką ilością wazopresyny, że każdy mięsień twarzy odczuwał jak odrębny twór – dokładnie tak uczono go w Akademii.

– Jeżeli nie potrafisz pociągnąć za spust – oznajmił prezydent – nie możesz być jednym z nas.

– Może udałoby się zmontować jakiś automat – podpowiedział Lindsay. – Jakaś poruszana tłokami rękawicę, którą bym zakładał. Chcę strzelić, panie prezydencie. To ona nie chce. – Podniósł zeszywniałą rękę i uderzył nią o twardą krawędź działa, raz, potem drugi. – Nic nie czuję.

Skóra pękła. Z rany trysnęły mikroskopijne kropelki krwi i zawisły w powietrzu. Krew sączyła się dalej z podłużnego rozcięcia niczym płaska czerwona ameba.

– Nie możemy skazać ręki za zdradę – powiedział prezydent.



Lindsay wzruszył jednym ramieniem.

– Robię, co mogę.

Zdawał sobie sprawę, że nigdy nie naciśnie spustu. Przypuszczał, że będą chcieli go za to zabić. Życie dużo dla niego znaczyło, nie tyle jednak, co pociągnięcie za cyngiel.

– Zobaczmy, co powie druga sędzina – stwierdził prezydent.

Lindsay przytaknął mu chętnie; przynajmniej tyle poszło zgodnie z planem.

Sędzina spała w gabinecie lekarskim. Zerwała się na równe nogi, tocząc dookoła dzikim wzrokiem. Najpierw ujrzała krew, potem zwróciła uwagę na prezydenta.

– Szlag by to... znów mu zrobiłeś krzywdę.

– Nic złego nie zrobiłem – bronił się prezydent, po czym wyjaśnił, co zaszło. Sędzina tymczasem oglądała i bandażowała ranę Lindsaya.

– Wygląda to na reakcję psychosomatyczną – powiedziała.

– Chcę, żeby miał sprawną rękę – zaordynował prezydent. – To rozkaz.

– Tak jest – przytaknęła zaskoczona sędzina; nie zdawała sobie sprawy, że rozmawia z wojskowym przełożonym. Podrapała się w głowę. – Nie bardzo wiem, jak się do tego zabrać; jestem tylko mechanikiem, a nie kształcercem psychotechnem. – Spojrzała z ukosa, ale prezydent był nieugięty. – Zaraz, chwileczkę... Powinno się udać. – Wygrzebała skądś fiołkę, opisaną niemożliwymi do odczytania bazgrołami. – To konwulsant, pięć razy mocniejszy od naturalnych sygnałów sterujących nerwami.

Wciągnęła do strzykawki trzy centymetry sześciennego płynu.

– Założę ci opaskę, bo jak dostanie się do krwiobiegu, to nieźle da ci w tyłek. – Z miną winowajcy spojrzała na Lindsaya. – Będzie bolało. Nawet bardzo.

Lindsay dostrzegł wreszcie swoją szansę. Rękę miał nafaszerowaną środkiem znieczulającym, ale mógł symulować. Gdyby zrobił to przekonująco, mogą zapomnieć o teście; będą mieli wrażenie, że dość się wycierpiał, i to w dodatku niezasłużenie. Sędzina mu współczuła, toteż mógł zagrać nią przeciwko prezydentowi. Ich wspólne poczucie winy załatwi resztę.

– Prezydent wie, co mówi – rzekł stanowczo. – Niech pani wykonuje jego rozkazy. A moją ręką proszę się nie zajmować, i tak jest jak drewno.

– Ten zastrzyk na pewno poczujesz, sekretarzu. Chyba że jesteś martwy.

Igła weszła w mięsień. Sędzina ciasno obwiązała Lindsayowi biceps. Tatuaze zafalowały; żyły zaczęły nabrzmiwać.

Konwulsant wżarł się w mięśnie niczym kwas. Kiedy Lindsay poczuł ból, zrozumiał, że znieczulenie nic mu nie da.

– Pali! – zawył. – To pali!

Ramię przebiegł mu skurcz, mięśnie skrzyły się niesamowicie, a potem całą ręką zaczęły wstrząsać spazmy. Po jednym z szarpnięć koniec opaski uciskowej wyrwał się z dłoni sędziny.

Zgęstniała krew sączyła się Lindsayowi spod opaski i ściekała na pierś. Zakrztusił się własnym krzykiem, twarz mu zszarzała. Lek pełził w górę krwiobiegu, oplatając mu serce siatką rozżarzonych drucików. Lindsay połknął własny język i poddał się wstrząsom.

Przez dwa dni był o włos od śmierci. Zanim doszedł do siebie, pozostali podjęli decyzję. Nikt już nie wspominał o teście.

\* \* \*

– To tylko kawał skały – powiedziała druga posłanka i straciła karalucha z ekranu.

– To nasz cel – rzekła przewodnicząca parlamentu. Na mostku wyłączono zasilanie i znajomy chór buczeń, pisków i terkotów ścichł do poziomu ledwie słyszalnego skrobania. W blasku padającym z ekranu twarz kobiety miała zielonkawy odcień. – Zakamuflowany. Są w środku; czuję to.

– To skała – powiedziała trzecia senator, która grzechocząc pasem z narzędziami, unosiła się nad ich głowami i śledziła obraz. – Uciekli, wymknęli się nam. Nie ma ani śladu w podczerwieni.

Lindsay unosił się w powietrzu w kącie pomieszczenia. Milczał. Nie patrzył na ekran – ze wzrokiem utkwionym w dal roztargnionym gestem pocierał wytatuowane ramię. Rana się zaleczyła, ale połączone chemikalia poparzyły mu osłabione nerwy. Skóra sprawiała wrażenie gumowanej tkaniny, a czubki palców były zupełnie martwe.

Nie wierzył w dobrą wolę i opanowanie kształcerzy. Wydęty żagiel „Czerwonej Zgody” miał ukryć statek przed radarem, co uniemożliwiłoby salwę z asteroidy, lecz w każdej chwili spodziewał się odczuć trafienie, które rozerwie statek na strzępy. Z kabiny strzelca dobiegało skrzypienie fotela celowniczego; to zajmujący go trzeci sędzia kręcił się niespokojnie.

– Czekają, aż przelecimy obok nich – powiedział prezydent. – Chcą strzelić pod żagiel.

– Nie mogą nas tak po prostu rozwalić – zauważył smętnie drugi senator. – Możemy okazać się astrognidami, dezserterami mechów.

– Pilnuj tego automatu, trzeci! – rozkazał prezydent.

Trzeci poseł z promiennym uśmiechem zdjął słuchawki i popatrzył po zebranych.

– O co chodzi, panie prezydencie?

– Trzymaj się tej częstotliwości, do diabła! – krzyknął prezydent.

– Ach, to... – Poseł podrapał się i przycisnął słuchawki do jednego ucha. – Cały czas się trzymam i... no tak.

Urwał i wszyscy wstrzymali oddech. Gogle przesłaniały mu pole widzenia, ale bezbłędnie wymacał właściwe przełączniki na tablicy. Rozbrzmiał wysoki, powtarzany w tempie staccato pisk.

– Przełączę na wizję – poinformował poseł i zabębnił w klawiaturę. Obraz asteroidy zniknął, a jego miejsce na ekranie zajęły rzędy alfanumerycznego bełkotu:

TCGAGGCTATCGTAGCTAAAGCTCTCCCGATCGATATCGTCTCGAGATCGATCGATGCT

– Kształcerski kod genetyczny – stwierdziła przewodnicząca. – Miałam rację.

– To ich ostatni sygnał, jaki nadadzą przed zestrzeleniem – rzekł twardo prezydent. – Z chwilą obecną wprowadzam stan wojenny. Wszyscy mają natychmiast zaopatrzyć się w wyposażenie bojowe i na stanowiska. Poza tobą, sekretarzu. Migiem!

Zakotłowało się, gdy napięcie ostatnich chwil ustąpiło miejsca pośpiesznemu działaniu. Lindsay patrzył, jak załoga opuszcza mostek; myślami był przy skierowanej do Rady Pierścieni transmisji danych, która zdradziła nieprzyjaciela.

Być może, kształcerze przez ten przekaz zegnali się z życiem, ale przynajmniej ktoś będzie opłakiwał ich śmierć.

## Rozdział 4

Nazwali asteroidę Esairs 89-XII – jedynym mianem, jakie kiedykolwiek miała. Nazwa pochodziła z prastarego katalogu ciał niebieskich. Esairs XII był kartoflowatą grudą żużlu i miał pół kilometra długości. Uwiązana na cumach „Czerwona Zgoda” zawisała nad jego wybrzuszonym równikiem.

Lindsay schodził na dół, jedną ręką trzymając się liny. Widzianą przez wizjer hełmu ciemną asteroidę tu i ówdzie znaczyły smugi węglowego pyłu świadczące o zasobności złóż. Plamy zimnej szarości i bieli wyznaczały miejsca, w których w zamierzchłych czasach doszło do zderzeń z meteorytami. Największe kratery – kałuże zastygłej lawy z wrośniętymi bryłami żużlu i rozbryzgami wulkanicznego szkliwa – miały po osiemdziesiąt metrów średnicy.

Lindsay opadł na powierzchnię asteroidy. Grunt, skamieniały w spienione fale, przypominał pumeks. Lindsay z łatwością sięgał wzrokiem ku obu końcom zawieszanej w kosmosie skały, w poprzek zaś od horyzontu dzieliło go kilkanaście kroków – w takiej odległości powierzchnia Esairsa XII zakrzywiała się w dół i ginęła mu z oczu.

Schylił się i ruszył naprzód, unosząc się nad skałami i odpychając rękawicami od kamiennych występów. Prawa ręka wciąż nie wróciła do normy, dla odrętwiałych palców sztywny materiał wyściełający od wewnątrz rękawicę przypominał w dotyku delikatną bawełnę.

Lindsay przepelzł przez krawędź podłużnego krateru, będącego zapewne blizną po jakimś bocznym zderzeniu. Nogi podrygiwały mu bezwładnie w próżni. Głębokość krateru pięciokrotnie przewyższała wzrost Lindsaya, dno stanowił wygładzony strumieniem gazów, zielonkawy bąbel bazaltu. Niewiele brakowało, żeby roztopiona, napuchnięta skała oderwała się i odleciała w przestrzeń kosmiczną, ale w ostatniej chwili zamarzała, na wieki utrwalała wszystkie zmarszczki...

I zsunęła się na bok, skurczona i pomarszczona jak płachta jedwabiu. Wgniecenia i wypukłości upodabniały ją do pokrytego maskującym deseniem plastiku.

Pod spodem ziała otchłań: wejście do jaskini, długi tunel skręcający tuż pod powierzchnią.

Lindsay ostrożnie wyszukiwał sobie drogę w dół zbocza, a na koniec odepchnął się i wpadł w podziemny korytarz, zapierając się o ściany. Odbił się od sufitu i oparł stopy o podłogę.

Znad bliskiego horyzontu wychynęło słońce i jego blask zalał wlot tunelu, który miał idealnie kolisty przekrój i niewiarygodnie gładkie ściany. Do ścian przyklejono żywicą epoksydową sześć płaskich metalowych taśm, biegnących wzdłuż całego korytarza. W ostrym świetle słońca lśniły jak świeża miedź.

Wyglądało na to, że tunel biegnie po obwodzie asteroidy, zakrzywiał się bowiem równie raptownie jak horyzont na jej powierzchni. Lindsay miał przed sobą płat brunatnego tworzywa, niemal całkowicie ukryty za krzywizną korytarza. Plastik błyszczał słabo. Podskakując i odpychając się od ścian, Lindsay ruszył w jego kierunku.

Zatrzymał się przed plastikową zasłoną, w którą wbudowano służbę powietrzną z tkaniny. Lindsay rozpiął uszczelniający ją suwak, wszedł do środka, po czym zasunął zamek za sobą. Następnie otworzył podobne zamknięcie w drugiej ścianie, z przodu, i przecisnął się dalej.

Znalazł się we wnętrzu ogromnego, czarno-ochrowego balonu, który nadmuchano w tunelu; elastyczna powłoka wypełniała szczelnie wszystkie zakamarki podziemnego przejścia.

Pod sufitem głową w dół unosiła się ludzka postać w skafandrze dekontaminacyjnym – jej sylwetka rysowała się jasną zielenią na tle pokrytego ręcznie malowanymi, czarnymi arabeskami ochrowego sklepienia.

Lindsay zorientował się, że jego kombinezon zwiotczał, czyli na zewnątrz wzrosło ciśnienie. Zdjął hełm i zrobił ostrożny wdech – odetchnął standardową mieszaniną tlenu i azotu.

Podniósł prawą rękę, celowo poruszając się wyjątkowo niezdarnie.

– Ja... ehem... Przygotowałem oświadczenie, które chciałbym odczytać. Jeśli nie macie nic

przeciwno temu.

– Proszę kontynuować – odpowiedział mu wysoki, na wpół stłumiony kobiecy głos. Lindsayowi przez ułamek sekundy mignęła twarz kobiety w hełmie. Chłodne oczy, złotawa skóra, ciemne włosy w zielonej siateczce.

Zaczął czytać, wolno, bez modulowania głosu.

– Górnicza Demokracja Fortuny przesyła pozdrowienia. Jesteśmy niepodległym narodem, żyjącym zgodnie z obowiązującym prawem, opartym na bezwzględnym przestrzeganiu praw jednostki. Jako emigranci na naszym terytorium państwowym, nowi członkowie społeczności podlegają krótkiemu procesowi naturalizacji, która poprzedza przyznanie pełnoprawnego obywatelstwa. Przepraszamy za wszelkie niedogodności spowodowane narzuceniem nowego porządku politycznego.

Stoimy na stanowisku, iż różnice ideologiczne należy wyjaśniać i łagodzić na drodze negocjacji. W tym właśnie celu wysyłamy naszego sekretarza stanu, który ma ustalić wstępne warunki rozmów, podlegające następnie ratyfikacji w senacie. Górnicza Demokracja Fortuny wyraża niniejszym życzenie, zgodne z rezolucją numer szesnaście, uchwaloną na sześćdziesiątej siódmej wspólnej sesji obu izb parlamentu, aby negocjacje rozpoczęły się bezzwłocznie, pod auspicjami sekretarza stanu, dzięki czemu okres przejściowy zostanie skrócony do minimum.

Wyciągamy do naszych przyszłych obywateli przyjazną dłoń i składamy im szczere gratulacje.

Podpisano: prezydent.

Lindsay podniósł wzrok znad dokumentu.

– Potrzebna wam będzie kopia – powiedział.

Kiedy kształcerka sfrunęła niżej, jej niezwykła uroda zwróciła uwagę Lindsaya. Była jednak bez znaczenia. Wśród kształcerzy fizyczna atrakcyjność nie kosztowała wiele.

Kobieta wzięła od niego dokument, Lindsay zaś z zawieszanej przy pasie sakwy dobył kolejne papiery.

– Oto moje listy uwierzytelniające – rzekł i podał jej plik wydruków na papierze z odzysku, ozdobiony niezliczonymi foliowymi pieczęciami Fortuny.

– Nazywam się Nora Mavrides – powiedziała kobieta. – Rodzina prosiła mnie, żebym przekazała naszą ocenę sytuacji. Otóż jesteśmy zdania, że wasze działania cechuje nadmierny pośpiech oraz że powinniście skoncentrować się na innych lokalizacjach. Prosimy tylko o czas niezbędny do przekonania was, że mamy rację. Odłączyliśmy już nawet zasilanie naszego głównego działu.

Lindsay skinął głową.

– To sympatyczny gest. Bardzo dobrze, zrobi odpowiednie wrażenie na członkach rządu. Chciałbym tylko obejrzeć tę broń.

– Znajdujemy się w jej wnętrzu – odparła Nora Mavrides.

\* \* \*

*Na pokładzie „Czerwonej Zgody”, 22. 12/16*

– Zgrywałem durnia – powiedział Lindsay. – Ale nie wydaje mi się, żeby to kupiła.

Przemawiał na wspólnej sesji obu izb parlamentu, prowadzonej przez przewodniczącą. Prezydent zasiadał wśród publiczności, a sędziowie Sądu Najwyższego z mostka i kabiny strzelca przysłuchiwali się obradom przez interkom.

Prezydent pokręcił głową.

– Uwierzyła ci. Kształcerze zawsze traktują nas jak idiotów.

- Zaczumowaliśmy tuż przy wylocie ich akceleratora – ostrzegł Lindsay. – Pod powierzchnią asteroidy, wokół jej środka masy ciągnie się długi, okrągły w przekroju tunel, zaopatrzony w elektromagnesy i magnetyczny czerpak.
- Słyszałem o czymś takim – wtrącił przez interkom trzeci sędzia, dyżurny strzelec, blisko stułetni były górnik. – Na początku potrzeba niewiele energii i namagnesowany czerpak krąży w tunelu powoli, na poduszce magnetycznej, ale potem przyśpiesza coraz bardziej, zataczając kolejne kółka. Na koniec wyhamowuje się go gwałtownie przy wylocie lufy. Czerpak staje w miejscu, a jego zawartość leci do przodu z prędkością paru kilometrów na sekundę.
- Paru kilometrów na sekundę? – powtórzyła przewodnicząca. – Rozwaliłoby nas w drobny mak.
- Nie – zaproponował prezydent. – Potrzebowaliby mnóstwa energii. Dopóki jesteśmy tak blisko, wykryjemy zmiany pola magnetycznego.
- Nie wpuszczą nas do środka – zauważył Lindsay. – Rodzina żyje w sterylnym środowisku; albo nie mają tam żadnych mikrobów, albo tylko takie, które zostały genetycznie zmodyfikowane. Z nas natomiast wszystkimi porami wyłazą bakterie Zaibatsu. Spróbują nas przekupić, bylebyśmy dali im spokój.
- Nie takie mieliśmy zadanie – zauważyła przewodnicząca.
- Nie możemy należycie ocenić okupu, dopóki nie zobaczymy na własne oczy, jak żyją – rzekła pierwsza posłanka i polakierowanymi paznokciami przeczesła długie włosy. Ostatnio coraz szykowniej się ubierała.
- Moglibyśmy wryć się do środka koparką – zaproponował prezydent. – Mamy już wyniki pomiarów sonarem, znamy rozkład tuneli płytko pod powierzchnią... Przegryźlibyśmy się w pięć, może dziesięć minut, a w tym czasie nasz sekretarz prowadziłby negocjacje. – Prezydent się zawahał.
- Mogliby nas za to zabić.
- I tak będziemy martwi, jeżeli damy się trzymać na odległość wyciągniętego ramienia. – W głosie przewodniczącej brzmiała niezachwiana pewność. – Nasze działo ma krótki zasięg, a z tego akceleratora mogą nas ustrzelić i w kilka godzin po odlocie.
- Wcześniej tego nie zrobili – zauważyła pierwsza posłanka.
- Ale teraz wiedzą, kim jesteśmy.
- Mamy tylko jedno wyjście – rzekł prezydent. – Musimy głosować.

\* \* \*

### *Esairs XII, 23. 12.'16*

- Jesteśmy w końcu narodem górników – powiedział Lindsay Norze Mavrides – i zgodnie z obowiązującą w Fortunie ideologią mieliśmy pełne prawo prowadzić wiercenia. Gdybyście przekazali nam mapę swoich tuneli, nigdy by do tego nie doszło.
- Postawiliście wszystko na jedną kartę – stwierdziła Nora.
- Musi pani przyznać, że było warto. Teraz, kiedy wasze tunele uległy, jak to pani ujęła, „zanieczyszczeniu”, możemy przynajmniej spotkać się twarzą w twarz i porozmawiać bez skafandrów.
- To było nierozważne, sekretarzu.
- Lindsay położył lewą rękę na piersi.
- Proszę zrozumieć nasz punkt widzenia, pani doktor Mavrides. GDF nie może czekać w nieskończoność na objęcie swojej własności. Sądzę, że wykazaliśmy się wystarczającym

rozsądkiem. Nadal zakładacie, że zamierzamy opuścić Esairsa XII, tymczasem my jesteśmy osadnikami, nie wędrownymi bandziorami. Nie damy się zwieść mglistym obietnicom i antymechanistycznej propagandzie. Jesteśmy górnikami.

– Raczej piratami, i to wynajętymi przez mechów.

Lindsay wzruszył jednym ramieniem.

– Co się stało z pańską ręką? – spytała. – Naprawdę tak boli? Czy tylko udaje pan, żeby sprawiać wrażenie niegroźnego?

Lindsay nie odpowiedział.

– Rozumiem pańskie stanowisko – przyznała. – Bez prawdziwego zaufania nie może być mowy o negocjacjach. Gdzieś musi istnieć płaszczyzna porozumienia. Spróbujmy więc ją znaleźć.

Lindsay wyprostował rękę.

– Dobrze, Noro. Jeśli ma to się rozegrać tylko między nami dwojgiem, zdejmijmy maski i posłuchajmy, co masz do powiedzenia. Jestem gotów zaakceptować szczerą na każdym poziomie, jaki zaproponujesz.

– Powiedz mi w takim razie, jak się nazywasz.

– Moje imię nic ci nie powie. – Kobieta milczała. – No dobrze. Abelard. Nazywaj mnie Abelardem.

– Jak wygląda twoja linia genetyczna, Abelardzie?

– Nie jestem kształcerzem.

– Kłamiesz. Poruszasz się jak jeden z nas. Uszkodzone ramię pozwala ci to maskować, ale twoja niezdatność jest nazbyt wystudiowana. Ile masz lat? Sto? A może mniej? Od jak dawna jesteś astrognidą?

– Jakie to ma znaczenie?

– Możesz jeszcze wrócić. Uwierz mi, sprawy wyglądają dziś zupełnie inaczej. Rada cię potrzebuje. Udzielę ci poparcia; dołącz do nas, Abelardzie. Jesteśmy jednym narodem. Nie należysz do tych brudnych renegatów.

Lindsay wyciągnął rękę, ale Nora się odsunęła. Długie troczki na końcach jej rękawów zafalowały w nieważkości.

– A widzisz – rzekł Lindsay – jestem tak samo brudny jak oni.

Była piękna. Lindsay nigdy przedtem nie spotkał przedstawiciela klanu Mavridesów. Miała ogromne orzechowe oczy, ze śladowym fałdem epikantycznym nad okiem, raczej amerindiańskim niż orientalnym. Wizerunku dopełniały wysokie kości policzkowe, orli nos, gęste czarne brwi i kaskada połyskujących czarnych włosów. Na głowie Nora nosiła luźny, nieważkościowy turban z zielonego plastiku, wiązany z tyłu purpurową tasiemką, z przodu zaś ozdobiony ciemnozielonymi, opadającymi na czoło frędzlami. Jej niewiarygodnie gładka skóra miała miedziany odcień z leciutkim różowawym nalotem.

Sześcioro mieszkańców asteroidy łączyło pewne rodzinne podobieństwo, choć nie byli identycznymi klonami jednego człowieka. Sześć osób stanowiło ów ułamek procenta linii Mavridesów, który wybrano do tego zadania: Kleo, Paolo, Fazil, Ian, Agnes i Nora. Kleo miała czterdzieści lat i była ich przywódcą, Nora była od niej o dwanaście lat młodsza. Pozostali liczyli sobie po siedemnaście wiosen.

Lindsay widział ich wszystkich – i współczuł im. Rada Pierścieni nie zwykła marnować zainwestowanych środków. Siedemnastoletni geniusze z nadmiarem spełniali wymagania stawiane członkom takiej misji, a nie kosztowali zbyt wiele. Patrzyli na niego lodowatymi orzechowymi oczyma. W ich spojrzeniu widział odrazę, jaką człowiek zwykle rezerwuje dla robactwa. Chcieli go

zabić i tylko obrzydzenie ich od tego powstrzymywało.

Teraz jednak było już za późno. Powinni byli zestrzelić go, gdy znajdował się daleko od asteroidy, dzięki czemu zachowałoby czystość środowiska. Kiedy jednak znalazł się tak blisko, zagrażały im mikroorganizmy, które przyniósł im na swej skórze, w swoim oddechu i krwi.

– Nie mamy tu środków odkażających – powiedziała Nora. – Nigdy nie sądziliśmy, że się przydadzą. To nie będzie dla nas przyjemne doświadczenie, Abelardzie: wrzody, krosty, wysypki, dyzenteria. Nic na to nie poradzimy. Nawet gdybyście jutro odlecieli, samo powietrze z waszego statku... już się rozprzestrzeniło.

Rozłożyła ręce. Bluzkę miała przy nadgarstkach zawiązaną czerwonymi troczkami, ale przez bufiaste, zdobione rozcięciami rękawy wyzierała gładka skóra jej przedramion. Własnoręcznie uszyta i wyszywana na klapach różowo-białym haftem bluzka była wiązana na biodrach i spięta pasem w talii. Stroju dopełniały sięgające kolan szorty i czerwone, sznurowane sandały.

– Przykro mi – rzekł Lindsay. – Ale to i tak lepsze od śmierci. Kształcerze zostali zniszczeni, Noro. To koniec. Wierz mi, nie przepadam za mechami. – Pierwszy raz uczynił jakiś gest prawym ramieniem. – Pozwól, że powiem ci coś, czemu sam bym zaprzeczył, gdybym usłyszał to z innych ust: mechowie istnieją tylko dlatego, że wy istniejecie. Te ich Zjednoczone Kartele to jedno wielkie oszustwo. Łączy je wyłącznie strach i nienawiść do kształcerzy. Kiedy zniszczą Radę Pierścieni, a niewątpliwie do tego dojdzie, ich związek się rozpadnie.

Proszę, Noro, postaw się na chwilę z moim położeniu, choćby tylko dla dobra dyskusji. Wiem, że macie zobowiązania, jesteście lojalni wobec waszej linii genetycznej i rodaków, których zostawiliście w ojczyźnie, ale wasza śmierć ich nie ocali. I tak są skazani na przegraną; w tej chwili to sprawa między nami i wami – jest nas razem osiemnaścioro. Od jakiegoś czasu żyję w towarzystwie Fortunian. Oboje wiemy, kim są: to męty, piraci, nieudacznicy. Ofiary, Noro, ofiary żyjące w wąskiej przestrzeni między tym, co słuszne, a tym, co możliwe.

Jeżeli zdecydujecie się do nich dołączyć, nie zabiją was. To dla was szansa, dla całej waszej szóstki... Inaczej was odstrzelą i wrócą do karteli. Jeśli zaś się poddacie, zabiorą was ze sobą. Jesteście jeszcze młodzi; wystarczy, że ukryjecie przed kartelami swoją przeszłość, a za sto lat będziecie nimi rządzić! Mechaniści, kształcerze – to tylko etykiety. Chodzi o to, żeby żyć.

– Jesteście narzędziami – odrzekła Nora. – I ofiarami, z tym się zgadzam. My również staliśmy się ofiarami, z tym że lepszej sprawy niż ta, której wy służycie. Przybyliśmy tu nadzy, Abelardzie; wyruszyliśmy w drogę na pokładzie bezzałogowej kapsuły z zapasem paliwa na lot w jedną stronę. Nie zestrzelono nas po drodze tylko dlatego, że na każdą prawdziwą misję Rada wysyła pięćdziesiąt wabików. Kartelom nie opłaca się na nas polować; nie jesteśmy dla nich aż tak groźni.

Dlatego mechowie was wynajęli; najbogatsi z nich, ci, którzy są u władzy, poszczuli was na nas. My chcemy tylko przeżyć. Stworzyliśmy tę bazę z niczego, pracą własnych rąk, siłą własnych umysłów. A wy przybywacie po to, by nas zabić.

– Już tu jesteśmy – powiedział Lindsay. – Co się stało, to się nie odstanie. Błagam cię, żebyś pozwoliła mi żyć, a ty karmisz mnie ideologią. Proszę cię, Noro, ustąp choć o krok. Nie zabijaj nas wszystkich.

– Ja też chcę żyć – odparła. – To wy powinniście do nas dołączyć. Nie na wiele się wprawdzie zdacie, lecz będziemy was tolerować. Nigdy nie staniecie się prawdziwymi kształcerzami, ale znajdzie się u nas miejsce dla bezplanowców. Tak czy inaczej, uprzedzamy każde wymierzone w nas posunięcie karteli.

– Jesteście obłączeni – rzekł Lindsay.

– Przełamiemy obłączenie. Nie słyszałeś o tym? Związek opowie się po naszej stronie. Jeden świat

jest już w naszych rękach: Okołoksiężycowa Republika Korporacyjna Mare Serenitatis.

Nawet tutaj dosięgnął Lindsaya cień Constantine'a.

– I nazywacie to triumfem? – zapytał. – Zajęcie tych dekadenczkich małych świątków, rozsypujących się zabytków?

– Odbudujemy je – powiedziała Nora z mrozącą krew w żyłach pewnością siebie. – Ich młodzież należy do nas.

\* \* \*

*Na pokładzie „Czerwonej Zgody”, 1. 01.'17*

– Witamy na pokładzie, pani doktor Mavrides – powiedział prezydent i podał Norze rękę. Uścisnęła ją bez wahania; jej skórę chroniła cienka warstwa plastiku skafandra.

– To dobry początek nowego roku – rzekł Lindsay. Znajdowali się na mostku „Czerwonej Zgody” i nagle pojął, jak bardzo brakowało mu znajomego popiskiwanego i terkotu przyrządów. Te dźwięki sączyły się w jego duszę i łagodziły napięcie, z którego istnienia nie zdawał sobie nawet sprawy.

Negocjacje ciągnęły się od dwunastu dni. Przez ten czas zdążył zapomnieć, jak naprawdę wyglądają piraci, jak są wstrętnei i brudni – mieli pozatykane łojem pory, tłuste włosy, niedomyte zęby. Kształcerzowi musieli kojarzyć się z dzikimi zwierzętami.

– To nasze trzecie porozumienie – stwierdził oficjalnie prezydent. – Najpierw uchwaliliśmy Uchwałę o otwarciu kanałów, następnie przyjęliśmy Ocenę techniczną i ugodę handlową, teraz zaś przyszedł czas na prawdziwy przełom w polityce społecznej: Uchwałę integracyjną. Witamy na „Czerwonej Zgodzie”, pani doktor. Mamy nadzieję, że każdy angstem statku uznacie za część waszego dziedzictwa kulturalnego.

Przypiął wydrukowany traktat do grodzi i złożył na nim zamaszysty podpis. Lindsay lewą ręką przybił na dokumencie oficjalną pieczęć. Delikatny papier lekko się pogniół.

– Wszyscy jesteśmy rodakami – ciągnął prezydent. – Czas się trochę odprężyć i... eee... lepiej poznać.

Pociągnął ostentacyjnie z metalowego inhalatora.

– Sami szyjecie te skafandry? – zapytała przewodnicząca parlamentu.

– Tak, pani przewodnicząca. Szwy mają drucianą osnowę i są zalane żywicą epoksydową z naszych kadzi wilgociowych.

– Sprytne.

– Podobają mi się wasze insekty – wtrącił drugi poseł. – Takie różowe, złote, zielone... Zupełnie nie przypominają karaluchów. Chciałbym mieć parę takich okazów.

– Jestem pewna, że da się to załatwić – odparła Nora.

– Mogę wam za nie dać środki rozluźniającej. Mam ich mnóstwo.

– Dziękuję.

Nora radziła sobie świetnie. Lindsay ją podziwiał.

Rozpięła skafander i wysliznęła się z niego. Pod nim nosiła trójkątne poncho wyszywane w geometryczne, białe i jasnoniebieskie wzory. Końce poncha miała zawiązane w poprzek bioder, przez co odsłaniały nogi. Na stopy wzięła sznurowane sandały z podeszwą z rzepów.

Piraci taktownie zrezygnowali z czerwonych, zdobionych szkieletami kombinezonów i zamiast nich przywdziali brunatne stroje robocze Zaibatsu. Wyglądali jak dzikusy.

– Przydałoby mi się coś takiego – powiedział trzeci poseł i przytknął harmonijkowy rękaw swego



zabytkowego skafandra do cienkiego plastiku stroju Nory. – Jak się w tym draństwie oddycha?

– Nie nadaje się do pracy w otwartym kosmosie – wyjaśniła Nora. – Napełniamy go tlenem i oddychamy, póki się nie skończy. Jakies dziesięć minut.

– Mógłbym go podłączyć do zbiorników. To byłoby ciekawsze, przyszła obywatelko. Słońcu by się spodobało.

– Możemy was nauczyć, jak je szyć. Warto poznać tę sztukę. – Nora uśmiechnęła się do posta. Lindsay się wzdrygnął; zdawał sobie sprawę, że od kwaśnego odoru mężczyzny żołądek musi podchodzić jej do gardła.

Wśliznął się między nich, nieznacznie odsuwając posta na bok i pierwszy raz dotknął Nory Mavrides: oparłszy delikatnie dłoń na jej ramieniu, ukrytym pod błękitno-białym poncho, wyczuł twarde jak stal mięśnie.

Nora ponownie się uśmiechnęła, szybko, przelotnie.

– Z pewnością uznamy wasz statek za fascynujący. Przylecieliśmy tu w automatycznej kapsule. Dziewięćdziesiąt procent ładunku stanowił lód do nawilżarni. Dotarliśmy na miejsce bliscy śmierci; mieliśmy tylko robota i kieszonkowy tokamak – reszta była w kawałkach: trochę drutu, garść procesorów, sól, pierwiastki śladowe... Potem to już czysta genetyka: jaja, nasiona, bakterie... Byliśmy nadzy, żeby mniej ważyć. Wszystko zrobiliśmy własnymi rękoma, przyjaciele. Z pojedynku ciała z kamieniem ciało może wyjść zwycięsko, jeśli okaże się wystarczająco sprytnie.

Lindsay pokiwał głową. Ani słowem nie wspomniała o impulsowym działaniu elektromagnetycznym; nikt nie mówił o broni. Usiłowała oczarować piratów, ale duma, z jaką się nosiła, kłuła ich w oczy – chociaż była usprawiedliwiona. Mieszkańcy Esairsa XII osiągnęli sukces i żyło im się dobrze, a przecież żelatynowe kapsułki z bakteriami, od których zaczynali, miały wielkość łebka od szpilki. Stali się mistrzami sztucznych tworzyw, które syntetyzowali z surowców wydobytych ze skal. Ich wytwory były równie mało warte co samo życie.

Zrosli się w jedno ze skałą. Esairs został podziurawiony tunelami; zębate tarcze wiertnicze pracowały na okrągło. Mieli dmuchawy powietrzne, które same oddychały, wykonane z winylowych worów i żeber z plastiku pamięciowego. Podłączyli je do tokamaka i drobne zmiany napięcia powodowały na przemian kurczenie się i prostowanie żeber, kurczenie i prostowanie. Dmuchawy zasysały powietrze z chrzęstem plastiku i wypuszczały je ze zwierzęcym świstem. Wnętrze asteroidy rozbrzmiewało odgłosami życia: zgrzytem tarcz, sapaniem dmuchaw, ponurym bulgotem zbiorników fermentacyjnych.

Hodowali rośliny, i to nie jakieś algi czy proteinową maź, lecz kwiaty – róże, fuksje, stokrotki – i warzywa, którym nadano nazwy, zanim ich DNA poczuło cięcie skalpela: selery, sałatę, karłowatą kukurydzę, szpinak, lucernę. I bambusy. Używając cieniutkiego drutu, z bezlitosną cierpliwością formowali pędy bambusa w skomplikowane rurki i butelki. Mieli też jajka i kurczęta, a właściwie stworzenia, które były kurczętami, zanim kształcercy genetycy przetworzyli je w żyjące w nieważkości zasobniki protein.

Mieszkańcy Esairsa XII byli silni, subtelni i pełni rozpaczliwej nienawiści. Lindsay wiedział, że czekają na okazję, bezustannie kalkulują, szacują swoje szanse. Gdyby tylko mogli, zaatakowałiby piratów i próbowali ich zabić, ale tylko zapewniwszy sobie uprzednio maksymalne prawdopodobieństwo przeżycia.

Zdawał sobie jednak sprawę, że z każdym upływającym dniem, z każdym drobnym ustępstwem i porozumieniem dzielącą ich przepaść pokrywała nowa, cieniutka warstewka szelaku. Formowało się nowe status quo, następowało delikatne odprężenie, oparte wyłącznie na przyzwyczajeniu. Niby niewiele, ale nic więcej nie mieli. Lindsay mógł tylko żywić nadzieję, że z biegiem czasu pozory

pokoju nabiorą realnych kształtów.

\* \* \*

*Esairs XII, 3. 02.'17*

– Halo, sekretarzu.

Lindsay się obudził. Dzięki minimalnej grawitacji panującej we wnętrzu asteroidy, we śnie niezauważenie opadł na dno swojej jaskini, powszechnie nazywanej ambasadą. Po tym, jak przyjęto Uchwałę imigracyjną, Lindsay wraz z pozostałymi obywatelami GDF przeprowadził się na Esairsa.

Mówił Paolo. Fazil przyszedł razem z nim. Obaj nosili wyszywane poncha i sztywne, plastikowe korony podtrzymujące sięgające ramion, bujne włosy.

Bakterie skórne dały im się porządnie we znaki, toteż z dnia na dzień wyglądali coraz gorzej. Wrzody na szyi Paola tak się zaogniły, że wyglądał, jakby poderżnięto mu gardło; Fazilowi infekcja zaatakowała ucho i cały czas chodził z przekrzywioną na bok głową.

– Chcemy ci coś pokazać – rzekł Paolo. – Pójdiesz z nami, sekretarzu? Po cichutku?

Przemawiał łagodnie, a jego, niewinne oczy od razu podpowiedziały Lindsayowi, że szykuje jakąś sztuczkę. Będą chcieli go zabić? Jeszcze nie.

Lindsay zarzucił na głowę i zasznurował poncho, po czym wdał się w zwycięską walkę z supłami sandałów.

– Jestem do waszej dyspozycji – oznajmił.

Wyłynęli na korytarz. Tunele łączące pieczary mieszkalne przypominały nory olbrzymich dżdżownic i miały ledwie metr szerokości. Mavridesowie poruszali się w nich trochę jak gady, wykonując szybkie skręty tułowia; Lindsay zostawał w tyle. Uszkodzone ramię bardzo mu tego dnia dokuczało – dłoń miał nieczułą jak drewno.

Prześliznęli się przez płamę łagodnego żółtawego blasku jednej z komór fermentacyjnych. Trzy tępe, brodawkokształtne wyloty balonów wilgociowych wciskały się do groty. Upychano je jak kiełbaski w kamiennych korytarzach – w każdym znajdował się ciąg balonów połączonych filtrami w taki sposób, że wylot jednego stanowił zarazem wlot następnego. W ostatnim terkotała powoli działająca non stop maszyna z plastiku pamięciowego. Przezroczyste akrylowe włókno zastygając skręcało się w nieważkości w mocną nić. Cuchnęło przy tym paskudnie.

Znaleźli się w następnym ciemnym tunelu. Wszystkie przejścia pod powierzchnią asteroidy były identyczne i perfekcyjnie wygładzone, więc nie wymagały oświetlenia, zwłaszcza że każdy geniusz z łatwością uczy się topografii sieci na pamięć.

Z lewej strony dobiegł Lindsaya klekot i chrzęst tarczy wiertniczej. Tarcze wytwarzano ręcznie, osadzając w plastikowych obręczach stalowe zębiska. Każda wydawała przy pracy nieco inny dźwięk, toteż Lindsayowi pomagały się orientować w rozkładzie tuneli. Potrafiły wgryźć się w bardziej miękkie skały na głębokość dwóch metrów dziennie; przez dwa lata wykopały ponad dwadzieścia tysięcy ton rudy.

Resztki pozostające po jej przetworzeniu wystrzeliwano w kosmos. Każdy taki ładunek pozostawiał po sobie otwór-dziurę długości dziesięciu kilometrów, krętą jak poplątana żyłka wędkarska, kompletnie ciemną, z mnóstwem przylegających do niej komór mieszkalnych, cieplarni, nawilżarni i prywatnych kryjówek.

Na skrzyżowaniu skręcili i ruszyli drogą, której Lindsay nie znał. Usłyszał tylko zgrzyt odciąganej na bok kamiennej zatyczki.

Przeszli kawałek. Sflaczała, nieużywana dmuchawa, obok której się przepychali, w tym momencie z westchnieniem ożyła.

– To nasza kryjówka – wyjaśnił Paolo. – Fazila i moja.

Jego głos poniósł się echem w ciemność.

Trysnęły białe iskry, rozległo się trzeszczenie ognia. Zaskoczony Lindsay przyjął pozycję obronną i ujrzał Paola trzymającego krótki biały kołek, płonący z jednego końca.

– To świeca – rzekł Paolo.

– Widzę, że świeci.

– Bawimy się czasem ogniem, Fazil i ja.

Znajdowali się w komorze przeznaczonej na warsztat, wrytej w jednej z masywnych kamiennych żył przecinających Esairsa XII. Na pierwszy rzut niewprawnego oka ściany przypominały Lindsayowi granit: szaro-różowa skała, przetykana drobinkami kryształu górskiego.

– Kiedyś było tu dużo kwarcu – mówił dalej Paolo. – Dwutlenku krzemu. Wydobywaliśmy go, żeby czerpać z niego tlen, a potem Kleo zapomniała o tej komorze, więc sami ją powiększyliśmy. Prawda, Fazil?

– Dokładnie tak było, sekretarzu – przytaknął ochoczo Fazil. – Używaliśmy ręcznych wiertel i plastiku rozszerzalnego. Widzisz, w tym miejscu skała się posypała, prawda? Ukrywaliśmy odłamki wśród resztek przeznaczonych do wystrzelenia w przestrzeń, tak że nikt o niczym nie wiedział. Zajęło nam to sporo czasu i największy kawałek zachowaliśmy dla siebie.

– Patrz! – Paolo dotknął ściany. Pod jego palcami kamień zmarszczył się i odpadł, za nim zaś, w z gruba wyciosanej wnęce wielkości niedużej szafki, unosił się podłużny kamień, podwieszony na nitce, żeby nie spadł na dno. Paolo zerwał nić i wyciągnął gład na zewnątrz. Kamień obracał się powoli wokół własnej osi. Fazil pomógł Paolowi powstrzymać jego ruch.

Ważąca dwie tony rzeźba przedstawiała głowę Paola.

– Piękna robota – rzekł Lindsay. – Mogę? – Przesunął palcami po wypolerowanej do połysku kości policzkowej. Szeroko otwarte, czujne oczy z wydrążonymi źrenicami były wielkości jego rozpostartej dłoni. Na olbrzymich wargach czaił się niewyraźny uśmiezek.

– Kiedy nas tu wysyłali, wiedzieli, że nie ma dla nas powrotu – powiedział Paolo. – Mamy tu umrzeć. A wiesz dlaczego? Nie z powodu błędów w genetyce; jesteśmy dobrym rodem. Mavridesowie są najlepsi – mówił coraz szybciej, modulując głos na modłę obowiązującego w Radzie Pierścieni slangu. Fazil skinął w milczeniu głową. – To tylko statystyka, przypadek. Przypadkowo zostaliśmy spisani na straty przed ukończeniem dwudziestu lat. Przypadku nie można wyeliminować; część linii genetycznej musi zaniknąć, żeby reszta mogła się rozwijać. Gdyby nie padło na mnie i Fazila, przysłano by tu naszych krewnych z kadzi.

– Rozumiem – powiedział Lindsay.

– Jesteśmy młodzi i tani, więc ciskają nas prosto w paszczę wroga. Ale ja i Fazil żyjemy naprawdę; mamy w sobie to coś, tę iskrę. Nigdy nie zobaczymy nawet dziesięciu procent tego co nasi krewni, którzy zostali w Pierścieniu, ale jesteśmy tutaj i jesteśmy prawdziwi.

– Lepiej jest żyć.

– Zdrajca! – stwierdził Paolo bezbarwnym tonem. – Bez własnej linii genetycznej jesteś nikim, bezdusznym systemem.

– Są rzeczy ważniejsze od życia – dodał Fazil.

– Gdybyście odpowiednio długo poczekali, wojna by się skończyła, a wy wciąż bylibyście żywi.

Paolo się uśmiechnął.

– To nie wojna. To ewolucja, która odbywa się na naszych oczach. Myślisz, że okażesz się

bardziej długowieczny od niej?

– Może. – Lindsay wzruszył ramionami. – A jeśli pojawią się obcy?

Paolo był zdumiony.

– Wierzysz w to? Wierzysz w obcych?

– Może.

– Jesteś w porządku.

– Jak mogę wam pomóc?

– Chodzi o akcelerator. Chcemy wystrzelić tę głowę w kosmos. Strzał pod kątem, maksymalna prędkość, pełna moc, poza płaszczyznę ekliptyki. Może ktoś ją kiedyś zobaczy; jakiś stwór ją znajdzie, za pięćset milionów lat – ani śladu ludzkiego istnienia, a on ujrzy moją twarz. Poza płaszczyznę ekliptyki nie ma odpadów, tylko czysta próżnia. Rzeźbie nie grozi żadne zderzenie, nic. A to kawał solidnej skały. Przy takiej odległości nawet jakby Słońce zmieniło się w czerwonego olbrzyma, to jej nie rozgrzeje. Będzie tak orbitować do czasu białego karła, może nawet do chwili, aż Słońce się wypali, Galaktyka wybuchnie, a kosmiczny wąż połknie własny ogon. Moja podobizna będzie wieczna.

– Tylko najpierw musimy ją wystrzelić – uzupełnił Fazil.

– Prezydent nie będzie zachwycony – stwierdził Lindsay. – Pierwszy traktat, jaki podpisaliśmy, zakładał czasowe zaprzestanie strzałów. Może później, jak nabierzemy do siebie większego zaufania.

Paolo i Fazil wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Lindsay zrozumiał, że nie ma tu nic do gadania.

– Posłuchajcie, macie przecież talent i mnóstwo wolnego czasu, odkąd wstrzymano działanie wyrzutni. Moglibyście wyrzeźbić głowy nas wszystkich.

– Nie! – krzyknął Paolo. – Ta sprawa dotyczy tylko nas dwóch.

– Co ty na to, Fazilu? Nie chciałbyś sam mieć takiej?

– Jesteśmy martwi – odpowiedział Fazil. – Wyrzeźbienie jej zajęło nam dwa lata, na więcej nie mieliśmy czasu. Przypadek pogrzebał nas obu i jeden musiał wszystko poświęcić, nie zyskując nic w zamian. Podjęliśmy więc decyzję... Pokaż mi, Paolo.

– Nie powinien tego oglądać – zaproponował ponuro Paolo. – Nie zrozumie.

– Chcę, żeby się dowiedział, Paolo. – Fazil nie ustępował. – Żeby wiedział, dlaczego ty prowadzisz, a ja idę za tobą. Pokaż mu.

Paolo wyjął spod poły poncha przezroczyste pudełko z wieczkiem na zawiasach. W środku znajdowały się dwa czarne kamienne sześciany z białymi kropkami na ściankach. Kości.

Lindsay przesunął językiem po wargach. Widział to w Radzie Pierścieni: hazard, w którym stawką nie są po prostu pieniądze, lecz sedno ludzkiej istoty. Tajne przysięgi. Zabawa w dominację. Seks. Rozgrywki w obrębie linii genetycznych, pomiędzy ludźmi, którzy z niezachwianą pewnością wiedzą, że są sobie równi. Kości rozstrzygały wątpliwości szybko i ostatecznie.

– Mogę wam pomóc – rzekł Lindsay. – Porozmawiajmy.

– Powinniśmy być na służbie – oznajmił Paolo. – Na nasłuchu. Musimy już iść, sekretarzu.

– Pójdę z wami.

Dwaj młodzi kształcerze zasunęli na miejsce kamienną pokrywę strzegącą wejścia do ich kryjówki i pomknęli w mrok. Lindsay podążał ich śladem.

Anteny odbiorcze były rozsiane po całej powierzchni asteroidy; misy kraterów idealnie nadawały się do tego, by ukryć w nich zakamuflowaną siateczkę miedzianych przewodów. Sygnały z wszystkich anten zbiegały się w centralnym procesorze, delikatnym, półprzewodnikowym organizmie ukrytym w akrylowej konsoli. W szczelinach konsoli znajdowało się miejsce dla chałupniczo wytwarzanych

kaset, nieustannie zapisywanych przez kilkanaście niezależnych głowic. W innym wycięciu w pulpicie umieszczono ręcznie opisaną klawiaturę i płaski ekran ciekłokrystaliczny, na którym śledziło się zapis wideo.

Paolo i Fazil przeczesali całe pasmo, wyłapując mnóstwo transmisji z karteli. Z większości kanałów dobiegał tylko trzask i szum, z rzadka przerywany piknięciami cybernetycznych danych.

– Mam tu coś – powiedział Paolo. – Namierz ten sygnał – polecił Fazilowi.

– Blisko jest – odparł Fazil. – A, to ten wariat.

– Co takiego? – wtrącił się Lindsay. Olbrzymi, fioletowo cętkowany, zielony karaluch z trzepotem skrzydełek przeleciał obok niego.

– Ten, co nie rozstaje się ze skafandrem. – Kształcerze popatrzyli po sobie. Lindsay odczytał z ich spojrzenia, że myślą o tym samym: jak ten facet śmierdzi.

– Czy on coś mówi? – zainteresował się. – Dajcie go na głośniki, dobrze?

– Zawsze gada – powiedział Paolo. – A właściwie najczęściej śpiewa. Bełkocze na otwartym kanale.

– Ma na sobie nowy, przerobiony skafander. Dajcie go na głośniki – ponaglił go Lindsay.

– ... dziobaty jak twarz mojej matki – usłyszał głos trzeciego posła. – Przykro mi, że nie pożegnam się z moim przyjacielem Marssem. Przepraszam też za karnawał. Jestem daleko, parę kilometrów i wciąż syczy. Najpierw myślałem, że to jakiś nowy przyjaciel chce ze mną porozmawiać, ale nie. To mała dziurka na plecach, tam gdzie przykleiłem zbiorniki. Działają świetnie, ale dziura jest lepsza. To tylko ja i moje dwie skóry. Obie niedługo będą zimne.

– Spróbujcie go wywołać! – polecił Lindsay.

– Mówiłem przecież, że cały czas gada. Nie może nas usłyszeć, dopóki sam nadaje.

– Nie zwijam się z powrotem – mówił dalej pos 3. – Zostaję tutaj. – Jego głos słabł z każdą chwilą. – Nie mam powietrza, żeby mówić i słuchać, więc chyba spróbuję wygrzebać się ze skafandra. To tylko jeden suwak. Jeśli będę miał szczęście, uda mi się z niego wyplątać. – W głośnikach trzasnęło. – Zegnaj, Słońce. Zegnajcie, gwiazdy. Dzięki za...

Reszta jego słów utonęła w szumie gwałtownej dekompresji, po czym monotony szum wrócił. I trwał niezmiennie. Lindsay przemyślał całą sprawę i odezwał się cicho:

– Czy miałem być waszym alibi, Paolo?

– Co? – Paolo był zaszokowany.

– Mówię o sabotażu. Uszkodziliście mu skafander, a potem zeszliście ze stanowiska, żebyśmy nie mogli mu pomóc.

Paolo pobladł.

– Nawet nie tknęliśmy jego kombinezonu. Przysięgam!

– To dlaczego zeszliście z posterunku?

– Kleo mnie wrobiła! – krzyknął młody kształcerz. – Kości mówiły, że podejrzenie padnie na lana! Ja miałem być czysty!

– Zamknij się, Paolo – upomniał go Fazil i złapał za rękę.

Paolo próbował spiorunować go wzrokiem, a potem przeniósł spojrzenie na Lindsaya.

– To wszystko wina Kleo i lana. Zazdrościsz mi, zazdrościsz szczęścia...

Fazil potrząsnął nim i Paolo uderzył go na odlew w twarz. Fazil krzyknął, objął go oburącz i przycisnął do siebie.

– Zdenerwowałem się – powiedział przygnębiony Paolo. – Skłamałem: Kleo kocha nas wszystkich. To był wypadek. Zwykły wypadek.

Lindsay wyszedł i szybko, głową naprzód, ruszył tunelami. Minął kolejną nawilżamię, a potem

cieplarnię, z której dmuchawa tłoczyła woń świeżego siana. Wreszcie znalazł się w komorze, w której umieszczone za półprzepuszczalną membraną światła uprawowe rzucały czerwona poświatę. Odchodzący w bok korytarz prowadził do groty Nory. Lindsay przepchnął się obok blokującej przejście, sapiącej dmuchawy i włączył światła.

Ściany okrągłego pomieszczenia zdobiły fioletowe arabeski. Nora spała.

Obie jej ręce i nogi były oplecione przewodami; metalowe obejmy przytrzymywały nadgarstki, łokcie, kolana i kostki; czarne elektrody domięśniowe wybrzuszały odsłoniętą skórę. Ręce i nogi poruszały się lekko, w równym rytmie, na boki, w przód, w tył. Podłużna skorupa sterczała na jej kręgosłupie.

Lindsay od razu rozpoznał kraba rdzeniowego, przyrząd treningowy dla dyplomatów. Na wspomnienie własnych przeżyć ogarnął go szal. Odbił się od ściany i pomknął w stronę śpiącej. Kiedy krzyknął wściekle, Nora leniwie otworzyła oczy.

Chwycił ją za kark i pociągnął do siebie, wbijając palce drugiej dłoni w gumową krawędź kraba, tuż przy skórze. Szarpnął z całej siły i częściowo oderwał urządzenie od ciała Nory – skóra pod spodem była zaczerwieniona i śliska od potu. Złapał za lewy kabel i pociągnął mocno; udało mu się go zerwać. Nie dawał za wygraną i Nora jęknęła, gdy przewód wpił jej się pod żebra.

Krab wolno oddzielał się od jej ciała. Od spodu wyglądał makabrycznie – mnóstwo wilgotnych, przezroczystych rurek i cienkich jak włosy drucików. Lindsay szarpnął ponownie; splot kabli pękł z trzaskiem, odsłaniając przewody w kolorowej izolacji.

Lindsay zapałł się o plecy Nory i ciągnął, ona zaś, przyduszona przewodami, bezskutecznie próbowała odpiąć klamrę pasa. Wreszcie udało jej się i Lindsay trzymał w rękach kraba, który po zerwaniu łączy programowych miotał się i zwijał mu w rękach jak żywa istota. Lindsay złapał za paski, zakręcił nim i z całej siły cisnął o ścianę. Kruchy plastik zachodzących na siebie segmentów grzbietu popękał z trzaskiem. Lindsay uderzył krabem o kamienną posadzkę. Pociękł brunatny smar, który po następnym ciosie uformował się w kulki i poszybował w powietrzu. Lindsay przycisnął kraba nogą i tak długo ciągnął za pasek, aż urządzenie pękło z hukiem. Spod płytek pancerza wyzierały wnętrzości – romboidalne biochipy zagnieżdżone w płątaniu kolorowych światłowodów.

Lindsay jeszcze raz grzmotnął krabem o skałę, już z mniejszym impetem. Rozładował wściekłość. Robiło mu się zimno, prawa ręka drżała spazmatycznie.

Nora stała oparta o ścianę, ściskając w dłoniach wieszak z ubraniami. Nagłe przerwanie programowania neuronowego sprawiło, że trzęsła się jak w febrze.

– Gdzie drugi? – zapytał Lindsay tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Gdzie ten, który odpowiada za twoją twarz?

Zadzwoiła zębami.

– Nie zabrałam go.

Lindsay kopniakiem odsunął kraba.

– Od jak dawna jesteś pod wpływem tego świństwa?

– Zakładałam go każdej nocy.

– Każdej nocy?! Mój Boże!

– Muszę być najlepsza. – Wciąż drżącymi rękoma ściągnęła z wieszaka poncho i wsunęła głowę przez wycięty w środku otwór.

– Ale ból... Przecież to pali żywym ogniem!

Nora wygładziła opadającą jej na biodra tkaninę.

– Jesteś jednym z pierwszych uczniów – powiedziała. – Nieudaczników. Dezerterów.

– Którą klasę miałeś?

– Piątą. Ostatnią.

– Ja miałem pierwszą. Wydział zagraniczny.

– W takim razie nie jesteś nawet kształcerzem.

– Pochodzę ze Związku.

– Mieliście wszyscy umrzeć. – Nora ściągnęła pęknięte obejmy z kolan i kostek. – Powinnam cię zabić. Zaatakowałeś mnie. Jesteś zdrajcą.

– Kiedy roztrzaskałem to ohydztwo, poczułem się naprawdę wolny – rzekł Lindsay i z roztargnieniem roztarł zdrętwiałe ramię. Nie posiadał się ze zdziwienia; naprawdę stracił panowanie nad sobą i dał się ponieść fali buntu. Na moment prawdziwa, ludzka złość przebiła się przez nawyki ze szkolenia, udało mu się otrzeć o żar autentycznej wściekłości. Był roztrzęsiony, ale zarazem pełniejszy, jakby stał się bardziej sobą.

– Tacy jak ty zniszczyli nas – powiedziała Nora. – My, dyplomaci, powinniśmy być zawsze na czele, kierować rozwojem wydarzeń, nieść pokój. Ale musieli zakończyć program, bo, jak mówili, nie można nas polegać. Błąd ideologiczny.

– Chcieli naszej śmierci – zauważył Lindsay. – Dlatego zostaliście powołani.

– Nikt mnie nie powoływał, zgłosiłam się na ochotnika. – Nora zawiązała ostatnią tasiemkę poncha. – Jeżeli uda mi się wrócić, powitają mnie jak bohatera. To dla mnie jedyna szansa zdobycia jakiegokolwiek władzy w Pierścieniach.

– Są inne miejsca, z których można rządzić.

– Żadne inne się nie liczą.

– Trzeci poseł nie żyje – rzekł Lindsay. – Dlaczego go zabiliście?

– Z trzech powodów – odparła. Czas zachowywania pozorów minął. – Bo było to łatwe, bo zwiększyło nasze szanse w walce z wami i po trzecie, dlatego że był wariatem, gorszym niż reszta waszej załogi. Był za bardzo nieprzewidywalny i niebezpieczny, żebyśmy mogli pozwolić mu żyć.

– Był nieszkodliwy – zaproponował Lindsay. – W przeciwieństwie do nas dwojga. – Łzy napłynęły mu do oczu.

– Nie płakałbyś, gdybyś umiał nad sobą panować tak jak ja. Gdyby wyrwali ci serce.

– Zrobili to. I mnie, i tobie.

– On był piratem, Abelardzie.

– A reszta?

– Myślisz, że zapłakaliby po nas?

– Nie – odrzekł Lindsay. – Nawet nad jednym ze swoich nie będą rozpaczać. Jak byś się czuła, gdyby Ian jutro zniknął? I gdybyś po dwóch miesiącach znalazła jego kości w korycie odpływowym fermentatora? Albo jeszcze lepiej, skoro masz takie stalowe nerwy: jak by to było z tobą? Jak smakowałyby ci władza, gdybyś wyrzucona ze służby rzygała krwawą pianą?

– To zależy tylko od ciebie. Powiedziałam ci prawdę, tak jak się umawialiśmy. Sam musisz zapanować nad swoimi ludźmi.

– Nie będę miał takiej możliwości – powiedział Lindsay. – Myślałem, że zawarliśmy porozumienie.

Wskazała ociekające śluzem resztki kraba.

– Nie prosiłeś o pozwolenie, kiedy postanowiłeś mnie zaatakować. Zobaczyłeś coś, czego nie potrafiłeś znieść, i zniszczyłeś to. My postąpiliśmy identycznie.

– Chcę pomówić z Kleo.

– To wbrew umowie. – Nora sprawiała wrażenie urażonej. – Rozmawiasz z nią za moim

pośrednictwem.

– Popełniono morderstwo, Noro. Muszę się z nią zobaczyć.

Nora westchnęła.

– Jest w swoim ogrodzie. Będziesz musiał włożyć skafander.

– Zostawiłem swój na „Zgodzie”.

– W takim razie weźmiesz jakiś od lana. Chodźmy.

Poprowadziła go z powrotem do rozświetlonej czerwoną poświatą komory, a potem dalej, wydrążonym w skale krętym tunelem do pracowni lana Mavridesa.

Wytwórca kombinezonów i artysta grafik w jednej osobie nie spał – zastali go przy pracy. Uparcie odmawiał zdjęcia skafandra dekontaminacyjnego i nosił go bez przerwy, żyjąc we własnym, jednoosobowym, sterylnym środowisku. Był głową rodziny Mavridesów, obiektem wszystkich gróźb i żalów; Paolo zdążył się z tym wygadać, ale Lindsay wiedział to już wcześniej.

Okrągłe ściany jaskini lana pokrywał starannie wykonany desenh, mozaika geometryczna z elementów o kształcie litery L, nad której wyrysowaniem lokator groty pracował od tygodni. Z upływem czasu elementy mozaiki stawały się coraz mniejsze, coraz ciasniej, z iście maniacką precyzją upakowane. Złożoność desenu przyprawiała o klaustrofobię; drobniutkie wzorki zdawały się bezustannie wić i migotać.

Kiedy weszli do pracowni, Ian okręci! się na pięcie i odruchowo sięgnął do wypchanej kieszeni na piersi.

– To my – uspokoiła go Nora.

Widoczne pod wizjerem oczy lana miały obłąkany wyraz.

– Idźcie w cholerę – powiedział.

– Zachowaj takie propozycje dla innych – rzekł Lindsay. – Większe wrażenie byś na mnie zrobił, gdyby ci się udało trochę przespać, Ianie.

– Jasne – odparł Ian. – Żebyś mógł tu przyjść, ściągnąć ze mnie skafander i mnie zakazić.

– Potrzebny nam skafander – wtrąciła Nora. – Sekretarz wybiera się do ogrodu.

– Powiedz mu, że mam go gdzieś! Nie pozwolę mu zasmrodzić żadnego z moich kombinezonów! Może sobie sam uszyć, tak jak trzeci poseł.

– Znasz się na tym, Ianie. – Lindsay zastanawiał się, czy właśnie Ian zabił posła. Pewnie zagrali w kości o ten przywilej. Zdjął skafander z wieszaka. – Jeśli ściągniesz swój, może nie włożę tego, który trzymam w rękach. Co ty na to? – zaproponował.

Ian przytknął balon z tlenem do wlotu powietrza swojego kombinezonu.

– Nie przeciągaj struny – powiedział. – Ty kaleko.

Kleo mieszkała w największej, ozdobnej cieplarni. Rośliny rozwijały się tu wolniej niż w ciasnych ogrodach przemysłowych, gdzie znajdowały się pod stałym światłem lamp uprawnych, a atmosferę przesycono dwutlenkiem węgla. Swoją żebrowaną fakturą ściany podłużnej komory przypominały wnętrza muszli. Z fluorescencyjnych rur sączyło się jaskrawe światło.

Gleba składała się z odpadów górniczych, zlepionych wodą i wzmocnionych cienką plastikową siatką. Podobnie jak sami kształcerze, rośliny także zostały zmodyfikowane, by przeżyć w środowisku bez bakterii. Większość ogrodu zajmowały kwiaty – róże, stokrotki i jaskry wielkości dłoni.

Łóżko z baldachimem, na którym sypiała Kleo, upleciono z cienkiego bambusa. Teraz jednak Kleo nie spała, pochłonięta wyszywaniem na tamborku. Miała ciemniejszą skórę niż pozostali członkowie rodu – opaliła się w promieniach lamp. Była ubrana w białą bluzkę bez rękawów, przewiązaną w pasie i zwisającą cienkimi fałdami poniżej talii. Nogi miała odsłonięte, a stopy bose. Na lewej



piersi, nad sercem, na bluzce wyszyta była oznaka szarży.

– Witaj, kochanie – rzekła Kleo.

Nora wśliznęła się na łóżko i lekko cmoknęła ją w policzek.

– Nalegał, więc uznałam...

Kleo skinęła głową.

– Mam nadzieję, że będziesz się streszczał – powiedziała Lindsayowi. – Mój ogród nie jest miejscem dla bezplanowców.

– Chcę porozmawiać o zabójstwie trzeciego pośła.

Kleo upchnęła kosmyk włosów pod okrywającą głowę siatkę. Proporcje nadgarstka, dłoni i przedramienia zdradzały, że jest starsza od reszty mieszkańców Esairsa. Musiała pochodzić z wcześniejszej serii.

– To nonsens – stwierdziła. – Absurdalne pomówienie.

– Wiem, że go zabiliście, Kleo. Być może, zrobiłaś to osobiście. Bądź ze mną szczerą.

– Zginął przypadkiem. Nie ma dowodów, które by temu przeczyły, wobec czego nie ponosimy winy za jego śmierć.

– Próbuję ocalić nam życie, Kleo, więc oszczędź mi tych przyjacielskich gadek. Skoro Nora powiedziała prawdę, dlaczego ty nie możesz tego zrobić?

– Nie interesują nas twoje tajne sesje z naszym negocjatorem, sekretarzu. Ród Mavridesów nie może potwierdzić faktów, na których poparcie nie ma dowodów.

– I to tyle? – spytał Lindsay spod wizjera kombinezonu. – Zbrodnia nie mieści się w waszej ideologii? Chcecie, żebym włączył się w tę fikcję? Kłamał dla was? Chronił was?

– Jesteśmy twoimi rodakami – powiedziała Kleo, utkwivszy w nim spojrzenie orzechowych oczu.

– Ale zabiliście mojego przyjaciela.

– Twoje oskarżenia są bezpodstawne, sekretarzu.

– To nie ma sensu – rzekł Lindsay. Schylił się, chwycił pozbawiony kolców krzew róży i wyrwał go z korzeniami. Kiedy nim potrząsnął, w powietrze poleciały grudy wilgotnej ziemi. Kleo się skrzywiła. – Patrz! Naprawdę nie rozumiesz?

– Rozumiem, że jesteś barbarzyńcą. Zniszczyłeś piękną rzecz, by podkreślić swoje stanowisko w dyskusji, którego nie mogę zaakceptować.

– Ustąp trochę – poprosił Lindsay. – Zmiłuj się.

– To niemożliwe.

Lindsay odwrócił się na pięcie i wyszedł z ogrodu. Zaraz za służą ściągnął lepiący się do ciała skafander.

– Mówiłam, że nie warto próbować – rzekła Nora.

– Ona ma skłonności samobójcze – powiedział Lindsay. – Dlaczego jej słuchacie?

– Bo nas kocha.

\* \* \*

*Esairs XII, 23. 02.'17*

– Opowiem ci trochę o seksie, co? – zaproponowała Nora. – Daj rękę.

Lindsay podał jej lewą dłoń. Nora chwyciła ją za przegub, przyciągnęła bliżej, wzięła jego kciuk do ust i przytrzymała tak przez chwilę.

– Co czułeś?

– Ciepło – odparł Lindsay. – Wilgoć. Nieprzyjemną bliskość.

– Tak właśnie wygląda seks na tłumikach. Wszyscy w rodzinie się kochamy, ale o erotyce nie ma mowy. Jesteśmy żołnierzami.

– Chemicznie wykastrowanymi, tak?

– Jesteś uprzedzony. Nie wiesz, jak to jest, ale właśnie dlatego orgia, którą proponowałeś, nie wchodzi w grę.

– Karnawał to nie orgia – zaproponował Lindsay. – Raczej ceremonia, komunia. Opiera się na zaufaniu i wzmacnia więzi w grupie. Jak u zwierząt, które zbijają się w stado.

– Prosisz o zbyt wiele.

– Nie zdajesz sobie sprawy z wysokości stawki w tej grze. Im nie chodzi o wasze ciała; chcą was zabić. Nienawidzą waszych sterylnych bebechów. Nie masz pojęcia, ile z nimi rozmawiałem, tłumaczyłem, jak im schlebiałem.. Zrozum, podczas karnawału używa się halucynogenów. Mózg praktycznie zmienia ci się w budyń. Nie wiesz, czym są twoje ręce, że o cudzych genitaliach nie wspomnę... Człowiek staje się bezradny, tak jak wszyscy inni – i o to chodzi. Żadnych gier, polityki, uraz, przewagi stanowisk. Własne „ja” znika. Po karnawale czujesz się jak w pierwszym dniu stworzenia. Wszyscy chodzą uśmiechnięci. – Lindsay odwrócił wzrok. Zamrugał. – Naprawdę, Noro. Wcale nie rząd pozwala im trzymać się razem; rząd jest tylko mózgiem, karnawał zaś – krwią, nerwami, płcią.

– Nas to nie pociąga, Abelardzie.

– Ale gdybyście chociaż na parę godzin mogli do nas dołączyć! To by złagodziło napięcia i moglibyśmy sobie naprawdę zaufać. Zrozum, Noro, seks to nie jest jakieś abstrakcyjne rzemiosło. Jest czymś prawdziwym, ludzkim, jedną z ostatnich rzeczy, jakie nam zostały. Psiakrew! Co macie do stracenia?

– To może być zasadzka – rzekła Nora. – Oszołomicie nas narkotykami, a potem zabijecie. Nie chcemy ryzykować.

– Oczywiście, że tak, ale tego ryzyka można uniknąć. – Lindsay wbił wzrok w jej twarz. – Mówię ci to, bo przecież sobie ufamy. Przynajmniej ty mogłabyś spróbować.

– Nie lubię seksu, zwłaszcza z bezplanowcami.

– Masz do wyboru: albo zrobisz to ze mną, albo z jednym ze swoich – Spod kłapy wyjął gotową do użycia strzykawkę. Założył na nią igłę. – Jestem gotowy.

Nora spojrzała na niego z ukosa, po czym sięgnęła po swoją strzykawkę.

– Może ci się nie spodobać, Abelardzie.

– A co to jest?

– Środek tłumiący, z dodatkiem fenyloksantyny, żeby podbić ci iloraz inteligencji. Dopiero wtedy naprawdę poczujesz się tak jak my.

– To nie jest normalna mieszanka na karnawał – rzekł Lindsay. – Trochę afrodyzjaku, tak na pół gwizdka, i środek rozluźniający. Wydaje mi się, że dobrze ci robi, bo odkąd zniszczyłem kraba, jesteś trochę spięta.

– Coś mi się widzi, że świetnie wiesz, czego mi trzeba.

– Tak jak ty wiesz, co mi się przyda. – Lindsay podwinął luźny rękaw bluzy. – Chwila prawdy nadeszła, Noro. Możesz mnie teraz zabić, a potem wytłumaczyć wszystko reakcją alergiczną albo stresem. – Zerknął na krzykliwe tatuaże pokrywające mu ramię. – Nie rób tego.

Noro udzieliła się jego podejrzliwość.

– Nagrywasz to? – zapytała.

– Nie zgadzam się na instalowanie taśm w moim pokoju.

Z plastikowej szafki wyjął dwa kawałki elastycznego przewodu. Podał jeden Norze, drugim obwiązał sobie biceps. Ona uczyniła to samo ze swoją ręką. Czekali cierpliwie, z podwiniętymi rękawami, aż żyły wystąpią wyraźniej w zgięciu łokcia. Był to najbardziej intymny moment, jaki wspólnie spędzili, i ta myśl podniecała Lindsaya.

Nora wbiła mu strzykawkę w żyłę. Lindsay uczynił to samo, po czym, patrząc sobie w oczy, wcisnęli tłoczki.

Chwila minęła. Lindsay wyciągnął igłę z ręki Nory i przykleił w tym miejscu sterylny plastikowy opatrunek. Potem zalepił własną ranę. Oboje poluźnili opaski uciskowe.

– Chyba żadne z nas nie umiera – zauważyła Nora.

– To dobry znak. – Lindsay odrzucił w kąt obie opaski. – Na razie wszystko gra.

– Och – westchnęła Nora i przymknęła oczy. – Ale daje... Och, Abelardzie.

– Jak się czujesz?

Złapał ją za ramię. Splot napiętych mięśni rozluźnił się nieco pod jego dotykiem. Nora oddychała płytko, rozchyliwszy lekko usta.

– Jakbym się roztapiała.

Najpierw zadziałała fenylnksantyna i Lindsay poczuł się jak król.

– Nie skrzywdziłabyś mnie – powiedział. – Jesteśmy do siebie podobni.

Rozwiązał troczki i ściągnął z Nory bluzkę, a potem zdjął jej spodnie, wywracając je na lewą stronę i na samym końcu zsuwając ze stóp. Zostawił jej sandały i sam się rozebrał. Jego ubranie zatrzepotało, kiedy rozrzucił je dookoła i unosiło się obok nich, wirując powoli.

Przyciągnął Norę bliżej.

– Pomóż mi oddychać – wyszeptała.

Środek rozluźniający dosięgnął jej płuc. Lindsay ujął w dłonie jej podbródek i przycisnął usta do jej ust. Zrobił wolny wydech. Poczuł, jak żebra Nory naciskają na jego pierś. Głowa opadła jej w tył, gdy mięśnie karku zmiękły niczym wosk. Zahaczył nogami od wewnątrz o jej łydki i oddychał za nich oboje.

Nora pozwoliła, by jej ramiona wolno, leniwie oplotły jego szyję, i delikatnie odchyliła usta.

– Może teraz.

Lindsay spróbował w nią wejść, ale afrodyzjak nie zaczął jeszcze działać i była zupełnie sucha.

– Nie zrób mi krzywdy – poprosiła.

– Pragnę cię – powiedział Lindsay. – Należysz do mnie, nie do innych.

– Nie mów tak – odparła, przeciągając sylaby. – To tylko eksperyment.

– Dla nich może tak, ale nie dla nas. – Fenylnksantyna dawała mu bezlitosną pewność własnych racji. – Reszta się nie liczy. Zabiję każdego, kogo mi wskażesz. Kocham cię, Noro. Powiedz, że i ty mnie kochasz.

– Nie mogę. – Skrzywiła się. – Robisz mi krzywdę.

– To powiedz przynajmniej, że mi ufasz.

– Ufam ci. No, udało się. Nie ruszaj się przez chwilę. – Oplotła jego lędźwie nogami i poruszyła biodrami, żeby dobrze ułożyć go w środku. – Wiec to jest seks.

– Nigdy tego nie robiłaś?

– Raz, w akademii. Założyłam się z kimś. Było zupełnie inaczej niż teraz.

– Dobrze się czujesz?

– Nie narzekam. Dalej, Abelardzie.

Jej słowa pobudziły jednak ciekawość Lindsaya.

– A podłączali cię kiedyś do dozownika rozkoszy? Bo mnie tak, w rutynowym ćwiczeniu

odporności podczas przesłuchania.

– Oczywiście, że tak. Ale nie było w tym nic ludzkiego, tylko czysta ekstaza. – Nora zaczynała się pocić. – No, kochanie, nie przestawaj.

– Zaraz, zaczekaj chwilę. – Lindsay zamrugał, gdy złapała go mocno w talii. – Rozumiem, co masz na myśli. To głupie, prawda? I tak jesteśmy już przyjaciółmi.

– Pragnę cię, Abelardzie! No dalej, wykończ mnie!

– Udowodniliśmy już swoje racje, a poza tym jestem przecież nieczysty.

– Co mnie obchodzi twoja czystość? Pośpiesz się, na Boga!

Lindsay usiłował jej posłuchać i przez prawie minutę mechanicznie poruszał biodrami. Nora odchyliła głowę w tył, zagryzła dolną wargę i pojękiwała wyczekująco, ale dla niego cała ta zabawa straciła sens.

– Już nie mogę – powiedział. – Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy się tak starać.

– Daj mi się wykorzystać. No, daj!

Spróbował pomyśleć o czymś podniecającym. Typowy dla jego umysłu wir erotycznych wyobrażeń wydawał mu się niewiarygodnie odległy i abstrakcyjny, jakby dotyczył innego gatunku istot. Przyszła mu na myśl jego żona. Seks z Alexandriną wyglądał właśnie tak – był aktem grzeczności, spełnieniem obowiązku.

Nie poruszał się, pozwalając, żeby ciało Nory uderzało o niego. W końcu rozpaczliwy jęk rozkoszy dobył się z jej ust. Odsunęła się i rękawem bluzki otarła twarz i szyję z potu. Uśmiechnęła się niepewnie.

Lindsay wzruszył ramionami.

– Teraz rozumiem, o co ci chodziło. To strata czasu – powiedział. – Nie wiem, czy uda mi się innym do tego przekonać, ale gdybym miał trochę czasu, żeby...

– Popełniłam błąd. – Nora posłała mu pożądliwe spojrzenie. – Nie powinniśmy byli sobie tego tak zohydzać. Czuję się jak najgorsza egoistka, bo nic z tego nie miałeś.

– Było nieźle – zapewnił ją Lindsay.

– Powiedziałeś, że mnie kochasz.

– Hormony się odezwały. Rzecz jasna darzę cię szczerym szacunkiem, jako koleżankę... Przepraszam, że tak powiedziałem. Wybacz. Oczywiście wcale tak nie myślałem.

– Oczywiście – przytaknęła wkładając bluzkę.

– Nie złość się. Jestem ci wdzięczny. Będę teraz postrzegał seks w sposób, jakiego nie znałem. Miłość... jest niematerialna. Może innym ludziom się udało, w innym miejscu, innych czasach.

– Ale nie nam.

– Nie. Źle mi z tym, co zrobiliśmy, sprowadziliśmy negocjacje do seksualnego stereotypu. Musiałaś poczuć się urażona. I pewnie było ci niezręcznie.

– Rzygać mi się chce – powiedziała Nora.

\* \* \*

*Esairs XII, 24. 02.'17*

– Lepiej się czujesz? – zapytał prezydent, marszcząc zadarty nos. – Nie będzie już więcej bredni o wysysaniu naszych soków?

– Nie, panie prezydencie, już nie. – Lindsay pokręcił głową. Wzdrygnął się. – Już mi lepiej.

– To dobrze. Rozwiąż go.

Druga posłanka rozplatała węzły na krępującym Lindsaya sznurze i odczepiła go od ściany.

– Pogubiłem się – rzekł Lindsay. – Teraz to widzę, ale kiedy tłumiki zaczęły działać, wszystko stało się jasne, krystalicznie czyste. Idealne.

– Tobie może to nie przeszkadza, ale my pozawieraliśmy małżeństwa – rzekł ostro pierwszy senator, trzymając pierwszą posłankę za rękę.

– Przykro mi. – Lindsay rozcierał obolałe przeguby. – Oni są na prochach. W tej chwili tylko Nora jest od nich wolna. Nie zdawałem sobie sprawy, jak głęboko to sięga. Ci ludzie są... bezlitośni, brakuje im niepewności, które wiążą się z seksem. Pasują do siebie jak dobrze naoliwione tryby w maszynie. Będziemy musieli ich uwieść. – Popatrzył po zebranych wokół górnikach. Trzecia senator z krótko ostrzyżoną, podobną do dyni głową; trzeci sędzia, paznokciem wydłubujący sobie resztki jedzenia spomiędzy zębów... – A to nie będzie łatwe.

– Nie martw się, sekretarzu. – Prezydent wygładził jedną z plastikowych tasiemek ozdobnego rękawa. – Wystarczająco długo zwlekałeś z negocjacjami. Ci skurwiele załatwili trzeciego posła.

– Nie mamy na to dowodów.

– Wiesz, że go zabili; my też to wiemy. Kryłeś ich, i może słusznie robiłeś, ale to znaczy, że siedzisz w tym po uszy. Nasze zadanie nie polega na wymordowaniu ich wszystkich. Gdyby tak było, nie przenieśliśmy przecież działa ze statku na ten kawał skały.

– Ale to było nasze zwycięstwo. Działa Armagedonu zamilkły, prawda? I wszystko stało się możliwe!

– Musimy pozbyć się zagrożenia. To jest nasze zadanie. Za to mechowie nam zapłacą. Podczas kiedy ty gadałeś z nimi do upadłego, my prowadziliśmy poszukiwania. Mamy kompletną mapę tuneli; znamy ich maszynierię wystarczająco dobrze, żeby ją sabotować. Zniszczymy tę asteroidę, a potem pofruniemy do karteli, gdzie zaczniemy żyć od nowa.

– Chcecie ich zostawić we wraku Esairsa?

Przewodnicząca parlamentu wyszczerzyła zęby w ponurym uśmiechu.

– Zostawimy im działo. Nie będzie nam potrzebne tam, dokąd chcemy się udać.

Druga sędzina musnęła obutą w sandał stopę Lindsaya.

– To proste, sekretarzu. Zanim się zorientujesz, dolecimy do kartelu Themis i spokojnie będziemy sobie popijać. Mechowie będą oszołomieni naszymi kostiumami. – Żyłastą dłonią pociągnęła za ramiączko plastikowej sukni. Dwoje senatorów parsknęło śmiechem.

– Kiedy? – zapytał Lindsay.

– Dowiesz się, a tymczasem spokojnie obserwuj rozwój wydarzeń.

– A gdyby któreś z nich chciało zdezerterować i lecieć z nami?

– Możesz ją zabrać – powiedział prezydent.

\* \* \*

*Esairs XII, 1. 03.'17*

Lindsay odpychał się od skrytych w mroku ścian, holując skrzynię ładunkową. Co jakiś czas uderzał ręką o skałę.

– Paolo! Fazil!

Zgrzytnęła kamienna pokrywa i słaby blask świecy padł na twarz Paola, który wychynął z otworu, zaparłszy się łokciami.

– Czym możemy służyć?

– Porozmawiajmy poważnie, Paolo.

– Czy znowu chodzi o tę orgię?

– Przygotowaliśmy ładunek do działła – rzekł Lindsay i kciukiem wskazał skrzynię. – Jeżeli dojdziemy do porozumienia, możemy strzelić dwa razy. – Uśmiechnął się. – Przysługa za przysługę, dobrze? Załatwię wam strzał, a wy poprzecie moją propozycję karnawału.

Paolo się skrzywił. Potarł ręką wrzody na brodzie, z których sączyła się ropa.

– Mamy zaprzedać nasze ciała dla sztuki – powiedział. – Nie ma mowy, sekretarzu. Reszta nigdy się na to nie zgodzi. Wyobrażasz sobie Kleo – ściszył głos – rozkładającą nogi przed tym kapitanem bandytów?

– Nie twierdzę, że faktycznie do tego dojdzie – pośpieszył z wyjaśnieniami Lindsay. – Chcę tylko, żebyście mnie poparli. Zależy wam na wystrzeleniu tej głowy, czy nie?

Paolo obejrzał się przez ramię, w głąb tunelu.

– Ja się zgadzam – dobiegł z ciemności głos Fazila.

– W takim razie jeden z was pójdzie do nastawni i wprowadzi parametry strzału – polecił Lindsay. – Drugi tymczasem uda się ze mną i razem załadujemy akcelerator. Tylko ani słowa o naszej umowie, jasne? Nikomu.

– Pomożesz nam wystrzelić głowę, a my w zamian zadbamy, żebyś nie stracił twarzy przed resztą, tak? Ma to wyglądać, jakby zadziałała twoja wrodzona charyzma?

– Takie są moje warunki. Wy dochowacie tajemnicy, ja nie zdradzę waszego sekretu. Który z was przygotowuje aparaturę?

– Ja – zdecydował Paolo. Przecisnął się obok Lindsaya i zniknął w ciemności, kierując się ku nastawni.

Z otworu wychylił się Fazil.

– Co jest w tej skrzyni? – zapytał.

– Dowody – odparł Lindsay. – Pamiątki z dawnych najazdów i różne drobiazgi, których moglibyśmy się wstydzić, osiadłszy tu na dobre. – Była to tylko połowa prawdy. Wstydzić powinni się nie na Esairsie, lecz w kartelu mechów, gdzie piraci będą na cenzurowanym. Duże kartele, takie jak Themis, były wybredne i nawet w gnidomiastach nie tolerowałyby piractwa.

Załoga „Czerwonej Zgody” załadowała skrzynię bez jego wiedzy i kazała mu ją wystrzelić, wiedział więc, że ostateczne posunięcie jest już bliskie.

Fazil wśliznął się w główny tunel. W ręku trzymał świecę.

– Mogę spojrzeć?

Wyciągnął rękę i oparł ją na wieku skrzyni. Czarny jak smoła karaluch wylazł spomiędzy plastikowych deszczulek, wymachując czułkami długości męskiego przedramienia. Syknawszy z obrzydzeniem, Fazil gwałtownie cofnął dłoń. Lindsay sięgnął przed siebie, chcąc złapać owada, ale chybił.

– Ohyda – rzekł Fazil. – Pomóż mi z tą głową.

Lindsay udał się za nim do warsztatu, po czym wspólnie wytaszczyli masywny kamienny blok na korytarz. Głowa ledwie się mieściła w wąskim tunelu.

– Może powinniśmy ją czymś posmarować – zasugerował Lindsay.

– Nie wyślemy głowy Paola z usmarkanym nosem na spotkanie z wiecznością – sprzeciwił się Fazil. Zdmuchnął świecę i zamknął wejście do warsztatu, a potem pchnął rzeźbę przed siebie, w stronę pierścienia akceleratora. Lindsay ruszył za nim, ciągnąc skrzynię.

Posuwali się okrężną drogą. Przemierzali wycięte w skale korytarze, w których zalegało stęchłe powietrze. Komora ładunkowa akceleratora znajdowała się płytko pod powierzchnią asteroidy, w

ścianie jednego z głównych centrów przemysłowych, gdzie wytwarzano wabiki.

Kompleks produkcyjny przypominał z wyglądu grono winorośli; pozlepiane torby fermentacyjne, połączone sflaczałymi przewodami hydraulicznymi i umocowane cumami, okalał pierścień błękitnawych lamp uprawnych. Całe grono wisiało w powietrzu, a jego półprzezroczyste komory poruszały się leniwie.

Nie zostały całkowicie wyłączone, bo zabiłoby to wszystkie bakterie, ale produkcja spadła praktycznie do zera. Wyloty dmuchaw odłączono od akceleratora. Zamiast wypluwać cienką błonę okrywającą wabiki, wytwarzały gruboziarnistą, bezbarwną pianę. W powietrzu unosił się ostry odór gorącego plastiku.

Należący do rodziny robot trwał na stanowisku. Zastygł w połowie wykonywanego programu, gdy Fazil przemknął obok z kamienną głową w rękach. Kiedy Lindsay przelatował przed nim, robot przykucnął cicho. W przednich manipulatorach trzymał miech. Zębatki terkotały donośnie, gdy jedynym, olbrzymim okiem śledził ruchy Lindsaya.

Robot, większy od człowieka, składał się głównie z przewodów i przegubów. Sześć kościstych ramion wykonano z lekkiego, spienionego metalu. W korpusie, pod osłoną beczkowatej klatki piersiowej, ukryto mózg i silnik maszyny. Z przodu znajdowały się czujniki oraz para długich szczypiec. Z tylnego końca automatu wyrastały cztery połączone na kształt krzyża ramiona, przeznaczone do pracy w nieważkości. Również z tyłu umieszczono stożkowy świder do wiercenia otworów w skale.

Robotowi brakowało elegancji maszyny meków. Przypominał ruchliwy szkielet albo poddane wiwiseksi zwierzątko, u którego bada się odruchy nerwowe.

Kiedy Lindsay znalazł się poza zasięgiem jego ramion, robot wrócił do pracy. Odepchnął się od ściany i przytknął miech do wilgotnego wylotu torby fermentacyjnej.

Fazil prześliznął się na drugą stronę kamiennej głowy i zatrzymał ją, zanim zderzyła się ze ścianą.

Wlot komory ładunkowej akceleratora był zabezpieczony śluzą powietrzną z przezroczystego plastiku. Fazil zdjął ze ściany ciasno zwinięty zielony skafander, strzepnął, po czym wgramolił się do niego i zaciągnął suwak. Odpiął zamknięcie śluzu i wszedł do środka.

Lindsay podał mu skrzynię.

Fazil zamknął śluzę i otworzył komorę. Prostokątny, zakrzywiony fragment ściany podjechał do góry na zewnętrznych sprężynowych zawiasach. Powietrze zostało z sykiem wysrane ze śluzu, delikatne plastikowe ścianki odkształciły się do wewnątrz, oblepiając podtrzymujące je rusztowanie.

Ze skrzyni wypęzły pięć olbrzymich karaluchów i gromada mniejszych. Zaczęły beładnie miotać się w próżni. Fazil krzyknął coś bezgłośnie i zaczął wymachiwać chaotycznie rękoma. Owady zdychały w spazmach; cieniutkie jak papier skrzydełka trzepotały na oślep w próżni, korpusy karaluchów rozdymały się w zmniejszonym ciśnieniu, a ze stawów i odwłoków ciekł śluz.

Jeden z karaluchów przywarł do plastikowej ścianki tuż przed twarzą Lindsaya i wymiotował. Musiał najeść się czegoś w skrzyni, czegoś lepkiego i czerwonego.

Z pojemnika unosiły się blade smużki pary, ale zajęty wyrzucaniem robactwa do komory ładunkowej Fazil niczego nie zauważył. Po chwili wszedł ze śluzu do wnętrza akceleratora i pociągnął skrzynię za sobą. Upchnął ją w czerpaku.

Wrócił do śluzu, wrzucił ostatnie zdechłe owady do komory i zatrzasnął właz. Zapłonęła zielona lampka, gdy drzwi się uszczelniły. Na diodowym wyświetlaczu zamigały cyferki – to włączyło się zasilanie elektromagnesów.

Fazil rozpiął wejście i śluzę wypełniło powietrze. Plastikowe ścianki zatrzepotały niczym żagle. Roztrzęsiony Fazil wszedł do pokoju.

– Widziałeś to? – Z początku kombinezon tłumiał jego krzyki, ale po chwili Fazil rozpiął suwak do piersi. – Co tam było? Co one jadły?

– Nie widziałem, jak pakowali skrzynię – odparł Lindsay. – Nie wiem, co do niej włożyli.

– Wygląda jak krew. – Fazil oglądał ubrudzony rękaw skafandra.

Lindsay nachylił się bliżej.

– Nie pachnie jak krew.

– Ale to jest dowód. – Fazil poklepał się po rękawie.

Lindsay nie odpowiedział. Piraci go okłamali. Próbowali być sprytni, tak samo sprytni jak kształcerze. Postarali się, żeby ktoś zniknął bez śladu.

– Najlepiej będzie, jak wystrzelimy ten skafander w kosmos, Fazilu – poradził.

– Widziałeś dziś lana?

– Nie szukałem go.

Spojrzeni po sobie. Lindsay się nie odezwał. Fazil zerknął nerwowo przez ramię na wyświetlacz.

– Skrzynia wystrzelona – oznajmił.

– Jeżeli wystrzelisz skafander, posprzątam w śluzie – zaofiarował się Lindsay.

– Nie ma mowy. Nie wystrzelę go razem z głową Paola.

– W takim razie włóż go do jednej z kadzi fermentacyjnych – rzekł Lindsay. – Jeżeli to zrobisz, pomogę wam przywrócić temu kompleksowi pełną zdolność produkcyjną. Znow będziecie mogli produkować wabiki. – Lindsay ściągnął ze ściany drugi kombinezon i go strzepnął. – Wystrzelimy głowę i ukryjemy skafander, od tego zaczniemy, a potem będziemy mogli rozmawiać. Zgoda?

Najlepszy do ataku moment – kiedy miał nogi zaplątane w nogawki kombinezonu – minął; Lindsay wiedział, że znow udało mu się zyskać na czasie.

Razem z Fazilem wepchnęli kamienną głowę do śluzy, po czym Fazil zasunął wejście, a Lindsay otworzył właz.

Światło padało na wnętrze szklistego cylindrycznego kanału akceleratora, odbijając się od wprasowanych w ściany miedzianych przewodów. Żelazne pręty czerpaka lśniły delikatną warstewką szronu powstałego z pary wodnej, zawartej w niedawno wystrzelonym ciełe.

Lindsay wszedł do akceleratora, wsunął głowę do czerpaka i przygotował zaciski.

Cień na moment przesłonił światło. To Fazil zamykał właz. Lindsay obrócił się i skoczył.

Zdażył wepchnąć prawą rękę w otwór. Pokrywa włazu odbiła się od jego ciała. Kombinezon zaczął w tym miejscu wypełniać się krwią.

Lindsay wykrzywił twarz w paskudnym uśmiechu, przepychając głowę i barki przez właz. Lewą dłonią chwycił Fazila za nogę i uderzył jego pieszczelą o ostrą krawędź otworu. Zgrzytnęła kość. Odchylony do tyłu Fazil puścił pokrywę.

Lindsay wśliznął się do wnętrza śluzy. Nie wypuszczając nogi Fazila z uchwytu, wbił mu stopę w krocze. Fazil zgiął się wpół, a Lindsay podłożył mu rękę pod kolano, pociągnął do góry i wyłamał kość udową ze stawu.

Oszalały z bólu Fazil wymachiwał rozpaczliwie rękoma w poszukiwaniu punktu oparcia. Natrafiwszy dłonią na pokrywę włazu, zatrzasnął ją z hukiem. Obwód akceleratora został zamknięty, uszczelniony i zapaliło się zielone światelko.

Lindsayowi dwie kuliste krople jego własnej krwi wpadły do wnętrza hełmu, pod wizjer. Kichnął, a wtedy się rozprysły. Przez moment był oślepiiony i Fazil natychmiast rzucił się do ataku.

Z siłą zrodzoną z desperacji oplótł ramionami pierś Lindsaya. Lindsay na cztery trwające całą wieczność uderzenia serca znalazł się o krok od utraty przytomności. Kopnął jak szalony obiema nogami i zahaczył stopą o podpórkę śluzy.



Wciąż spleceni obrócili się w powietrzu. Lindsay grzmotnął łokciem w głowę Fazila i chwycił go za kark, ale czuł już, jak w uścisku przeciwnika uginają mu się zębra.

Spoza pochłapanego krwią wizjera posłał mu nieustępliwe spojrzenie. Kiedy ich oczy się spotkały, twarz Lindsaya zafalowała makabrycznie. Oczy Fazila rozszerzyły się z przerażenia i zaczął się wyrwywać. Wtedy Lindsay złamał mu kark.

Dyszał ciężko; przeznaczonych do krótkiego przebywania w próżni skafandrow nie zaopatrzone w zbiorniki tlenu. Musiał odetchnąć świeżym powietrzem.

Odwrócił się do wyjścia i dostrzegł stojącą po drugiej stronie Kleo. W jej oczach przerażenie mieszało się z fascynacją. Przytrzymała ręką zewnętrzny zaczepek suwaka śluzę, sięgając po swoją ulubioną broń: igłę z nitką. Lindsay mrugnął, bo mikroskopijna kropelka krwi osiadła mu na rzęsach. Kopniakiem odepchnął się od ciała Fazila i zaczął gorączkowo szukać zamka po swojej stronie. Kleo kilkoma zwinnymi ruchami zaszyła śluzę.

Szarpnął z całej siły, ale cienkie różowe nici zachowywały się jak stalowy drut.

Był w próżni, odcięty od świata; nie mógł tej kobiecie nic wytłumaczyć, nie mógł jej skłamać...

Kleo chciała zobaczyć, jak będzie umierał. Nad jego głową zmieniały się cyfry na wyświetlaczu; stopniowo bladły, gdyż strzał wymagał użycia pełnej mocy.

Lindsay lewą ręką szarpnął pokrywę włazu. Pod palcami wyczuł delikatne drżenie. Kopnął we właz, mocno, trzy razy. Coś pękło, szarpnął więc ze zdwojoną siłą. Pokrywa uchyliła się na szerokość palca.

Trzasnęły bezpieczniki i wszystkie światła zgasły.

Właz otworzył się bez przeszkód. Lindsaya otaczała całkowita ciemność.

Nie miał pojęcia, ile czasu potrzeba, żeby rozpedzony czerpak ze zgrzytem się zatrzymał. Jeżeli wciąż krążył w tunelu z prędkością paru kilometrów na sekundę, obetnie mu rękę albo nogę gładko niczym promień lasera.

Nie miał wiele czasu. Powietrze wewnątrz kombinezonu zgęstniało od jego oddechu i zapachu krwi. Podjął decyzję i wsadził głowę do akceleratora.

Przeżył.

Miał więc następny problem: gdzieś na obwodzie pierścienia czerpak blokował przejście. Jeżeli trafi nań po drodze na zewnątrz, będzie musiał zawrócić, a to oznaczałoby stratę powietrza. W lewo czy w prawo?

W lewo. Oddychając płytko i oszczędzając nadwerężone ramię, skokami posuwał się w głąb pierścienia. Przycisnął obie ręce do piersi i odpychał się tylko nogami; ślizgał się, obijał, kręcił salta.

Trzysta metrów – tyle wynosiła połowa obwodu pierścienia. Wystarczy, że pokona trzysta metrów. Co jednak robi, jeśli okaże się, że wylot tunelu jest zamknięty powłoką z maskującego plastiku? A może już minął wyjście i w ciemnościach nie zwrócił na nie uwagi?

Gwiazdy. Podskoczył do góry, w ostatniej chwili przypominając sobie, że musi zatrzymać się na brzegu otworu. Przy słabiutkim przyciąganiu Esairsa taki skok wyprowadziłby go na orbitę okołosłoneczną.

Ponownie znalazł się na powierzchni asteroidy, otoczony czarnymi smugami sadzy i szarawymi kraterami. Przeskoczył nad jednym z nich i niewiele brakowało, żeby rozminął się z przeciwległą krawędzią. Kiedy zacisnął palce na kawałku pumeksu, kamień odkruszył się i odłamki poszybowały wolno tuż nad powierzchnią gruntu.

Dyszał już ciężko, gdy wreszcie znalazł drugą śluzę: osłonięty folią maskującą otwór w miejscu, w którym świder pierwszy raz wgrzył się w skałę. Odgarnął folię i przekręcił uchwyt na włazie. Z

prawej ręki ciągle sączyła mu się krew.

Pokrywa odskoczyła. Wszedł do śluzu i zatrzasnął właz za sobą. Potem zajął się następnym. Oddychał z coraz większym wysiłkiem, każdy wdech dostarczał płucom coraz mniej powietrza, w którym wyraźnie dawało się wyczuć zapach krwi.

Otworzył drugi właz. Przepchnął się do środka i w tej samej chwili wokół niego się zakotłowało. W ciemności usłyszał trzask rozdzieranego skafandra, a potem poczuł na gardle muśnięcie zimnej stali.

– Gadaj!

Ktoś chwycił go za nogi. Lindsay zawył z bólu, gdy wykręcono mu zranioną rękę.

– Panie prezydencie! – sapnął. – Panie prezydencie!

Nóż się cofnął. Piła łańcuchowa zagrała ogłuszająco i posypały się iskry. W ich ostrym blasku Lindsay rozpoznał prezydenta, przewodniczącą parlamentu, pierwszego sędziego i trzecią senator.

Snop iskier zgasł. Przewodnicząca przyciskała ostrze małej piły do kawałka rury.

Prezydent zerwał Lindsayowi nakrycie głowy.

– Moja ręka, moja ręka! – wyjęczał Lindsay.

Senator puściła jego nogi, a sędzia rozluźnił uścisk na ramieniu. Lindsay odetchnął pełną piersią.

– Atak z wyprzedzeniem, psiakrew! – mruknął prezydent. – Nienawidzę ich.

– Usiłowali mnie zabić – rzekł Lindsay. – Co ze sprzętem? Zniszczyliście? Możemy odlecieć?

– Zorientowali się – warknął prezydent. – Byliśmy z Paolem w nastawni, żeby się dowiedzieć, jak rozwalić przyrządy, a tu nagle zjawily się Agnes i Nora. Powinny były spać! A potem zapadła ciemność...

– Wysiadło zasilanie – uzupełniła przewodnicząca.

– Krzyczę, że to zasadzka – mówił dalej prezydent. – Ale jest ciemno. Mają przewagę, bo jest ich mniej i trudniej im trafić swoich. No więc skoczyłem do aparatury i wsadziłem nóż w obwody. Słyszałem wycie drugiego senatora, trzask kości...

– Coś mokrego otarło mi się o twarz – wtrącił pierwszy sędzia. W jego starczym głosie brzmiała nuta ponurej satysfakcji. – W powietrzu było pełno krwi.

– Mieli broń – kontynuował prezydent. – Złapałem to w tym zamieszaniu. Pomacaj, sekretarzu.

Prezydent wcisnął coś Lindsayowi do lewej ręki, coś wielkości otwartej dłoni – płaski kamienny dysk opleciony drucianą siateczką. Z jednej strony cały się lepił.

– Chyba poprzyklejali je sobie do piersi. Broń do zadawania cięć, do duszenia, do bicia. Włókna są tak cienkie, że tną wszystko. Kiedy za takie złapałem, rozorałem sobie kciuk do kości.

– Gdzie reszta? – zapytał Lindsay.

– Mieliśmy plan awaryjny. Dwójka posłów poszła posprzątać po Ianie i teraz są na pokładzie statku, gotowi do odlotu.

– Dlaczego zabiliście Iana?

– Zabiliśmy go? – zdziwiła się przewodnicząca parlamentu. – Nie ma żadnych dowodów, Ian wyparował.

– Kiedy ktoś nas uderzy, nie nadstawiamy drugiego policzka – powiedział prezydent. – Myśleliśmy, że rano już nas tu nie będzie i pomyślą, że uciekł z nami. Niezłe, co? – Prezydent prychnął. – Gdzieś się zawieruszyło dwoje senatorów. Przyjdą tutaj, bo to umówiony punkt spotkania. Sędziowie numer dwa i trzy zbierają łupy, czyli trochę tych bakterii i surowców kształcerzy. Dla nas to niezła gratka. Postanowiliśmy pilnować wyjścia. Jeśli będzie trzeba, to możemy tak jak stoimy przeskoczyć na „Zgodę”. Pokrwawimy trochę z nosa, bebechy nas rozbolą, ale damy sobie radę. To tylko trzydzieści sekund w próżni.

Z korytarza dobiegło postukiwanie, które zbliżyło się niepostrzeżenie, zagłuszone rozmową. Rozlegało się w ciemności z rytmiczną precyzją – stłumione uderzenia plastiku o kamień.

– Cholera jasna! – zaklął prezydent.

– Pójdę tam – zaproponował sędzia.

– To nic takiego – wtrąciła trzecia senator. Lindsay wyraźnie słyszał grzechot jej pasa z narzędziami. – Dmuchawa się włączyła.

– Idę – powtórzył sędzia. Lindsay poczuł lekkie zawirowanie powietrza, kiedy stary mechanista prześliznął się obok niego.

Upłynęło piętnaście sekund w całkowitej ciemności.

– Potrzebne nam światło – syknęła przewodnicząca parlamentu. – Wezmę piłę i...

Stukanie ustało i rozległ się krzyk sędziego:

– Mam! To kawałek...

Nagły, paskudny chrzęst zagłuszył jego słowa.

– Sędzio! – wrzasnął prezydent i wszyscy razem popędzili korytarzem, objając się o ściany i o siebie nawzajem.

Kiedy dotarli na miejsce, przewodnicząca włączyła piłę i znów trysnęły iskry. Hałasował kawałek prostego plastiku, przyklejony do ściany u wylotu poprzecznego tunelu i poruszany pociągnięciami długiej nitki. Morderca – Paolo – czekał w głębi korytarza. Usłyszawszy głos starego mecha, użył procy. Ciężki kamienny sześcian – jedna z kości do gry – prawie cały zagłębił się w strzaskanej czaszce starca.

W krótkim rozbłysku iskier Lindsay dostrzegł jeszcze pokrywającą głowę sędziego krew, która, trzymana napięciem powierzchniowym, skupiła się wokół rany.

– Moglibyśmy odlecieć – zaproponował.

– Nie zostawimy naszych ludzi – sprzeciwił się prezydent. – I nie puścimy zabójcy płazem tego, co tu zrobił. Zostało ich tylko pięcioro.

– Czworo – poprawił go Lindsay. – Zabiłem Fazila. A właściwie nawet troje, jeżeli uda mi się porozmawiać z Norą.

– Nie ma czasu na rozmowy. Jesteś ranny, sekretarzu. Zostań tu i pilnuj śluzy. Kiedy zjawią się pozostali, powiedz im, że poszliśmy zabić tamtych czworo.

Lindsay zmusił się do wypowiedzenia następnych słów:

– Mam nadzieję, że jeżeli Nora się podda, będzie mogła...

– To on był specjalistą od litości – rzekł prezydent, a Lindsay usłyszał, że szarpnął martwe ciało sędziego. – Masz broń, sekretarzu?

– Nie.

– W takim razie weź to. – Podał Lindsayowi protezę ręki sędziego. – Jeśli się tu zapuszczą, zabij ich pięścią starego człowieka.

Lindsay zacisnął dłoń na sztywnym przegubie protezy. Na czworakach wrócił do śluzy. Myślał o Norze.

\* \* \*

Starucha nie chciała umrzeć – i to było najbardziej przerażające. Gdyby wszystko odbyło się tak szybko i schludnie, jak obiecywała Kleo, Nora zniosłaby to bez trudu. Ale kiedy w ciemności zamachnęła się obciążoną na końcach szarfą i zacisnęła ją na szyi kobiety, nic nie było szybkie ani schludne.

Szyja starej, przez piratów nazywanej drugą sędzią, pod gładką skórą kryła płataninę ścięgien i chrząstek, twardych jak stalowe linki. Dwukrotnie już Nora uznała ją za zmarłą i dwukrotnie stara z makabrycznym charkotem budziła się do życia, za każdym razem rozorywując jej paznokciami ręce do krwi. Ciało sędziny cuchnęło koszmarnie.

Nora czuła też odór własnego potu. Krosty pod pachami paliły ją żywym ogniem. Szybowała w powietrzu w mrocznej nastawni, oparłszy bosc stopy o barki starej kobiety. W rękach trzymała końce zaciśniętej szarfy.

Z początku, gdy piraci zaatakowali w ciemności, nie walczyła najlepiej. Trafiła kogoś kamiennym bola, ale potem w szamotaninie straciła broń. Agnes biła się zaciekle i przewodnicząca raniła ją piłą. Paolo walczył jak zwierzę.

Od drzwi dobiegł głos Kleo, która podała hasło i po chwili w pomieszczeniu zrobiło się jasno.

– Mówiłem, że będą działać – powiedział Paolo.

Kleo trzymała plastikową świecę. Nasączona sodem końcówka knota syczała wciąż i trzaskała, zająwszy się ogniem. Woskowy plastik śmierdział.

– Przyniosłam wszystkie, które zrobiłeś – powiedziała Kleo do Paola. – Zuch chłopak jesteś.

Paolo z dumą skinął głową.

– Mam szczęście. I zabiłem dwoje z nich.

– Ty zrobiłeś świece – rzekła Agnes. – A ja twierdziłam, że się nie sprawdzą. – Posłała mu pełne uwielbienia spojrzenie. – Jesteś wielki, Paolo. Rozkazuj mi.

Nora odwinęła szarfę z szyi zabitej kobiety. Znowu poczuła przyływ słabości, lęku i żalu. Łzy napływały jej do oczu.

Wszystko przez te prochy, które dał jej Abelard. Była głupia, że zgodziła się na zastrzyk. Euforia po afrodyzjaku kazała jej się poddać, nie tyle wrogowi, ile wątpliwościom i pokusom, które ją prześladowały. Przez całe życie tak było – z im większym zapalem przyznawała się do swoich przekonań, tym mroczniejsze stawały się owe pełzające, trzepoczące się cienie.

Sama pewnie by się im oparła, ale inni dyplomaci dawali fatalny przykład. Zdrajcy. Akademia nigdy się o nich oficjalnie nie wypowiadała, tworząc pożywkę dla plotek, które krążyły w każdej kształcerskiej kolonii.

W głębi duszy Nora uważała, że popełniła zbrodnię seksualną, ideologiczną. Działy się z nią takie rzeczy, że nikomu nie odważała się o nich mówić, nawet Kleo. Rodzina nie miała pojęcia o jej dyplomatycznym przeszkoleniu, o ogniu żarzącym się we wszystkich mięśniach, o presji, której poddano jej twarz i mózg, i która sprawiła, że zanim Nora skończyła szesnaście lat, jej ciało stało się dla niej obcym tworem. Gdyby przyszło stawić jej czoło nie drugiemu dyplomacie, lecz komuś innemu, walczyłaby – i zginęła – z takim samym przekonaniem i spokojem jak Kleo. Jednakże ona rozmawiała z nim i go rozumiała; Abelard nie dorównywał jej inteligencją, ale był twardy i szybki. Mogła stać się taka jak on. Po raz pierwszy dostrzegła prawdziwą alternatywę w swym życiu.

– Dałem nam światło – chełpił się Paolo, kręcąc ósemkę trzymanym w ręku bola. Sznur prześlizgiwał się po jego osłoniętych skafandrem ramionach. – Ryzykowałem, i to bardzo. Przewyższyłem lana, przewyższyłem Fazila i zabiłem dwoje. – Troczki u rękawa zafurkotały, gdy uderzył się w pierś. – Zasadzka, zasadzka, zasadzka! – Bola przestało się kręcić, owinąwszy mu przedramię. Paolo wyjął zza pasa procę.

– Nie mogą się nam wymknąć – rzekła Kleo. Jej twarz pod złotą koroną siatki na włosy wyglądała spokojnie i łagodnie w blasku świecy. – Jeżeli ci, którzy przeżyją, zdołają odlecieć, sprowadzą następnych. Możemy przeżyć, kochani. Oni są głupi. I podzieleni. My straciliśmy dwoje, oni siedmioro swoich. – Po twarzy przemknął jej grymas bólu. – Dyplomata był szybki, ale wszystko

wskazuje na to, że zginął w akceleratorze. Pozostałych możemy przechrzcić, tak samo jak sędziów.

– Gdzie pozostała dwójka posłów? – zaniepokoiła się Agnes. Była ranna, ale wciąż rwała się do walki. – Musimy dorwać tę kształcerską renegatkę. Ona sprawia najwięcej kłopotów.

– A co ze sprzętem i bakteriami z naw ilżami? – zapytała Nora. – Wszystko zgnije. Musimy przywrócić zasilanie. Powinniśmy się tym zająć.

– Wtedy dowiedzieliby się, że jesteśmy w maszynowni! – wykrzyknął Paolo. – Jedno z nas uruchomi generatory, a reszta się na nich zaczai! Atak i odskok, atak i odskok!

– Najpierw ukryjmy ciała – zdecydowała Kleo. Odwróciła się, zaparła stopą o drzwi i zaczęła wciągać linę. W kręgu światła pojawiło się ciało trzeciego sędziego. Cienka jak włos garota Kleo omal nie odcięła mu głowy. Zawieszony u pasa strzykawki miał pełne wykradzionej z kadzi substancji. Podobnie jak drugą sędzinę, także i jego złapano na gorącym uczynku.

Paolo zerwał maskujący plastik, zasłaniający wnękę, w której unosiły się już zwłoki dwojga senatorów, zabitych przez Agnes i Paola. Wspólnie wpełchnęli do wnęki pozostałe ciała, starając się ich jak najmniej dotykać.

– Znajdą je tutaj – rzekła Agnes. – Po zapachu. – I kichnęła potężnie.

– Pomyślą, że sami tak cuchną – powiedział Paolo i zasunawszy fałszywą ściankę na miejsce, przyglądał ją delikatnie.

– Idziemy do tokamaka – zarządziła Kleo. – Ja wezmę świece. Agnes, będziesz prowadzić.

Agnes zdjęła bluzkę i ciężką siatkę na włosy, po czym paroma luźnymi szwami połączyła je w całość. Kiedy materiał wydał się w nieważkości, był podobny do ludzkiej sylwetki. Agnes wsunęła się w wąski korytarz, popychając przed sobą trzymaną na wyciągnięcie ręki kukłę.

Pozostali ruszyli za nią; Nora na końcu.

Na każdym skrzyżowaniu zatrzymywali się, nasłuchiwali, węszyli. Agnes popychała kukłę do przodu, po czym szybko zerknęła za róg. Później Kleo podawała jej świecę, żeby mogła zobaczyć ewentualnych napastników.

Kiedy dochodzili już do elektrowni z tokamakiem, Agnes znowu głośno kichnęła. Po chwili Nora też poczuła wstrętny odór.

– Co to takiego? – wyszeptała do idącej przed nią Kleo.

– Chyba ogień – odparła Kleo ponuro. – Czuję dym. Ta przekształcona jest sprytna. Podejrzewam, że też poszła do tokamaka.

– Patrzcie! – rozległ się nagle donośny szept Agnes. Z odchodzącego w lewo korytarza snuła się cienka smużka szarego dymu. Agnes przegrodziła ją dłonią i widoczna w blasku świecy smuga rozdzieliła się na znikające szybko pasemka. Agnes zakaszła sucho i oparła się o ścianę. Jej naga pierś unosiła się w szybkim oddechu.

Kleo zdmuchnęła świecę i w ciemności dostrzegli słaby odbłask światła na gładkich ścianach krętego tunelu.

– Pożar – rzekła Kleo; pierwszy raz zdarzyło się Norze słyszeć w jej głosie nutę lęku. – Pójdę pierwsza.

– Nie! – Agnes przytknęła usta do jej ucha, coś jej pośpiesznie szeptała. Objęły się i Agnes ruszyła przodem, porzuciwszy kukłę. Przywarła do ściany. Idąca na końcu Nora czuła pod palcami, że skała jest śliska od jej potu.

Obejrzała się czujnie za siebie. Gdzie się podziewa Abelard? Nie przypuszczała, żeby zginął. Gdyby tylko był tu z nimi, z tym swoim darem wymowy i szarymi oczyma, które rozpala zwierzęcą żądzę przetrwania...

Nagle z głębi tunelu dobiegł ostry klekot. Minęła sekunda. Agnes krzyknęła. Powietrze zgęstniało

od metalicznej, kwaśnej woni. Rozległ się bolesny skowyt i nienawistne ryki; zawtórował im trzask procy Paola. Barki i plecy Nory spiał potworny, bolesny skurcz, gdy rzuciła się naprzód w korytarz, ogłuszona własnym krzykiem.

Widoczna w czerwonym blasku ognia pierwsza posłanka zamachnęła się i uderzyła Agnes w twarz miechem. W powietrzu zaroilo się od kulistych kropelek żrącego kwasu, nabranego ze zbiornika wilgociowego. Z nagiej piersi Agnes buchnął dym. Kleo mocowała się z drugim posłem, któremu Paolo strzałem z procy przetrącił rękę, Paolo zaś wyciągał właśnie następny ciężki kamień z sakwy przy pasie.

Nora z jedwabistym szelestem odwiązała szarfę z talii i rzuciła się na obcą kształcerkę, lecz tamta była szybsza – ścisnęła szyję Agnes w zgięciu kolana, zmiażdżyła jej krtań i skoczyła przed siebie z rozłożonymi ramionami.

Nora z rozmachem cisnęła jej w twarz obciążoną szarfę. Kształcerka złapała ją, wyszczerzyła krzywe zęby w uśmiechu i pchnęła wyprostowaną ręką w twarz Nory, dwoma palcami mierząc w jej oczy. Nora skręciła się w bok, więc paznokcie kobiety tylko rozorały jej policzki. Później kopnęła raz, chybiła, kopnęła ponownie i poczuła przeszywający ból w nodze, gdy przeciwniczka wbiła jej palce w kolano – była zwodniczo delikatna i zdradziecko silna, jak każdy przekształcony. Nora niezdarnie sięgnęła po drugi koniec szarfy i całym jej ciężarem uderzyła kształcerkę w twarz. Pierwsza posłanka znów się uśmiechnęła, gdy z wilgotnym chrzęstem zerwała Norze rzepkę, a potem nagle załała się krwią – to pocisk Paola zgruchotał jej szczękę.

Walczyła dalej w świetle pożaru z otwartymi, krwawiącymi ustami, a desperacja dodawała jej sił. Piętą wyrznęła Norę w splot słoneczny, odbijając się do lotu na spotkanie Paola. Już na nią czekał: nie wiedzieć skąd rozkręcone bola pojawiły się w jego dłoni, po czym z siłą siekiery odcięły jej ucho i werznęły się głęboko w obojczyk. Kobietą szarpnęło i Paolo stopami wprasował jej ciało w ścianę. Ledwie jej głowa trzasnęła o skałę, dopadł jej i zacisnął na gardle sznur bola. Kleo wciąż walczyła w powietrzu z drugą z kobiet, która młóciła obłąkańczo nogami i złamaną ręką, gdy starsza kształcerka nieubłaganie wbijała jej kciuki w krtań.

Nora starała się odzyskać oddech. Nagły, promieniujący coraz dalej skurcz zacisnął jej klatkę piersiową, ale jakimś cudem zdołała wciągnąć do płuc przesycone dymem powietrze, zrobiła wydech i znów ze świstem odetchnęła. Czuła się tak, jakby płuca zalewał jej roztopiony ołów. Agnes zmarła na jej oczach; z oparzonej kwasem skóry nadal unosiły się smużki dymu.

Paolo dobił pierwszą posłankę, Kleo zaś nie wypuszczała z uścisku drugiej z kobiet, która zdążyła już wyzionąć ducha. Paolo uderzył martwą bola w tył głowy i dopiero wtedy dysząca ciężko Kleo zdołała się od niej oderwać. Zatarła zeszywniałe dłonie, jakby rozprowadzała po nich olejek.

– Zgaście ogień – powiedziała.

Paolo ostrożnie podszedł do płonącej mieszaniny słomy i plastiku, ściągnął grubą bluzę, poznaczoną wyżartymi przez kwas otworkami, i narzucił ją na ogień, jakby chwycił uciekające zwierzątko. Nie zwlekając skoczył na nią obiema nogami i zapadła ciemność. Kleo splunęła na nasączony sodem czubek knota następnej świecy. Pojawił się trzeszczący płomyczek.

– Niedobrze – rzekła. – Jestem ranna. A ty, Nora?

Nora pomacała się po kolanie. Rzepka przesuwała jej się luźno pod skórą, ale na razie nie było bólu, tylko odrętwienie.

– Kolano – odparła i kaszlnęła. – Ona zabiła Agnes.

– Zostało ich tylko troje – powiedziała Kleo. – Przewodnicząca, jej mąż i trzeci senator. Są już nasi. Moje biedne, kochane maleństwa. – Objęła Paola, który najpierw zeszywniał, zaskoczony, lecz zaraz rozluźnił się i oparł głowę w zagłębieniu między jej szyją i barkiem.

– Uruchomię generator – zaproponowała Nora. Podpłynęła do ściennego panelu i uruchomiła wstępną sekwencję rozruchu.

– Paolo i ja zaczekamy na nich przy wyjściach – rzekła Kleo. – Ty, Noro, idź do pokoju radiowego i nawiąż kontakt z Radą. Zдай im raport. Tam się spotkamy.

Podowała Norze świecę i wyszła.

Nora postawiła świeczkę na występie nad pulpitem sterowniczym tokamaka i zainicjowała pierwszą fazę rozruchu. W komorze urządzenia obudziły się pola magnetyczne, rozsiewając widoczną zza spolaryzowanej osłony niebieskawą poświatę. Tokamak zamrugał niespokojnie, osiągając z wolna prędkości niezbędne do prowadzenia syntezy. Pojawił się żółty blask sztucznego słońca, gdy strumienie jonów zaczęły się zderzać i płonąć. Pole ustabilizowało się i w jednej chwili zabłyśły wszystkie światła.

Nora ostrożnie zgasila świecę o ścianę.

Poirytowany Paolo potarł dłonią bąble od kwasu na odsłoniętych rękach.

– Jestem wybrańcem, Noro – powiedział. – Tym jednym procentem, któremu przeznaczone jest przeżyć.

– Wiem, Paolo.

– Zapamiętam cię jednak. Zapamiętam was wszystkich. Kochałem cię, Noro, i chciałem ci to jeszcze raz powiedzieć.

– To zaszczyt żyć w twoich wspomnieniach, Paolo.

– Zegnaj, Noro.

– Jeśli kiedykolwiek dopisało mi szczęście, zawdzięczam je tobie.

Paolo uśmiechnął się, wymachując procą.

Nora wyszła. Przemknęła szybko tunelami, mimo że jedną nogę wciąż miała sztywną. Fale bólu przeszywały jej ciało; bez kraba nie umiała powstrzymać skurczów mięśni.

Piraci odwiedzili przed nią komorę łączności, rozbijając wszystko, na co się po ciemku natknęli. Nadajniki zmieniły się w stosy pociętego piłą złomu, a główna konsola została wyrwana z blatu i ciśnięta w kąt.

Z ciekłokrystalicznego wyświetlacza sączył się płyn. Nora wyjęła z siatki na włosach igłę z nitką i zaszyła ekran. Procesor wciąż funkcjonował bez zarzutu i odbierał sygnały z zewnętrznych anten, ale programy deszyfrujące nie działały; transmisja z Rady Pierścieni zmieniła się w totalny bełkot.

Nora przełączyła się na częstotliwość audycji propagandowych. Rozbity monitor działał jeszcze, chociaż wokół cięcia na ekranie obraz się rozmywał.

Oto świat zewnętrzny. Niewiele tego było – ot, słowa i obrazy. Przesunęła delikatnie palcami po kolanie, które paliło teraz jak ogniem.

Nie mogła uwierzyć w to, co mówili do niej ludzie z ekranu, o czym świadczyły obrazy. Miała wrażenie, że monitor w ciemności przefermentował i świat, który przedstawia, przelewa się przez niego ze wszystkimi swoimi truciznami. Twarze kształcerskich polityków błyszcząły triumfem i oszołomieniem.

Nie mogła oderwać od nich wzroku. Oficjalne oświadczenia mechanistycznych przywódców wyrażały szok: załamani mężczyźni, wystraszone kobiety, pozbawieni aparatury i oprogramowania. Bełkotali nieskładnie, zaprzeczali sobie nawzajem. Niektórzy uśmiechali się słabo, a ich uśmiechy wyglądały na podszyte chirurgiczną nicią, inni zaś gestykulowali drżącymi rękoma, twarze mieli promienne jak u dzieci, a oczy zamglone na wpół religijną czcią.

Było tam i szefostwo kompleksu naukowo-wojskowego kształcerzy: członkowie sił bezpieczeństwa, o gładkich twarzach, rozluźnieni, triumfujący, wciąż zbyt oszołomieni

niewiarygodnymi zdarzeniami, by okazywać wrodzoną podejrzliwość. No i inteligencja – odurzona nowymi możliwościami, spekulująca na wyścigi, zapominająca o wszelkich obiektywnych ocenach.

Wreszcie Nora ich ujrzała. Byli ogromni. Mieli nogi długości całego ludzkiego ciała – pod lśniącą, pomarszczoną skórą kryły się węzły mięśni i ścięgien. I mieli łuski; wyzierały im spod ubrania. Nosili spódnice z nanizanych na drut błyszczących koralików. Mieli nagie torsy i sterczące masywne mostki. W porównaniu z przypominającymi pnie drzew nogami i grubymi ogonami ich ręce były długie i smukłe, a kończyły się ruchliwymi palcami o rozszerzonych opuszkach. Głowy mieli wielkości tułowia człowieka; w przepastnych paszczach błyskały drapieżnie rzędy grubych na kciuk, płasko zakończonych zębów. Wydawało się, że są pozbawieni uszu, natomiast czarne oczy – wielkości pięści – kryły się pod gruzełkowatymi powiekami i szarą błoną migawkową. Z tyłu głowy zwieszały im się opalizujące grzebienie, wsparte na sztywnych promieniach.

Ludzie rozmawiali z nimi, filmowali ich... Kształcerze chyba kulili się ze strachu przed obcymi – chodzili zgarbieni, powłócząc nogami, z pokorą. Nagle Nora zrozumiała: grawitacja. Obcy potrzebowali silnego ciężenia.

Byli najzupełniej prawdziwi! Poruszali się nieco ociężale, ale z niewymuszonym wdziękiem. Niektórzy trzymali w rękach tabliczki do pisania, inni tylko rozmawiali, odstawiając żłobkowane, wąskie języki długości ludzkiego przedramienia.

Nie było w nich ani śladu oficjalnej pozy. Nawet śmiertelnie poważny komentarz nie potrafił zamaskować rzeczywistego celu spotkania. Obcy nie bali się, nie byli pod wrażeniem ludzi, nie zachowywali się prowokacyjnie, nie otaczał ich nimb tajemnicy... Byli jak metodyczni urzędnicy. Jak poborcy podatkowi.

Do kabiny łączności wpadł Paolo. Toczył dziko wzrokiem dookoła; włosy miał pozlepiane krwią.

– Szybko! – rzucił. – Gonią mnie! Daj mi osłonę pulpitu!

– To koniec, Paolo!

– Jeszcze nie!

Porwał unoszącą się w powietrzu płytę czołową pulpitu z ciągnącymi się za nią przewodami. Odepchnął się nogami, przeleciał przez komorę i przyłożył płytę w poprzek wejścia, tworząc z niej prymitywną barykadę. Odpiął od pasa tubę z żywicą epoksydową i przykleił osłonę do skały.

Z jednej strony została luka. Paolo sięgnął po procę, wymierzył i strzelił w pogrążony w ciemności korytarz. Z daleka doleciał ich jęk bólu. Paolo przytknął twarz do otworu w barykadzie i wybuchnął śmiechem.

– Paolo! Są wiadomości telewizyjne z Rady. Oblężenie się skończyło!

– Jakie oblężenie? – Paolo spojrział na nią z niedowierzaniem. – Co to nas obchodzi?

– Oblężenie, wojna – powiedziała. – Teraz mówi się, że nie było żadnej wojny. Tylko... nieporozumienia. Punkty sporne w negocjacjach. – Paolo nie zwracał na nią uwagi. Wpatrywał się w tunel i przygotowywał do następnego strzału. – Nie byliśmy żołnierzami, nikt nie chciał niczyjej śmierci. Rodzaj ludzki żyje w pokoju, Paolo, jesteśmy... dobrymi partnerami handlowymi... Obcy przybyli, Paolo. Obcy.

– Boże mój! – jęknął chłopak. – Muszę zabić jeszcze tylko dwoje. Kobieta jest ranna. Pomóż mi się z nimi rozprawić, a potem wysłucham wszystkiego, co chcesz mi powiedzieć.

Podparł ramieniem barykadę, czekając, aż żywica wyschnie.

Nora podpłynęła do niego i przez jeden z otworów w konsoli krzyknęła w mrok:

– Panie prezydencie! Mówi dyplomata! Chcę porozmawiać!

Przez chwilę nikt jej nie odpowiadał.

– Ty dziwko! – odkrzyknął ktoś wreszcie. – Wyłaż stamtąd i zdychaj!



– Wszystko skończone, panie prezydencie! Obłężenie się skończyło! W całym Układzie zapanował pokój, rozumie pan? Obcy, panie prezydencie! Obcy przybyli! Od paru dni są z nami!

Prezydent wybuchnął śmiechem.

– No pewnie. Wyłaż, dziecinko. Tylko puść przodem tego skurwiela z procą.

Z ciemności doleciał jęk piły mechanicznej.

Paolo skrzywił się, warknął i odepchnął Norę na bok. Strzelił ponownie. Usłyszeli kilkanaście rykoszetów i prezydent zapał triumfalnie.

– Idziemy was zjeść – oznajmił ze śmiertelną powagą. – Zeżjemy wasze wątroby. – Zniżył głos. – Brać ich, sekretarzu.

Nora ponownie przepchnęła się obok Paola.

– Abelardzie! – krzyknęła. – Abelardzie, to prawda! Przysięgam na wszystko, co nas łączy! Abelardzie, nie jesteś durniem, pozwól nam przeżyć! Chcę żyć...

Paolo zatkał jej usta dłonią i odepchnął ją do tyłu, ale Nora przywarła do barykady – klej trzymał już mocno – i wbiła wzrok w ciemność, gdzie unosił się biały skafander. Nie kombinezon Mavridesów, lecz jeden z pancernych mundurów z „Czerwonej Zgody”.

Proca niewiele mogła przeciw niemu zdziałać.

– Dość tego – mruknął Paolo. – Zaczynamy. – Puścił Norę. Zza pazuchy wyjął świecę i płaski woreczek wypełniony płynem. Owinął worek wokół świeczki i obwiązał oderwanym od rękawa troczkiem. Wziął zamach. – Teraz ich spalę.

Nora zarzuciła mu szarfę na szyję, zapała się zdrowym kolaniem o jego plecy i szarpnęła z całej siły. Paolo zaskrzeczał, jakby zmiażdżyła mu tchawicę, i nogami odepchnął się od otworu. Wbił palce w szarfę. Był silny. I wierzył, że ma szczęście.

Nora jeszcze mocniej zacisnęła pętlę. Abelard żyje – świadomość tego faktu dodała jej sił. Jeszcze mocniej. Paolo walczył. Z taką siłą zacisnął dłonie na szarfie, że wbił sobie paznokcie w nasady dłoni i z maleńkich, sierpowatych ranek pociekła krew.

W korytarzu rozległy się krzyki, a potem zgrzyt piły.

Skurcz mięśni, który dotąd uciskał barki Nory, przeniósł się na jej ręce i Paolowi przyszło zmagać się z ciałem twardym jak żelazo. Zapadła nagła cisza; nie oddychał. Zmięta krawędź szarfy wcięła mu się w szyję. Nie żył już, choć zdawało się, że dalej stawia opór.

Nora wypuściła końce szarfy z przykurczonych palców. Paolo obrócił się wolno w nieważkości. Twarz miał poczerniałą, dłonie zaciśnięte na szafie. Wyglądał, jakby sam się udusił.

W półkolistym otworze na skraju barykady pojawiła się przesiąknięta krwią rękawica kombinezonu. Z wnętrza skafandra dało się słyszeć stłumione buczenie: przybysz próbował coś powiedzieć.

Nora podskoczyła w jego stronę, a on oparł głowę o zewnętrzną ścianę zapory.

– Nie żyją! – krzyknął. – Wszyscy nie żyją!

– Zdejmij hełm – poleciła mu Nora.

Poruszył prawym barkiem.

– Moja ręka! – rzekł tylko.

Wychyliła się poza zaporę i pomogła mu odkręcić hełm. Pyknęło, gdy kombinezon się rozhermetyzował i w powietrze buchnął znajomy zapach ciała. Pod nozdrzami Lindsaya i przy jego lewym uchu widniały na wpół skrzepłe strupy; zapewne uległ dekompresji.

Nora delikatnie przesunęła dłonią po jego spoconym policzku.

– A więc żyjemy, prawda?

– Chcieli cię zabić – powiedział. – Nie mogłem im na to pozwolić.

– Ja też się tak czułam. – Zerknęła na zwłoki Paola. – Zabiłam go. To prawie tak jakbym popełniła samobójstwo. Wydaje mi się, że umarłam.

– Nie. Jesteś moja, a ja twój. Powiedz, że tak jest, Noro.

– Tak właśnie jest – rzekła i pochyliła się na ślepo do przodu. Pocałował ją, czując w ustach ostry, słony smak krwi.

\* \* \*

Zniszczeń dokonano z namysłem i dokładnie. Kleo dokończyła dzieła – zakradła się w skafandrze na pokład „Czerwonej Zgody” i rozsmarowała wszędzie lepką trucizną kontaktową.

Jednakże Lindsay ją uprzedził. Przeskoczył na pokład statku; pokonał kilkadziesiąt metrów próżni i poddał się dekompresji, ale zdobył jeden z pancernych skafandrów. Dopadł Kleo na mostku. Nie była dla niego równorzędnym przeciwnikiem – rozdarł jej cieniutki kombinezon i umarła od trucizny.

Ucierpiał nawet należący do rodziny robot – dwoje posłów, zajrzawszy do fabryki wabików, zrobiło mu lobotomię. Pozbawiona mózgu maszyna działała teraz z zawrotną szybkością, ładując całe tony rudy węglowej do przepelnionych, dymiących kadzi wilgociowych. Masa spienionego plastiku tryskała do wnętrza akceleratora, zniszczonego ślizgającym się w nim bez ładu i składu czerpakiem. Był to jednak najmniej ważny problem, z jakim przyszło się borykać Norze i Lindsayowi.

Najgorsze były infekcje. Mikroorganizmy przywleczone na Esairsa XII z Zaibatsu siały zagładę w jego delikatnych biosystemach. W pięć tygodni po rzezi ogród Kleo umarł. Nie mógł zwalczyć zarazy, którą przyniósł mu człowiek. Chore rośliny przybierały dziwaczne formy, wykrzywiały się, skręcały i gnęły. Lindsay codziennie zaglądał do ogrodu, a jego obecność dodatkowo przyśpieszała proces rozkładu. Śmierdziało tu jak w Zaibatsu; nienawidził tego zaduchu.

Przyniósł go ze sobą. Bez względu na to, jak szybko by się poruszał, zawsze będzie się za nim ciągnąć ślad przeszłości.

Nigdy się go z Norą nie pozbędą. Nie chodziło przy tym o samą chorobę, jego uszkodzoną rękę, czy nawet istną galaktykę pryszczu, które na wiele dni oszpeciły Norę, bezczeszcząc jej piękną skórę. Przyczyna leżała w dawniejszych czasach, w kształcercskim szkoleniu, które oboje przeszli i które odcisnęło na nich okrutne piętno. Ale stali się dzięki niemu partnerami i Lindsay zdawał sobie sprawę, że to najwspanialsza rzecz, jaka przytrafiła mu się w życiu.

Patrząc na pracującego w obłędnym tempie robota myślał o śmierci. Automat bez przerwy, niezmordowanie ładował rudę do rozciągniętych trzewi systemu produkcyjnego. Nawet kiedy oni oboje już szczeną, maszyna będzie w nieskończoność kontynuować tę hiperaktywną parodię rzeczywistego życia. Mógłby wyłączyć robota, ale czuł, że automat w pewnym sensie jest mu bliski; jego ślepy upór podnosił na duchu. Z faktu zaś, że pompował masę plastikowej piany do akceleratora, niszcząc go zupełnie, wynikało, że piraci jednak wygrali. Nie potrafiliby odebrać im tego bezsensownego zwycięstwa.

W miarę jak atmosfera przestawała nadawać się do oddychania, musieli cofać się coraz głębiej i szczelnie zamykać za sobą kolejne tunele. Mieszkali nieopodal ostatnich działających ogrodów przemysłowych; płytko oddychali przesyconym wonią siana powietrzem, kochali się i próbowali nawzajem uleczyć.

Przy Norze Lindsay wrócił do prowadzonego na kształcercską modłę cudownego życia, ze wszystkimi jego subtelnościami i aluzjami. Nora zaś u boku Lindsaya z wolna uspokajała się, łagodniała; ustąpiły najgorsze skurcze mięśni, osłabło nieznośne napięcie.

Zmniejszyli zasilanie, więc w tunelach zrobiło się zimniej, co zahamowało rozwój zarazy. Nocami

tulili się do siebie w poszukiwaniu ciepła, owinięci całunem wielkości dywanu, na którym Nora z uporem wyszywała wzory.

Nie było mowy, żeby miała się poddać; tryskała nienaturalną energią, której Lindsay mógł jej tylko zazdrościć. Całymi dniami naprawiała nadajniki w komorze łączności, chociaż wiedziała, że jej praca pójdzie na marne.

Służby bezpieczeństwa Pierścieni zaprzestały nadawania. Wojskowe placówki stały się dla nich kłopotliwym balastem, mechanicy ewakuowali ich załogi i z wyszukaną, dyplomatyczną grzecznością odstawiali kształcerzy do Rady Pierścieni. Wojna nigdy się nie zdarzyła. Nikt z nikim nie walczył. Kartele pośpiesznie przekupywały swych piratów, byle tylko zaprzestali działalności.

Lindsaya i Nory nikt nie mógł usłyszeć. Nadajniki zostały rozbite, nie mieli czym zastąpić uszkodzonych obwodów, w dodatku żadne z nich nie było inżynierem.

Lindsay pogodził się ze śmiercią i z faktem, że nikt po nich nie przyleci. W Radzie dojdą po prostu do wniosku, że placówka została spacyfikowana i pewnie kiedyś ktoś osobiście to sprawdzi, ale nie przez najbliższe kilka lat.

Którejś nocy, kiedy skończyli się kochać, nie zasnął od razu, lecz bawił się jeszcze chwilę protezą ręki, która pozostała po zabitym piracie. Znajdował w niej pocieszenie; powtarzał sobie, że umierając młodo, uniknie przynajmniej takiego losu. Sam prawie zupełnie stracił czucie w prawej ręce, uszkodzonej podczas wypadku z działem i potem w bitwie o Esairs.

– Cholerna broń – powiedział głośno. – Ktoś kiedyś znajdzie tę asteroidę. Powinniśmy rozebrać działa na kawałki, by pokazać światu, że mamy swój honor. Zrobiłbym to, ale nie zniosę myśli, że miałbym ich dotknąć.

Nora już przysypiała.

– Co z tego? I tak są niesprawne.

– Jasne, zostały rozbrojone. – Poczytywał sobie to za jedno z głównych osiągnięć. – Ale można je uzbroić ponownie. Powinniśmy je zniszczyć.

– Jeśli tak ci na tym zależy... – Nora otworzyła szerzej oczy. – Posłuchaj, Abelardzie... co ty na to, żeby z jednego wystrzelić?

– Nie ma mowy – odpowiedział bez wahania.

– Moglibyśmy rozwalić „Zgodę” wiązką molekularną. Ktoś zwróciłby na to uwagę.

– I co? Uznałby, że jesteśmy bandytami?

– Kiedyś znaleźliby tu po prostu zabitych piratów, nic niezwykłego. Ale teraz wybuchłby skandal. Ktoś musiałby po nas przylecieć. I dopilnować, żeby coś takiego się nie powtórzyło.

– Uwierzyłaś w ten udawany pokój, który zawarli na pokaz, dla obcych? Liczysz na to, że ktoś jednak nas stąd uratuje? Do licha, wyobraź sobie, co z nami zrobią.

– No co? Zabiją nas? Już jesteśmy martwi. A ja chcę, żebyśmy dalej żyli.

– Jako kryminaliści, którymi wszyscy pogardzają?

Nora uśmiechnęła się gorzko.

– Dla mnie to nie nowina.

– Nie, Noro. Są pewne granice.

Pogłaskała go czule.

– Rozumiem.

\* \* \*

Dwie noce później obudził się przerażony. Asteroidą zatrzęsło, a Nora zniknęła. W pierwszej

chwili pomyślał, że wskutek nieprawdopodobnego, makabrycznego przypadku zderzyli się z meteorytem i czekał, kiedy usłyszy syk uciekającego przez dziurę powietrza, ale tunele były szczelne.

Ujrawszy twarz Nory zrozumiał, co się stało.

– Strzeliłaś z działa.

Była wstrząśnięta.

– Odcumowałam „Zgodę”, a potem ją zestrzeliłam. Wysłałam na powierzchnię. Dzieje się coś dziwnego, Abelardzie. Z otworu akceleratora plastik sączy się w próżnię.

– Nie chcę o tym słyszeć.

– Musiałam to zrobić. Dla nas. Wybacz mi, najdroższy. Przysięgam, że nigdy więcej cię nie okłamię.

Zamyślił się.

– Myślisz, że przylecą?

– Jest szansa. Chciałam, żebyśmy ją mieli – odparła z roztargnieniem. – Całe tony plastiku wyciskane z tunelu jak pasta z tubki. To przypomina jakiegoś wielkiego robala.

– Wypadek – rzekł Lindsay. – Musimy im powiedzieć, że to był wypadek.

– Zniszczę działą – powiedziała z miną winowajcy.

– Co się stało, to się nie odstanie. – Uśmiechnął się smutno i wyciągnął do niej rękę. – Poczekajmy.

\* \* \*

*Esairs XII, 17. 07.'17*

Gdzieś w otchłani snu Lindsay usłyszał natarczywy łoskot. Jak zwykle Nora obudziła się pierwsza i od razu przytomna.

– Jakiś hałas, Abelardzie.

Obudził się niechętnie; oczy nie przestawały mu się kleić.

– O co chodzi? Mamy dziurę?

Nora bosą stopą odepchnęła od jego biodra. Włączyła światła.

– Wstawaj, kochanie. Nie wiem, co to jest, ale zaraz staniemy z tym twarzą w twarz.

Lindsayowi przyszło na myśl, że nie tak zamierzał spotkać własną śmierć, ale postanowił iść z Norą. Włożył ściągane troczkami szorty i poncho.

– Nie ma wiatru – powiedziała Nora, kiedy mocował się ze skomplikowanym kształcym węzłem. – Nie nastąpiła dekompresja.

– W takim razie przybyli po nas! Mechanicy!

Razem pośpieszyli zaciemnionymi korytarzami ku służbie.

Jeden z ich wybawców – zapewne bardzo odważny – zdołał się wcisnąć przez służbę do komory ładunkowej. Kiedy Lindsay, zmrużywszy i osłoniwszy oczy, zajrzał tam z korytarza, przybysz obmacywał właśnie z przesadną ostrożnością własne palce stóp.

Na wbudowanej w ogromny hełm osłonie nosa obcego świeciła silna latarka, płonąca niczym lampa spawalnicza ostrym, niebieskim światłem przechodzącym w ultrafiolet. Cały skafander miał kolor brązowoszary, w okolicy stawów zginał się harmonijkowo, a na jego powierzchni roilo się od rozmaitych gniazdek.

Światło padło na Lindsaya i Norę, oślepiło ich.

– Możecie nazywać mnie chorążym – odezwał się obcy w handlowym angielskim. Przez

grzeczność ustawił się w powietrzu zgodnie z pionową osią ich ciał i wyciągnawszy rękę nad głową, oparł się palcami o sufit.

Lindsay położył dłoń na ramieniu Nory.

– Mam na imię Abelard – powiedział. – A to jest Nora.

– Miło mi was poznać. Chcielibyśmy przedyskutować sprawę tego oto przedmiotu.

Z bocznej kieszeni skafandra obcy wyjął zwitek tkaniny. Potrząsnął nim krótkim, ptasim gestem i rozwinął ekran telewizyjny, który następnie przytknął do ściany. Lindsay zauważył, że nie widać na nim typowych linii. Obraz składał się z milionów mikroskopijnych, kolorowych sześciokątów.

Na ekranie widniał Esairs XII. Z wylotu akceleratora sterczał gruby plastikowy wąż długości prawie pół kilometra z nieregularnym wybrzuszeniem na końcu. Lindsay zrozumiał, że widzi kamienną głowę Paola, zapakowaną zgrabnie w podobne do kielicha kwiatu resztki magnetycznego czerpaka. Całość została wprasowana w skomplikowany w kształcie wyciek plastiku, a następnie pod ciśnieniem spienionej masy wypchnięta w próżnię, gdzie kreśliła elegancką spiralę w przestrzeni.

– Rozumiem – rzekł Lindsay.

– Czy ty jesteś twórcą tego dzieła?

– Tak – odparł Lindsay i wskazał ekran. – Proszę zwrócić uwagę na subtelny efekt cieniowania w miejscu, gdzie niedawna eksplozja przyczerniła rzeźbę.

– Wybuch zwrócił naszą uwagę – powiedział obcy. – Cóż za niezwykła technika artystyczna.

– Bo my jesteśmy niezwykli – stwierdził Lindsay. – Niepowtarzalni.

– Zgadzam się z tobą – przyznał uprzejmie chorąży. – Rzadko zdarza nam się oglądać dzieła sztuki wykonane w takiej skali. Czy możemy porozmawiać o warunkach zakupu rzeźby?

Lindsay się uśmiechnął.

– Z przyjemnością.

## Część Druga

# Spółeczeństwo w anarchii

## Rozdział 5

W drgawkach i wstrząsach świat wkraczał w nową erę. Obcy życzliwie przyjęli aurę półboskiej czci, jaką otaczali ich ludzie. Milenijny ferwor ogarnął mieszkańców całego Układu Słonecznego, idee odprężenia wróciły do łask i po raz pierwszy zaczęło się mówić o Schismatrix, Schizmacierzy – nowym Układzie Słonecznym, zarazem różnorodnym i zjednoczonym, w którym zakończy się epoka

dominacji ludzi, nastaną czasy tolerancji i równych szans wszystkich odłamów społeczeństwa.

Obcy – którzy sami siebie nazywali Inwestorami – zdawali się mieć nieograniczoną moc. Byli starą rasą, tak starą, że nie zachowali żadnych wspomnień z czasów poprzedzających erę lotów w kosmos. Ich potężne statki kosmiczne przemierzały rozległe, spojone ekonomicznymi więzami królestwo; handlowali z dziewiętnastoma inteligentnymi rasami. Bez wątpienia dysponowali techniką, która – gdyby tylko chcieli – pozwoliłaby im obrócić cały Układ Słoneczny w perzynę, toteż ludzie cieszyli się, że obcy okazali się tak spokojni i przystępni. Towary, które oferowali na wymianę, prawie zawsze okazywały się całkowicie nieszkodliwe; często były to dzieła sztuki, zadziwiająco niepraktyczne i interesujące tylko dla naukowców.

Majątek rodzaju ludzkiego przesypywał się do kufrów obcych. Maleńkie ambasady podróżowały wraz z Inwestorami pośród gwiazd, lecz niewiele mogły zdziałać i do końca pozostały maleńkie, gdyż za przewóz obcy żądali astronomicznych sum.

Bogactwa wyciągnięte z ludzkiej gospodarki puszczali ponownie w obieg, kupowali udziały w ludzkich przedsiębiorstwach – wystarczyła jedna nowinka techniczna z zapakowanych po sufity ładowni ich statków, żeby z ledwie wiążącej koniec z końcem firmy zrobić giełdowego potentata. Nic dziwnego, że wszystkie frakcje zabiegały o ich łaski, te światy zaś, które nie chciały z początku współpracować, szybko przekonały się, że w ten sposób łatwo wypadną z gry.

W nowo nastącej epoce pokoju Inwestorów handel rozkwitał. Otwarte działania wojenne, uchodzące teraz za prostackie, powszechnie ustępowały miejsca subtelnym, ściśle tajnym aktom szpiegostwa przemysłowego. Z każdym nadchodzącym rokiem złoty wiek ludzkości zdawał się coraz bardziej w zasięgu ręki. Tymczasem lata mijały i mijały.

\* \* \*

*Goldreich-Tremaine, 3. 04.'37*

Lindsay dobrze się czuł w tłumie. Ludzie wypełniali całą otaczającą go przestrzeń, odziani w kolorowe, wykończone koronkami marynarki, wzorzyste pończochy i zgrabne stopawice, czyli modne pięciopalczaste skarpetki. Powietrze teatralnego foyer przesycali zmieszane wonie kształcerskich perfum.

Oparł się o obitą ozdobnym aksamitem ścianę, zahaczywszy łokieć o pętlę cumowniczą. Jego strój stanowił ostatni krzyk mody – brokatowa marynarka w kolorze morskiej zieleni, zielone satynowe szorty do kolan, pończochy w żółte prążki, eleganckie stopawice. W kieszeni kamizelki błyszczał złoty wideomonokl. Długie, siwiejące włosy Lindsay przewiązał tasiemką z wplecionym żółtym sznureczkiem.

Miał pięćdziesiąt jeden lat, uchodził jednak za człowieka znacznie starszego – genetycznego żywcem wziętego z kształcerskiej prehistorii. W Goldreich-Tremaine, jednym z najstarszych miast-państw w Pierścieniach Saturna, nie brakowało takich wiekowych obywateli.

Na korytarz wyszedł właśnie mechanista w jednoczęściowym plisowanym garniturze w gustownym, mahoniowym odcieniu. Zauważywszy Lindsaya odepchnął się stopami od drzwi i podleciał bliżej.

Lindsay wyciągnął przyjaźnie rękę i zatrzymał go w locie. Ukryte pod materiałem marynarki mechaniczne ramię zahaczało cicho przy tym geście.

– Dobry wieczór, panie Beyer – rzekł.

Przystojny mechanista skinął głową i chwycił umieszczoną obok pętlę.

– Dobry wieczór, doktorze Mavrides. To dla mnie nieodmiennie wielką przyjemnością spotkać się z panem.

Beyer był podsekretarzem do spraw kulturalnych w poselstwie Ceres. Jego pozbawiony znaczenia tytuł służył przede wszystkim zamaskowaniu związków z kręgami inteligencji mechów.

– Rzadko widuję pana podczas dziennej zmiany.

– Staram się bywać w takich miejscach – odparł swobodnie Beyer. Goldreich-Tremaine tętniło życiem przez okrągłą dobę. Zmiana cmentarna, od północy do ósmej rano, miała najmniejszą obsadę policyjną i mechanista bez trudu mógł się wmieszać w tłum, nie ściągając na siebie ciekawskich spojrzeń.

– Podoba się panu przedstawienie?

– Znakomite, rzekłbym, że dorównuje spektaklom Riumina. Autor sztuki, Fernand Vetterling... Przyznam, że nie znam jego dokonań.

– To tutejszy młodzik, jeden z najlepszych, jakich mamy.

– Ach, jeden z pańskich protegowanych. Doceniam jego sentyment dla idei ogólnoświatowego odprężenia. Pod koniec tygodnia urządzamy w naszej ambasadzie małe przyjęcie. Chętnie poznałbym pana Vetterlinga, by osobiście wyrazić mu swe uznanie.

– Jest pan zawsze mile widzianym gościem u nas w domu, panie Beyer – odparł wymijająco Lindsay. – Nora często o panu mówi.

– To mi pochlebia. Pułkownik doktor Mavrides jest czarującą gospodynią. – Beyer ukrył rozczarowanie, lecz jego kinezyka zdradzała zniecierpliwienie. Najchętniej już by odszedł i zbrała się z innym luminarzem kultury. Lindsay nie miał mu tego za złe – taką po prostu miał pracę.

Sam również był urzędnikiem służb bezpieczeństwa; kapitan-doktor Abelard Mavrides wykładał socjologię Inwestorów na kosmosytecie Goldreich-Tremaine. Nawet w erze pokoju Inwestorów wszyscy wykładowcy w kształcerskim kompleksie naukowo-wojskowym musieli należeć do bezpieczeństwa. Lindsay, tak jak pozostali, grał wyznaczoną mu rolę.

W pracy menedżera teatralnego nigdy nie podpierał się zajmowanym stanowiskiem, ale Beyer zdawał sobie sprawę z faktycznego stanu rzeczy i tylko dzięki dyplomatycznej uprzejmości mogli zostać przyjaciółmi.

Beyer omiół zatłoczone foyer spojrzeniem błękitnych oczu. Nagle twarz mu stężała. Lindsay od razu zauważył, kto zwrócił jego uwagę – perełka mikrofonu na dolnej wardze, słuchawki, ubranie pozbawione elegancji... ochroniarz, i to nie kształcercz. Włosy miał zaczesane do tyłu i wybrylantynowane antyseptycznym olejkiem, a jego twarzy brakowało genetycznie zaprogramowanej symetrii.

Przytknąwszy wideomonokl do prawego oka, Lindsay zaczął filmować całą scenę. Beyer zauważył ten gest i uśmiechnął się kwaśno.

– Jest ich czterech – oznajmił. – Pańskie przedstawienie przyciągnęło jakąś znaczną figurę.

– Wyglądają mi na Związkowców.

– Ochroniają kogoś, kto przybył z wizytą oficjalną, ale incognito. Ten człowiek stoi na czele Republiki Mare Serenitatis. Przewodniczący Philip Khouri Constantine.

Lindsay się odwrócił.

– Nie znam tego dżentelmena.

– Nie popiera odprężenia. Nie poznałem go osobiście, więc nie mogę was sobie przedstawić.

Lindsay zaczął przesuwając się pod ścianą, odwrócony tyłem do tłumu.

– Muszę zajrzeć do biura – wyjaśnił. – Przejdzie się pan ze mną? Może zapalimy?

– Ma pan na myśli palenie płucne? Nie nabyłem tego nałogu.

– W takim razie muszę prosić o wybaczenie. – I Lindsay się wymknął.

\* \* \*

– Po dwudziestu latach – powiedziała Nora Mavrides. Siedziała przy swojej konsoli, niedbale zarzuciwszy na ramiona kurtkę od munduru: czarne okrycie przesłoniło bursztynową bluzkę.

– Co go opętało? – Lindsay nie mógł otrząsnąć się z szoku. – Republika już mu nie wystarcza?

– Wojownicy musieli go tu ściągnąć – rozmyślała na głos Nora. – Jest im potrzebny, żeby poprzeć ich interesy w stolicy. Ma prestiż i nie opowiada się za odpreżeniem.

– To może być wiarygodny motyw, ale dopiero jak go obrócić do góry nogami – stwierdził Lindsay. – Wojownicy mają Constantine'a za lojalnego generała, bezplanowca. Nie zdają sobie sprawy z jego ambicji i potencjału. Manipuluje nimi.

– Widział cię?

– Raczej nie. Zresztą nie sądzę, żeby mnie rozpoznał. – Lindsay zamieszał łyżką w kartonie leczniczego jogurtu. – Wiek to niezłe przebranie.

– Serce mi zamarło, kiedy obejrzałam film z twojego monokla. Abelardzie, tak nam było dobrze przez te lata. Gdyby wiedział, kim jesteś, mógłby nas zniszczyć.

– Niezupełnie. – Lindsay skrzywił się i zmusił do jedzenia. Jogurt przygotowywano specjalnie z myślą o niekształcerczach, z których wnętrzości usunięto wszelkie bakterie. Był gorzki od rozpuszczonych w nim enzymów trawiennych. – Constantine mógłby mnie zadenuncjować, ale co z tego? Mamy przecież obcych. Inwestorów nie obchodzi moja genetyka czy szkolenie... Mogą okazać się dla nas ratunkiem.

– Musimy Constantine'a zdemaskować. To morderca.

– My dwoje nie powinniśmy chyba uderzać w taką nutę, kochanie. – Złapał karton w mechaniczną dłoń. Cienkie ściany pojemnika wgięły się do środka. – Zawsze chciałem go w miarę możliwości unikać. To czysty przypadek, niczym wynik rzutu kośćmi...

– Nie mów tak, jakbyśmy nic nie mogli na to poradzić.

Lindsay zabębnił metalowymi palcami o kartonik. Nawet ta elektroniczna ręka stanowiła element jego kamuflażu. Zabytkowa proteza należała przed laty do sędziego i sugerowała, że Lindsay jest znacznie starszy, niż wskazywałby na to jego wygląd.

Ścianę biura Nory wypełniał przesuwający się wolno holograficzny obraz powierzchni Saturna, na którym miecione wichrem czerwone smugi mieszały się z przykurzonym złotem.

– Moglibyśmy wyjechać – powiedział Lindsay. – Są przecież inne państwa w Radzie. Przepaść Kirkwooda jest w porządku, tak samo Klaster Cassini.

– Wyjechać i zostawić wszystko, czego tu dokonaliśmy?

Lindsay z roztargnieniem wpatrywał się w ekran.

– Jesteś wszystkim, czego pragnę.

– A ja chcę dostać tę posadę, chcę być pułkownikiem profesorem. Pomyśl o dzieciach, o naszej Klice... Przecież ich los zależy od nas.

– Masz rację. Tu jest nasz dom.

– Za bardzo się tym przejmujesz – rzekła Nora. – Niedługo wróci do Republiki. W ogóle by tu nie przybył, gdyby nie to, że Goldreich-Tremaine jest teraz stolicą.

Z sąsiedniego pokoju dobiegał śmiech dzieci. Nora sięgnęła do potencjometru na konsoli i ściszyła głośniki.

– Łączy nas z Philipem przerażający związek – powiedział Lindsay. – Jeden za dużo wie o drugim.



– Nie bądź fatalistą, najdroższy. Nie zamierzam siedzieć z założonymi rękoma i czekać, aż jakiś bezplanowy parweniusz rzuci się na mojego męża.

Nora wstała od konsoli i podeszła do Lindsaya. Udająca słabą grawitację siła odśrodkowa układała na niej spódnicę i szarpała troczki przy rękawach. Lindsay przytulił żonę i lewą ręką, nie protezą, przeczesał jej loki.

– Pozwólmy mu żyć, Noro, bo inaczej znów nastanie czas zabijania.

Pocałowała go.

– Dawniej byłeś sam. Teraz jesteś dla niego równorzędnym przeciwnikiem. Mamy Klikę Północy, ród Mavridesów, mamy Inwestorów i moje stanowisko w siłach bezpieczeństwa. I wzajemne zaufanie. Jesteśmy silni.

\* \* \*

*Goldreich-Tremaine, 13. 04.'37*

Philip Constantine śledził wideomonoklem obraz widziany z odlatującego statku. Lubił monokl; podobało mu się to, że jest taki stylowy. Zawsze starał się iść z duchem czasu, gdyż moda pozwalała łatwo manipulować innymi.

Zwłaszcza wśród ukształtowanych. Za rufą „Spokojnej Przyjaźni” żyroskopowy kompleks Goldreich-Tremaine obracał się przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Constantine patrzył na miasto, którego obraz przekazywała do monokla zainstalowana na kadłubie kamera.

Orbitalne miasto dało mu pogładową lekcję historii kształcerzy.

W centrum znajdował się mroczny, potężnie ekranowany cylinder, przed laty osłaniający osiedle pierwszych osadników, zdesperowanych pionierów, którzy umyślili sobie wydobywać surowce w Pierścieniach Saturna mimo potwornego promieniowania i burz elektrycznych. Rdzeń Goldreich-Tremaine był niczym uparte nasienie, które wszystko przetrwało, by po latach obudzić się do wspaniałego życia. Krążyły wokół niego masywne konstrukcje – instalacje radarowe poruszały się z idealną precyzją po umieszczonych na zewnątrz walca przewodnicach, a dwa olbrzymie rurowate przedmieścia obracały się w przeciwwadze na białych ceramicznych szprychach. Wewnątrz cylindra, gdzie panowało zerowe ciężenie, roilo się od koronkowo poukładanych domów. Tuż poza granicą przedmieść majaczyły niematerialne ściany Butelki.

„Spokojna Przyjaźń” przebiła się przez najslabszy punkt Butelki. Kolorowe błyski wyładowań przebiegły po ekranie wideomonokla i Goldreich-Tremaine zniknęło. Kłęb czarnej mgły pośród białych złomów lodu tworzących Pierścień – tak właśnie wyglądała Butelka: ośmiokilometrowej długości pole magnetyczne, generowane w tokamaku, osłaniało kształcerskie miasto pajęczyną energii.

W takiej odległości od Słońca jego promienie nie miały praktycznie żadnej mocy. Każde państwo Rady – Goldreich-Tremaine, Dermott-Gold-Murray, Tauri Phase, Przepaść Kirkwooda, Synchronis, Klaster Cassini, Klaster Encke, Unia Ślizgaczy, Arsenał... – miało własne słońce, rozpromienione energią syntezy jądrowej.

Dało się odczuć niewielkie przeciążenie, gdy włączyły się główne silniki. Stacja meteorologiczna Goldreich-Tremaine wydała im zgodę na start – nie musieli się obawiać trafienia piorunem, a promieniowanie tła utrzymywało się na niskim poziomie. Na zaopatrzonym w nowy kształcerski napęd statku czekało ich tylko parę tygodni lotu.

Zeuner, dramaturg, wszedł do kabiny i usiadł obok Constantine'a.

– Zniknęło – powiedział.

– Tęsknisz już, Carl? – Constantine podniósł wzrok.

– Za Goldreich-Tremaine? Tak. Za ludźmi? To zupełnie inna historia.

– Wrócisz tu jeszcze. Będziesz triumfował.

– To miło, że Wasza Ekszelencja tak mówi. – Dłonią w jasnobrązowej rękawiczce Zeuner potarł brodę. Constantine zauważył, że pod działaniem standardowych bakterii Republiki na karku Zeunera pojawiają się już pierwsze plamy.

– Dajmy sobie spokój z tymi oficjalnymi tytułami – powiedział. – W Radzie Pierścieni to wymóg protokołu, ale w Republice zalatuje arystokratycznymi nawykami. Taka nasza miejscowa postać błędnej ideologii.

– Rozumiem, doktorze Constantine. W przyszłości będę bardziej uważał.

Gładko ogolona twarz Zeunera była piękna anonimową urodą kształcerzy. Pisarz ubierał się z drobiazgową precyzją, w przytłumione brązy i beże.

Constantine schował monokl do kieszeni aksamitnej, przetykanej miedzianą nicią kamizelki. Zaczynał się pocić pod wyszywanym płóciennym garniturem. Skóra schodziła mu z pleców w miejscach, gdzie wirus odmładzający wygryzał stare komórki. Od dwudziestu lat infekcja krążyła w jego ciele – tak wyglądała pierwsza nagroda za wierność kształcerskiej sprawie. Tam, gdzie ostatnio przeszedł wirus, jego oliwkowa skóra była gładka jak u niemowlęcia.

Zeuner przyglądał się ścianom kabiny. Na grubym materiale izolacyjnym puentylistyczną techniką wyszyto sceny ilustrujące życie Republiki: pod sklepieniem jasnych chmur rozpościerały się sady, słońce z godną katedr powagą padało na złociste łany pszenicy, lekkoloty szybowały ponad kamiennymi domostwami krytymi czerwoną dachówką. Widoki mieniły się kolorami, niczym obrazki z folderu turystycznego.

– Jak naprawdę wygląda ta wasza Republika? – zapytał Zeuner.

– To dziura zabita dechami – odparł Constantine. – Zabytek. Przed naszą rewolucją Republikę toczyła zgnilizna, i to nie tylko pod względem społecznym. Fizycznie. Tak olbrzymi ekosystem wymaga pełnej kontroli genetycznej, ale jego twórcy nie zaprzęтали sobie głowy tym, co stanie się w przyszłości. I tak wszyscy pomarli. – Zetknął dłonie czubkami palców. – A my odziedziczyliśmy po nich ten bałagan. Związek wypędził swoich wizjonerów i tak, na przykład, najlepsi genetyczni utworzyli Radę Pierścieni. Ludzie ze Związku okazali się mięczakami i wreszcie stracili całą władzę. Zaludnili państwa klienckie.

– Myśli pan, że wygramy, doktorze? My, kształcerze?

– Tak. – Constantine uśmiechnął się do Zeunera. – Bo rozumiemy, o co toczy się walka: chodzi o życie. Nie znaczy to, że całkiem zlikwidujemy mechów. Mogą jeszcze wegetować setki lat, ale zostaną odcięci, staną się organizmami cybernetycznymi, nie żywym ciałem. A cybernetyka to ślepy zaułek, w którym brak jest woli, imperatywów, wyobraźni. Zostaje tylko programowanie.

Dramatopisarz pokiwał głową.

– Rozsądna ideologia, zupełnie inna od tego, co się dzisiaj słyszy w Goldreich-Tremaine. Slogany o odprężeniu, jedność w wielości, wszystkie frakcje zespolone w Schismatrix. Ludzkość jednoczy się w obliczu obcych.

Constantine poprawił się na krześle, ukradkiem drapiąc się plecami o oparcie.

– Słyszałem już tę retorykę, na scenie. Ten producent, o którym wspomniałeś...

– Mavrides? – wszedł mu niecierpliwie w słowo Zeuner. – To potężny klan. Są na Goldreich-Tremaine, na Stacji Jastrowa, Przepaści Kirkwooda. Nigdy nie mieli swojego genetycznego w samej Radzie, ale ich linia ma wspólne geny z Garzami, Draperami i Vetterlingami. A Vetterlingowie mają

władzę.

– Mówiłeś, że ten człowiek nie jest Mavridesem z urodzenia, wzenił się w ród. Nie jest genetyczny.

– Jest tylko osobliwością? Tak, to prawda. Nie ma prawa dołączyć własnych genów do linii. – Zeuner ucieszył się, że może napomknąć o tym skandaliku. – Poza tym jest ulubieńcem Inwestorów i kapdokiem.

– Kapdokiem? Służy w siłach bezpieczeństwa?

– Abelard Mavrides to kapitan doktor, stąd skrót. Jak na kogoś w jego wieku, nie zaszedł zbyt wysoko. Ponoć kiedyś był astrognidą, kometarnym górnikiem. Spotkał obcych na obrzeżach Układu i jakoś wkradł się w ich łaski. Przebywali tu zaledwie kilka miesięcy, gdy na jednym z ich statków Mavrides z żoną przybyli do Goldreich-Tremaine. Od tego czasu kroczy od sukcesu do sukcesu. Wygłasza wykłady o Inwestorach, płynnie mówi ich językiem i jest wystarczająco bogaty, żeby skutecznie ukrywać swoją przeszłość.

– Kształcerze ze starych linii dobrze strzegą swojej prywatności.

Zeuner się zamyślił.

– Jest moim wrogiem – rzekł. – Zrujnował mi karierę.

Constantine zastanawiał się nad jego słowami. Wiedział na temat Mavridesów więcej od Zeunera; skaptował go umyślnie, wiedząc, że Mavridesowie muszą mieć wrogów i że łatwiej takiego wroga znaleźć, niż stworzyć.

A Zeuner był sfrustrowany. Jego pierwsza sztuka zrobiła klapę, produkcji drugiej nikt się nie podjął. Nie znał szczegółów zakulisowych machinacji Mavridesów i ich Kliki Północy i był zaciekłym wrogiem mechanistów. Jego linia genetyczna wiele wycierpiała w czasie wojny, nie był więc zwolennikiem odprężenia.

Dlatego właśnie Constantine go oczarował i zwabił do Republiki obietnicą dostępu do archiwów teatralnych, gdzie mógłby badać żywą tradycję dramatu. Młody kształcerz nie krył wdzięczności, która czyniła zeń pionka w rękach Constantine'a.

Constantine milczał. Martwił go ten Mavrides. Macki jego wpływów sięgały daleko w głąb Goldreich-Tremaine. W dodatku zbieg okoliczności przerastał możliwości zwykłego przypadku i sugerował zaplanowaną intrygę.

Człowiek, który przybrał imię Abelard. Impresario teatralny, wystawia sztuki polityczne... I ma za żonę dyplomatkę.

Nie ulegało wątpliwości, że Abelard Lindsay nie żyje. Działający w Zaibatsu agenci Constantine'a sfilmowali jego śmierć z rąk funkcjonariuszy Geisha Banku, sam Constantine rozmawiał nawet z kobietą, która kazała go zgładzić, kształcerską renegatką o imieniu Kitsune. Z jej ust usłyszał smutną historię – o związkach Lindsaya z piratami i desperackim zabójstwie poprzedniej szefowej banku. Abelard zginął okrutną śmiercią.

Tylko dlaczego wysłany przez Constantine'a zabójca nie złożył raportu z Zaibatsu? Philip wątpił, żeby taki człowiek został astrognidą – zabójcy mieli wbudowane blokady i niewielu zdrajcom udawało się przeżyć.

Całe lata Constantine żył w strachu przed zaginionym mordercą. Elita służb bezpieczeństwa Rady Pierścieni zapewniała go, że ten człowiek nie żyje, ale Constantine nie wierzył i nigdy więcej nie obdarzył ich zaufaniem.

Latami pracował nad tym, żeby zakraść się do tajemnego świata kształcerskich szpiegów. Zabójcy i ochroniarze – często niczym nie różnili się od siebie, specjalizując się w fachu przeciwnika – stali się jego najbliższymi sprzymierzeńcami.

Znał ich podstępny, rozumiał fanatyczną lojalność i bezustannie walczył o to, żeby zyskać ich zaufanie. Udzielał im azylu, krył ich w Republice przed wrogimi im pacyfistami i swobodnie wykorzystywał własny prestiż dla ich militarystycznych celów.

Niektórzy kształcerze wciąż gardzili nim za niezaplanowany układ genów, ale wielu innych darzyło go zasłużonym szacunkiem. Personalne niechęci nie miały doń przystępu, martwił go natomiast fakt, że może zostać odsunięty na bok, zanim zmierzy się ze światem i zaspokoi palącą go ambicję, która od dzieciństwa kierowała jego poczynaniami.

Kto wiedział o Lindsayu, jedynym człowieku, z którym kiedykolwiek się przyjaźnił? Za młodu, gdy Constantine był słabszy, zanim jeszcze otoczył go szczelny pancerz nieufności, Lindsay był dla niego jak brat. Kto uwolnił tego demona? I po co?

\* \* \*

*Goldreich-Tremaine, 26. 12.'46*

Goście weselni kręcili się po całym ogrodzie. Ze swej kryjówki za krzakiem karłowatej magnolii Lindsay patrzył, jak jego żona lekkimi skokami – przy połowie normalnego ciężenia – zmierza w jego kierunku. Zielone liście ocierały się o rozłożyste skrzydła jej nakrycia głowy. Oficjalna, przetykana srebrną nicią suknia Nory miała intensywny ochrowy kolor i bursztynowe, zdobione mierzka mankiety.

– Wszystko w porządku, kochanie?

– Miałem podwinięte rękawy i teraz mi się popruły, cholera. W tańcu wysnuła się cała nitka.

– Widziałam, jak się wycofywałeś. Pomóc ci?

– Poradzę sobie – odparł Lindsay, zmagając się ze skomplikowanym splotem tkaniny. – Powoli, powoli, ale dam sobie radę.

– Daj, pomogę ci.

Nora podeszła bliżej, wyjęła wpięte w nakrycie głowy igły i zaczęła naprawiać koronkę ze zręcznością, o jakiej Lindsay nie mógłby nawet marzyć. Westchnął i ostrożnie wpiął igły we własne włosy.

– Regent pytał o ciebie – powiedziała Nora. – Przybyła starszyzna genetycznych.

– Gdzie ich umieściłaś?

– Na werandzie. Musiałam tylko przegonić gromadę dzieciaków. – Nora dokończyła szycie. – No, gotowe. Dobrze będzie?

– Jesteś wspaniała.

– Żadnego całowania, Abelardzie. Rozmażesz sobie makijaż. Poczekaj do końca przyjęcia. – Uśmiechnęła się. – Wyglądasz rewelacyjnie.

Lindsay przecesał mechaniczną dłonią posiwiałe pukle włosów. Zaśniły hodowane klejnoty wbudowane w metalowe kostki dłoni; druczane ścięgnię mieniły się wplecionymi pomiędzy nie światłowodami. Miał na sobie oficjalną, marszczoną kamizelkę kosmosytetu Goldreich-Tremaine, o klapach zdobionych insygniami rangi. Sięgające kolan spodnie miały głęboki kawowy kolor. Brązowe, lekko opalizujące pończochy łagodziły sztywność stroju.

– Zatańczyłem z panną młodą – rzekł Lindsay. – Chyba ich trochę zaskoczyłem.

– Słyszałam aplauz, skarbie.

Uśmiechnęła się i wzięła go pod ramię, opierając dłoń na jego metalowych kościach. Wyszli z ogrodu.

Na otwartym patio państwo młodzi głowami z dół zwisali z sufitu i tańczyli. Ich stopy migwały zwinnie w miękkich pętłach rozległej instalacji tanecznej, ułatwiającej zachowanie równowagi w obniżonej grawitacji. Na widok panny młodej Lindsay poczuł falę graniczącego niemal z bólem szczęścia.

Kleo Mavrides była klonem dawno zmarłej kobiety – miała jej imię i geny. Chwilami Lindsayowi zdawało się, że w wesołych oczach dziewczyny kryje się starszy duch, tak jak dźwięk potrafi wibrować w kryształach w chwilę potem, gdy faktycznie przestał rozbrzmiewać. Zrobił co w jego mocy; od momentu wyprodukowania nie szczędził młodziej Kleo uwagi i czułości. Wraz z Norą znajdowali w tym pociechę, oddając w ten sposób hołd nieżyjącej kształcerce. Ich zachowanie zasługiwało na coś więcej niż określenie mianem pokuty; opieka nad dziewczyną zbyt wiele ich kosztowała, żeby nazwać ją zwykłym odkupieniem winy. To była miłość.

Pan młody tańczył dostojnie. Był masywny, potężny niczym niedźwiedź, jak wszyscy genetyczni z rodu Vetterlingów. Fernand Vetterling miał talent, który wyróżniał go nawet w środowisku złożonym z urodzonych geniuszów. Lindsay znał go od dwudziestu lat – jako dramaturga, architekta oraz członka Kliki – i zapal twórczy Fernanda wciąż budził w nim nabożny lęk. Zastanawiał się, jak długo przetrwa związek delikatnej, zwiewnej Kleo i poważnego Vetterlinga, którego umysł przywodził na myśl stalowe ostrze topora. Małżeństwo było podyktowane w równej mierze prawdziwą miłością, co i racją stanu; zainwestowano w nie spory kapitał, ekonomiczny i genetyczny.

Nora przeprowadziła Lindsaya obok grupy dzieci zajętych rozkręcaniem żyroskopowych bąków za pomocą ozdobnych biczów. Jak zwykle Paolo Mavrides był w tym najlepszy; twarz dziewięciolatka wyrażała aż nienaturalne skupienie.

– Tylko nie szturchnij mojego bąka, Noro – ostrzegł chłopiec.

– Paolo się zakłada – oznajmiła sześciolatka Randa Vetterling. Uśmiechnęła się psotnie, odsłaniając szczerbę po brakujących mleczakach.

– Eee tam – mruknął Paolo, nie podnosząc wzroku. – Randa to kabel.

– Bawcie się grzecznie – powiedziała Nora. – Nie przeszkadzajcie starszym.

Starszyzna rozsiadła się na werandzie domu Lindsaya wokół inkrustowanego stołu, którego środek zajmowała rzeźba Inwestorów. Genetyczni prowadzili dyskusję ograniczając się wyłącznie do „spojrzeń”, czyli z pozoru przypadkowego kontaktu wzrokowego. Lindsay przywitał zebranych skinieniem głowy i zerknął pod stół, gdzie schowała się dwójka dzieci zajęta wyplataniem złożonych wzorów z długiego, zawiązanego w pętlę sznurka: wykorzystując obie dłonie i duże palce u stóp, utkały skomplikowany układ.

– Bardzo ładnie – powiedział. – Ale idźcie gdzie indziej bawić się w pajaki.

– Dobrze już, dobrze – odmruknęło starsze z dzieci, po czym ostrożnie, by nie naruszyć rozpiętej na rękach konstrukcji, oboje wyczołgali się spod stołu.

– Dałem im ciasteczka – powiedział Dietrich Ross, gdy dzieci wyszły. – A one powiedziały, że schowają je sobie na później. Słyszeliście o czymś takim? Żeby dzieci w tym wieku wydzielały sobie słodycze? Co się, u licha, dzieje z tym światem?

Lindsay usiadł, przejrzał się w kieszonkowym lusterku, po czym z kieszeni kamizelki wyjął puderniczkę.

– Pocisz się jak mysz – zauważył Ross. – Czyżbyś się starzał, Mavrides?

– Porozmawiamy, jak przetańczysz cztery kawałki z rzędu, stary kanciarzu – odparł Lindsay.

– Margaret ma nową koncepcję odnośnie do twojej ozdoby – rzekł Charles Vetterling. Od czasu utraty urzędu były regent bardzo posunął się w latach; przytył, stał się cholerykiem, a w jego przystrzyżonych na starą modłę włosach pojawiły się siwe pasemka.

– Chętnie ją usłyszę, pani kanclerzowo – zainteresował się Lindsay.

– To erotyk. – Kanclerz Margaret Juliano, kształcerka, pochyliła się nad ozdobnym blatem i wskazała perspektową kopułę, pod którą znajdowała się skomplikowana rzeźba. Odkąd Lindsay otrzymał ją w darze od Inwestorów, spekulacje na temat tego, co przedstawia, nie ustawały.

Figurkę wyrzeźbiono z lodu i umieszczono w błyszczącym bloku zamrożonego amoniaku. Znajdująca się pod kopułką aparatura utrzymywała go w temperaturze czterdziestu kelwinów. Rzeźba składała się z dwóch spłaszczonych brył pokrytych filigranowym deseniem lodowych kryształków i osadzonych na pofalowanej powierzchni, mającej zapewne przedstawiać jakiś niewyobrażalnie zimny, pokryty krą ocean. Z boku nad powierzchnię wystawała trzecia mniejsza i bardziej kanciasta bryła, która mogłaby uchodzić za zgiętą w łokciu rękę.

– Proszę zauważyć, że mamy tu dwie postaci – powiedziała Margaret Juliano. – Sądzę, że szczegóły fizyczne aktu taktownie ukryto pod powierzchnią wody. Czy może po prostu płynu.

– Wątpię – zaoponował Lindsay. – Mam raczej wrażenie, że te postaci usiłują się nawzajem pożreć, o ile oczywiście w ogóle są żywe.

– Tak właśnie mówiłem – wtrącił Sigmund Fetzko. Zmęczony mechanista renegat, zdecydowanie najstarszy z zebranych, rozparł się wygodnie w fotelu. Mówienie przychodziło mu z trudem; powietrze z płuc wydobywało się dzięki ukrytym pod grubym płaszczem elastycznym obejmom, które poruszały jego klatką piersiową. – Ta druga ma na ciele zagłębienia, tak jakby jej powłoka cielesna się zapadała. Albo coś wysysało z niej soki.

Dziecko Vetterlingów wpadło do pokoju w pogoni za niesfornym bakiem. Stary Vetterling „spojrzał” na Neville'a Pongpianskula, zmieniając temat. Dzieciak zniknął.

– To dobre małżeństwo – odpowiedział Pongpianskul. – Połączenie wdzięku Mavridesów z uporem Vetterlingów to znakomity pomysł. Mikhaila Vetterling zapowiada się dość obiecująco. Jakie ma udziały?

Stary Vetterling uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Sześćdziesiąt procent Vetterling, trzydzieści Mavrides i dziesięć Garza w układzie wzajemnym. Dopilnowałem, żeby geny Garzów były bliskie dawnej linii Vetterlingów, a nie miały nic wspólnego z tymi ich nowymi zabawami. Przynajmniej dopóki nie będzie dowodu na ich skuteczność.

– Młoda Adelaide Garza jest cudowna – powiedziała Margaret Juliano. – To jedna z moich studentek. W ogóle superinteligenci są wspaniali, regencie. To różnica klas. – Delikatnym ruchem pomarszczonych dłoni przyglądała klapy obwieszanej medalami kamizelki.

– Naprawdę? – zdziwił się Ross. – Byłem kiedyś żonaty ze starszą Adelaidą.

– Co się z nią stało? – zainteresował się Pongpianskul.

Ross wzruszył ramionami.

– Zwiędła.

Po zebranych przebiegł ledwo wyczuwalny, lodowaty dreszcz. Lindsay zmienił temat:

– Zamierzamy wybudować nową werandę. Nora chce przekształcić tę, na której siedzimy, w biuro.

– Potrzebuje więcej miejsca? – zapytał Pongpianskul.

Lindsay skinął głową.

– Wymogi urzędu. Poza tym to nasz najbezpieczniejszy lokal, odkąd Wakefield Zaibatsu przeprowadziło odpluskwanie. Gdybyśmy chcieli ulokować biuro gdzie indziej, trzeba by ich znowu sprowadzić i przewrócić dom do góry nogami.

– Budujecie na kredyt? – spytał Ross.

– Oczywiście.

– Coś za łatwo ostatnio w G-T o kredyt. To mi się nie podoba...

– Daj spokój – wtrącił Vetterling. – Nie odnawiałeś swojej nory od dobrych osiemdziesięciu lat. W korytarzu trudno się obrócić. A popatrz na nas, Vetterlingów. Pan młody dostarczył nam właśnie specyfikacje nowego kompleksu kopuł.

– Wszystko to gówno warte – rzekł Ross. – Zresztą i tak w G-T jest teraz za dużo ludzi, za dużo młodych rekinów. Niby wszystko dobrze się układa, ale katastrofa wisi w powietrzu, mówię wam. A kiedy nadejdzie, zabieram się stąd i lecę na którąś z komet. Dawno już nie wystawiałem swojego szczęścia na próbę.

Pongpianskul „spojrzał” na Lindsaya, przekazując mu w układzie pomarszczonych powiek rozbawienie i pogardę, jakie żywi wobec Rossa za jego wieczne przechwalanie się łaskawością losu. Przed stu laty w jednej z kopalń Rossowi trafiła się prawdziwa żyła złota, o której do dziś nikomu nie pozwolił zapomnieć. Ostatnio ograniczył się do podpuszczania innych, sam zaś ryzykował tylko tyle, że dobierał sobie dziwaczne kamizelki.

– Mam kandydata do Kliki – rzekł Vetterling. – Bardzo młody, wygadany. Nazywa się Carl Zeuner.

– Ten dramaturg? – upewniła się Margaret Juliano. – Nie przepadam za jego sztukami.

– Bo nie jest za odprężeniem – powiedział Vetterling. – Nie pasuje do twojego pacyfizmu, Margaret. Mavrides, ty go chyba znasz.

– Poznaliśmy się kiedyś.

– Zeuner to faszysta – wtrącił Pongpianskul. Nowy temat rozmowy najwyraźniej poruszył starego lekarza, bo Pongpianskul pochylił się w krześle i splótł dłonie. – Człowiek Philipa Constantine'a. Spędził wiele lat w Republice, która jest placem zabaw dla kształcerskich imperialistów.

– Spokojnie, Neville. – Vetterling zmarszczył brwi. – Znam Związek; tam się urodziłem. Tego, co teraz robi Constantine, należało dokonać sto lat wcześniej.

– To znaczy, ściągnąć na swoje podwórko wszystkich podstarzałych morderców?

– Nie, wprowadzić nowy świat do kształcerskiej społeczności...

– To nic innego jak ludobójstwo kulturalne. – Pongpianskul całkiem niedawno poddał się kuracji odmładzającej i z jego szczupłego ciała emanowała nienaturalna energia. Lindsay nigdy go nie pytał, z jakiej techniki korzysta; stawy palców miał tak pomarszczone, że przypominały miniaturowe rozetki, a skórę gładką, woskową o specyficznym ciemnym odcieniu, jakiego próżno by szukać w naturze. – Republikę Okołoksiężycową należy zostawić w jej naturalnym stanie i zachować jako muzeum. To najlepsze wyjście. Potrzebujemy różnorodności i nie każde stworzone przez nas społeczeństwo może dłużej przetrwać.

– Mówisz jak dzieciak, Neville – odezwał się z wysiłkiem Sigmund Fetzko.

Pongpianskul oparł się wygodniej.

– Przyznaję, że po ostatnim odmłodzeniu wróciłem do czytania moich dawnych przemówień.

– To przez nie padłeś ofiarą czystki – zauważył Vetterling.

– Bo lubię starocie? Moje mowy same stały się już zabytkami, ale kwestie, które poruszałem, są niezmiennie: społeczeństwo i anarchia, przyjaciele. Polityka spaja społeczność, technika rozwalają w drobny mak. Małe enklawy w rodzaju Republiki powinny zostać nienaruszone, dzięki czemu, gdybyśmy padli kiedyś ofiarą własnych manipulacji, znajdzie się ktoś, kto przyjdzie i pozbiera nasze szczątki.

– Zawsze jest jeszcze Ziemia – zauważył Fetzko.

– Nie biorę barbarzyńców pod uwagę – odparł Pongpianskul i pociągnął łyk uspokajającego koktajlu.

– Gdybyś miał choć trochę zimnej krwi, Pongpianskul, udałbyś się do Republiki i osobiście tym zajął – rzekł Ross.

Pongpianskul pociągnął pogardliwie nosem.

– Założę się, że zebrałbym tam obciążające ich dowody.

– Nonsens – rzekł Vetterling.

– Zakład? – Ross przeniósł wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. – Pozwólcie, że zostanę sędzią. Doktorze, jeżeli dostarczy pan dowody, które naruszają moją zaskorupiałą niewrażliwość, wszyscy przyznamy panu rację.

Pongpianskul się zawahał.

– Tak dawno już nie...

Ross wybuchnął śmiechem.

– Boi się pan? W takim razie lepiej niech pan się zastanowi i skupi na kultywowaniu własnego mitu. Potrzebuje pan takiej tajemniczej fasady, bo inaczej młode rekiny pożrą pana na śniadanie.

– Po czystce też chcieli mnie zjeść – zauważył Pongpianskul. – I nabawili się niestrawności.

– To było dwieście lat temu – drażnił się z nim Ross. – Pamiętam taki epizod... Zaraz, jak to szło? Nieśmiertelność z glonów?

– Co takiego? – Pongpianskul zamrugał zaskoczony, ale po chwili zagrzebane pod pokładami późniejszych dekad wspomnienia wypłynęły na powierzchnię. – Wodorosty – powiedział. – „Cudowne rośliny z ziemskich oceanów – zaczął cytować własne słowa. – Zastanawiacie się, moi drodzy, dlaczego wasze bilanse katalityczne różnią się pomiędzy sobą. Odpowiedź leży w wodorostach, które po zmianach genetycznych rozwijają się w pierwotnym oceanie, źródle samej krwi... ". O Boże, całkiem o tym zapomniałem.

– Sprzedawał pigułki z wodorostów – zdradził Ross. – Miał kanciapę w dmuchanych slumsach, gdzie na ścianach dałoby się smażyć jajka, takie było promieniowanie.

– Placebo – rzekł Pongpianskul. – W tamtych czasach w Goldreich-Tremaine aż roilo się od bezplanowców: górników i uciekinierów upieczonych radiacją. Wtedy jeszcze Butelka nas nie chroniła. Kiedy wyglądali naprawdę beznadziejnie, dodawałem do mieszanki odrobinę środka przeciwbólowego.

– Nie można dożyć naszych lat bez jakiegoś przekrętu – stwierdził Lindsay.

Vetterling prychnął.

– Darujmy sobie te wspomnienia, Mavrides. Chcę wiedzieć, na czym stoję, Ross. Co zyskam, jeżeli Pongpianskul przegra?

– Moją rezydencję – rzekł Pongpianskul. – W Kręgu Fitzgeralda.

Vetterling szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

– Czego chcesz w zamian?

– Twojego publicznego odżegnania się od Constantine'a i Zeunera. Oraz pokrycia kosztów podróży.

– Masz uroczę mieszkancko – powiedziała Margaret Juliano. – Mógłbyś się z nim rozstać, Neville?

Pongpianskul wzruszył ramionami.

– Jeżeli przyszłość ma należeć do kumpli Constantine'a, nie chcę tu mieszkać.

– Nie zapominaj, że jesteś świeżo po kuracji – rzekł niepewnie Vetterling. – Reagujesz pochopnie. Nie cierpię wyrzucać ludzi z domów. Możemy odłożyć nasz zakład do czasu, aż...

– Odłożyć... – przerwał mu Pongpianskul. – To właśnie jest nasze przekleństwo. Zawsze mamy na wszystko czas. Młodzi rzucają się żarłocznie na każdy nowy rok, jakby miało nie być jutra... Nie, regencie, powziąłem już decyzję. – Podał woskową rękę Vetterlingowi.

– Cholera! – warknął Vetterling i uściśnął szczupłą dłoń Pongpianskula. – Zakład. Waszą czwórkę biorę na świadków.



– Polecę najbliższym statkiem – rzekł Pongpianskul i wstał. Zielonkawę oczy lśniły mu jak w gorączce. – Muszę się przygotować. To była wspaniała uroczystość, Mavrides.

Lindsay nie posiadał się ze zdumienia.

– Och, dziękuję panu. Robot poda panu kapelusz.

– Muszę jeszcze podziękować gospodyni – powiedział Pongpianskul i wyszedł.

– Facet zwariował – rzekł Vetterling. – Wszystko przez tę nową kurację, a biedaczysko nigdy nie był zrównoważony.

– Jaką kurację stosuje? – wysapał zaciekawiony Fetzko. – Rozpiera go energia.

Ross się uśmiechnął.

– Jakąś niesprawdzoną – odparł. – Nie stać go na zarejestrowaną. Słyszałem, że dogadał się z jakimś zamożnym klientem i pełni funkcję królika doświadczalnego. Dzięki temu dzielą się kosztami.

Lindsay „spojrzał” na Rossa, który uniknął odpowiedzi, pogryzając kanapkę.

– Ryzyko – rzekł Fetzko. – Dlatego młodzi nas tolerują. Podejmujemy za nich ryzyko i wymieramy. Trafiamy na złe kuracje. Padamy ich ofiarą.

– Mogło być gorzej – zauważył Ross. – Mógł się nabrać na ten numer z wirusem skórny i teraz liniałby jak wąż. Ha!

Przez osłonięte dźwiękoszczelnym polem drzwi do pokoju wszedł młody Paolo Mavrides.

– Nora prosiła, żebyście państwo przyszli pożegnać Kleo i pana Vetterlinga – oznajmił.

– Dziękujemy, Paolo. – Margaret Juliano i regent Vetterling wstali i ruszyli do drzwi, zmieniając temat na błahe kwestie kosztów budowy w Goldreich-Tremaine. Fetzko podreptał wolno za nimi z cichym buczeniem i świstem mechanicznych nóg. Ross złapał Lindsaya pod ramię.

– Jedną chwileczkę, Abelardzie.

– Słucham, poruczniku?

– Nie chodzi mi o sprawy bezpieczeństwa, Abelardzie. Nie powiesz Margaret, że to ja namówiłem Pongpianskula?

– Do tej niesprawdzonej kuracji? Nie. Chociaż to okrutne.

Ross uśmiechnął się sztucznie.

– Posłuchaj mnie. Kilkadziesiąt lat temu niewiele brakowało, żebym się z nią ożenił. Z tego, co powiedział mi Neville, wnoszę, że dzień mojego ślubu znowu może być bliski... Słuchaj, Mavrides, obserwuję cię od paru ładnych lat i widzę, jak wyglądasz. Szczerze mówiąc, rozkładasz się.

Lindsay przesunął ręką po siwiejących włosach.

– Nie ty pierwszy mi to mówisz.

– To chyba nie jest kwestia pieniędzy?

– Nie. – Lindsay westchnął. – Nie chcę, żeby ktoś grzebał w moich genach. Zbyt dużo tu ludzi ze służb bezpieczeństwa, a prawdę mówiąc, jestem kimś innym, niż się to z pozoru wydaje...

– Kurczę, a kto w twoim wieku nie jest? Słuchaj, Mavrides, domyślałem się, że o to chodzi; jesteś przecież wyjątkiem. I tu jest miejsce dla mnie: dostałem cynk. To sprawa dyskretna i ściśle tajna. Kosztuje, ale nikt nie zadaje pytań, nie prowadzi dokumentacji, cała operacja odbywa się po cichu. W jednym z gnidomiast.

– Rozumiem – powiedział Lindsay. – To ryzykowne.

Ross wzruszył ramionami.

– Wiesz, że nie żyję najlepiej z resztą mojej linii genetycznej. Nie udostępniają mi swoich archiwów, więc muszę prowadzić badania na własną rękę. Dogadamy się?

– Może tak. Nie chciałbym niczego ukrywać przed żoną. Mogę jej powiedzieć?

– Pewnie, pewnie... Zrobisz to?

– Będziemy w kontakcie – rzekł Lindsay i położył sztuczną rękę na ramieniu rozmówcy. Ross wzdrygnął się nieznacznie.

\* \* \*

Państwo młodzi zdołali dotrzeć do altany, gdzie utonęli w tłumie chętnych do złożenia życzeń i podającej gościom kapelusze młodzieży. Lindsay przytulił Kleo i wziął rękę młodego Vetterlinga w lewą dłoń.

– Będziesz się nią opiekował, Fernandzie? Wiesz, że jest jeszcze bardzo młoda.

Fernand popatrzył mu w oczy.

– Jest dla mnie życiem i tchnieniem moim, przyjacielu.

– Oto prawdziwe uczucie. Na razie odłożymy wystawienie nowej sztuki; miłość jest ważniejsza.

Nora pocałowała Fernanda, rozmazując mu makijaż. Tymczasem w rezydencji młodszy goście szaleli. Taniec na suficie przerodził się niemal w bójkę, gdy młodzi kształcerze, wyjąc ze śmiechu, usiłowali nawzajem zepchnąć się z zatłoczonego parkietu. Kilkoro już spadło i teraz kurczowo trzymało się pozostałych, zwisając u ich nóg przy połowie normalnego ciężenia.

Niech się bawią, pomyślał Lindsay. Większość z nich również niebawem się pożeni i tylko nielicznym trafi się taka dogodna kombinacja miłości i względów politycznych jak Kleo i Fernandowi. Byli pionkami w dynastycznych rozgrywkach starszyny, w których pieniądze i genetyka dyktowały warunki.

Przyjrzał się gościom z wyczuloną przez trzydzieści lat pobytu wśród kształcerzy uwagą. Niektórzy skryli się wśród drzew w ogrodzie – prostokącie soczystej zieleni umieszczonym pośrodku wyłożonego mozaiką patio. Czworo młodych Mavridesów męczyło jednego z robotów usługujących gościom: szarpali go i popychali, patrząc, czy nie uрони choć kropelki z niesionych kieliszków. Korzystając z obniżonej grawitacji, Lindsay podskoczył wysoko, żeby zerknąć na drugą stronę ogrodu, gdzie szykowałą się jakaś kłótnia.

Grupa kształcerzy otoczyła odzianego na czarno mężczyznę. Zanosilo się na kłopoty. Lindsay przeszedł po dachu ogrodu i wskoczył na sufit. Przeciągnął się po ścieżce z łatwością wynikłą z nabytej wprawy, zahaczając o występy i nisze dla stóp. Na chwilę musiał zwolnić, gdy tuż obok przemknęło troje rozchichotanych dzieci. Tasiemka przy rękawie znów mu się rozwiązała.

Zeskoczył na ziemię po przeciwnej stronie ogrodu.

– Te cholerne rękawy – mruknął, ale wszyscy wyglądali już nieco niechlujnie. Skierował się w stronę dyskutujących.

Młody mechanista stał pośrodku kręgu kształcerzy. Miał na sobie skrojone na miarę satynowe ogrodniczki z czarnymi pętelkami i coś na kształt kształcerskiej koronki pod szyją. Lindsay go rozpoznał – uczeń Riumina, który przybył na Goldreich-Tremaine podczas ostatniego tournée Kabuki Intrasolar. Przedstawiał się nazwiskiem Wells.

Miał w sobie coś z nieokrzesanej astrognidy; krótkie, brudne włosy, ruchliwe oczka, postura nawykła do nieważkości. Z tyłu na ogrodniczkach widniała naszyta oznaka Kabuki Intrasolar. Wells wyglądał na pijanego.

– To sprawa oczywista – perorował donośnie. – Kiedy wykorzystali Inwestorów jako pretekst do powstrzymania działań wojennych, wszystko było w porządku. Ale ci spośród nas, którzy znają obcych z lat własnego dzieciństwa, potrafią dostrzec prawdę. Nie są święci; zabawili się naszym kosztem dla własnych korzyści.

Na razie nikt z dyskutantów nie zwrócił uwagi na Lindsaya, który trzymał się z boku i oceniał ich

kinezykę. Sprawy miały się źle; wśród młodych kształcerzy rozpoznał Afriela, Besetzny, Wardena, Parra i Lenga, własnych uczniów z ostatniej klasy ksenolingwistyki. Słuchali mechanisty grzecznie, lecz z pogardą. Nie ulegało wątpliwości, że nawet nie próbowali mu się przedstawić, chociaż obnosili się z kamizelkami doktorantów.

– Nie sądzisz więc, że to im należy przypisać odprężenie? – spytał Simon Afriel, wyrachowany wojownik, pnący się już do góry po szczeblach kariery w kształcerskim kompleksie naukowo-wojskowym. Wyznał kiedyś Lindsayowi, że przymierza się do pracy dyplomatycznej na placówce wśród obcych. Tak jak oni wszyscy; z pewnością wśród dziewiętnastu rozumnych ras znajdzie się jedna, z którą kształcerze nawiążą intensywną współpracę, świat zaś legnie u stóp dyplomaty, który tego dokona i nie postrada przy okazji zmysłów.

– Jestem całym sercem za odprężeniem – powiedział Wells. – Chcę tylko, żeby ludzkość również odnosiła z niego korzyści. Od trzydziestu lat Inwestorzy z nami handlują. Czy poznaliśmy ich sekrety? Tajemnicę napędu międzygwiazdowego? Ich historię? Nie. Zamiast tego wciskają nam błyskotki i oferują tanie przejażdżki do gwiazd. Szalbierze karmią się ludzkimi słabościami i podziałami, i nie ja jeden tak uważam. W kartelach dojrzało nowe pokolenie...

– O co ci chodzi? – wtrąciła Besetzny, zamożna kobieta władająca ośmioma językami, w tym mową Inwestorów. W bluzce z rozciętymi, nie wiązаныmi rękawami i skrzydlatym, aksamitnym nakryciu głowy stanowiła wzór młodej, atrakcyjnej kształcerki. – W kartelach starsi mają nad wami przewagę liczebną i jak zawsze będą prowadzić z nami interesy; to już rutyna. Bez Inwestorów, którzy by nas chronili...

– O tym właśnie mówię, kandydatko. – Wells wcale nie był tak pijany, na jakiego wyglądał. – Są wśród nas setki takich jak ja, którzy chcieliby ujrzeć prawdziwy obraz Pierścieni. Bo szczerze mówiąc, nie brak takich, którzy was podziwiają. Musimy się zadowolić przechodzoną modą Pierścieni, sztuką Pierścieni z trzeciej ręki, a wszystko w najgłębszej tajemnicy. To żalosne! Tyle moglibyśmy sobie nawzajem dać... Ale nie, z istniejącego status quo Inwestorzy wycisnęli, co mogli. Już zresztą podjudzają zwolenników wojny. Zmniejszyli liczbę rejsów z karteli do Pierścieni, promują nieczyste zagrywki w handlu... Sam fakt, że tu przybyłem, sprawi, że będę napiętnowany do końca życia; prawdopodobnie przylgnie do mnie etykieta szpiega Rady Pierścieni, „bakcyła”, bo tak ich chyba nazywacie. Zawsze, kiedy znajdę się w kartelu, czujne oczy będą śledziły każdy mój krok...

– Dobry wieczór, kapitanie doktorze – ujrzawszy Lindsaya, Afriel podniósł głos.

Starając się zachowywać swobodnie, Lindsay podszedł bliżej.

– Dobry wieczór, kandydaci. Dobry wieczór, panie Wells. Nie zatruwacie sobie chyba umysłów młodzieńczym cynizmem. Trzeba się cieszyć...

Teraz Wells zdradzał objawy zdenerwowania. Wszyscy mechanisci obawiali się agentów sił bezpieczeństwa Pierścieni, nie zdając sobie sprawy z faktu, iż kompleks naukowo-wojskowy jest tak wszechobecny w życiu kształcerzy, że czwarta część populacji w ten czy inny sposób jest z tajnymi służbami powiązana. I tak na przykład Besetzny, Afriel i Parr, przywódcy paramilitarnej młodzieżówki Goldreich-Tremaine, stanowili dla Wellsa znacznie większe zagrożenie niż niechętnie obnoszący się ze stopniem kapitana Lindsay. Niemniej Wells nie ufał mu, był spięty i mamrotał pod nosem grzecznościowe formułki do chwili, aż starszy kształcerz się oddalił.

Najgorsze było to, że Wells miał rację; studenci Lindsaya zdawali sobie z tego sprawę, ale żaden nie zamierzał ryzykować utraty ciężko zapracowanego, rychłego doktoratu, publicznie przytakując naiwnemu mechowi. Rada Pierścieni nigdy nie zgodziłaby się na to, żeby człowiek powątpiewający w obowiązującą ideologię udał się w podróż do gwiazd.

Prawdą było, że to Inwestorzy odnosili największe korzyści. Ich przybycie wcale nie rozpoczęło

złotego tysiąclecia, jakiego spodziewała się ludzkość. Nie grzeszyli nawet nadmierną inteligencją, lecz nadrabiali ten brak niezwykłym tupetem i przywodzącą na myśl srokę pożądlivością wszelkich błyskotek. Byli zbyt chciwi, żeby coś mogło im zamącić w głowach; wiedzieli, czego chcą – i to dawało im przewagę.

Wizerunek obcych, jaki postrzegali ludzie, znacznie przerastał rzeczywistość. Lindsay również, udając kogoś innego niż w rzeczywistości, zamienił śmiertelną pułapkę, jaką dla niego i Nory stała się asteroida, na trzy miesiące nauki języka i darmową podróż do Pierścieni. Z miejsca stając się słynnym przyjacielem obcych, Lindsay dołożył starań, by ich legenda nabrała barw. Był jednym z głównych winowajców obecnego stanu rzeczy.

Oszukał nawet obcych; po dziś dzień nazywali go kombinacją chrzęstu i gwizdu, która oznaczała „artystę”. Lindsay nadal miał wśród Inwestorów przyjaciół, a przynajmniej – tego był pewien – istoty, które wciąż umiał rozbawić.

Inwestorzy mieli bowiem specyficzne poczucie humoru; okazywali swoiste sadystyczne zadowolenie z udanej, bezlitosnej transakcji. Rzeźba, którą mu podarowali i która znalazła się na honorowym miejscu u niego w domu, mogła równie dobrze składać się z dwóch zamrożonych brył odchodów obcych.

Jeden Bóg wiedział, jakim to oszołomionym obcym Inwestorzy sprzedali dzieło sztuki znalezione przez Lindsaya. Można się było spodziewać, że jakiś młody człowiek w rodzaju Wellsa zechce poznać i rozpowszechnić prawdę, niepomny na konsekwencje swoich działań – po prostu za młody, żeby zadowolić się kłamstwem. No cóż, wyglądało na to, że fałsz jeszcze trochę przetrwa, mimo iż w erze pokoju Inwestorów dorosło nowe pokolenie, które z zapałem walczyło o odsłonięcie prawdy, zerwanie zasłony. Młodzi nie zdawali sobie tylko sprawy, że w istocie jest to materia, na której namalowano cały ich świat.

Lindsay postanowił poszukać żony. Znalazł ją w biurze, w otoczeniu zaufanej ekipy dyplomatów-konspiratorów. Cień pani pułkownik profesor Nory Mavrides sięgał w Goldreich-Tremaine bardzo daleko i prędzej czy później wszyscy urzędujący w stolicy dyplomaci musieli znaleźć się w jego obrębie. Była najbardziej znaną postacią wśród lojalistów w swojej klasie i pełniła rolę ich przywódcy.

Lindsay ukrywał się za wygodną zasłoną własnej tajemnicy. Był ostatnim żyjącym przedstawicielem wydziału zagranicznego; jeżeli nawet inni nie będący kształcercami dyplomaci przeżyli, z pewnością kryli się ze swą tożsamością.

Przez grzeczność zajrzał na chwilę do biura, lecz gładka kinezyka gości jak zwykle działała mu na nerwy. Wyszedł więc do palarra, gdzie obsada „Pasterskich księżyców” Vetterlinga wprowadzała dwoje pieczeniarzy w tajniki modnego nałogu.

Natychmiast wczuł się w rolę impresaria. Wierzyli temu, co mówiły im oczy – widzieli starszego mężczyznę, zapewne niezbyt rozbawionego, pozbawionego błysku geniuszu, jaki rozpałał innych, ale za to wielkodusznego i nieco tajemniczego. Właśnie tajemniczość dodawała mu świetności; doktor Abelard Mavrides nieraz już ustanawiał trendy w modzie.

Przeskakiwał z tematu na temat, zmieniał rozmówców. Polityka małżeńska wśród genetycznych, intrygi w służbach bezpieczeństwa, rywalizacja pomiędzy miastami, doktryny naukowe, rozruchy na dziennej zmianie, kliki artystyczne – wszystko to były nici splatające się w jedną tkaninę. To przez jej połysk, gładkość i blask wzoru społecznego Lindsay popadał w rutynę. Czasem zastanawiał go pełen zadowolenia spokój, jaki odczuwa; w jakiej mierze wynikał z wieku, ze starczej patyny? Miał sześćdziesiąt jeden lat.

Wesele dobiegało końca. Aktorzy udawali się na próby, starszyzna rozpełzała się po swoich

zabytkowych norach, hordy dzieciaków biegly do żłobków własnych linii genetycznych, aż w końcu Nora i Lindsay udali się do sypialni na spoczynek. Nora, lekko podpita, z błyszczącymi oczyma, przysiadła na skraju łóżka i odpięła zapinkę na plecach oficjalnej sukienki. Pociągnęła suknię z przodu i koronkowy strój z szelestem zsunął się jej z ramion.

Pierwszej operacji odmłodzenia poddała się przed dwudziestu laty, w wieku trzydziestu ośmiu lat, drugiej zaś dwanaście lat później. W różowawym świetle nocnej lampki jej skóra była gładka i szkliście połyskiwała. Lindsay sięgnął do szafki i wyciągnął z górnej szuflady swój stary wideomonokl. Nora uwolniła ręce z rękawów sukni i sięgnęła do góry, żeby odwiązać kapelusz. Lindsay zaczął ją filmować.

– Nie rozbierasz się? – Nora odwróciła się w jego stronę. – Co ty wyczyniasz, Abelardzie?

– Chcę cię zapamiętać taką jak w tej chwili – odparł. – To chwila idealna.

Wybuchnęła śmiechem i odrzuciła kapelusz, po czym paroma zręcznymi ruchami wyjęła z włosów zdobione klejnotami szpilki i uwolniła kaskadę ciemnych loków. Lindsay poczuł przypływ podniecenia. Odłożył monokl.

Zaczęli się kochać powoli, spokojnie, ale Lindsay tej nocy nie mógł się pozbyć kłującego poczucia własnej śmiertelności, które burzyło mu krew w żyłach. Dał się porwać namiętności i kochał Norę mocno, gwałtownie – a ona odpowiedziała mu tym samym. Osiągnął oszalamiający szczyt i w spazmach orgazmu patrzył na własną mechaniczną dłoń, zaciśniętą na szczupłym ramieniu żony. Położył się potem obok Nory, dysząc ciężko, słysząc, jak krew dudni mu w uszach. Nora westchnęła, przeciągnęła się i roześmiała.

– To cudowne – powiedziała. – Jestem szczęśliwa, Abelardzie.

– Kocham cię, skarbie. Jesteś całym moim życiem.

Podniosła się i oparła na łokciu.

– Nic ci nie jest, kochanie?

– Rozmawiałem dziś z Dietrichem Rossem – odrzekł Lindsay. Oczy go zapiekły. – Ma na oku program odmładzający i chce, żebym go dla niego wypróbował.

– Wspaniale! – Nora była zachwycona.

– To ryzykowne.

– Posłuchaj no, kotku. Naprawdę ryzykowna jest starość, reszta to kwestia taktyki. Potrzebny ci tylko drobny zabieg dekataboliczny, który można przeprowadzić w każdym laboratorium. Nie musi to być nic szczególnie ambitnego, bo z tym można jeszcze ze dwadzieścia lat poczekać.

– Ale to oznaczałoby, że przed kimś będę się musiał odkryć. Ross twierdzi wprawdzie, że to sprawa poufna, ale ja mu nie wierzę. Vetterling i Pongpianskul odegrali dziś ciekawą scenę; to Ross ich podpuścił.

Nora zaczęła splatać warkocz.

– Nie jesteś jeszcze stary, skarbie, a poza tym za długo już bawisz się w udawanie. Twoja historia przestanie być problemem. Dyplomaci wracają do łask, ty zaś jesteś Mavridesem. Regent Vetterling jest przecież bezplanowcem, a nikt z tego powodu krzywo na niego nie patrzy.

– Ależ oczywiście, że patrzą krzywo.

– No, może troszeczkę. Ale nie o to chodzi, nie dlatego nie podjąłeś decyzji. Masz podpuchnięte oczy. Brałeś antyutleniacze?

Lindsay przez chwilę nie odpowiadał. Usiadł na łóżku, podparłszy się protezą.

– Tu chodzi o moją śmiertelność – rzekł. – Kiedyś wiele dla mnie znaczyła. Tylko ona została mi z dawnego życia, dawnych przekonań...

– Ale przez to, że pozwalasz się sobie zestarzeć, wcale nie powstrzymujesz zmian. Powinieneś

zachować młodość, jeżeli chcesz ocalić stare uczucia.

– Jest na to tylko jeden sposób. Sposób, który wybrała Vera Kelland.

Nora wypuściła z ręki na wpół zapleciony warkocz.

– Przepraszam – dodał Lindsay. – Ale gdzieś we mnie tkwi: ten cień... Boję się, Noro. Jeżeli znów stanę się młody, wszystko się zmieni. Wszystkie nasze wspólne szczęśliwe lata... Zastygłem tutaj, w cieniu u twojego boku, bezpieczny i szczęśliwy. Jeśli zechcę znów być młody, jeżeli zgodzę się zaryzykować – wyjdę z kryjówki.

Nora pogłaskała go po karku.

– Będę cię strzec, kochanie. Będę cię chronić. Nikt żywy cię nie skrzywdzi, nie pokonawszy uprzednio mnie.

– Wiem i cieszę się z tego, ale nie mogę się pozbyć tego uczucia. Czy to po prostu wyrzuty sumienia? Że życie było dla nas zbyt łaskawe? Że kochaliśmy się, podczas gdy inni ginęli jak szczury, pochowani po kątach? – Lindsay mówił drżącym głosem. – Jak długo może się utrzymać pokój Inwestorów? Starsi nami gardzą, młodzi przejrżeli nas na wylot... Coś się musi zmienić, ale nie będzie to zmiana na lepsze... Dla nas może być już tylko gorzej. Kochanie... – Spojrzał Norze w oczy. – Pamiętam taki czas, kiedy nie mieliśmy nawet dość powietrza do oddychania, a wszędzie wokół nas czaiła się zgnilizna. Nic, co od tamtej pory zdobyliśmy, nie było rzeczywiste... Prawdziwe jest tylko to, co nas łączy. Powiedz, że kiedy wszystko inne się rozpadnie, zostaniesz przy mnie...

Nora ujęła jego ręce w swoje dłonie; pogładziła metalowe palce.

– Skąd te myśli? – zapytała. – To przez Constantine'a?

– Vetterling chce wprowadzić jednego z ludzi Constantine'a do Kliki.

– Szlag by go trafił! Wiedziałam, że ten despota macza w tym palce. To on cię przeraża, prawda? Przywołuje pamięć dawnych tragedii... Lepiej się teraz czuję, kiedy wiem, komu mam stawić czoło!

– Nie chodzi tylko o niego, najdroższa. Posłuchaj, Goldreich-Tremaine nie może wiecznie pozostawać u szczytu. Pokój Inwestorów chwieje się coraz bardziej i niedługo dojdzie do otwartych walk między mechanistami a kształceniami. Odłam zwolenników wojny z pewnością odzyska wpływy. Przystaniemy być stolicą...

– To wszystko bezpodstawne lęki, Abelardzie. Na razie nic jeszcze nie straciliśmy. Zwolennicy odprężenia w G-T nigdy nie byli silniejsi niż teraz. Moi dyplomaci...

– Wiem, że jesteście silni. I pewnie wygracie, ale gdyby stało się inaczej, gdybyście mieli skończyć jako astrognidy...

– Gnidy? Nie jesteśmy uciekinierami, kochanie, lecz genetycznymi z linii Mavridesów. Mamy biura, posiadłości, ziemię! To jest nasza warownia! Nie możemy jej tak po prostu porzucić, gdyż zbyt wiele jej zawdzięczamy... Po kuracji poczujesz się lepiej; wróci ci młodość i inaczej spojrzysz na świat.

– Wiem o tym – rzekł Lindsay. – I to mnie przeraża.

– Kocham cię, Abelardzie. Obiecuj mi, że jutro zadzwonisz do Rossa.

– O nie! Popełniłbym poważny błąd, okazując nadmierną gotowość do działania.

– Kiedy wobec tego?

– No, za parę lat. Dla Rossa to żadna różnica...

– Ależ kochanie... Przykro mi patrzeć, jak starość cię pożera. Wystarczająco już pozwoliłeś jej poszaleć. To zwyczajnie nierozsądne... – Łzy napłynęły Norze do oczu.

– Nie płacz, Noro. – Lindsay się przestraszył. – Wyrządzasz sobie krzywdę.

Objął ją i przytulił. Odpowiedziała na jego uścisk.

– Nie możemy zachować tego, co mamy? – zapytała. – Przez ciebie sama sobie nie dowierzam.

– Jestem głupcem – przyznał Lindsay. – Trzymam się świetnie i nie ma gdzie się śpieszyć. Przepraszam za to, co powiedziałem.

Łzy obeschły z twarzy Nory.

– Wygram, razem wygramy. Będziemy oboje młodzi i silni. Sam zobaczysz.

\* \* \*

*Goldreich-Tremaine, 16. 04.'53*

Lindsay nie mógł już dłużej odkładać tego spotkania. Antyutleniacze i specjalna dieta przestały mu wystarczać. Miał sześćdziesiąt osiem lat.

Klinika demortalizacyjna znajdowała się na obrzeżach Goldreich-Tremaine i wchodziła w skład rozwijającego się kompleksu nadmuchiwanym zabudowań na przedmieściach. Połączone rurami bąble potrafiły pojawiać się i znikać w jedną noc, stanowiąc idealne środowisko dla Czarnych Medyków i innych wątpliwej proveniencji enklaw.

Czatowali tu mechanicy, skłonni skorzystać z kształcerskich technik przedłużania życia, a przy tym umknąć uwagi wymiaru sprawiedliwości G-T. Podaż i popyt stworzyły korupcję, Goldreich-Tremaine zaś, osiągnąwszy sukces, spoczęło na laurach i z mniejszą niż dawniej gorliwością pilnowało przestrzegania prawa. Stolica przerosła samą siebie i luki w budżecie łątano pieniędzmi z czarnego rynku.

Strach doprowadził Lindsaya do tego miejsca – lęk przed tym, że kiedy świat się rozpadnie, on będzie słaby.

Ross obiecał mu anonimowość. Dwa dni – najwyżej – i będzie po wszystkim.

– Nie chcę żadnych poważnych zmian – powiedział Lindsay podstarzałej demortalistce. – Tylko dekatabolizm.

– Ma pan zapis swojej linii genetycznej?

– Nie.

– To komplikuje sprawę. – Demortalistka spojrzała na niego, przekrzywiając przy tym dziwnie, po dziewczęcemu, głowę. – Od genetyki zależą efekty uboczne. Czy to naturalne starzenie, czy uszkodzenia złożone?

– Naturalne.

– W takim razie spróbujemy czegoś mniej subtelnego. Środki hormonalne plus deoksydacja wolnych rodników. To szybka i raczej mało finezyjna metoda, ale przywróci panu dawny błysk w oku.

Lindsay przypomniał sobie Pongpianskula i jego woskową skórę.

– Jaką kurację pani stosuje?

– To informacja zastrzeżona.

– A ile ma pani lat?

Kobieta się uśmiechnęła.

– Proszę pohamować ciekawość, przyjacielu. Im mniej wiemy o sobie nawzajem, tym lepiej.

Lindsay posłał jej „spojrzenie”, ale nie zareagowała. „Spojrzał” więc ponownie; nie знаła tej formy komunikacji. Ciarki przeszły mu po plecach.

– Nie mogę załatwić tej sprawy do końca – rzekł. – Nie potrafię pani zaufać.

Unosząc się w powietrzu, odpłynął ku wyjściu z bąbla, z dala od funkcjonujących w nieważkości skanerów i próbników medycznych.

– Czy nasza cena jest zbyt wysoka, doktorze Abelardzie Mavrides? – krzyknęła za nim kobieta.

Myśli zakłębiły się Lindsayowi w głowie, gdy zdał sobie sprawę, że oto urzeczywistniają się jego najgorsze obawy. Odwrócił się, zamierzając ją zastraszyć wzrokiem.

– Ktoś panią źle poinformował.

– Mamy własny wywiad.

Ostrożnie obserwował kinezykę tej kobiety. Pokrywające jej twarz zmarszczki nie do końca pasowały do układu mięśni pod skórą.

– Jest pani młoda – powiedział. – Tylko wygląda na starszą.

– Wobec tego łączy nas wspólne kłamstwo. W pana przypadku jedno z wielu kłamstw.

– Ross powiedział mi, że można wam ufać. Dlaczego ryzykujecie swoją pozycję, starając się mnie rozdrażnić?

– Zależy nam na prawdzie.

Lindsay nie posiadał się ze zdumienia.

– Cóż za ambitne zadanie – stwierdził. – Spróbujcie zastosować bardziej naukowe metody, a tymczasem wróćmy może do tematu.

Młoda kobieta przyglądała lekarski kitel.

– Proszę udawać, że siedzę na widowni w teatrze, doktorze Mavrides. Niech mi pan streści swoją ideologię.

– Nie mam żadnej.

– A co z pokojem Inwestorów? Skąd wzięły się te wszystkie przedstawienia wychwalające odprężenie? Myśli pan, że dzięki tej sztuczce z Inwestorami uda się panu cofnąć skutki schizmy?

– Jest pani młodsza, niż sądziłem – powiedział Lindsay. – Skoro zadaje mi pani takie pytania, nie doświadczyła pani wojny.

Posłała mu wściekłe spojrzenie.

– Wychowano nas w epoce pokoju! Jestem jednym z tych dzieci, którym od maleńkości powtarza się, że miłość i rozsądek pozwolą uniknąć wojny! Ale my znamy historię, nie tę w wersji Margaret Juliano, lecz tę gorzką, prawdziwą. Wie pan, co dzieje się z ludźmi, którzy próbują coś zmienić i im się nie udaje? W najlepszym razie wysyła się ich na zapyziałe, odległe placówki, w najgorszym zaś – poluje się na nich, wyłapuje, napuszcza na siebie...

Prawdziwość jej słów ukłuła Lindsaya do żywego.

– Ale niektórzy przeżywają!

Dziewczyna się roześmiała.

– Czemu pana, bezplanowca, miałby obchodzić nasz los? Głupota to dla pana chleb powszedni.

– Jest pani jedną z uczennic Margaret Juliano – powiedział Lindsay. – Superinteligentką.

Przyglądał się jej z niedowierzaniem; nigdy wcześniej nie spotkał superinteligentów, którzy ponoć znajdowali się pod ścisłą kontrolą i nieustanną opieką naukowców.

– Margaret Juliano – powtórzyła dziewczyna. – Z tej waszej Kliki Północy. Pomogła nas zaprojektować. Jest zwolenniczką odprężenia! Kiedy pokój runie, nas również czeka upadek! Bezustannie nas śledzą, podglądają, badają, szukają wad... – W pomarszczonej twarzy młodej kobiety oczy płonęły ogniem. – Zdaje pan sobie sprawę z naszego potencjału? Nie znamy reguł, granic, nie mamy dusz! Ale ograniczają nas dogmaty, fałszywe wojny i durne sojusze, nagromadzone przez lata śmieci Schismatrix. Inni się w nich pławiają, kryjąc się przed całkowitą wolnością, ale my chcemy poznać całą prawdę, bez dodatkowych warunków. Przyjmujemy otaczającą nas rzeczywistość na żywo, taką jaka jest. Chcemy, żeby wszyscy mieli oczy zawsze otwarte i czujne, a jeśli z tego wyniknie kataklizm, jest nas tysiąc, gotowych...



– Zaraz, chwileczkę – przerwał jej Lindsay. Dziewczyna należała do superinteligentów, nie mogła więc mieć więcej niż trzydzieści lat. Lindsay był wstrząśnięty jej fanatyzmem i gotowością do powtórzenia błędów jego własnych i Very. – Jesteście za młodzi na rozważania w kategoriach absolutnych. Na miłość boską, nie trzeba nam więcej pustych gestów! Oczekajcie najpierw pięćdziesiąt lat, może nawet sto! Macie tyle czasu, ile tylko zechcecie.

– Rozumujemy inaczej, niż się po nas spodziewano – powiedziała dziewczyna. – I za to nas zabijają, lecz najpierw my rozbijemy światu czaszkę i wbijemy w nią swoje igły.

– Może to prawda, może pokój się nie utrzyma. Ale przecież możecie się uratować. Jesteście mądrzy, możecie...

– Życie to żart, przyjacielu. Śmierć jest jego puentą.

Dziewczyna podniosła rękę i zniknęła.

Lindsayowi zaparło dech w piersi.

– Co się... – Urwał w pół zdania. Własny głos brzmiał dziwnie w jego uszach, jakby zmieniła się akustyka pokoju. Maszyny jednak pomrukiwały i popiskiwały tak samo jak przed chwilą. Podszedł do aparatury. – Halo? Panienko? Porozmawiajmy. Na pewno potrafię was zrozumieć.

Głos mu się zmienił, stracił starczą chrypkę. Lindsay podniósł lewą rękę do gardła i wyczuł pod palcami gęsty zarost. Zszokowany pociągnął za włoski – rosły i były jego własne.

Podleciał bliżej do aparatury i dotknął jednej z maszyn. Zaszleściła. Rozwścieczony zacisnął na niej dłoń i zgniótł urządzenie, odsłaniając delikatną konstrukcję z celulozy i plastiku. Uderzył w następny element maszynierii – i znalazł kolejną makietę. W samym środku stał się dziecinny magnetofon, odtwarzający pomruki i piski. Lindsay porwał go w lewą rękę i nagle zdał sobie sprawę z rozpełzającego się po mięśniach bólu.

Zerwał z siebie marynarkę i koszulę. Brzuch miał płaski, mocny, a porośniętą niegdyś siwymi włosami pierś z mozołem wydepilowano. Jeszcze raz przesunął dłonią po twarzy. Nigdy nie nosił brody, teraz zaś miał wrażenie, że wyczuwa przynajmniej dwutygodniowy zarost.

Dziewczyna musiała od razu podać mu jakieś środki, a potem zrobiono mu płukanie komórek, odwrócono metabolizm, wyzerowano licznik Hayflicka dla skóry i głównych organów wewnętrznych oraz zadbano o trening nieprzytomnego ciała, żeby mięśnie nabrały jędrności. A później, po zakończeniu całego procesu, postawiono go w pierwotnej pozycji i jakimś cudem w jednej chwili przywrócono mu świadomość.

Lindsay odczuwał teraz działający z opóźnieniem wstrząs. Cały świat zdawał się wokół niego rozmywać, przez co wszystko było mu łatwiej podać w wątpliwość – własne imię, powód, dla którego tu trafił, całe życie. Zostawili mi brodę jako kalendarz, pomyślał. Chyba że i ona jest oszustwem.

Odetchnął głęboko; miał wrażenie, że płuca ma większe, bardziej rozciągnięte – musieli oczyścić je z dymu i smoły nagromadzonych podczas długich lat palenia.

– O Boże – powiedział na głos. – Nora.

Teraz już pewnie Nora etap paniki ma za sobą i żywi tylko zapiekłą nienawiść wobec tych, co go porwali. Popędził do wyjścia.

Przypominające winne grono skupisko tanich, nadmuchiwanych bąbli było połączone z miejskim kanałem komunikacyjnym. Lindsay wpadł w korytarz i przeszedłszy przez włókienne drzwi, znalazł się na przezroczystym skrzyżowaniu. W dole widniało Goldreich-Tremaine z obracającymi się majestatycznie kręgami – Besetzny'ego i Pattersona. Purpurowe, złote i zielone bąble innych przedmiotów otaczały stolicę niczym nanizane na nitkę paciorki.

Przynajmniej wciąż znajdował się w G-T. Od razu skierował się do domu.

*Goldreich-Tremaine, 18. 09.'53*

Chaos odrzucał Constantine'a, a wszelkie ewakuacje są z natury nieporządne. Port zmienił się w śmietnik – wszędzie walały się resztki ubrań, rozkłady lotów, opakowania od inhalatorów, ulotki propagandowe. Z godziny na godzinę coraz ściślej przestrzegano ograniczeń ilościowych zabieranego na pokład bagażu. Nieopodal czworo kształcerzy rozpakowywało właśnie przeładowane torby i ze złością waliło nimi o ściany i ławy cumownicze.

Przy terminalach interakcyjnych ustawiły się długie kolejki. Przeciążone maszyny pobierały opłatę za każdą sekundę swej pracy, nic więc dziwnego, że część uciekinierów przekonywała się, iż koszt pozbycia się spadających na łeb, na szyję akcji przewyższa ich wartość.

Sztucznie brzmiący głos zapowiedział następny lot do Unii Ślizgaczy i w porcie zapanowało istne pandemonium. Constantine się uśmiechnął. Jego statek, „Spokojna Przyjaźń”, również udawał się w tamte strony, ale w przeciwieństwie do innych Philip nie musiał się martwić o miejsce – nie tylko na pokładzie, ale i w nowej stolicy.

Goldreich-Tremaine przeliczyło się z siłami. Zbyt mocno polegało na mistycyzmie stołeczności, a kiedy wojownicza frakcja z konkurencyjnego miasta odebrała mu ten status, do reszty stracił wiarygodność.

Constantine'owi podobała się Unia Ślizgaczy. Umieszczony na orbicie Tytana sztuczny świat okrążał spowity krwawą powłoką chmur księżyc, którego zasoby stanowiły pewne źródło majątku państwa – niewyczerpane pokłady związków organicznych, w których dusiło się tytańskie niebo. Bezzałogowe statki z silnikami jądrowymi wgrzyzały się w tę atmosferę i setkami ton zgarniały chemikalia: metan, etan, acetylen i dwucyjan były gotowymi surowcami dla fabryk polimerów.

Pasażerowie wysiadali ze statku. W porównaniu z oczekującymi była ich zaledwie garstka i nie prezentowali się zbyt korzystnie. Grupa postaci w workowatych mundurach przeleciała do stanowisk odprawy celnej; astrognidy, bez wątpienia, i to nawet nie kształcerze – ich skóra połyskiwała antyseptycznymi olejkami.

Constantine słyszał w słuchawce, jak jego ochroniarze rozmawiają między sobą i oceniają nowo przybyłych. Czterem strażnikom nie podobało się, że zwleka z odlotem; wielu jego miejscowych wrogów mogło sięgnąć po desperackie środki, gdy banki Goldreich-Tremaine waliły się w gruzy. Ochroniarze mieli nerwy napięte jak struny.

A Constantine się ociągał. Pokonał kształcerzy na ich terenie i odczuwał z tego powodu olbrzymią przyjemność. Dla takich chwil warto było żyć. W tłumie liczącym blisko dwa tysiące osób zapewne tylko on jeden zachowywał spokój. Nigdy z taką pewnością nie czuł, że kontroluje sytuację.

Jego wrogowie przegrali, bo go nie docenili; rozważali, czego mogą się po nim spodziewać – i całkowicie się pomylili. Sam Constantine nie wiedział, na co go stać, i ciekawość własnych możliwości pchała go nieustannie naprzód.

Przypomnił sobie owych wrogów po kolei. Wojownicy wybrali go, by zaatakował Klikę Północy, a on odniósł oszałamiający sukces. Regent Charles Vetterling padł pierwszy. Wyobrażał sobie, że to on powinien przeżyć, i za namową Carla Zeunera przystąpił do frakcji wojowników. Klika rozpadła się od środka i podzieliła na wojujące obozy. Bardziej zdesperowani potępili publicznie tych, którzy nie chcieli się poddać.

Mechanistyczny dezertor, Sigmund Fetzko, „zwiądl”. Kiedy próbowano się w tych dniach

skontaktować się z nim w jego rezydencji, system zarządzania łącznością sprytnie odwlekał rozmowę i zwodził dzwoniących. Fetzko był jednak nazbyt kulturalny, by się przyznać do własnej śmierci; jego obraz przetrwał.

Neville Pongpianskul zginął w Republice. Zamordowano go na rozkaz Constantine'a.

Kanclerz Margaret Juliano zwyczajnie zniknęła, zniszczona przez własnych, prywatnych wrogów. Constantine wciąż nie mógł się temu nadziwić. W dzień jej zniknięcia otrzymał od anonimowego nadawcy ogromną skrzynię. Kazał ochroniarzom ostrożnie ją otworzyć, a w środku znalazł blok lodu z wrytym na powierzchni imieniem i nazwiskiem zaginionej. Nie widziano jej od tej pory ani razu.

Pułkownik profesor Nora Mavrides drastycznie przeceniła siłę kart, którymi przyszło jej grać. Kiedy jej mąż, fałszywy Lindsay, zniknął, oskarżyła Constantine'a o porwanie; kiedy jednak wrócił, tłumacząc nieobecność jakąś niesłychaną opowieścią o zbuntowanych superinteligentach i działających na czarnym rynku klinikach, Nora Mavrides popadła w niełaskę.

Constantine nie wiedział, co naprawdę się wydarzyło. Najbardziej prawdopodobnie brzmiało wyjaśnienie, że Nora została wykiwana przez własną ekipę dyplomatów. Widząc zapewne, co ich czeka, postanowili poświęcić swą niegdysiejszą opiekunkę, licząc na wdzięczność Unii Ślizgaczy. Jeżeli rzeczywiście tak myśleli, srodze się zawiedli.

Constantine rozejrzał się po rozległej stacji, od czasu do czasu wyostrzając zblizenie w wideokularach. W tłumie odzianych w wyrafinowane szaty kształcerzy stopniowo powiększała się inna, mniejsza grupa – importowany ładunek astrognid. Niechlujnie ubrani bezideowcy, o twarzach wykrzywionych w uśmiechu, przymierzali zwiewne koszule i z drapieżną nonszalancją przechadzali się pośród uciekinierów, na gwałt odchudzających walizki.

– Co za robactwo – powiedział Constantine. Ich widok go przygnębiał. – Panowie, czas na nas.

Ochroniarze poprowadzili go do oddzielonego łańcuchem wejścia na prywatną, wyłożoną rzepem rampę. Buty Constantine'a chrzęściły na czepnym materiale.

Zsunął się w nieważkości rurą ładunkową do śluzy „Spokojnej Przyjaźni”, a znalazłszy się w środku, zasiadł w ulubionym fotelu akceleracyjnym i włączył obraz z kamer wideo, żeby w pełni cieszyć się startem.

Rozliczne statki kłębiły się wśród kratownicowych wież, czekając na dostęp do kanałów ładunkowych. Przy olbrzymim statku Inwestorów zdawały się mikroskopijne. Constantine wykręcił szyję. Zamontowane na kadłubie kamery posłusznie podążyły za jego ruchem.

– Statek Inwestorów jeszcze tu jest? – zapytał. – Jak sądzicie, czyhają na okazję?

Zdjął wideokulary. Ochroniarze skupili się wokół podwieszonego do sufitu zbiornika, wdychając z inhalatorów gaz uspokajający. Jeden z nich spojrział na Constantine'a zaczerwienionymi oczyma.

– Czy możemy już przejść w stan zawieszenia?

Constantine pokiwał głową. Odkąd znów rozgorzała wojna, jego strażnicy do reszty stracili poczucie humoru.

\* \* \*

*Statek handlowy Inwestorów, 22. 09.'53*

Nora podniosła wzrok na męża, który ponad jej głową rozsiadł się wygodnie w wysokim fotelu. Twarz przesłaniała mu gęsta ciemna broda i matowe okulary słoneczne. Miał krótko przycięte włosy, skafander mechów i starą, podniszczoną dyplomatkę, którą położył na pluszowej wykładzinie. Zabierał ją ze sobą. Chciał zdezerterować.

Zwiększona grawitacja na statku obcych ciążyła im obojgu.

– Przeszłaś chodzić w tę i we w tę Noro – powiedział Lindsay. – Tylko się niepotrzebnie zmęczysz.

– Później sobie odpocznę – odparła. Mięśnie karku i ramion stężyły jej z napięcia.

– Odpocznij teraz. Siądź na drugim fotelu. Gdybyś zamknęła oczy, zdrzemnęła się chwilę...

króciutką...

– Nie lecę z tobą. – Ściągnęła ciemne okulary i potarła nos. Światło w kabinie odpowiadało gustom Inwestorów, raziło w oczy oślepiającym błękitem i bielą, przechodząc w ultrafiolet.

Nienawidziła tego światła. Nigdy nie wybaczyła Inwestorom, że swoim pojawieniem się pozbawili śmierć członków jej rodziny wszelkiego znaczenia. Trzy miesiące spędzone na statku podobnym do tego, na którym teraz się znajdowała, należały do najdziwniejszych doświadczeń w jej życiu. Lindsay łatwo się przystosowywał, jak na astrognidę przystało; równie chętnie robił interesy z obcymi, jak z każdym innym kontrahentem. Wtedy nie mogła wyjść z podziwu. A teraz koło się zamknęło.

– Doszłaś tak daleko – powiedział Lindsay. – Nie zdołałabyś tego dokonać, gdybyś nie chciała pójść ze mną. Znam cię, Noro. Jesteś taka sama jak wtedy, chociaż ja się zmieniłem.

– Poszłam za tobą, bo chciałam, byśmy cały czas byli razem.

Z kamienną twarzą powstrzymywała łzy. To było przerażające uczucie, jak czarna fala mdłości. Za dużo łez, pomyślała. I zbyt długo powstrzymywanych. Pewnego dnia udusi się nimi.

Constantine wykorzystał wszystkie słabości Goldreich-Tremaine, rozmyślała dalej. A moim szczególnym słabym punktem jest ten oto człowiek. Kiedy Abelard – po trzech tygodniach – wrócił z kliniki odmładzającej, był tak odmieniony, że domowe roboty nie chciały go wpuścić... Ale najgorzej wspominała dni, kiedy go zabrakło; szukając go odkryła, że nielegalny bąbel, do którego się udał, został usunięty. Przyszło jej do głowy, że jakaś podstępna Gwiezdna Izba rozszarpuje go właśnie na strzępy...

– To moja wina – powiedziała. – Oskarżyłam Constantine^ nie mając dowodów i on mnie upokorzył. Następnym razem będę mądrzejsza.

– Constantine nie ma z tym nic wspólnego – zaproponował Lindsay. – Wiem, co widziałem w klinice. To superinteligenci.

– Nie wierzę w istnienie kataklistów – rzekła Nora. – Superinteligenci są pilnowani jak klejnoty koronne i nie mają dość swobody, żeby bawić się w zwariowaną konspirację. Wszystko, co widziałeś, było oszustwem przygotowanym po to, żeby mnie zrobić. Dałam się na to złapać.

– Nie bądź taka dumna, Noro. Duma cię zaślepiała. Katakliści mnie uprowadzili, a ty nie chcesz przyznać, że istnieją. Nie możesz wygrać, bo nie uda ci się cofnąć czasu. Opuść sobie to wszystko i chodź ze mną.

– Kiedy zobaczyłam, co Constantine zrobił z Kliką...

– To nie twoja wina! Rany boskie, czy nie wystarczy ci samych katastrof, że musisz je brać na siebie? Goldreich-Tremaine jest skończone! My musimy dalej żyć! Już dawno temu ci mówiłem, że G-T nie będzie trwało wiecznie, a teraz jest już po wszystkim! – Rozłożył ręce. Lewa, pociągnięta grawitacją, opadła mu bezwładnie, prawa zaś, dodatkowo zasilana, zatoczyła precyzyjny, gładki łuk.

Przerabiali to setki razy; Nora wiedziała, że Lindsaya już zawodzą nerwy. Po kuracji jego nabyta z trudem cierpliwość wypaliła się w ogniu fałszywej młodości. Teraz krzyczał:

– Nie jesteś Bogiem! Nie jesteś historią! Nie jesteś Radą Pierścieni, przestań sobie tak pochlebiać! Jesteś teraz nikim, jesteś celem, kozłem ofiarnym! Uciekaj, Noro! Zostań astrognidą!

– Mavridesowie mnie potrzebują.

– Dla nich będzie lepiej, jak znikniesz. Przyniesiesz im tylko wstyd, tak jak i ja...

– A co z dziećmi?

Lindsay nie od razu odpowiedział.

– Żal mi ich, bardziej niż potrafię to wyrazić, ale są już dorosłe i mogą same zacząć ryzykować – rzekł po chwili. – Nie o nie tu chodzi, tylko o nas! Jeżeli ułatwimy wrogowi zadanie, wymkniemy się, wyparujemy, wróg o nas zapomni. Przeczekamy.

– A tymczasem faszyści wszystkim zawładną? I mordercy? Ile czasu upłynie, zanim w Pasie zaroi się na nowo od kształcerskich agentów i wszędzie wybuchną lokalne wojny?

– A kto miałby je powstrzymać? Ty?

– Spójrz na siebie, Abelardzie: ubierasz się jak jakiś cuchnący mechanista, a w teczce przemycasz wykradzione kształcerzom dane! Czy w ogóle zdarza ci się myśleć o życiu innych? Czy tylko o własnym? Dlaczego, na miłość boską, nie staniesz po stronie tych, którzy są bezradni, zamiast ich zdradzać? Czy naprawdę sądzisz, że bez ciebie będzie mi łatwiej? Wytrwam w walce, ale stracę serce, kiedy ciebie zabraknie.

Lindsay jęknął.

– Posłuchaj. Byłem gnidą, zanim się poznaliśmy. Wiesz, jak niewiele wtedy miałem... Nie chcę znowu czuć tej pustki, kiedy nikt o ciebie nie dba, nikt o tobie nie wie... Kolejna zdrada, która obciąża moje sumienie... Noro, mieliśmy dla siebie prawie czterdzieści lat. Było nam tu dobrze, ale ten świat się rozpada, sam z siebie! Dobre chwile jeszcze powrócą; przed nami cała wieczność! Chciałaś żyć, więc zyskałem dla nas czas, a teraz każesz mi o nim zapomnieć? Nie zostanę męczennikiem, Noro. Dla nikogo.

– Zawsze dużo mówiłeś o śmiertelności – powiedziała. – Teraz się zmieniłeś.

– Jeśli nawet, to dlatego że tego chciałaś.

– Nie tego chciałam. Nie zdrady.

– Umrzemy na próżno.

– Tak jak inni – odparła i natychmiast tego pożałowała, ale wspomnienia starych win wróciły, z całą ich brutalną intymnością. Inni. Ci, którzy służbę przedkładali ponad życie. Ci, których porzucili i zabili w kształcerskiej asteroidzie. Oto zbrodnia, którą wspólnie starali się wymazać z pamięci. Zbrodnia, która ich połączyła. – Chcesz, żebym znów zdradziła dla ciebie mój lud! O to przecież prosisz, prawda?

Właśnie. Powiedziała to i nie było już odwrotu. Cierpiąc czekała na słowa, które uwolnią ją od niego.

– Byliście i moim ludem – powiedział Lindsay. – Powiniennem był się spodziewać, że nie mogę przez dłuższy czas do żadnego ludu należeć. Jestem astrognidą; tym się różnimy. Wiedziałem, że się nie zgodzisz. – Oparł głowę na sztucznej dłoni. Oślepiające światło zabłysło ostro na wypolerowanej stali. – Zostań więc i walcz. Wydaje mi się, że masz szansę.

Pierwszy raz ją okłamał.

– Mogę wygrać – rzekła Nora. – Nie będzie to łatwe, nie wszystko uda się nam odzyskać, ale jeszcze nie zostaliśmy pokonani. Proszę, Abelardzie, zostań. Proszę! Potrzebuję cię. Proś, o co zechcesz, tylko nie każ mi się poddać.

– Nie mogę od ciebie wymagać, żebyś się zmieniła. Ludzie zmieniają się dopiero wówczas, gdy dać im na to czas. Pewnego dnia, jeśli oboje będziemy wciąż żyć, prześladowające nas wspomnienia wyblakną. Myślę, że miłość jest silniejsza od poczucia winy. Gdybyś kiedyś poczuła, że twoje zobowiązania już cię tu nie trzymają, wyrusz moim śladem. Znajdź mnie...

– Znajdę cię, obiecuję. Abelardzie... Gdybym zginęła, tak jak inni, a ty uszedłbyś z życiem, obiecaj, że o mnie nie zapomnisz.

– Nigdy nie zapomnę. Przysięgam na wszystko, co nas łączyło.

– W takim razie żegnaj.

Wspięła się na olbrzymi fotel obcych, żeby pocałować Lindsaya. Stalowe palce zacisnęły się na jej nadgarstku niczym kajdanki. Cmoknęła go lekko i szarpnęła rękę. Puścił ją.

## Rozdział 6

*Statek handlowy Inwestorów, 29. 09.'53*

Lindsay leżał na podłodze swojej rozległej kajuty i oddychał głęboko. Od nasyconego ozonem powietrza na statku rozboleł go nos, ostro opalony mimo grubej warstwy olejków ochronnych. W czarnych metalowych ścianach kabiny tu i ówdzie widniały opancerzone wnęki. Z jednej z nich mizerną – wskutek silnego ciężenia – fontanną sączyła się strużka destylowanej wody.

Z tej kabiny korzystało już wielu pasażerów. Delikatne rysy znaczyły podłogę i ściany, świadcząc o tym, że nie tylko ludzie płacili Inwestorom za lot ich statkiem.

Jeżeli kształcercy specjaliści w dziedzinie nowoczesnej egzosocjologii mieli rację, nawet sami Inwestorzy nie byli pierwotnymi właścicielami statków. Pokryte przepyszną mozaiką i zdobione metalowymi płaskorzeźbami jednostki ich gwiazdnej floty różniły się znacznie między sobą, ale dokładniejsza analiza ujawniła cechy wspólne konstrukcji: od dziobu i od rufy każdy statek zamykały sześciokątne płyty, połączone sześcioma długimi, prostopadłymi ścianami tworzącymi kadłub. Wedle ostatnio obowiązującej teorii Inwestorzy znaleźli te maszyny, kupili je bądź ukradli.

Chorąży statku wręczył Lindsayowi szeroki, płaski materac, stworzony z myślą o Inwestorach, wymalowany w białe i brązowe sześciokąty, o powierzchni szorstkiej niczym jutowy worek. Pachniał lekko olejkiem, którym lśniły łuski obcych.

Zaintrygowany tajemniczymi rysami Lindsay przyjrzał się bacznie ścianom kabiny. Mimo że w dotyku sprawiały wrażenie lekko chropowatych, metalowe podeszwy stopawic ślizgały się po nich jak po szkłe. Nie potrafił jednak stwierdzić, czy pod wpływem podwyższonej temperatury i ciśnienia metal nie miękł na tyle, by dało się go zarysować. Na przykład olbrzymi potwór o łapach zaopatrzonych w szpony, zawieszony w utrzymywanej pod wysokim ciśnieniem etanowej kąpieli, mógłby zapewne nieźle poharatać ściany przy próbie ucieczki.

Grawitacja sprawiała, że poruszał się z mozołem. Światła w kajucie zostały nieco przygaszone. Pomieszczenie było olbrzymie i pozbawione sprzętów. Rozwieszane na magnetycznych hakach nieliczne elementy stroju Lindsaya wyglądały żałośnie.

Leżał spokojnie, starając się uspokoić oddech, i rozmyślał, co skłoniło Inwestorów, by utrzymywać na pokładzie pustą kajutę, nawet jeśli okresowo miała pełnić funkcję ogrodu zoologicznego.

Pancerny właz otworzył się ze szczęką. Lindsay podparł się protezą, która jedyna nie męczyła się przy zwiększonej grawitacji. Uśmiechnął się.

– Słucham, panie chorąży? Jakie wieści?

Obcy wszedł do kajuty. Nie wyróżniał się rozmiarami – przerastał Lindsaya zaledwie o długość przedramienia. Był szczupły i przy chodzeniu kiwał głową jak ptak. Bardziej przypominał członka załogi statku niż jego chorążego. Lindsay nie spuszczał z niego wzroku.

Naukowcy wciąż spierali się na temat obowiązującego wśród Inwestorów starszeństwa rang.

Dowódcą każdego statku była samica – jedyna na pokładzie, dwa razy większa od przeciętnego załoganta i potężnie zbudowana. Pokażnym rozmiarom ciała towarzyszyło leniwe, spokojne usposobienie, lakoniczne potwierdzenie sprawowanej władzy. Chorążowie zajmowali następny szczebel w hierarchii, łącząc funkcje dyplomatów i ministrów. Reszta załogi tworzyła płonący uwielbieniem męski harem. Płochliwe z natury samce ważyły trzykrotnie więcej od ludzi, ale przy olbrzymich dowódcach i tak prezentowały się krucho i niepozornie.

Głównym narządem ekspresji kinezycznej był grzebień. Podobni do gadów Inwestorzy mieli z tyłu głowy żebrowane grzebienie – półprzezroczyste płyty skóry, mieniające się barwami tęczy i żyłkowane naczyniami krwionośnymi. Narządy te rozwinęły się w celu sprawniejszej regulacji temperatury ciała; obcy mogli je zależnie od potrzeb rozkładać i kurczyć, by absorbowały więcej lub mniej ciepła. Odkąd Inwestorzy zaczęli wieść cywilizowany żywot, grzebienie stały się przeżytkiem, podobnie jak u ludzi brwi, pierwotnie mające za zadanie osłaniać oczy przed ściekającym z czoła potem. I tak jak w przypadku brwi, znaczenie grzebieni w mimice było nie do przecenienia.

Grzebień chorążego niepokoił Lindsaya – zbyt wyraźnie się trząsał. Gwałtowne drżenie interpretowano zazwyczaj jako oznakę rozbawienia, a u ludzi niewłaściwa kinezyka śmiechu oznaczała zwykle duże napięcie. Mimo dręczącej go zawodowej ciekawości Lindsay nie chciał być pierwszym świadkiem napadu hysterii u Inwestora, miał więc nadzieję, że drżenie grzebienia jest tylko objawem nieprzyjemnego manieryzmu obcych. Statek całkiem niedawno przybył do Układu Słonecznego i jego załoga nie zdążyła jeszcze przyzwycząić się do ludzi.

– Żadnych nowin, artysto – odparł chorąży. Mówienie po angielsku wyraźnie sprawiało mu kłopot.  
– Dalsza dyskusja na temat zapłaty.

– Dobry interes – rzekł Lindsay po inwestorsku. Gardło bolało go od wysokich gwizdów, ale wolał to, niż słuchać efektów dziwacznych wysiłków obcego, który stara się opanować język ludzi.

Pierwszy Inwestor, jakiego poznał, był grzeczny, a w jego słownictwie aż roiło się od zgrabnych zwrotów przejętych z ludzkich transmisji wideo. Ten chorąży wyraźnie walczył z językiem. Najwidoczniej Inwestorzy posłali przodem swych najlepszych specjalistów, żeby nawiązali pierwszy kontakt, a teraz, po trzydziestu siedmiu latach, uznali Układ Słoneczny za wystarczająco bezpieczne środowisko, żeby skierować tu także specjalistów pośledniej klasy.

– Dowódca chce mieć pana na taśmie – oznajmił chorąży po angielsku.

Lindsay odruchowo podniósł rękę do cienkiego łańcuszka na szyi, z którego zwieszał się wideomonokl z bezcennym nagraniem Nory.

– Mam tu taśmę, która jest prawie pusta – powiedział. – Nie mogę się jej pozbyć, ale...

– Dowódca bardzo lubi swoją taśmę. Ma już na niej mnóstwo obrazów, lecz ani jednego przedstawiciela waszego gatunku. Będzie ją potem studiować.

– Chciałbym ponownie spotkać się z dowódcą – rzekł Lindsay. – Pierwsza audycja była bardzo krótka. Chętnie dam się nagrać. Ma pan przy sobie kamerę?

Chorąży zamrugał – przezroczyste błony migawkowe na ułamek sekundy przesłoniły jego wyłupiaste oczy. Słabe oświetlenie w kabinie musiało obcemu przeszkadzać.

– Mam taśmę. – Z noszonej na ramieniu torby wyjął okrągły, płaski pojemnik. Chwycił go w dwa palce u nogi i położył na podłodze. – Otworzy pan pojemnik i zacznie wykonywać zabawne, charakterystyczne dla waszego gatunku ruchy i gesty, które taśma będzie rejestrować. Proszę powtarzać je tak długo, aż taśma pana zrozumie.

Lindsay poruszył szczęką z boku na bok, naśladując inwestorski odpowiednik skinięcia głową. Obcy wyglądał na zadowolonego.

– Język nie gra roli – dodał, odwracając się ku drzwiom. – Taśma nie słyszy dźwięku. Wrócę po

nią za dwie wasze godziny.

Pozostawiony samemu sobie Lindsay obejrzał pojemnik. Tłoczone, połączone wieczko miało średnicę dwóch rozpostartych dłoni. Zwlekał jeszcze chwilę z otwarciem pojemnika.

Inwestorzy nie prosili, żeby ich ubóstwiano – po prostu kierowali się zasadą maksymalizacji zysków. Od kilkuset lat zdawali sobie sprawę z istnienia ludzi; byli znacznie starsi niż ludzkość, ale umyślnie powstrzymywali się od wtrącania w jej sprawy, dopóki nie stwierdzili, że kontakt może przynieść im wymierne korzyści. Z punktu widzenia obcych działanie takie było proste i oczywiste.

Lindsay otworzył pojemnik. Wewnątrz znajdowała się stalowoszara szpula taśmy opatrzona dziesięciocentymetrową białawą rozbiegówką. Odłożył wieko na bok – cienka blacha ważyła przy tym ciężeniu tyle co ołów – i zamarł w bezruchu.

Taśma drgnęła i zaszeleściła. Biała końcówka podskoczyła, skręciła się i szpula zaczęła się rozwijać. Marszcząc się i falując taśma podniosła się i w kilka sekund utworzyła chmurę jasnych splotów, wspartą na nibykratownicowej podporze. Blade, wielobarwne odbłaski prześlizgiwały się po jej skraju.

Nie wstając z klęczek, Lindsay śledził wzrokiem ruchy taśmy. Zdał sobie sprawę, że biała końcówka działa niczym głowa jakiegoś stwora – poruszając się na długiej, wygiętej szyi, skanuje pomieszczenie w poszukiwaniu ruchu.

Cały wąż drgnął niespokojnie, rozciągnął się w luźną masę ruchomych serpentyn. Kiedy taśma przybrała największą objętość, sięgając na wysokość stojącego człowieka, upodobniła się do nabrzmiałego kłębka wełny. Usztywniła podpory, przemieszczające się z cichym szelestem po podłodze.

Z początku Lindsay podejrzewał, że ma przed sobą automat – i to niebezpieczny, bo krawędzie wijącej się taśmy były ostre niczym brzytwy. Jednakże w jej splotach dostrzegł jakąś niezaplanowaną, organiczną swobodę ruchu.

Na razie Lindsay ani drgnął i maszyna chyba nie potrafiła go zauważyć.

Szarpnął głową w bok i ciężkie okulary słoneczne, które miał na czole, poleciały w kąt kabiny. Łeb taśmy natychmiast obrócił się w ich stronę.

Mimikra postępowała od ogona do głowy. Taśma ścieśniła sploty i marszcząc się jak bibuła do pakowania, uformowała się w przybliżony kształt okularów. Zanim jednak przemiana dobiegła końca, stwór stracił zainteresowanie leżącym przedmiotem, zawahał się i zmienił w luźną, drgającą masę taśmy.

Przez chwilę naśladował przykucniętą sylwetkę Lindsaya, skręciwszy się w szeleszczącą, ażurową rzeźbę naturalnej wielkości. Barwiona taśma błyskawicznie przybrała rudoczarny odcień jego skafandra, po czym biały łeb zwrócił się gdzie indziej i całość rozsypała się w kaskadzie kolorów.

Stwór ponownie zadygotał, jego biała głowa obróciła się ukradkiem na boki, a potem cały kłęb mignął burym brązem – barwą łusek obcych. Z wolna obudziła się pamięć – biologiczna lub cybernetyczna – i taśma utworzyła obraz małego Inwestora. Lindsay był podekscytowany. Żaden człowiek nie widział dotąd dziecka obcych, podejrzewano więc, że młode bardzo rzadko się rodzą.

Wkrótce jednak poznał po proporcjach sylwetki, że taśma odtwarza obraz dorosłego Inwestora płci żeńskiej. Było jej za mało, żeby mogła stworzyć pełnowymiarową kopię, ale zaskoczyła Lindsaya precyzja sięgającego mu kolan modelu. Drobnutkie bąble na powierzchni taśmy naśladowały twardą, gruzelkową skórę na głowie i szyi; maleńkie oczka – dwie zabarwione wypukłości – były pełne wyrazu.

Lindsaya przebiegł dreszcz, gdy rozpoznał Inwestorkę. W jej oczach malował się czysty, zwierzęcy ból.



Taśma odtwarzała postać samicy dowodzącej statkiem. Inwestorka oddychała szybko, głęboko, z trudem. Przykucnęła niezgrabnie, oparłszy pazurzaste dłonie na sterczących do góry kolanach. Jej usta spazmatycznie chwyciły powietrze, odsłaniając słabo skopiowane, tępe zęby i wewnętrzne, cienkie jak papier ścianki pustej czaszki.

Była chora. Nikt nigdy nie oglądał chorego obcego. Lindsay doszedł do wniosku, że niezwykłość obrazu spowodowała jego trwałe zapisanie się w pamięci taśmy. Nie mógł przegapić takiej okazji. Z powolnością godną lodowca rozpiął skafander i wyjął wideomonokl. Zaczął filmować.

Kolejne skurcze zacisnęły pokryty łuską brzuch i rozchyliły się fragmenty taśmy u nasady masywnego ogona. Spomiędzy nich wysunął się zaokrąglony, biały, śliski kształt, utworzony przez ciasno upakowane zwoje taśmy. Jajo.

Proces był bolesny i długotrwały. Jajo miało skórzastą skorupę i skurcze jajowodu spłaszczają je bez trudu. Wreszcie prawie całkowicie oddzieliło się od ciała, pozostając na uwięzi cieniutkiego, przezroczystego kawałka taśmy. Kapitan Inwestorów obróciła się powłócząc nogami i pochyliła nad jajem. Powoli wyciągnęła ręce, pogłaskała jajo i obwąchała palce. Grzebień na jej głowie zaczął się sztywno prostować, pęczniejąc od krwi. Ramiona Inwestorki zdrząły.

Wgryzła się dziko w węższy koniec jaja i kiepsko odwzorowanymi zębami rozdarła delikatną powłokę. Ze środka wypłynęły zwoje udającej żółtko taśmy.

Pożerała jajo, a jej ręce ociekały żółtkiem. Stojący sztywno grzebień sterczał z tyłu czaszki. Lindsay nie miał wątpliwości, że Inwestorka dokonała ohydnej zbrodni i że zrobiła to potajemnie – ta świadomość bez trudu pokonała barierę dzielącą gatunki. Równie łatwo jak pokonywały ją pieniądze.

Wypuścił monokl z rąk. Taśma, zaaferowana nagłym ruchem, wyplątała ze splotów głowę i podniosła ją na ślepo. Zamachał rękoma i sylwetka inwestorskiej samicy się rozsypała. Zaczął chodzić po kajucie, szurając nogami wskutek silnej grawitacji. Taśma obserwowała go, wijąc się i migocząc kolorami.

\* \* \*

*Kartel Dembowska, W. W.'53*

Lindsay potykając się i ślizgając zbiegł po rampie; podniszczony stopawice nie trzymały najlepiej. Po rozświetlonym oślepiającym blaskiem wnętrza statku centrum przyłotów wydawało się przyciemnione, jakby znalazł się pod wodą. Zakręciło mu się w głowie; z całkowitą nieważkością może by sobie poradził, ale słabiutkie ciążenie na Dembowskiej sprawiło, że żołądek podszedł mu do gardła.

W sali znajdowali się nieliczni podróżni, przybyli z innych karteli mechanistów. Lindsay nigdy nie widział tylu mechów naraz i wbrew samemu sobie poczuł teraz niepokój. Przed nim bagaż i pasażerowie docierali właśnie do stelaży skanujących kontroli celnej. Dalej z przodu majaczyły szklane witryny sklepów wolnocłowych.

Lindsay wzdrygnął się nieoczekiwanie; nigdy nie było mu tak zimno. Lodowaty powiew przenikał przez jego cieniutki skafander i elastyczny materiał stopawic. Widział w powietrzu parę własnego oddechu, gdy oszołomiony ruszył w stronę skanerów.

Tuż przed ich stanowiskiem zatrzymała go młoda kobieta. Swobodnie balansowała na jednej nodze. Miała na sobie ciemne pończochy i lamowaną futrem kurtkę.

– Kapitanie doktorze... – zagadnęła.

Lindsay z trudem przystanął, chwytając się dywanu palcami u stóp.

– Proszę o teczkę – rzekła. Lindsay podał jej swoją zabytkową dyplomatkę, pełną kopii dokumentów z akt Kosmosytetu. Kobieta ujęła go przyjacielskim gestem pod ramię i poprowadziła do nieoznaczonych drzwi obok skanerów celnych. – Nazywam się Greta Beatty i jestem policzoną. Pańską łączniczką.

Zeszli po schodach i trafili do biura, gdzie Beatty przekazała teczkę umundurowanej kobiecie, odbierając w zamian zapieczętowaną kopertę.

Udali się na niższy poziom bezcłowego deptaka. Po drodze przewodniczka Lindsaya wylakierowanymi paznokciami otworzyła kopertę.

– Oto pańskie nowe dokumenty – powiedziała i podała mu kartę kredytową. – Jest pan teraz audytorem i nazywa się Andrew Bela Miłosz. Witam w kartelu Dembowska.

– Dziękuję, policzono.

– Mów mi Greta. Czy mogę się do ciebie zwracać „Andrew”?

– Wolałbym „Bela”. Kto wybrał to nazwisko?

– Jego rodzice. Andrew Miłosz zmarł niedawno w kartelu Bettina. Informacji o jego śmierci nie ma jednak w aktach; najbliższy krewny Miłosza sprzedał jego tożsamość policji Haremu na Dembowskiej. Wszystkie identyfikatory usunięto i zastąpiono twoimi. Oficjalnie Miłosz wyemigrował i trafił do nas. – Greta się uśmiechnęła. – Mam ci pomagać w okresie przejściowym. Uszczęśliwiać cię.

– Zmarłem na kość – rzekł Lindsay.

– Zaraz się tym zajmujemy.

Weszli przez drzwi z matowego szkła do jednego z wolnocłowych sklepów z odzieżą, a kiedy go opuszczali, Lindsay miał na sobie nowy skafander z grubszej, pikowanej tkaniny, ze ściągaczami przy nadgarstkach i w kostkach. Gustowna szarość materiału pasowała do nowych, ocieplanych futrem butów z rzepami na podeszwach. Do kieszeni na piersi ognistej, puchplastikowej kurtki przypiął rękawice, a w kremową butonierkę wetknął mikrofon.

– Jeszcze włosy – powiedziała Greta Beatty. Niosła jego nową, zapinaną na suwak torbę na ubrania. – Fatalnie się prezentują.

– Kiedyś były siwe, potem miałem czarne odrosty – odparł Lindsay. – Więc zgoliłem włosy i od tego czasu nie strzygłem.

– Chcesz zostawić brodę?

– Tak.

– Jak sobie życzysz.

Po dziesięciu minutach spędzonych pod stylizerem Lindsay miał wyrównaną brodę, włosy zaś zaczesane do tyłu i ułożone w delikatnie wybrylantynowane fale.

Cały czas bacznie obserwował kinezykę towarzyszącej mu kobiety. W jej ruchach dominowało opanowanie i spokój nie pasujące do młodego wieku. Lindsay czuł się okropnie spięty, ale wskutek przeniesienia kinezycznego zaczynała mu się udzielać łagodna wesołość Greta. Uśmiechnął się nieświadomie.

– Głodny?

– Owszem.

– Chodźmy do Peryskopu. Świetnie wyglądasz, Bela. Migiem oswoisz się z grawitacją Dembowskiej. Trzymaj się blisko mnie. – Objęła go. – Podoba mi się twoja zabytkowa ręka.

– Zostaniesz ze mną?

– Jak długo zechcesz.

– Rozumiem. A jeśli zaproponuję, żebyś odeszła?

– Naprawdę sądzisz, że beze mnie będzie ci lepiej?

Lindsay się zastanowił.

– Nie – odparł. – Wybacz mi, policzono.

Był przewrażliwiony, rozdrażniony. Nigdy nie zmuszano go do zmiany nazwiska. Odezwało się dawne szkolenie i kazało dostosować się do lokalnego kolorytu, ale Lindsay czuł, że z upływem lat skostniał.

Na schodach ruchomych, wpinając stopy w pętle, zjechali dwa piętra niżej, w głąb asteroidy. Ściany i podłogę pokrywał tu porysowany, wiekowy metal, wyłożony pasami świeżego rzepu. Tłum ludzi poruszał się korytarzem w dostojnych, trzeszczących podskokach. Obywatele, którym się śpieszyło, przemykali górą, chwytając się umocowanych do sufitu pętli. Lindsay z Gretą ruszyli za stareńkim mieszkańcem Dembowskiej, który z wolna jechał przy ścianie na wózku inwalidzkim. Koła wózka miały opony z rzepu.

– Zjedźmy coś – powiedziała Beatty. – Zaraz się lepiej poczujesz.

Lindsay zastanawiał się, czy nie zacząć naśladować jej kinezyki; czuł się trochę jak zardzewiały, ale przypuszczał, że dałby sobie z tym radę. Kto wie, czy nie byłoby to najsprytniejsze rozwiązanie – na jej swobodę i uprzejmość odpowiedzieć własną. Nie chciał jednak tego robić; zbyt wiele bólu by sobie sprawił.

– Zaskakuje mnie twoja otwartość i hojność, Greto. Dlaczego taka jesteś?

– Dlaczego jestem policzoną? Nie od razu trafiłam do bezpieki. Najpierw byłam żoną Carnassusa – wiesz, taki czysto erotyczny związek – dopiero później mnie awansowali. Nie zajmuję się szpiegostwem. Jestem tylko łączniczką.

– Dużo miałaś takich jak ja?

– Paru. Głównie astrognidy, żadnych liczących się kształcerskich uczonych.

– Widziałaś Michaela Camassusa?

Greta uśmiechnęła się lekko.

– Tylko jego ciało. Jesteśmy prawie na miejscu. Policja Haremu ma tu zarezerwowane stoliki. Założę się, że chciałbyś usiąść przy oknie.

Zacisne, przyciemnione wewnątrz Peryskopu zdawało się nawykłemu do blasku Lindsayowi niemiłosiernie ponure. Jedzenie na stołach parowało. Założył rękawiczkę na lewą rękę. Nigdy nie był w miejscu, gdzie panowałyby takie ziąb.

Lodowate błękitne światło wpadało do środka przez grube, wklęsłe okna. Dostrzegł rozciągającą się za metaszklaną szybą jaskinię, w połowie wypełnioną wodą. U jej sufitu zwieszała się kopuła obserwacyjna wielkości sporego domu. Wokół niej, na biegnących pod sklepieniem stalowych łukach zainstalowano zestaw niebieskich reflektorów. Lindsay wsunął stopy w strzemiona niskograwitacyjnego krzesła. Miękkie siedzenie, w które wbudowano elementy grzewcze, zaczęło się pod nim rozgrzewać.

Greta siadła z drugiej strony stołu i uśmiechnęła się do Lindsaya. W półmroku jej błękitne oczy robiły się jeszcze większe. Miała miły uśmiech, nie sugerujący ani śladu flirtu; właściwie nie wyrażał nic szczególnego, żadnego strachu czy zażenowania, tylko odrobinę wyważonej dobroduszości. Jej rozdzielone na środku głowy przedziałkiem włosy opadały na boki, zgodnie z obowiązującą na Dembowskiej modą, przycięte krótko na wysokości uszu i policzków. Sprawiały wrażenie niewiarygodnie wręcz czystych; Lindsay złapał się na tym, że chciałby przesunąć po nich palcami, jak po grzbiecie książki.

Menu zapłonęło ognistymi literami na blacie. Lindsay oparł na nim odzianą w rękawiczkę dłoń i

poczuł, że powierzchnia stołu klei się od samoprzylepnych polimerów. Cofnął palce: lep przez chwilę trzymał, a potem bez śladu odkleił się od jego ręki. Lindsay przeniósł wzrok na menu.

– Nie ma cen – zauważył.

– Policja Haremu płaci za wszystko. Nie chcielibyśmy, żebyś nabrał złego mniemania o naszej kuchni. – Skinieniem głowy wskazała w głąb pomieszczenia. – Ten dżentelmen w biokirysie, po prawej, to Lewis Martinez. Siedzi ze swoją żoną, Lydią. Jest szefem Martinez Corp w randze komptrolera. Chodzą słuchy, że Lydia urodziła się na Ziemi.

– Wygląda na świetnie zakonserwowaną. – Lindsay ze szczerym zaciekawieniem obserwował słynną parę. Ich wyczyny w dziedzinie szpiegostwa przemysłowego stały się w kręgach kształcercskiej bezpieki wręcz przysłowiowe. Rozmawiali przyciszonymi głosami, czekając na podanie kolejnych dań i uśmiechając się z nieudawaną czułością. Coś zakłuło go w sercu.

Greta tymczasem mówiła dalej:

– Ten mężczyzna, przy którym zatrzymało się kelnerskie serwo, to koordynator Brandt... Ci przy oknie są z Kabuki Intrasolar. Ten w tej śmiesznej marynarce to Wells...

– Riumin też tu jada? – przerwał jej Lindsay.

– Och... nie. – Uśmiechnęła się przelotnie. – Obraca się w innych kręgach.

Lindsay podrapał się po zarosniętym podbródku.

– Mam nadzieję, że dobrze się miewa.

– Nie mnie to oceniać – odparła grzecznie Greta. – Wygląda na szczęśliwego. Pozwól, że coś ci zamówię.

Wpisała zamówienia na bocznej części blatu, wyposażonej w klawiaturę.

– Dlaczego tu jest tak zimno?

– To kwestia historii. I mody. Dembowska jest starą kolonią i zdążyła już przeżyć krach ekologiczny. Mogłabym ci pokazać miejsca, gdzie zamarznęta pleśń po dziś dzień płatami obłazi ze ścian. Najgorsze bakterie dostosowały się do niskich temperatur, lecz kiedy robi się tak zimno, jak teraz, zapadają w letarg. Ale nie jest to jedyny powód. – Wskazała ręką okno. – To też ma swój wpływ.

– Ten basen? – Lindsay posłusznie podążył wzrokiem za jej dłonią.

Greta zaśmiała się cicho.

– Ekstraterrarium, Bela.

– A niech mnie! – Lindsay szeroko otworzył oczy ze zdziwienia. W z gruba ciosanej skalnej niecce chlupotało jezioro rdzawej cieczy, którą z początku wziął za wodę. – Więc tutaj trzymają potwory. A ta kopuła obserwacyjna... To musi być pałac Camassusa, prawda?

– Oczywiście.

– Jest mały.

– Stanowi dokładną kopię obserwatorium ekspedycji Chaikina, toteż, rzecz jasna, nie może być duży. Wyobraź sobie, ile Inwestorzy zażyczyli sobie za jego transport. Camassus prowadzi bardzo skromny tryb życia, Bela, wbrew temu, co mówi się w bezpiecie w Pierścieniach.

Wszystkie instynkty dyplomatyczne kazały Lindsayowi powstrzymać się od wypowiedzenia następnego zdania, ale przemógł się i powiedział:

– Ma przecież dwieście żon.

– Pomyśl o nas raczej jak o personelu psychiatrycznym, audytorze. Małżeństwo z Camassusem zapewnia kobiecie odpowiednią rangę. Dembowska jest od Carnassusa uzależniona, ale on sam musi polegać na nas.

– Mógłbym go poznać?

– To będzie zależało od komendanta policji. Ale właściwie czemu pytasz? Ten człowiek ledwie mówi. Wszystko wygląda inaczej, niż sądzicie wy, przybysze z Pierścieni. To mężczyzna wrażliwy, okrutnie okaleczony. Kiedy upadek ich ambasady był już bliski, Camassus przyjął dawkę eksperymentalnego narkotyku, PDKL-95, który miał mu pomóc zrozumieć sposób myślenia obcych, ale tylko go zniszczył. Przedtem był odważnym człowiekiem i wszyscy mu współczujemy. Aspekt seksualny jest tu prawie bez znaczenia.

– Rozumiem. – Lindsay się zamyślił. – Przy dwustu innych żonach i faworytach rzadko zdarza się wam grać tę rolę... Raz na rok?

Greta zachowała kamienny spokój.

– Nie aż tak rzadko, ale w gruncie rzeczy masz rację. Nie zamierzam ukrywać przed tobą prawdy, Bela. Camassus nie jest naszym władcą, lecz zapleczem. Harem rządzi Dembowską, ponieważ bezustannie mu towarzyszymy i jesteśmy jedynymi osobami, z którymi rozmawia. – Uśmiechnęła się. – I nie ma to nic wspólnego z matriarchatem; nie matkujemy mu. Jesteśmy policją.

Lindsay wyjrzał przez okno. Kropla cieczy spadła spod sufitu i po powierzchni jeziora rozeszły się koła. Ciekły etan. Tuż za izolacyjną warstwą metaszkła temperatura gwałtownie spadała do stu osiemdziesięciu stopni poniżej zera; człowiek w wypełnionym czerwonym płynem basenie zmieniłby się w bryłę lodu. Nagle dotarło do Lindsaya, że szarawe bloki przy brzegu, które początkowo wziął za kamienie, były w istocie zamrożoną wodą.

Coś wynurzało się z etanu i wychodziło na brzeg. Słabe, niebieskawe światło wyłowiło z półmroku coś, co wyglądało jak połamane splątane gałązki. Mimo prawie niezauważalnej grawitacji stwór poruszał się niemrawo. Lindsay wyciągnął rękę.

– Skorpion morski – wyjaśniła Greta. – Eurypteroid, tak brzmi jego naukowa nazwa. Zamierza zaatakować tę grudę na brzegu. Ten czarny śluz to miejscowa roślinność. – Z rzadkiej cieczy wolno wynurzały się dalsze fragmenty potwornego cielska. Gałązki okazały się przednimi łapami, przeplecionymi i zachodzącymi na siebie jak wielkie zębiska. – Ofiara przygotowuje się do ucieczki. To chwilę potrwa. W standardach tego ekosystemu obserwujemy błyskawiczny atak. Spójrz na skorpiona, jaki ma potężny głowotułów.

Skorpion, kołysząc się na boki, wynurzył przednią część ciała z etanu. Głowotułów miał szeroki na pół metra.

– Trzy metry długości – dodała Greta, gdy serwo podało pierwsze talerze. – A właściwie więcej, jeśli doliczyć kolec na ogonie. Całkiem niezłe, jak na bezkręgowca. Spróbuj zupy.

– Zaraz, popatrzę.

Wysunięte w przód kleszcze zaciskały się wokół ofiary, powoli, ale nieubłaganie, niczym hydraulicznie sterowane drzwi. Nagle niedoszła zwierzyna wyskoczyła konwulsyjnie w powietrze i z pluskiem wylądowała w jeziorze.

– Szybko skacze! – rzekł Lindsay.

– Nie można skakać szybciej czy wolniej, to kwestia fizyki. – Greta się uśmiechnęła. – Zjedz coś. Spróbuj paluszka.

Lindsay nie mógł oderwać wzroku od eurypteroida, który leżał na brzegu ze splątanymi szponozębami, nieruchomy i najwidoczniej wyczerpany.

– Żal mi go.

Greta nie traciła cierpliwości.

– Kiedy tu przybył, nie wyklął się jeszcze z jaja. Zapewniam cię, Bela, że nie urósł tak bardzo na samych paluszkach. Camassus dba o swoje zwierzęta, w ambasadzie był egzobiologiem.

Lindsay nabrał zupy do ruchomej miseczki na końcu niskograwitacyjnej łyżki. Skosztował.

– Ty też sporo o nich wiesz.

– Na Dembowskiej wszyscy interesują się Ekstraterrarium. Jest przedmiotem dumy mieszkańców, chociaż oczywiście odkąd runął pokój Inwestorów, ruch turystyczny bardzo zmalał. Nadrabiamy to, przyjmując uchodźców.

Lindsay zagapił się ponuro na jezioro. Jedzenie było wyśmienite, ale stracił apetyt. Eurypteroid poruszył się niemrawo. Lindsay przypomniał sobie otrzymaną od Inwestorów rzeźbę i zaczął się zastanawiać, jak też wyglądają odchody skorpiona.

Od stolika Wellsa dobiegł ich wybuch śmiechu.

– Chciałbym zamienić dwa słowa z Wellsem – rzekł Lindsay.

– Zostaw to mnie – powiedziała Greta. – Wells ma powiązania wśród kształcerzy i coś mogłoby przecieknąć do Rady Pierścieni. – Spochmumiała. – Lepiej nie ryzykuj odkrycia swojej nowej tożsamości, dopóki się solidnie nie przyjmie.

– Nie ufasz Wellsowi?

Wzruszyła ramionami.

– To nie twoje zmartwienie. – Skrzypiący robot na obitych rzepem nóżkach podał właśnie drugie danie. – Uwielbiam te zabytkowe serwa, które tu mają. A ty? – Wycisnęła gęsty sos na pasztecik z mięsem i podała Lindsayowi talerz. – Denerwujesz się, Bela. Jedzenie dobrze ci robi. Prześpisz się, pójdziesz do sauny, zażyjesz paru przyjemności życia. Jesteś spięty, Bela. Odpręż się.

– Zawsze żyję w napięciu.

– Już nie. Teraz jesteś ze mną. Zjedz coś, żebym wiedziała, że czujesz się bezpiecznie.

Lindsay bez przekonania zatopił zęby w paszteciku, chcąc zrobić jej przyjemność. Mięso smakowało wybornie. Poczul, że wraca mu apetyt.

– Mam parę spraw do załatwienia – powiedział, powstrzymując się od pochłonięcia pasztecika jednym kęsem.

– Myślisz, że załatwisz je lepiej i szybciej bez snu i jedzenia?

– Chyba masz rację – przyznał i podniósł wzrok, gdy podała mu bańkę z sosem. Wycisnął sobie kolejną porcję, podczas gdy Greta postawiła przed nim kieliszek o żłobkowanych ściankach.

– Spróbuj naszego bordeaux – zaproponowała.

Skosztował wina; dorównywało temu, które wyrabiano w winnicach Synchronis, w Pierścieniach.

– Ktoś wykradł tę technologię.

– Nie jesteś pierwszym dezertorem. U nas jest spokojniej – stwierdziła i ponownie wskazała za okno. – Spójrz na tego ksiphosurana. – Potężny, niezgrabny krab z nieznośną powolnością płynął po powierzchni jeziora. – Mógłby cię czegoś nauczyć.

Zamyślony Lindsay nie odpowiedział.

\* \* \*

Mieszkanie Greta znajdowało się siedem poziomów niżej. Posrebrzane domowe serwo odebrało od Lindsaya torbę z ubraniami. W salonie stała barokowa futrzana kanapa z przesuwanymi strzemionami oraz dwa niskograwitacyjne krzesła, obite aksamitem w kolorze burgunda. Na czepnym blacie stolika do kawy stało pudełko z inhalatorem i stojak pełen kaset.

W łazience wydzielono saunę oraz składaną, zasysającą nieczystości toaletę z podgrzewanym elastycznym siedzeniem. Z lampy sączyło się różowawe, przesycone podczerwienią, ciepłe światło. Stojąc na lodowatych kafelkach Lindsay zrzucił rękawiczkę, która wolno, wyraźnym skosem opadła na podłogę. Pion w pokoju nie odpowiadał dokładnie miejscowej grawitacji. Ten subtelny ślad

awangardowej sztuki wystroju wnętrza przyprawił go o mdłości. Podskoczył, uczeplił się sufitu i zamknął oczy, żeby przeczekać zawroty głowy.

– Masz ochotę posiedzieć w saunie? – zapytała zza drzwi Greta.

– Wszystko mi jedno, byle się rozgrzać.

– Kontrolki są po lewej.

Lindsay się rozebrał; zaparło mu dech w piersi, gdy lodowatą sztuczną ręką musnął nagą skórę na żebrach. Trzymając metalowe ramię z dala od ciała, wszedł pod wzburzony strumień pary. Przy tak niskim ciśnieniu drobniutkie kropelki wody długo utrzymywały się w powietrzu, więc zakrztusiwszy się, sięgnął po maskę. Podłączono do niej czysty tlen, toteż w kilka sekund później poczuł się jak heros. Bez namysłu przestawił pokrętła. Zagryzł wargi, gdy z dmuchawy buchnął śnieg. Przekręcił kurek w drugą stronę i przez chwilę pławił się w wilgotnym upale, po czym wyszedł z sauny. Automat podniósł temperaturę do punktu wrzenia, żeby wysterylizować wnętrze.

Lindsay zawinał mokre włosy w turban, odruchowo wiążąc końce ręcznika zgodnie z efektowną modą obowiązującą w Goldreich-Tremaine. W szafce znalazł pasującą na niego piżamę w kolorze królewskiego błękitu i futrzane bambosze.

Greta przebrała się tymczasem w pikowaną koszulę nocną z rozłożystym kołnierzem. Pierwszy raz ujrzał jej odsłonięte ręce, gęsto poznaczone mechanicznymi implantami. Na prawym dostrzegł coś, co wyglądało na broń: kilka równoległych rurek zamocowanych nieco ponad nadgarstkiem. Nigdzie nie widział cyngla, więc musiały być odpalane w drodze bezpośredniej interakcji nerwowej. Sądząc po czerwonym migotaniu, w drugim rękawie koszuli ukrywał się biomonitor.

Mechowie fanatycznie wręcz uwielbiali biologiczne sprzężenia zwrotne. Stanowiły niezbędny element większości opracowanych przez nich metod zapewniających długowieczność. Lindsay nie myślał dotąd o Grecie jako mechanistce, toteż widok wszczepów nim wstrząsnął.

– Nie jesteś śpiący?

Ziewnął.

– Trochę.

Niedbałym gestem podniosła prawą rękę nad głowę i pilot, przeleciawszy przez pokój, wskoczył jej w dłoń. Włączyła wideościanę. Na ekranie pojawiło się widziane z góry Ekstraterrarium; obraz był przekazywany z jednej z kamer w pałacu Carnassusa.

Lindsay usiadł obok Grety na kanapie i wetknął stopy w kapciach w nagrzane strzemiona.

– Nie to – powiedział.

Wcisnęła guzik. Ekstraterrarium rozmyło się i jego miejsce zajęła falująca bursztynem i czerwienią powierzchnia Saturna. Lindsay poczuł obezwładniającą tęsknotę. Odwrócił wzrok.

Greta zmieniła program. Na wideościanie pojawił się księżycowy krajobraz: olbrzymie zagłębienia w powierzchni sąsiadowały z wypalonym, łuszczącym się terenem, przeciętym dwoma gigantycznymi rozpadlinami.

– To obraz erotyczny – powiedziała Greta – Ludzka skóra powiększona dwadzieścia tysięcy razy. Jeden z moich ulubionych. – Manipulując przyciskami sprawiła, że kamera pomknęła w przód nad złowrogim terenem, zatrzymując się przy korzeniach olbrzymiej, łuskowatej kolumny. – Widzisz te kopuły?

– Widzę.

– Bakterie. Bo to jest mechanista, wiesz?

– To ty?

Uśmiechnęła się.

– Dla kształcerza to zwykle najtrudniejszy moment. U nas nie możecie być sterylni, bo jesteśmy

uzależnieni od istnienia tych żyjątek. Nasze organizmy nie przeszły takich wewnętrznych zmian jak wasze. Nie chcemy się im poddać. Oblezie cię robactwo, tak jak nas wszystkich. – Greta wzięła Lindsaya za lewą rękę. Jej dłoń była ciepła i lekko wilgotna. – A oto i moment zakażenia. Bardzo ci z tym źle?

– Nie.

– Lepiej od razu mieć to za sobą. Zgodzisz się ze mną?

Pokiwał głową. Greta położyła mu dłoń na karku i pocałowała go, otwierając usta. Lindsay otarł wargi rękawem piżamy.

– To nie było po prostu działanie lecznicze – zauważył.

Ściągnęła mu z głowy ręcznik i rzuciła robotowi.

– Noce na Dembowskiej są zimne – powiedziała. – We dwoje będzie w łóżku ciepłej.

– Mam żonę.

– Monogamia? To osobliwe. – Uśmiechnęła się współczująco. – Spójrz prawdzie w oczy, Bela. Dezerterując z Pierścieni, zerwałeś wszelkie kontakty z linią genetyczną Mavridesów. Jesteś teraz nikim. Tylko dla nas coś znaczysz.

Lindsay zadumał się ponuro. W wyobraźni ujrzał Norę, skuloną w ich wspólnym łóżku, z rozszerzonymi strachem oczyma; myśli nie dają jej zasnąć, a krąg wrogów zaciska się nieubłaganie. Pokręcił głową.

Greta spokojnym gestem pogłaskała go po włosach.

– Gdybyś spróbował, wróciłaby ci pewnie chęć, ale lepiej pozostawić sprawy swojemu biegowi.

Okazała mu ugrzecznione rozczarowanie, jak gospodyni, której gość odmówił przyjęcia deseru. Lindsay był zmęczony; mimo świeżo odzyskanej młodości wciąż z bólem wspominał ciężenie na statku Inwestorów.

– Zaprowadzę cię do sypialni – rzekła Greta.

Pokój wyłożono ciemnym futrem. Na baldachimie łoża od spodu zainstalowano ekran, a deska rozdzielcza na wezglówiu mieniła się najnowszymi osiągnięciami techniki relaksacyjnej. Lindsay rozpoznał encefalograf, wtyki monitorujące do protez i fluorografy do nocnego frakcjonowania krwi.

Wskoczył na łóżko i zrzucił z nóg bambosze. Pościel zafalowała, otuliła jego ciało.

– Miłych snów – rzuciła jeszcze na odchodnym Greta.

Coś musnęło go w czubek głowy. Baldachim włączył się i wyświetlił skomplikowany, opatrzony tajemniczymi opisami obraz fal mózgowych Lindsaya. Jedna z fal rysowała się różowo i gdy utkwiał w niej wzrok, próbując się odprężyć, jej amplituda wyraźnie wzrosła. Znienacka zdał sobie sprawę, co powinno dziać się w głębi jego umysłu, żeby linia zakreślała większe łuki, poddał się temu procesowi i natychmiast zasnął.

Kiedy rano się obudził, Greta spała spokojnie u jego boku. Do czoła przykleiła przed snem diadem alarmowy, podłączony do domowego systemu zabezpieczeń. Wstał z łóżka. Cała skóra swędziała go niemiłosiernie, a język miał jak pokryty sierścią – robactwo zaczęło go obłazić.

\* \* \*

*Kartel Dembowska, 24. 10.'53*

– Nigdy bym nie przypuszczał, że zobaczę pana w takim stanie, Fiodorze. – Po przeciwnej stronie salonu, na znajdującym się na wprost Lindsaya ekranie, podrasowana twarz Riumina promieniała fałszywym zdrowiem. Kopia prezentowała się nieźle i choć dla wyćwiczonego oka Lindsaya nie



ulegało wątpliwości, że wygenerowano ją komputerowo, precyzja obrazu była wprost przerażająca. Wargi Riumina poruszały się w rytm jego słów, ale drobne, nawykowe ruchy dziwnie wypadły z tonacji. – Od jak dawna jest pan druciarzem?

– Będzie z dziesięć lat. Czas na drutach płynie inaczej. Nie mogę sobie teraz przypomnieć, gdzie zostawiłem mózg. Pewnie tam, gdzie najmniej bym się tego spodziewał. – Riumin się uśmiechnął. – Może w kartelu Dembowska, bo inaczej mielibyśmy opóźnienie w transmisji.

– Chciałbym z panem porozmawiać na tematy osobiste. Jak pan sądzi, ilu ludzi nas w tej chwili słyszy?

– Tylko policja – zapewnił go Riumin. – Jest pan w kryjówce Haremu, skąd rozmowy są kierowane bezpośrednio przez banki danych szefostwa. Na Dembowskiej oznacza to maksimum prywatności, na jakie można liczyć. Zwłaszcza mając tak podejrzaną przeszłość jak pan, panie Dze.

Lindsay otarł nos chusteczką. Nowe bakterie boleśnie zaatakowały mu zatoki, i tak osłabione ozonowanym powietrzem na statku Inwestorów.

– W Zaibatsu wyglądało to inaczej – powiedział. – Rozmawialiśmy twarzą w twarz.

– Druty wszystko zmieniają i sprowadzają do informacji wejściowych. Systemy. Dane. Zmierzamy ku solipsyzmowi; tak już jest, gdy człowiek powiększa zajmowane terytorium. Proszę, niech pan nie ma mi za złe, że mu nie ufam.

– Długo jest pan na Dembowskiej?

– Odkąd pokój Inwestorów zaczął się chwiać w posadach. Potrzebowałem zacisznej przystani i Dembowska jest najlepszą, jaka mi się trafiła.

– Czyżby skończył pan podróżować, staruszk?

– I tak, i nie, panie Dze. Utrata mobilności pociągnęła za sobą rozszerzenie zmysłów. W każdej chwili mogę się podpiąć pod sondę na orbicie Merkurego albo w atmosferze Jowisza. Zresztą często tak robię; w jednej chwili przenoszę się tam, gdzie chcę i wrażenie to jest równie silne, jak świadomość istnienia w każdym innym miejscu. Umysł nie jest taki, jak pan sobie wyobraża, panie Dze. Kiedy złapać go w drucianą sieć, zaczyna płynąć; informacje wynurzają się z otchłani pamięci. Nie jest to prawdziwe życie, ale ma swoje zalety.

– Darował pan sobie współpracę z Kabuki Intrasolar?

– Lada moment może wybuchnąć wojna, więc dni chwały teatru są chwilowo policzone. Sieć i tak zabiera mi większość czasu.

– Dziennikarstwo?

– Właśnie. My, druciarze, czy raczej starszyzna mechanistów, bo tak brzmi nasze miano nieskażone kształcerską propagandą, mamy własny tryb obiegu wiadomości: sieci informacyjne. W chwilach największego napięcia działanie w sieci przypomina telepatię. Jestem tutejszym łącznikiem Ceres Datacom Network. Mam obywatelstwo Ceres, chociaż od strony prawnej czasem lepiej jest być kawałkiem ich sprzętu. Nasze życie jest informacją, nawet pieniądze są informacją. Dla nas kasa niczym nie różni się od życia.

Syntetyzowany głos Riumina brzmiał spokojnie i beztrąsko, ale Lindsay nagle się zaniepokoił.

– Coś panu grozi? Mogę w czymś pomóc?

– Za tym ekranem jest cały świat – odrzekł mechanista. – Linie obrazu zamazały się tak bardzo, że zwyczajne sprawy życia i śmierci muszą zejść na dalszy plan. Są wśród nas tacy, których umysły dawno już nie wytrzymały i teraz drepczą w miejscu, według zaprogramowanych procedur. Gdyby cieliści o tym wiedzieli, w majestacie prawa uznaliby ich za zmarłych. Tylko że my milczymy jak grób. – Uśmiechnął się. – Proszę myśleć o nas jak o aniołach, panie Dze, o duchach w sieci światłowodów. Czasem tak jest łatwiej.

– Jestem tu obcy. Miałem nadzieję, że mi pan pomoże, tak jak kiedyś. Potrzebuję rady. Potrzebuję pańskiej mądrości.

Komputerowy obraz Riumina precyzyjnie odtworzył jego westchnienie.

– Kiedyś, gdy jeszcze obaj byliśmy wyrzutkami, znałem Dze – rzekł. – Ufałem mu. i podziwiałem go za jego odwagę. Obaj byliśmy mężczyznami. To się zmieniło.

Lindsay wysiąkał nos i wzdrygnąwszy się z obrzydzeniem, podał chusteczkę domowemu robotowi.

– Wtedy na wszystko bym się poważył – powiedział. – Gotów byłem umrzeć, ale tak się nie stało. Cały czas szukałem. I znalazłem. Ożeniłem się. Nasz związek nie opierał się na fałszu; byliśmy szczęśliwi.

– Miło mi to słyszeć, panie Dze.

– Kiedy zrobiło się naprawdę groźnie, załamałem się i uciekłem. Po czterdziestu latach znów jestem astrognidą.

– Czterdzieści lat to całe ludzkie życie, panie Dze. Niech się pan nie zmusza do odgrywania roli człowieka. Przychodzi z czasem taka chwila, że trzeba się jej wyrzec.

Lindsay przeniósł wzrok na swoją mechaniczną rękę. Zgiął wolno palce.

– Nadal ją kocham – powiedział. – Wojna nas rozdzieliła. Gdyby znów nastął pokój...

– Odprężeniowe sentymenty wyszły już z mody.

– Porzucił pan nadzieję, Riumin?

– Jestem za stary na namiętności. Niech mi pan nie każe ryzykować i zostawi mnie z moimi strumieniami danych, panie Dze, czy kimkolwiek pan jest. Nie ma dla mnie powrotu, nie ma drugiej szansy. To gra dla tych, co zachowali ciała. Dla tych, co wciąż potrafią leczyć.

– Przykro mi – rzekł Lindsay – ale potrzebuję sprzymierzeńców. Wiedza to władza, a ja znam sprawy, o których inni nie mają pojęcia. Chcę walczyć, ale nie z moimi wrogami. Z okolicznościami. Z historią. Chcę odzyskać żonę, Riumin, dostać z powrotem moją kształcerkę. Chcę, żeby wróciła do mnie wolna i czysta, bez obciążającego ją cienia. Jeśli pan mi nie pomoże, to kto?

Riumin się zawahał.

– Mam przyjaciela – odezwał się w końcu. – Nazywa się Wells.

\* \* \*

### *Kartel Dembowska, 31. 10.'53*

Przed nadejściem ludzkości Pas Asteroid ułożył się sam w przestrzeni, posłuszny fizyce odłamków. Tworzące go kawałki kamienia – od mierzącej tysiąc kilometrów średnicy Ceres po tryliony nie nazwanych gładów – posłuszne czasoprzestrzennym potencjałom, pędziły ze względną prędkością pięciu kilometrów na sekundę.

Dwustukilometrowa Dembowska zaliczała się do trzeciej kategorii. Podobnie jak inne ciała niebieskie przemierzające Układ Słoneczny, poddawała się prawom przypadku. W czasach gdy na Ziemi panowały dinozaury, w Dembowską uderzył ogromny meteoryt. Roztrzaskał się na tysiące odłamków, które w mgnieniu oka spłonęły, pozostawiając po sobie cząsteczki stopionego piroksenu wbite głęboko w skorupę asteroidy. Krzemowa struktura Dembowskiej uległa odkształceniu i w miejscu zderzenia otworzyła się zygzakowata szczelina o pionowych ścianach, sięgająca dwadzieścia kilometrów w głąb asteroidy, wprost do jej niklowo-żelaznego jądra.

Obecnie większość jądra zniknęła, pożarta przez nienasycony przemysł. Kartel Dembowska mieścił się w szczelinie, opadając podłużnymi półkami w głąb, gdzie słabła grawitacja. Stopniowo

dawne ściany stawały się podłogami pomieszczeń, aż wreszcie podział na ściany, podłogi i sufity stracił sens, gdy ciężenie prawie zanikło. Na dnie szczeliny świat mieszkańców Dembowskiej rozszerzał się i przechodził w olbrzymią pieczarę – puste serce asteroidy, z którego kolejne pokolenia robotów górniczych wybierały metal i rudę.

Pustka była zbyt obszerna, by dała się wypełnić powietrzem, traktowano ją więc jak kosmos w miniaturze. W nieważkości i w próżni kwitł nowy przemysł ciężki – zakłady krioniczne, gdzie drobiny myśli i wspomnień, wyczesywane z porażonego umysłu Michaela Carnassusa, przekładano na stabilny wzrost kursu akcji kartelu na setkach światowych giełd.

Sekretom handlowym, ukrytym pod kilometrami skał, głęboko w trzewiach Dembowskiej, nic nie zagrażało. Życie wsączyło się jak rozmiękły kit w szczeliny maleńkiej planетки; wyżarło jej serce i zastąpiło je maszynami.

Patrząc z przemysłowego centrum asteroidy, dno rozpadliny postrzegano się jako górną warstwę świata zewnętrznego. Tu właśnie mieściły się biura Wellsa. Jego ludzie, pracujący okrągłą dobę, na trzy zmiany, monitorowali transmisje danych w Związku Karteli pod pseudonarodową egidą Ceres Datacom Network.

Biura wyłożono rzepem i ekranami wideo; jarzące się światłem ściany rozbrzmiewały nieustannym szumem wiadomości i służyły za przegrody, oddzielając poszczególne stanowiska. Papierowe kopie dokumentów przyczepiano rzepami do podłóg i sufitów; reporterzy ze słuchawkami na uszach mówili coś do włączonych w audiolinie mikrofonów albo stukali z ożywieniem w klawiatury. Wyglądali młodo, w ich stroju dawało się wyczuć wyrachowaną ekstrawagancję. Ponad pomruk spikerów, cichy grzechot drukarek i buczenie pracujących taśm wznosiły się ciche dźwięki muzyki – ostry lament syntezatorów. Zimne powietrze pachniało różami.

Sekretarz zapowiedział ich przybycie. Pojedyncze loki wymykały mu się spod luźnego mechowskiego beretu. Ich puszystość pozwalała przypuszczać, że skrywają wszczepione w czaszkę zawory. W klapie nosił patriotyczną spinkę, przedstawiającą twarz Michaela Carnassusa z szeroko otwartymi oczyma.

Biuro Wellsa było tu najbezpieczniejszym miejscem. Wideościiany – przenikające się prostokąty wypełnione danymi, można je było wedle uznania rozciągać lub zatrzymywać w stopklatkach – tworzyły płynnie zmieniającą się mozaikę tytułów i obrazów. Wells miał na sobie pikowany skafander przewiązany pod szyją kształcierską koronką. Na jego szarym materiale nadrukowano nieco ciemniejsze, stylizowane wizerunki eurypteroidów. Eleganckie rękawiczki były pokryte pierścieniami sterującymi, utworzonymi przez obwody elektroniczne.

– Witam w CDN, audytorze. Witam i panią, policzono. Co powiecie państwo na gorącą herbatę?

Lindsay z wdzięcznością przyjął ciepłą bańkę z napojem. Herbata, mimo iż syntetyczna, smakowała nieźle. Greta również została poczęstowana, ale nie piła. Przyglądała się Wellsowi z chłodną ostrożnością.

Wells musnął jeden z przełączników na czepnym blacie biurka. Duża lampa na skręconej spiralnie nóżce obróciła się z wężową gracją i skierowała w twarz Lindsaya. Spod klosza spojrzała para ludzkich oczu, umieszczonych w gładkiej, czarnej, mięsistej powierzchni. Oczy mrugnęły i przeniósły spojrzenie na Gretę Beatty, która z szacunkiem skinęła głową.

– To końcówka monitora pani komendant policji – powiedział Wells. – Woli śledzić wydarzenia własnymi oczyma, zwłaszcza gdy są tej wagi co ponoć wasze rewelacje. – Zwrócił się do Grety: – Sytuacja jest opanowana, policzono.

Harmonijkowate drzwi rozsunęły się przed nią.

Zacisnąwszy usta, Greta jeszcze raz skłoniła się przed lampą, zerknęła na Lindsaya i

odepchnąwszy się nogą od ściany, opuściła pokój. Drzwi się zamknęły.

– Jak to się stało, że przyplątała się do pana ta siostrzyczka zen?

– Słucham? – zdziwił się Lindsay.

– Beatty. Nie mówiła panu o swoich związkach z kultem? Jest serotonistką zen.

– Nie – przyznał Lindsay. – Nawet jej o to nie podejrzewałem.

– Dziwne. Kult ten silnie zaznaczył swoją obecność w pana rodzimym świecie... Na Bettinie, prawda?

Lindsay spojrział Wellsowi prosto w oczy.

– Pan mnie zna, Wells. Proszę sobie przypomnieć: Goldreich-Tremaine.

Wells uśmiechnął się półgębkiem i ścisnął bańkę z herbatą. Struga bursztynowego płynu trysnęła mu wprost do ust. Miał mocne, równe zęby i taki pokaz w jego wykonaniu był niepokojąco drapieżny.

– Odnoszę wrażenie, że ma pan w sobie coś z kształcerza. Jeżeli jest pan kataklistą, radzę nie próbować żadnych rozpaczliwych sztuczek pod okiem komendantki policji.

– Padłem ofiarą kataklistów – rzekł Lindsay. – Wyłączyli mnie na cały miesiąc z gry i wypadłem z obiegu. Zaraz potem zdezerterowałem.

Lindsay ściągnął rękawicę z prawej dłoni. Wells rozpoznał zabytkową protezę.

– Kapitan doktor Mavrides – powiedział. – Cóż za niespodziewana przyjemność! Jeśli wierzyć plotkom, popadł pan w nieuleczalny obłęd. Szczerze powiedziawszy, ucieszyła mnie ta wiadomość. Abelard Mavrides, pupilek Inwestorów. Co się stało z pańskim bogactwem, kapitanie doktorze?

– Ostatnio podróżuję bez bagażu.

– Żadnych nowych dramatów? – Wells otworzył szufladę biurka i wyjął z niej papierośnicę. Poczestował Lindsaya, który z wdzięcznością przyjął papierosa. – Teatr wyszedł z mody – dodał. Zapalili i Lindsay natychmiast się zakrztusił. – Musiałem pana rozzłościć wtedy na weselu, doktorze. Kiedy przyszedłem werbować pańskich uczniów.

– To oni byli ideologami, panie Wells, nie ja. Ja się o pana bałem.

– Niepotrzebnie. – Wells wydmuchnął dym i uśmiechnął się. – Pańska studentka, Besetny, jest teraz jedną z nas.

– Zwolenniczką odprężenia?

– Nasz światopogląd ewoluował od tamtej pory, doktorze. Dawny podział na mechanistów i kształcerzy trąci dziś trochę myszką, nie sądzi pan? Życie lubi podgatunki. – Uśmiechnął się. – Podgatunek to grupa istot siostrzanych, spokrewnionych z oryginałem. Podgatunki trafiały się już wśród innych stworzeń, teraz przyszedł czas na ludzi. Oba odłamy wciąż walczą ze sobą, ale podział traci znaczenie. Żadna z frakcji nie może dziś twierdzić, że ma monopol na dalsze losy ludzkości. Ludzkość przestała istnieć.

– Mówi pan jak rasowy kataklista.

– Są i inni, równie zwariowani. Ci, którzy rządzą w kartelach, i ci z Pierścieni. Łatwiej jest zaślepić Schismatrix nienawiścią, niż zaakceptować nasze możliwości. Poselstwa wysyłane do obcych nie przyniosły żadnych efektów – i nic dziwnego, skoro nie potrafimy poradzić sobie z „obcymi”, z którymi łączy nas wspólna przeszłość i przodkowie. Rozpadamy się na podgatunki. Musimy dokończyć ten proces i połączyć się ponownie, na bardziej podstawowym poziomie.

– Jeżeli rodzaj ludzki rozbije się na podgatunki, co niby miałyby go na powrót scalić?

Wells przeniósł wzrok na wideościanę i pierścieniem na palcu wskazującym zatrzymał jedną z transmisji.

– Słyszał pan kiedyś o stopniach złożoności Prigogine'a?

Lindsay odczuł nagle przygnębienie.

– Nigdy nie przepadałem za metafizyką, panie Wells. Pańskie przekonania religijne mnie nie interesują. Miałem kobietę, która mnie kochała, i miałem dach nad głową. Reszta jest abstrakcją.

Wells nie odrywał wzroku od ekranu. Przemknął po nim obraz wydruku dotyczącego skandalicznej dezercji z Ceres.

– Ach tak, panią pułkownik profesor. W tym nie mogę pomóc; potrzebowałby pan porywacza, żeby ją stamtąd wyciągnąć, a tu nikogo takiego pan nie znajdzie. Powinien pan spróbować na Ceres albo na Bettinie.

– Moja żona jest upartą kobietą. Tak jak i pan, wierzy w swoje ideały. Jedynie pokój pozwoli nam się ponownie połączyć, a w naszym świecie istnieje tylko jedno jego źródło: Inwestorzy.

Wells zaśmiał się krótko.

– Wciąż powtarza pan ten sam tekst, kapitanie doktorze? – Nagle przeszedł na kulawy inwestorski: – Pański argument stracił na wartości.

– Oni też mają swoje słabe punkty, panie Wells – odparł Lindsay podnosząc głos. – Myśli pan, że jestem mniej zdesperowany niż katakliści? Proszę zapytać swojego przyjaciela, Riumina; on panu powie, czy potrafię rozpoznać czyjeś słabości i czy zabraknie mi woli, by je wykorzystać. Pokój Inwestorów... Owszem, przyłożyłem do niego ręki. Dawał mi to, czego chciałem. Stałem się pełnym człowiekiem. Nie ma pan pojęcia, co to dla mnie znaczyło... – przerwał, zdając sobie sprawę, że poci się mimo panującego w biurze chłodu.

Wells był zaszokowany i Lindsay zrozumiał nagle, że jego wybuch przeczył wszystkim zasadom dyplomacji. Ta myśl napełniła go dziką satysfakcją.

– Zna pan prawdę, panie Wells. Od lat jesteśmy pionkami Inwestorów. Czas odwrócić szachownicę.

– To znaczy zaatakować obcych?

– A cóż by innego, głupcze? Jaki mamy wybór?

Z podstawy lampy dobiegł kobiecy głos:

– Panie Abelardzie Mavrides, jest pan aresztowany.

\* \* \*

Drzwi windy zamknęły się z sykiem i przeciążenie przycisnęło ich do podłogi, gdy ruszyli w górę.

– Oprzyj ręce o ścianę, proszę – powiedziała łagodnie Greta. – Cofnij stopy.

Lindsay posłuchał jej bez słowa. Stareńka winda terkotała donośnie, wznosząc się po pionowych szynach na ścianie rozpadliny Dembowskiej. Przebyli dwa kilometry. Grela westchnęła.

– Musiałeś zrobić coś okropnego.

– To nie twoje zmartwienie.

– Według przepisów powinnam poprzecinać ci obwody w tej metalowej ręce. Ale tego nie zrobię. Przypuszczam, że to także moja wina. Gdybym stworzyła ci lepsze, bardziej przytulne warunki, nie zachowywałbyś się jak fanatyk.

– Nie mam wbudowanej żadnej broni – rzekł Lindsay. – Na pewno oglądałaś moje ramię, kiedy spałem.

– Nie rozumiem twojej upartej podejrzliwości, Bela. Skrzywdziłam cię jakoś?

– Opowiedz mi o serotoninistach zen.

Wyprostowała się lekko.

– Nie wstydzę się, że do nich należę. Byłabym ci o tym powiedziała, ale nie próbujemy nawracać

innych. Przekonujemy przykładem.

– Godne pochwały.

Greta zmarszczyła brwi.

– W twoim wypadku powinnam była zrobić wyjątek. Przykro mi z powodu bólu, jaki musisz odczuwać. Kiedyś poznałam, co to ból.

Lindsay milczał.

– Urodziłam się na Themis. Poznałam tam paru kataklistów, lodowych zabójców z odłamu mechów. Wojsko znalazło komorę kriogeniczną, w której wysłali jednego z moich mistrzów w podróż bez powrotu w przyszłość, żeby doznał oświecenia. Nie czekałam na aresztowania. Uciekłam na Dembowską. Tutaj Harem się o mnie upomniał i zostałam kurwą na dworze Camassusa. Nie przepadałam za tym, ale wtedy trafiłam na serotoninę zen.

– Serotonina to neuroprzekaźnik wydzielany przez mózg – zauważył Lindsay.

– To system filozoficzny – odparła. – Kształcerze i mechanisci nie mają nic wspólnego z filozofią; to technika w służbie polityki. W istocie obie te ideologie odwołują się do zaawansowanej technologii. Nauka podzieliła ludzkość. Kiedy nadeszła fala anarchii, ludzie walczyli o społeczeństwo. Politycy tak dobierali sobie wrogów, żeby strachem zniewolić swoich zwolenników. Społeczeństwo nie wystarcza, kiedy na każdym kroku czyhają pokusy i namawiają do spróbowania innego sposobu na życie. Bez nienawiści nie istniałyby ani Rada Pierścieni, ani Związek Karteli. Bez bata nie ma mowy o jedności.

– Życie lubi podgatunki – mruknął Lindsay pod nosem.

– To Wells, z całym tym jego pomieszaniem fizyki i etyki. Potrzebujemy stabilizacji, spokoju, jasności. – Greta wyciągnęła przed siebie rękę. – Ten biomonitor jest podłączony do moich żył. Strach to dla mnie puste słowo; nie istnieje nic, czemu nie mogłabym stawić czoła i czego nie mogłabym na zimno przeanalizować. Dzięki serotoninie zen światło rozsądku rozświetla całe moje życie. Ludzie zwracają się ku nam szczególnie w chwilach kryzysu. Z dnia na dzień zyskujemy nowych zwolenników.

Lindsay przypomniał sobie fale mózgowe wyświetlane na baldachimie.

– Czyli znajdujesz się w permanentnym stanie alfa.

– Oczywiście.

– Śniesz czasem?

– Mamy swoją wizję. Potrafimy dostrzec nowe technologie, prądy, które burzą życie ludzi. Rzucamy się prosto w nie; zapewne pojedynczo nie znaczymy więcej niż osobne drobiny materii, ale wspólnie tworzymy osad, który spowalnia postęp. Wielu wynalazców jest niepokieszonych po tym, jak na serotoninie zen tracą swoją neurotyczną chęć do majsterkowania.

Lindsay uśmiechnął się ponuro.

– Nie przypadkiem przydzielono cię do mnie.

– Jesteś głęboko nieszczęśliwy. To dlatego masz teraz kłopoty. Serotoniści zen mają w Haremie sporo do powiedzenia. Przyłącz się do nas. Możemy cię ocalić.

– Kiedyś byłem szczęśliwy, Greto. Nigdy tego nie zrozumiesz.

– Silne wzruszenia nie są naszą mocną stroną, Bela. Staramy się uratować rodzaj ludzki.

– Powodzenia – powiedział Lindsay.

Winda dotarła na miejsce.

Stary akromegalik cofnął się, żeby podziwiać własne dzieło.

– Pasek w porządku, astrognido? Możesz oddychać?

Lindsay kiwnął głową. Mordercza klamra wgryzała mu się boleśnie w podstawę czaszki.

– Reaguje na sygnały z mózgu – poinformował go olbrzym. Zdeformowana przez nadmiar hormonu wzrostu szczeka upodobniała go do buldoga z krzywym zgryzem. Mówił niewyraźnie. – Pamiętaj, powoli przestawiaj stopy. Żadnych gwałtownych ruchów. Nie myśl o tym, żeby przyspieszyć, a nic ci się w głowę nie stanie.

– Od dawna się tym zajmujesz?

– Wystarczająco.

– Należysz do Haremu?

Olbrzym spiorunował Lindsaya wzrokiem.

– Jasne, pieprzę Carnassusa. A jak myślisz? – Ogromną dłonią złapał Lindsaya za twarz. – Widziałeś kiedyś własne oko? Może ci jedno wydłubię; komendant każe ci przeszczepić nowe. – Lindsay skrzywił się odruchowo, a olbrzym wyszczerzył w uśmiechu koślawe zęby. – Widziałem już takich jak ty, kształcerskich antybiotyków. Kiedyś jeden taki mnie wykiwał. Może ci się wydaje, że okpisz klamrę; a może myślisz, że zabijesz panią komendant nie ruszając się z miejsca, co? Tylko nie zapominaj, że wychodząc spotkasz się ze mną. – Przesunął dłoń na ciemność Lindsaya i podniósł go z wyłożonej rzepem podłogi. – A może masz mnie za głupka?

– Zachowaj takie teksty dla dziwek, *yakuza* – powiedział Lindsay, przechodząc na handlową odmianę japońskiego. – A może Wasza Ekscelencja wypiąłby mi tę klamrę i raczył walczyć gołymi rękoma?

Zaskoczony olbrzym parsknął śmiechem i delikatnie odstawił Lindsaya na podłogę.

– Przepraszam, przyjacielu. Nie sądziłem, że jesteś jednym z nas.

Lindsay przeszedł przez służę. Powietrze po jej drugiej stronie miało temperaturę ciała. Cuchnęło potem i perfumami, zmieszanymi z wonią fiołków. Ostry skowyt syntezatora nagle się urwał.

Pokój był z ciała, z żywej tkanki, z aksamitnej brązowej skóry, gdzieniegdzie przetykanej pasmami lśniących kruczonych włosów i liliowymi fragmentami śluzówek. Nie było w nim ani jednej prostej linii; wszystkie powierzchnie się zakrzywiały: zarówno sofę, jak i okrągłą cielista masę, przywodząca na myśl łożo poznaczone fiołkowymi otworami. Pod stopami Lindsaya arteria o średnicy solidnej rury pulsowała w rytm przepływu krwi.

Kolejna zakapturzona lampa na przegubowym, okrytym lśniącą skórą ramieniu podniosła się i ciemnymi oczyma zajrzała Lindsayowi w twarz. W stojącym obok podnóżku otworzyły się usta.

– Zdejmij te buty z rzepami, skarbie. Drapią.

Lindsay usiadł.

– To ty, Kitsune.

– Wiedziałeś to od chwili, gdy zobaczyłeś moje oczy w biurze Wellsa. – Łagodny pomruk dobiegał ze ściany.

– Właściwie upewniłem się dopiero na widok twojego ochroniarza. Upłynęło dużo czasu. Przepraszam za buty. – Usiadł i ściągnął obuwie, powstrzymując dreszcz wywołany kontaktem z ciepłym, wrażliwym fotelem. – Gdzie jesteś?

– Otaczam cię. Moje oczy i uszy są wszędzie.

– A twoje ciało?

– Pozbyłam się go.

Lindsay zaczynał się pocić; po czterech tygodniach spędzonych w zimnych wnętrzach Dembowskiej panujący w tym pomieszczeniu upał był obezwładniający.

– Wiedziałaś, że to ja?

– Jesteś jedynym, którego miałam ochotę zatrzymać przy sobie i który mnie porzucił. Nie mogłam cię zapomnieć.

– Świetnie sobie poradziłaś, Kitsune – rzekł Lindsay. Starał się ukryć przerażenie, przywołując na pomoc całą na wpół zapomnianą samodyscyplinę. – Dziękuję ci, że zabiłaś tego antybiotyka.

– To było łatwe – odparła. – Wyobrażałam sobie, że to ty. – Zawahała się. – W Geisha Banku dali się nabrać na twoją sztuczkę. Sprytnie postąpiłeś, zabierając głowę *yarite*.

– Chciałem zrobić ci prezent na pożegnanie – odrzekł ostrożnie Lindsay. – Dać ci władzę absolutną.

Rozejrzał się po otaczających go fragmentach ciała, ale nigdzie nie dostrzegł twarzy. Ze ścian i podłogi dobiegało stłumione, synkopowane dudnienie kilku serc.

– Niepokoiło cię to, że pragnę władzy bardziej niż ty?

Lindsay miał mętlik w głowie.

– Zmądrzałaś przez te lata. Tak, to prawda. Mógłby nadejść taki dzień, kiedy musiałabyś wybierać między mną i swoimi ambicjami, ja zaś wiedziałem, jaką podejmiesz decyzję. Czy odchodząc postąpiłem źle?

Na chwilę zapadła cisza, a potem kilkoro ust równocześnie wybuchnęło śmiechem.

– Każda wymówka byłaby wiarygodna, kochany. Tak wyglądał twój prezent. Nie, od tamtego czasu miałam wielu faworytów; byłeś świetną bronią, ale trafiły mi się i inne. Wybaczam ci.

– Dziękuję, Kitsune.

– Możesz uznać, że nie jesteś już aresztowany.

– Jesteś bardzo szczodra.

– No dobrze, a o co chodzi z tym wariactwem wokół Inwestorów? Nie rozumiesz, jak bardzo Układ jest od nich uzależniony? Każda frakcja, która im się sprzeciwi, sama sobie poderżnie gardło.

– Miałem na myśli coś bardziej subtelnego. Moglibyśmy ich przekonać, żeby sami zaczęli sobie bruździć.

– To znaczy?

– Zaszantażować ich.

Część ust zaśmiała się nerwowo.

– Czym, najdroższy?

– Perwersje seksualne.

Zamontowane na organicznym wsporniku oczy podniosły się i spojrzały Lindsayowi w twarz. Widział, jak rozszerzają się w nich źrenice – pierwsza wskazówka kinezyczna – i zrozumiał, że trafił w dziesiątkę.

– Masz dowody?

– Przekazałbym ci je bez namysłu, ale kłamra mi nie pozwala.

– Zdejmij ją. Już jest zneutralizowana.

Lindsay położył klamrę na drżącym oparciu fotela. W samych skarpetkach podszedł do łóżka i zza pazuchy wyjął wideomonokl.

W wezłowie łoża otworzyła się para oczu. Dwoje smukłych ramion wychyło z okolonych miękkim włosiem szczelin. Jedna z dłoni ujęła monokl i przyłożyła go do oka.

– Nastawiłem go na odtwarzanie od początku nagrania – rzekł Lindsay.

– Ale to nie jest początek taśmy.

– Pierwszą część zajmuje...

– Tak – ucięła lodowatym głosem Kitsune. – Widzę. To twoja żona?



– Owszem.

– Mniejsza z tym. Gdyby przybyła tu z tobą, sprawy mogłyby potoczyć się inaczej. Teraz jednak postawiła się Constantine'owi.

– Znasz go?

– Ależ oczywiście! Zasypał Zaibatsu ofiarami swojej czystki. Kształcerze z Rady Pierścieni są zbyt dumni, żeby uwierzyć, że bezplanowiec może dorównać im w snuciu intryg. Twoja żona już jest martwa.

– Może jest jeszcze...

– Zapomnij o niej. Przeżyliście swoje lata w pokoju, następne należą do niego. Ach... – Kitsune się zdziwiła. – Kręciłeś to na statku Inwestorów? Na tym, którym tu przyleciałeś?

– Tak, osobiście.

Jęk, który dobył się z ust Kitsune, był wyrazem czystej przyjemności. Jedno z olbrzymich serc znajdowało się pod łóżkiem i Lindsay poczuł, jak zaczyna szybciej bić.

– To ich królowa, kapitan. Cóż za przyjemność, pokonać te Inwestorki i ośmieszyć ich rządy. Ohydny stwór. Ależ sprawiłeś mi radość, Lin Dze, Mavridesie, Miłoszu.

– Nazywam się Abelard Malcolm Tyler Lindsay.

– Wiem. Constantine mi powiedział. A ja go przekonałam, że nie żyjesz.

– Dziękuję, Kitsune.

– Czymże jest dla nas imię? Nazywają mnie komendantką policji. Liczy się władza, skarbie, nie fasada. Oszukałeś kształcerzy z Pierścieni. Mechanisci padli moim łupem. Przeniosłam się do karteli, obserwowałam, czekałam. I pewnego dnia znalazłam Carnassusa, ostatniego żywego członka misji. – Kitsune zaśmiała się swobodnie, wysokim, perlistym śmiechem, który dawno temu Lindsay tak dobrze znał. – Mechowie wysłali swoich najlepszych ludzi, ale ci okazali się za silni, zbyt sztywni i delikatni. Pokonała ich niezwykłość otoczenia i odosobnienie. Camassus musiał zabić pozostałą dwójkę; do tej pory budzi się z krzykiem na wspomnienie tamtego dnia. Tak, nawet w tym pokoju. Jego firma zbankrutowała. Wykupiłam go z tego wraku razem z całym dziwacznym łupem.

– W Pierścieniach mówi się, że on tu rządzi.

– To oczywiste; tak im przecież powiedziałam. Zajęli się nim moi chirurdzy. W jego mózgu nie ma ani jednego neuronu, który nie stopiłby się pod wpływem tej przyjemności. Życie stało się dla niego proste – jeden wielki sen o ciele.

Lindsay rozejrzał się po pokoju.

– A ty jesteś jego faworytą – rzekł.

– Czy mogłabym choćby tolerować inne rozwiązanie, najdroższy?

– Nie przeszkadza ci, że inne jego żony są serotonistkami zen?

– Nie obchodzi mnie, co myślą ani co twierdzą, że myślą. Są mi posłuszne, więc nie interesuję się ich ideologią. Dbam o przyszłość.

– Ach tak?

– Nadejdzie taki dzień, kiedy z Carnassusa nie da się już więcej wycisnąć. Z czasem produkty krioniczne stracą atut nowości. Wystarczy, że ta technologia się rozpowszechni.

– To może potrwać całe lata.

– Jak wszystko. Wszystko jest kwestią lat. Statek, który cię tu przywiózł, opuścił Układ Słoneczny.

– Jesteś pewna? – Lindsay nie ukrywał zdumienia.

– Tak twierdzą moje banki danych. Kto wie, kiedy obcy wrócą?

– To bez znaczenia – rzekł Lindsay. – Poczekam.

– Ile, dwadzieścia lat? Trzydzieści?

– Ile będzie trzeba – powiedział Lindsay, choć na tę myśl serce podeszło mu do gardła.

– Carnassus do niczego mi się już wtedy nie przyda i będę potrzebowała nowej fasady. Czy może być lepsza figurantka od inwestorskiej królowej? Warto zaryzykować. Będziecie z Wellsem dla mnie nad tym pracować.

– Oczywiście, Kitsune.

– Zapewnię wam niezbędne zaplecze, ale nie próbuj wydać choćby kilowata po to, żeby uratować tę kobietę.

– Postaram się myśleć wyłącznie o przyszłości.

– Carnassus i ja będziemy potrzebowali kryjówki. Znalezienie jej ma najwyższy priorytet.

– Możesz na mnie polegać – rzekł Lindsay.

Powiedziała „Carnassus i ja”, pomyślał.

\* \* \*

*Kartel Dembowska, 14. 02.'58*

Lindsay siedział nad ostatnimi stronami raportu z posiedzenia komisji recenzentów. Wprawnie przerzucał strony, przyswajał sobie streszczenia, przerzucał kolejne akapity i zaznaczał najgorsze przypadki żargonu technicznego. Pracował skutecznie.

Wszystkie zasługi szły na konto Wellsa, który powierzył Lindsayowi stanowisko dziekana wydziału na Kosmosytecie i złożył redakcję „Dziennika Studiów Egzoarchozaurycznych” w jego ręce.

Lindsay popadł w rutynę. Z ulgą przyjmował odmianę w postaci prac badawczych i zajęć administracyjnych, które odbierały mu resztki wolnego czasu, więc nie miał kiedy odczuwać bólu. W mieszczącym się w Rozpadlinie biurze, na obrzeżach niedawno ukończonego Kosmosytetu, zasiadał w niskograwitacyjnym obrotowym fotelu, gromadził plotki, podlizywał się, przekupywał kogo trzeba i handlował informacją. Już w tej chwili „Dziennik” stanowił największą nieoficjalną bazę danych na temat Inwestorów, a w jego utajnionych archiwach roiło się od spekulacji i doniesień szpiegów. Lindsay znajdował się w samym środku nurtu wydarzeń; pracował z wytrwałością młodzika i cierpliwością starca.

Przez pięć lat, odkąd przybył na Dembowską, śledził postępy Wellsa kroczącego od sukcesu do sukcesu. Przy braku państwowej ideologii wpływy Wellsa i jego Kliki Węglowej sięgały w kolonii coraz dalej, zahaczając z czasem o sztukę, media i życie naukowe.

Dla członków kierowanej przez Wellsa grupy ambicja stanowiła wadę wrodzoną. Lindsay przystąpił do Kliki bez nadmiernego entuzjazmu, znalazłszy się jednak w sąsiedztwie aktywistów, przejął ich poglądy. Przejął też miejscowe bakterie, a także upodobania – włosy miał połyskliwie wybrylantynowane, wąsy rozdzielone pośrodku, by znalazło się miejsce na przyklejany do wargi mikrofon, a na pomarszczonych palcach lewej dłoni nosił pierścienie do sterowania obwodami wideo.

Przy pracy lata upływały niepostrzeżenie. Kiedyś Lindsay miał wrażenie, że czas jest tworem gęstym i ciężkim niczym ołów, teraz zaś błyskawicznie przeciekał mu przez palce. Sposobem postrzegania tego zjawiska zbliżał się do starych kształcerzy, których poznał w Goldreich-Tremaine: dla najstarszych spośród nich czas był rzadki jak powietrze, jak ostry, niszczycielski wicher, który zaciera ich przeszłość i wymazuje wspomnienia. Czas przyśpieszał i tylko śmierć mogła spowolnić jego bieg. Lindsay posmakował tej prawdy – była gorzka jak amfetamina.

Ponownie skoncentrował się na dokumentach: miał przed sobą wyniki powtórnej analizy łuski Inwestora, znalezionej w dobytku niedosłej mechanistycznej ambasady międzygwiazdnej. Niewiele okazji poddano tak szczegółowym badaniom. Artykuł nosił tytuł „Bliskozasięgowe gradienty przylepności komórek naskórka”, a jego autorką była kształcerska renegatka osiadła w kartelu Diotima.

Biurko zadzwoniło, oznajmiając przybycie gościa.

Zainstalowany w biurze Lindsaya dyskretny system alarmowy znamionował charakterystyczne wpływy Wellsa. Gościowi wydano stylową koronę – takie korony zastąpiły prymitywne mordercze klamry. Maleńka czerwona lampka, niewidzialna dla gościa, świeciła mu na czole, wskazując ewentualny cel dla ukrytej w suficie broni.

– Pan profesor Miłosz?

Strój gościa wyglądał dziwnie: biały, oficjalny garnitur z rozpiętym okrągłym kołnierzykiem i harmonijkowymi osłonami stawów.

– Pan doktor Morrisey? Ze Związku?

– Z Republiki Mare Serenitatis. Przysłała mnie doktor Pongpianskul.

– Pongpianskul nie żyje – rzekł Lindsay.

– Tak mówią. – Morrisey pokiwał głową. – Został rzekomo zgładzony z rozkazu przewodniczącego Constantine'a, ale okazało się, że miał w Republice przyjaciół, i to tyłu, że dziś sprawuje władzę w państwie. Przybrał tytuł strażnika, natomiast kraj odrodził się jako Neoteniczna Republika Kulturalna. Jestem zwiastunem rewolucji. – Morrisey się zawahał. – Może lepiej by było, gdyby pan Pongpianskul osobiście o wszystkim panu opowiedział.

Lindsay był oszołomiony.

– Chyba tak.

Mężczyzna wyjął przenośny ekran wideo i podłączywszy go do swojej dyplomacji, podał Lindsayowi. Na ekranie pojawiła się twarz Pongpianskula, który pomarszczonymi dłońmi rozgarnął warkocze.

– Jak się masz, Abelardzie?

– Neville, ty żyjesz?

– Wciąż spłacam daninę ciała, owszem. W teczkę Morriseya wbudowano interaktywny system ekspercki, który pod moją nieobecność powinien dać sobie radę z poprowadzeniem przyzwoitej konwersacji.

Morrisey odchrząknął.

– Nie znam się na tych nowych maszynach – rzekł. – Sądzę jednak, że powinienem zostawić panów samych.

– Tak byłoby najlepiej.

– Zaczekam na korytarzu.

Lindsay odprowadził gościa wzrokiem, nie mogąc oderwać oczu od jego niecodziennego stroju. Zdążył zapomnieć o tym, że dawno temu, w Republice Mare Serenitatis, sam ubierał się podobnie.

Wrócił spojrzeniem do ekranu.

– Dobrze wyglądasz, Neville.

– Dziękuję. Ross załatwił mi ostatnią kurację odmładzającą, u kataklistów. Tych samych, którzy zajęli się tobą, Mavrides.

– Zajęli się mną? Wyłączyli mnie z obiegu.

– Wyłączyli? To dziwne. Mnie obudzili i muszę przyznać, że nigdy nie czułem się tak młodo jak tu, w Republice, gdzie udaję trupa. Minęło długie dziesięć lat, Abelardzie. Może jedenaście, mniejsza o

to. – Pongpianskul wzruszył ramionami.

Lindsay posłał mu „spojrzenie”, ale obraz na monitorze nie zareagował i cały czar prysnął.

– A więc zaatakowałaś Republikę? – przemówił powoli Lindsay. – Korzystając z siatki terrorystycznej kataklistów?

Twarz na ekranie uśmiechnęła się uśmiechem Pongpianskula.

– Nie ukrywam, katakliści mieli w tym swój udział. Spodobałoby ci się, Mavrides: wykorzystałem ich młodość. Była tam taka grupa polityczna, Zachowawcy, licząca sobie ze czterdzieści czy pięćdziesiąt lat. Constantine wykorzystał ich przejmując władzę, ale oni równie zdecydowanie odrzucali kształcerzy, co i mechów. Chodziło im wyłącznie o życie, jakkolwiek zabawne by się nam to wydawało. Pojawiło się nowe pokolenie, wychowane pod rządami kształcerzy i nienawidzące ich szczerze. Jednakże dzięki kształcerskiej polityce hodowlanej młodzi mają teraz większość. – Pongpianskul się zaśmiał. – Constantine wykorzystał Republikę jako koszary dla kształcerskich wojskowych i zmienił politykę w bagno sztuczek i podstępów. Kiedy wojna rozgorzała na dobre, żołnierze wrócili do Pierścieni, a ich miejsce zajęli superinteligenci, katakliści. Constantine spędził za dużo czasu w Pierścieniach, wypadł trochę z obiegu... A kataklistom podoba się mój pomysł założenia tu rezerwatu kulturalnego. Wszystko zostało zapisane w nowej konstytucji. Mój wysłannik przekaże ci jej egzemplarz.

– Dziękuję.

– Reszcie Kliki Północy nie powiodło się najlepiej... Dawno już nie rozmawialiśmy. Wytropiłem cię przez twoją byłą żonę.

– Przez Alexandrinę?

– Słucham? – Automat wyraźnie się zmieszał. Obraz na ekranie zamrugał. – Kosztowało mnie to trochę wysiłku, bo Nora jest pod stałą obserwacją.

– Zaczekaj chwilę. – Lindsay wstał i nalał sobie drinka. Do głowy napłynęła mu fala wspomnień z Republiki, nic więc dziwnego, że odruchowo pomyślał o pierwszej żonie, Alexandrinie Tyler, która oczywiście nie mogła przebywać w Mare Serenitatis. Padła ofiarą czystki Constantine'a i trafiła do Zaibatsu.

Wrócił na fotel.

– Kiedy G-T zaczęło się sypać, Ross uciekł, żeby szukać szczęścia wśród komet – mówił dalej głos z ekranu. – Fetzko zwiądnął. Vetterling udał się do Unii Ślizgaczy i włączył w tyłek tamtejszym faszystom. Lodowi zabójcy dopadli Margaret Juliano, która wciąż czeka na odmrożenie. Teraz ja tu rządę, Mavrides, ale nie potrafię odzyskać tego, co straciliśmy.

– Jak miewa się Nora?

Fałszywy Pongpianskul się nachmurzył.

– Walczy z Constantine'em tam, gdzie jest najmocniejszy. Bez niej mój zamach stanu nigdy by się nie powiódł. Odwróciła uwagę Constantine'a... Miałem nadzieję, że uda mi się tu zwabić was oboje. Zawsze była dla nas dobrą, wspaniałą gospodynią.

– Nie chciała przylecieć?

– Wyszła powtórnie za mąż.

Lindsay zgniótł w dłoni ozdobny kieliszek. Krople płynu wolno poszybowały ku podłodze.

– Z powodów politycznych – ciągnął Pongpianskul. – Potrzebuje każdego sprzymierzeńca, jaki jej się trafi. I tak trudno byłoby namówić cię, żebyś do mnie przystał; poza mną i moimi urzędnikami nikt po sześćdziesiątce nie ma prawa wstępu do Neotenicznej Republiki Kulturalnej.

Lindsay wyszarpnął przewód z gniazda w ekranie i pomógł małemu robotowi biurowemu pozbierać z podłogi szkło.

Kiedy po dłuższym czasie wezwał do siebie Morriseya, gość zachowywał się z rezerwą.

– Skończyli panowie rozmowę? Kazano mi wykasować zawartość pamięci.

– Miło, że przyniósł pan ten dokument. – Lindsay gestem wskazał Morriseyowi krzesło. – I dziękuję, że zechciał pan tyle czekać.

Morrisey wyczyścił pamięć urządzenia i schował ekran do teczki. Przeniósł wzrok na twarz Lindsaya.

– Mam nadzieję, że nie przyniosłem złych wieści.

– Nie były złe, lecz zdumiewające – powiedział Lindsay. – Może powinniśmy się napić, żeby je uczcić.

Po twarzy Morriseya przemknął cień.

– Proszę mi wybaczyć, chyba zachowałem się nietaktownie – rzekł Lindsay i odstawił butelkę, w której zostało już niewiele płynu.

– Mam sześćdziesiąt lat – rzekł Morrisey i niepewnie przysiadł na krześle. – Wyrzucili mnie. Bardzo grzecznie zresztą. – Uśmiechnął się smutno. – Byłem kiedyś Zachowawcą. Podczas pierwszej rewolucji miałem osiemnaście lat. Cóż za ironia losu, prawda? Teraz jestem gnidą.

– Mam tu pewną pozycję – zaczął ostrożnie Lindsay. – I fundusze. Na Dembowskiej osiedla się wielu uchodźców. Mógłbym znaleźć dla pana miejsce.

– Jest pan nad wyraz uprzejmy. – Twarz Morriseya nie wyrażała niczego. – Zatrudniono mnie jako biologa przy rozwiązywaniu kłopotów ekologicznych państwa. Uczyłem się u doktora Constantine'a. Obawiam się jednak, że moja wiedza dawno się zdezaktualizowała.

– To się da nadrobić.

– Przywiozłem artykuł dla pańskiego „Dziennika”.

– Tak? Interesuje się pan Inwestorami, doktorze Morrisey?

– Owszem. Mam nadzieję, że moja praca spełni wasze wymagania.

Lindsay zmusił się do uśmiechu.

– Wspólnie ją doszlifujemy.

## Rozdział 7

*Unia Ślizgaczy, 13. 05.'75*

Czuł, jak nadchodzi, pełznąc mu w górę karku; ruchoma sfera podskórnego mrowienia – fuga. Obraz, który śledził, zafalował lekko, tłum zgromadzony poniżej jego łoża rozmazał się i przeobraził w płaski fryz przedstawiający gęsto upakowane głowy na ciemnym tle, na zaokrąglonej scenie aktorzy w czerwonych strojach nieruchomieli w pół gestu, poruszali się coraz wolniej i wolniej... Wszystko zamarło.

Strach... właściwie nie – raczej smutek, który przyszedł po tym, jak kości zostały rzucone. Najgorsze było czekanie... Czekał sześćdziesiąt lat, żeby odnowić stare kontakty w Republice, na nowo wkraść się w łaski druciarzy, Starych Radykałów... Teraz zaś druciarze, tacy jak on, z wolna zyskiwali na znaczeniu także w innych światach. Sześćdziesiąt lat niewiele znaczyło dla odrutowanego umysłu... czas tracił sens... fugi... Pamiętali go doskonale, pamiętali swojego przyjaciela, Philipa Khouri Constantine'a...

To on ich wyzwolił, eliminując arystokratów w średnim wieku i sponsorując ich dezercję...

Napłynęła fala wspomnień, czystych danych z nieznanych szpul taśmy, świeżych jak Margaret Juliano spoczywająca na lodowym łożu kataklistów... Przyptyw satysfakcji był ostry, mocny i nawet w fudze przedarł się do świadomości Philipa... Niepowtarzalne uczucie ciepła, które mogło mieć tylko jedno źródło: upadek rywala...

Myśli pędziły mu przez głowę jak oszalałe, ich śladem zaś leniwie snuł się narastający lęk... Nora Everett, żona Abelarda Mavridesa... Przed siedemnastu laty, podczas przewrotu w Republice, dała mu się we znaki, chociaż ostatecznie zdołał oplatać ją pajęczyną oskarżeń o zdradę... Republika niewiele dlań teraz znaczyła, a jej dziecienni mieszkańcy udawali, że nie wiedzą, co się dzieje, zajmowali się głównie puszczaniem latawców i jedzeniem jabłek pod opieką tego szarlatana, doktora Pongpianskula... Z ich strony nie należało się spodziewać żadnych kłopotów, przyszłość zignoruje ich niczym żywe skamieliny, całkowicie nieszkodliwe...

Ale katakliści... strach odezwał się głośniejszy, nasilił i pierwsze podświadome sygnały zaczęły z wolna nabierać emocjonalnych kształtów, rozpluwając się po świadomości niczym kropla atramentu wpuszczona do szklanki z wodą... Później, po zakończeniu fugi, zajmie się emocjami; na razie ze wszystkich sił starał się zamknąć oczy... Nie mógł skupić wzroku, aktorów przesłoniła mu rozmazana, łożawa mgiełka. Powieki opadały mu nieznośnie powoli, gdy narzucony przez fugę inny stan świadomości utrudniał rozprzestrzenianie się impulsów nerwowych... Ci katakliści... Potraktowali całe zdarzenie jak zakrojony na niewiarygodną skalę żart; bawiło ich ukrywanie się w Republice, w przebraniu farmerów i plebejuszy. Rozległa wewnętrzna panorama świata była dla nich równie niesamowita, jak śladowa dawka ich ulubionego narkotyku PDKL-95... Umysł kataklisty karmił się poetyckim poczuciem sprawiedliwości; podróż w przeszłość rodzaju ludzkiego, jaka dokonała się w Republice Neoteniczej, stanowiła odwrotność lodowego zabójstwa, które dawało bilet w jedną stronę, w przyszłość...

Fuga dobiegała końca. W ostatnich mikrosekundach doświadczył jeszcze jednego ejdetycznego przebłytku: mignęły mu zdjęcia z badań powierzchni Tytana, czerwone wulkaniczne złomy ciężkich węglowodorów, pocięte jęzorami wypływającej z otchłani amoniakalnej lawy... z Tytana, leżącego w dole, poniżej ich orbity... Takie obrazy stanowiły główne motywy zdobnicze w Związku.

Koniec. Constantine pochylił się w krzesło i odchrząknął. Z opóźnieniem dosięgła go fala lęku, ale szybko ją odepchnął i wciągnął do nosa odrobinę acetaminofenu, żeby odpędzić bliską migrenę. Spomiędzy wilgotnych rzęs zerknął za zegarek. Fuga trwała cztery sekundy.

Otarł oczy, zdając sobie sprawę z obecności siedzącej obok żony. Jej subtelna, kształcierska twarz wyrażała czyste zdumienie. Czy zauważyła, że przez cztery sekundy siedział bez ruchu? Nie. Uznała, że wzruszył się treścią przedstawienia i zdziwiła się niepomiernie, iż chłodny, opanowany mąż mógł okazać tyle emocji. Constantine uśmiechnął się do niej życzliwie, na co zareagowała rumieńcem. Złożywszy dłonie na kolanach, wychyliła się z fotela, śledząc przebieg sztuki. Później będzie chciała o niej porozmawiać. Natalie Constantine była młoda i inteligentna. Wywodziła się z linii genetycznej wojowników i nauczyła się spełniać jego żądania.

W przeciwieństwie do pierwszej żony Philipa, zdradzieckiej suki... Zostawił starą arystokratkę w Republice. Z początku bardzo dbał o pomyślność jej wrednego rodu, ale tylko do czasu, gdy podczas własnego przewrotu mógł zwrócić go przeciw jej rywalom. Teraz, jeśli wierzyć plotkom, została kochanką Pongpianskula; uwiódł ją swym fałszywym kształcierskim wdziękiem i staroświecką elegancją. Ale to nieważne, nieważne. Czas zaleczył tę ranę. Dzisiejsza akcja, jeśli do niej dojdzie, będzie ważniejsza od wszystkich okołoksiężycówek razem wziętych.

Vera, dziewięcioletnia córka Constantine'a, przysunęła się do Natalie i szeptała jej coś do ucha. Philip zapatrzył się na dziecko, które zbudował. Dziewczynka miała połowę genów Very Kelland,

pobranym zaniem pełniła samobójstwo. Przez wiele lat hołubił te geny jak najcenniejszy skarb, a gdy nadszedł właściwy moment, przelał je we własnego potomka. Była jego ulubienicą, jego pierworodną córką. Kiedy pomyślał o tym, co mógłby jej przynieść jego upadek, ponownie przebiegł go dreszcz lęku, jeszcze silniejszy niż przed chwilą – tym razem bowiem bał się nie o siebie.

Jakiś gwałtowny gest jednego z aktorów przyciągnął wzrok Philipa; nastąpiło poruszenie, gdy negatywny bohater, superinteligent, złapał się za głowę i padł na scenę. Constantine dyskretnie podrapał się w kostkę podeszwą stopawicy. Z biegiem lat jego wirus skórny funkcjonował coraz lepiej, powodując tylko krótkotrwałe wysypki na rękach i nogach.

Wystawiana sztuka, autorstwa Zeunera, była nudna. Unia Ślizgaczy przejęła zwyczaje Goldreich-Tremaine, tym bardziej że z okaleczonej byłej stolicy uciekło wielu dramaturgów. Jednakże współczesny teatr został całkowicie wyprany z życia. Taki na przykład Fernand Vetterling, autor „Białego amuletu” i „Doradcy technicznego”, zachowywał ponure milczenie i marniał pospołu ze swą popadłą w niełaskę, kształcerską małżonką. Inni artyści, identyfikujący się z odprężeniem, opłacali swe sympatie grzywnami bądź aresztem domowym. Niektórzy uciekli, inni zaś „weszli w niedoczas” i przyłączyli się do brygad kataklistów na cmentarzyskach.

Katakliści jednak również tracili wewnętrzną spójność i przeradzali się w gromadę zwykłych terrorystów. Superinteligentna elita znalazła się pod ostrzałem, a wymierzony w nich pogrom nasilał się wraz z narastaniem hysterii. Ich mentorzy stracili znaczenie na scenie politycznej; niektórzy padli nawet ofiarą zemsty własnych uczniów.

Superinteligenci w ogóle okazali się zbyt błyskotliwi, by żyć w społeczeństwie; potrzebowali wstrząsającej posadami świata, godnej nadludzi anarchii – a tego nikt nie mógł tolerować i Constantine ten brak tolerancji wykorzystał. Nigdy dotąd nie miał lepszych perspektyw na przyszłość: wysoki urząd, własna linia genetyczna, wolna ręka w awanturniczych działaniach wymierzonych przeciwko mechom i sieć informatorów wyczulona na wszelkie przejawy nielojalności.

Tego wieczora wszystko to postawił na jedną kartę. Czy doczeka się tak pożądanego wieści? Jak do niego dotrą? Przez ochroniarzy? Usłyszy je w słuchawce? A może odezwą się bezpośrednio w kradzionych, mechanistycznych wszczepach w mózgu, dzięki którym Constantine włączał się w krążące między druciarzami komunikaty? Albo...

Coś zaczęło się dziać. Tancerze z proporcami, odtwarzający złożony układ choreograficzny, rozsypali się nagle w nieładzie po scenie; kolorowe znaki korporacji i insygnia linii genetycznych spletały się i przestały wirować. Chaos wzmagający wykrzykiwane gromkim głosem polecenia. Ktoś unosił się w powietrzu na skraju sceny – nieszczęsny Charles Vetterling, którego starcza twarz promieniała triumfem i godnym służącego samozadowoleniem.

A więc stało się. Vetterling krzyczał, toteż aktor odtwarzający główną postać w sztuce podał mu mikrofon krtaniowy. Wzmocniony aparaturą głos Vetterlinga zagrzmiął nagle w całej sali.

– ... wojny! Na mechanistycznych rynkach zapanowała panika! Nysa, jedna z asteroid, zgłosiła akces do Rady Pierścieni! Powtarzam: kartel Nysa wystąpił ze Związku mechanistów i poprosił o przyjęcie do Rady na prawach protektoratu! Spotkanie Rady... – Słowa utonęły w ryku widzów i klekocie klamer, gdy wszyscy naraz zaczęli wypinać się z pasów i wstawać z miejsc. Vetterling mocował się z niepokornym mikrofonem i do zebranych dolatywały strzępy jego słów: – ... kapitulacji!... Za pośrednictwem banków Unii Ślizgaczy... przemysłowe... nowe zwycięstwo!

Zaczęło się wśród aktorów – mężczyzna będący gwiazdą przedstawienia wyciągnął rękę i ponad głowami tłumu wskazał lożę Constantine'a, krzyżąc coś do reszty obsady. Jedna z kobiet zaczęła klaskać i szybko dołączyli do niej następni, z promiennymi twarzami. Vetterling usłyszał rozbrzmiewający za jego plecami aplauz, odwrócił się i w mig ogarnął sytuację. Na jego twarzy

pojawił się wymuszony uśmiech, gdy dramatycznym gestem wskazał Constantine'a.

– Constantine! – wykrzyknął. – Panie i panowie, oto wielki kanclerz!

Bezpiecznie ukryty za przezroczystą osłoną Constantine wstał i oparł się o barierkę. Tłum wybuchnął prawdziwą burzą okrzyków i oklasków. Nagła radość, przynosząca krótkie wyzwolenie z mroków wojennego napięcia, oszołomiła ludzi jak narkotyk. Gdyby mu się nie udało, z identycznym zapałem zaszczuliłby go jak psa, ale wygrał, święcił triumf.

Odwrócił się do żony, której oczy zaszklily się łzami dumy. Powoli, nie puszczając barierki, podał Natalie rękę. Kiedy ich palce się zetknęły, spojrzał jej bacznie w twarz – i dostrzegł w niej prawdę: tego wieczora jego władza nad nią stała się całkowita.

Zajęła miejsce u jego boku. Vera z rozszerzonymi oczyma pociągnęła go za rękaw. Podniósł ją z podłogi i posadził sobie na ręce. Przytknął usta do jej ucha.

– Zapamiętaj to sobie – wyszeptał żarliwie.

Beładne krzyki ucichły, gdy z widowni wzbił się ponad nie rytm oklasków, powolnych, równych, rytualnych oklasków, takich samych, jakie kończyły każde posiedzenie Rady – rytm wieczny, uroczysty, obeszładniający, nie znoszący sprzeciwu. Muzyka władzy. Constantine podniósł dłoń żony ponad głowę i zamknął oczy.

To była najszcześniejsza chwila jego życia.

\* \* \*

*Kartel Dembowska, 15. 05.'75*

Lindsay grał na syntezatorze, żeby poćwiczyć nową rękę. Była znacznie doskonalsza od poprzedniej protezy i gubił się w subtelnościach generowanych przez nią sygnałów nerwowych. Grając jeden z utworów Kitsune czuł, jak każde naciśnięcie klawisza budzi krótkotrwałe, niepewne uczucie gorąca.

Przerwał i dla odpoczynku zatarł dłonie; seria drobnych ukłuc przebiegła po przewodach w dół ramienia. W sztucznych palcach gęsto upakowano sensory, znacznie czulsze od starych poduszek dotykowych.

Wymiana ręki zszarpała mu nerwy. Rozejrzał się po pustym mieszkaniu, które od dwudziestu dwóch lat traktował jak przejściowy przytułek. Wystrój wnętrza, razem z wyłaczaną tapetą i żeliwnymi krzesłami, wyszedł z mody dwie dekady temu i tylko system zabezpieczeń – najnowocześniejszy, jaki stosował Wells – miał coś wspólnego z teraźniejszością.

Sam Lindsay czuł, że śniedzieje. Miał dziewięćdziesiąt lat; niezmienny wyraz twarzy utrwalił mu zmarszczki w kącikach oczu i ust, a włosy i brodę gęsto przetykała siwizna.

Grał coraz lepiej. Do muzyki podszedł ze swą normalną, wręcz nieludzką systematycznością. Lata całe spędzał na ćwiczeniach, które mogły okazać się zabójcze, lecz najnowsza technika biomonitoringu pozwalała przewidywać kryzysy i zapobiegać im z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Wszystkim zajmowało się zautomatyzowane łożo, fundując mu podświadome przebłyski intensywnych, zamazanych marzeń sennych, dzięki którym każdego ranka wstawał wyprany z emocji, w idealnym stanie psychicznym.

Minęło osiemnaście lat, odkąd jego żona powtórnie wyszła za mąż. Bolesna świadomość jej czynu nigdy tak naprawdę w pełni nie zdołała go porazić. Kiedyś, jeszcze w Radzie, miał okazję poznać obecnego męża Nory; był nim Graham Everett, bezbarwny zwolennik odprężenia, z silnymi powiązaniem klanowymi. Nora wykorzystwała jego wpływy do odparcia ataków wojskowych.



Najsmutniejsze było to, że Lindsay pamiętał Everetta za słabo, żeby go nienawidzić.

Nagle ostrzeżenie przerwało mu grę. Ktoś zjawił się w holu przy wejściu. Skanery zapewniły Lindsaya, że ów gość – kobieta – ma w ciele wyłącznie nieszkodliwe mechanistyczne wszczepy: mikroroboty arterialne do usuwania cholesterolowego osadu, staromodne teflonowe rzepki kolanowe, plastikowe knykcie i porowaty wlew chemikaliów w zgięciu lewego łokcia. Większość jej włosów zastąpiły przeszczepione lśniące światłowody.

Kazał domowemu serwu wprowadzić kobietę na pokoje. Ubrana była w elegancki bezrękawnik, futrzaną kamizelkę i sięgające łokci ciepłe rękawiczki. Miała cerę podstarzałej mechanistki – gładką i nieskalaną niczym idealnie dopasowana papierowa maska. Rude włosy prześwietlała miedziana poświata ze światłowodów.

– Pan audytor Miłosz? – zagadnęła. Jej akcent zdradzał, że pochodzi ze Związku.

Lindsay gestem zaprosił ją, żeby siadła na sofie. Zrobiła to z wdziękiem; wiek przydawał jej ruchom precyzji.

– Słucham, czym mogę pani służyć?

– Przepraszam, że przeszkadzam, audytorze. Nazywam się Tyler i pracuję dla Limonov Cryonics, ale przychodzę tu w sprawie osobistej. Chciałam prosić o pomoc, słyszałam bowiem, że przyjaźni się pan z Neville Pongpianskulem.

– Pani Alexandrina Tyler – rzekł Lindsay, zdając sobie sprawę, z kim rozmawia. – Z Mare Serenitatis. Z Republiki.

Zdziwiła się i uniosła wąskie, łukowato wygięte brwi.

– Zna pan moją sprawę, audytorze?

– Pani... – Lindsay usiadł na fotelu i wsunął stopy w strzemiona. – Może się pani czegoś napije?

Była jego pierwszą żoną. Gdzieś w głębi duszy odnalazł w sobie dawno pogrzebaną osobowość, kruchą zasłonę fałszywej kinezyki, jaką oddzielił się od Alexandriny, gdy byli małżeństwem. Alexandrina Tyler – jego żona, kuzynka jego matki.

– Nie, dziękuję – odparła i poprawiła spódnicę okrywającą kolana. Zawsze miała z nimi kłopoty, teflonowe rzepki założono jej jeszcze w Republice.

Ten znajomy gest obudził w Lindsayu dalsze wspomnienia – zawieraniem małżeństw wśród arystokracji rządziła polityka. Alexandrina była od niego o pięćdziesiąt lat starsza, co stworzyło w ich związku duszącą sieć wymuszonej uprzejmości i ponurego buntu. Lindsay miał teraz dziewięćdziesiąt lat, czyli więcej niż ona, gdy była jego żoną. Z nowej perspektywy na nowo smakował dawno zapomniany ból, jaki wtedy jej zadawał.

– Urodziłam się w Republice – mówiła dalej. – Straciłam obywatelstwo w czasie kształcerskich czystek, blisko pięćdziesiąt lat temu. Kochałam Republikę, audytorze. Nigdy jej nie zapomniałam... Pochodzę z jednego z uprzywilejowanych rodów, co pewnie teraz, gdy nowy reżim okrzepł, nie ma wielkiego znaczenia, prawda?

– Była pani żoną Abelarda Lindsaya.

Te słowa tak nią wstrząsnęły, że na chwilę zaniemówiła.

– Rzeczywiście zna pan moją sprawę. A słyszał pan, że ubiegałam się o prawo do emigracji? Rząd Pongpianskula nie udzielił mi odpowiedzi, przyszedłam więc prosić o pomoc, audytorze. Nie jestem członkiem waszej Kliki Węglowej, ale wiem, co ona potrafi. Ma pan wpływy, które pozwalają obejść prawo.

– Życie pani nie oszczędza. Została pani ciśnięta w sam środek Schismatrix, bez żadnego wsparcia.

Zamrugnęła. Porcelanowo-białe powieki przesłoniły jej oczy jak papierowe żaluzje.

– Kiedy dotarłam do karteli, wcale nie było tak źle. Chociaż nie będę udawała, że zaznałam szczęścia. Pamiętam dom, drzewa, ogrody...

Lindsay splótł dłonie, starając się nie zwracać uwagi na pomieszane impulsy powodujące klucie w prawej ręce.

– Nie chcę budzić w pani złudnych nadziei. Neoteńskie prawo jest nader surowe, Republika zaś nie interesuje się ludźmi w naszym wieku, obywatelami, którzy w ten czy inny sposób odbiegają od ideału. Prawdą jest, iż na zlecenie neoteńskiego rządu zajmowałem się różnymi sprawami, w tym także przesiedleniami obywateli neoteńskich, którzy dożyli sześćdziesiątego roku życia. To się nazywa „umieranie w świat”. Emigracja jest jednokierunkowa i ściśle kontrolowana. Przykro mi.

Przez chwilę Alexandrina milczała.

– Dobrze zna pan Republikę? – spytała w końcu. Po brzmieniu jej głosu Lindsay poznał, że pogodziła się z porażką.

– Wystarczająco, by wiedzieć, że żona Abelarda Lindsaya nie cieszy się tam najlepszą sławą. Pani świętej pamięci męża traktuje się w Republice jak męczennika Zachowawców, panią zaś przedstawia się jako kolaborantkę mechów, która doprowadziła do jego wygnania i śmierci.

– To okropne. – Oczy jej zaszyły łzami. Roztrzęsiona wstała z sofy. – Najmocniej przepraszam. Mogę skorzystać z pańskiego biomonitora?

– Łzy mnie nie przerażają – rzekł łagodnie Lindsay. – Nie jestem serotonistą zen.

– Mój mąż – powiedziała. – Taki inteligentny chłopiec. Wydawało się nam, że postępujemy słusznie, wysyłając go na stypendium do kształcerskiej uczelni. Nigdy nie rozumiałam, co mu tam zrobili, ale to było straszne. Dokładałam starań, żeby nasze małżeństwo nabrało sensu, ale on był taki sprytny, układny i miły, że wszystko, co robiłam i mówiłam, umiał tak przekreślić, by służyło innemu celowi. Inni też się go bali, bali się, że doprowadzi do zagłady naszego świata. Nie powinniśmy byli wysłać go do kształcerczy.

– Nie wątpię, iż w owym czasie decyzja ta wydawała się słuszna – rzekł Lindsay. – Republika znalazła się już w orbicie wpływów mechanistów i chcieliście przywrócić równowagę.

– Ale nie trzeba było robić tego synowi mojej kuzynki. Mieliśmy mnóstwo plebejuszy, takich jak Constantine. – Alexandrina przytknęła palec do ust. – Przepraszam, to te moje arystokratyczne uprzedzenia. Proszę o wybaczenie, audytorze, jestem zdenerwowana.

– Rozumiem. W naszym wieku wspomnienia potrafią uderzyć z nieoczekiwaną siłą. Bardzo mi przykro. Potraktowano panią niesprawiedliwie.

– Dziękuję panu. – Wzięła podaną przez robota chusteczkę. – Pańskie współczucie jest wzruszające. – Precyzyjnymi, szybkimi ruchami osuszyła oczy. – Czuję się, jakbym znała pana od dawna.

– Pamięć płata nam figle – powiedział Lindsay. – Byłem kiedyś żonaty z kobietą bardzo do pani podobną.

Wymienili niespieszne „spojrzenie”, wyrażając nim wiele treści, których nie przeniosły słowa. Prawda wyszła na moment na jaw, została zaakceptowana, a potem zniknęła, przesłonięta niezbędnym fortelem.

– Pańska żona – zauważyła Alexandrina rumieniąc się – nie przybyła tu z panem.

– Małżeństwo na Dembowskiej to zupełnie inna sprawa.

– Miałam tam męża, wiązał nas pięcioletni kontrakt małżeński. Wygasł w ubiegłym roku. Poligamia.

– Obecnie jest pani wolna?

Skinęła głową. Lindsay powiódł prawą ręką dookoła; rozległo się buczenie mechanizmu.

– Ja również – powiedział. – Widzi pani, w jakim stanie jest mój dom. Kariera sprawiła, że wiode bezbarwne życie.

Kobieta uśmiechnęła się niepewnie.

– Czy byłaby pani zainteresowana opieką nad moim gospodarstwem domowym? Stanowisko asystentki audytora chyba zmieniliby pani aktualny status na lepsze.

– Bez wątpienia.

– W takim razie co pani powie na sześciomiesięczny okres próbny z perspektywą pięcioletniego kontraktu o wspólnym zarządzaniu? Warunki standardowe, monogamia. Moje biuro może na rano przygotować umowę.

– To dość nieoczekiwana propozycja.

– Bzdura, Alexandrino. W naszym wieku nie wolno odkładać decyzji na później, bo do niczego się nie dojdzie. Czym jest dla nas pięć lat? Jesteśmy już dorośli.

– Mogę jednak prosić o drinka? Alkohol źle wpływa na mój program odmładzający, ale chyba łyeczek dobrze mi zrobi.

Alexandrina posłała Lindsayowi nerwowe spojrzenie; w głębi jej oczu dostrzegł budzące się widmo wymuszonej intymności. Przyjrzał się jej pergaminowej skórze, delikatnie ułożonym, kruchym włosom i zdał sobie sprawę, że małżeńska pokuta nic nie zmieni w rutynie jego życia. Powstrzymał się od westchnienia.

– Oczekuję, że przygotujesz klauzulę seksualną naszej umowy.

\* \* \*

*Unia Ślizgaczy, 23. 06.'83*

Constantine zajrzał do zbiornika. Za szkłem, zanurzona w wodzie, znajdowała się głowa Paola Mavridesa. Ciemne kręcone włosy – główna cecha charakterystyczna linii Mavridesów – opadały w mokrych lokach na szyję i ramiona Paola. Otwarte, przekrwione oczy miały zielonkawę białka. Zastrzyki sparaliżowały nerwy wzrokowe, a wpięta w kręgosłup klamra odcięła połączenia ruchowe, nie tłumiąc przy tym zmysłów. Ślepy, głuchy i ołępiały przebywaniem w wodzie o temperaturze ciała Paolo Mavrides od dwóch tygodni znajdował się w stanie całkowitej deprywacji sensorycznej.

Wprowadzona bezpośrednio do tchawicy sonda zaopatrywała go w tlen, kroplówka nie pozwalała mu umrzeć z głodu.

Constantine pstryknął czarnym przełącznikiem umieszczonym na ścianie spawanego zbiornika. Prowizoryczne głośniki ożyły; młody zabójca mówił sam do siebie, wygłaszając różnymi głosami jakąś przyciszoną litanie.

– Paolo – rzekł Constantine do mikrofonu.

– Jestem zajęty – odparł Paolo. – Przyjdź później.

Constantine zachichotał.

– Jak chcesz.

Stuknął w mikrofon. Dźwięk przypominał odłączanie zasilania głośników.

– Zaraz, zaczekaj! – krzyknął natychmiast Paolo. Constantine uśmiechnął się, słysząc przebijającą z jego słów panikę. – Mniejsza z tym, sztuce i tak już nic nie pomoże. Mówię o, . Pasterskich księżycach" Vetterlinga.

– Nie wystawiano jej od dawna – rzekł Constantine. – Musiałeś być dzieckiem, kiedy trafiła na deski.

– Mając dziewięć lat, nauczyłem się jej na pamięć.

– Jestem pod wrażeniem twojej zaradności. Tak czy inaczej, katakliści wierzą w testowanie wewnętrznego świata woli, prawda? Jakiś czas już tu jesteś. Dość długi czas.

Zapadła cisza, której Constantine nie przerywał.

– Jak długo? – Mavrides nie wytrzymał.

– Prawie czterdzieści osiem godzin.

Mavrides parsknął śmiechem. Constantine mu zawtórował.

– Oczywiście, obaj wiemy, że to nieprawda. Upłynął już blisko rok. Zdziwiłbyś się, gdybyś zobaczył, jak schudłeś.

– Sam powinieneś się odchudzić. Miałbyś lepszą cerę.

– Tym się akurat nie przejmuję, młody człowieku. Popełniłem błąd taktyczny, wybierając najlepsze z możliwych zabezpieczeń. Przysporzyło mi kłopotów. Nie ty pierwszy dałeś się skusić. Wiesz, ilu głupców trafiło przed tobą do tego zbiornika? Zrobiłeś błąd, Paolo.

– Powiedz mi jedno – rzekł Paolo. – Dlaczego przemawiasz jak Bóg?

– To kwestia techniczna. Mój głos trafia bezpośrednio do twojego ucha środkowego; uszy masz wyłączone. Dlatego sam się nie słyszysz. Szczytuję twoje słowa z nerwów sterujących strunami głosowymi.

– Rozumiem. Druciarska robota.

– Nic, czego nie dałoby się cofnąć. Opowiedz mi o sobie, Paolo. Do jakiej brygady należałeś?

– Nie jestem kataklistą.

– Mam tu twoją broń. – Constantine wyjął z kieszeni płóciennej marynarki małą czasofiolkę. Obrócił ją w palcach. – Standardowy produkt kataklistów. Co w niej jest? PDKL-95?

Paolo milczał.

– Może lepiej znasz ten środek jako „niszczyciela”?

Paolo się roześmiał.

– Wiem, że cię nie przekonam. Gdybym miał okazję znaleźć się z tobą w jednym pokoju, nastawiłbym fiolkę na pięć sekund i obaj byśmy zginęli.

– Trucizna w aerozolu, tak? Jakie to prostackie.

– Są rzeczy ważniejsze od życia, plebejuszu.

– Cóż za niezwykła obelga. Widzę, że zapoznałeś się z moimi dziejami. Od lat nikt mnie tak nie nazwał. Zaraz powiesz, że jestem bezplanowcem.

– Nie muszę. Twoja żona nam to powiedziała.

– Słucham?

– Natalie Constantine. Twoja żona. Słyszałeś o niej? Nie lubi, kiedy się ją zaniedbuje. Została naczelną kurwą Unii Ślizgaczy.

– To rzeczywiście smutne.

– Czy myślałeś, jak zamierzałem dostać się do twojego domu? Twoja żona to dziwka. Błaga mnie, żebym jej to robił.

Constantine się zaśmiał.

– Chciałbyś mnie dotknąć, co? Mój ból dałby ci punkt zaczepienia. Nie, powinieneś być zostać w Goldreich-Tremaine, w jego pustych salach i zdewastowanych biurach. Zaczynasz mnie nudzić.

– Poczekaj. Zanim odejdziesz, powiem ci, czego mi żal. Żałuję, że nie mierzyłem wyżej. Mam ostatnio sporo czasu i dużo myślę. – Dudniący śmiech. – Dałem się nabrać na twój image, na propagandowe teksty. Na przykład asteroida Nysa: z początku wszystko wyglądało tak wspaniale. Rada Pierścieni nie wiedziała, że kartel Nysa to śmietnisko, na które trafiają wypaleni druciarze z

okołoksiężycówek. Ty nadal płaszczyłeś się przed arystokratami z Republiki. Mimo rangi, jaką zdobyłeś, jesteś tylko tanim donosicielem i służalcem, Constantine.

Constantine poczuł z tyłu głowy znajome mrowienie. Musnął znajdującą się tam wtyczkę i wyjął z kieszeni inhalator. Nie było sensu wpadać w fugę w chwili, gdy chłopak zaczynał wreszcie gadać; lada moment mógł pęknąć.

– Mów dalej – powiedział.

– Te wielkie osiągnięcia, którymi się przechwalasz, to wszystko sztuczki i oszustwa. Nigdy sam nic nie stworzyłeś. Jesteś mały, Constantine, malutki. Znam człowieka, który jednym palcem nakryłby dziesięciu takich jak ty.

– Kto taki? – zapytał Constantine. – Twój przyjaciel Vetterling?

– Biedny Fernand, który padł twoją ofiarą? Oczywiście, przerasta cię o głowę, ale to chyba nieuczciwe porównanie, prawda? Nigdy nie miałeś ani krztyny artystycznego talentu. Nie, mam na myśli kogoś, kto posiadał podobne umiejętności. Polityka. Szpiega.

– Jakiegoś kataklisę. – Constantine nie ukrywał znudzenia.

– Nie. Abelarda Lindsaya.

Wtedy nastąpiło uderzenie. Błyskawica migreny strzeliła w lewy czołowy płat mózgu i ściana zbiornika – zamrożony, metalicznie połyskujący obraz – w zwolnionym tempie wybiegła Constantine'owi na spotkanie, kiedy padał na ziemię. Walczył z piorunującą fugą, która zdawała się ciągnąć długie miesiące; usiłował i osłonić głowę rękoma. Kiedy odzyskał przytomność, leżał z twarzą przyciśniętą do lodowatego metalu, a Mavrides nie przestawał bełkotać:

– ... całą historię od Nory. Kiedy ty tutaj organizowałeś procesy dla oskarżonych o zdradę artystów, Lindsay wykonał najznakomitszy ruch w dziejach ludzkości. Inwestorka zdradziła... Ma w rękę inwestorską dezzerterkę, królową dowodzącą statkiem.

Constantine odchrząknął.

– Słyszałem te rewelacje. To farsa. Mechanistyczna propaganda.

Mavrides zaśmiał się histerycznie.

– Już po tobie! Jesteś tylko przypisem do historii. Lindsay stanął na czele rewolucji w naszym państwie, kiedy ty walczyłeś ze zgnilizną, babrałeś się w gnoju i czyhałeś, żeby zagarnąć jego sławę. Jesteś robakiem! Nie powinienem był zawracać sobie głowy zabijaniem cię, ale nigdy nie miałem wiele szczęścia.

– Lindsay nie żyje. Od sześćdziesięciu lat.

– Pewnie, plebejusz. Chciał, żebyś tak myślał. – Dobiegający z głośników śmiech, odczytywany wprost z nerwów, brzęczał metalicznie. – Mieszkałem u niego w domu, głupcze. Kochał mnie.

Constantine otworzył zbiornik. Nastawił zegar na fiolce, cisnął ją do wody i zatrzasnął właz zbiornika, po czym odwrócił się i ruszył do wyjścia. Znalazłszy się przy drzwiach, usłyszał pluski i gwałtowną szamotaninę – trucizna zaczęła działać.

\* \* \*

*Korporacyjna Republika Ludowa Klastra Carycy, 3.01.'84*

Długi, jaskrawy ślad spawalniczy świecił jasno w ciemności. Lindsay unosił się w próżni, zamknięty w kapsule obserwacyjnej i patrzył, jak roboty budowlane kręcą się po rusztowaniu. Maszyny mechanistów miały wydłużone, ostre nosy, co upodabniało je do olbrzymich żuków. Umieszczone na czubkach nosów rozpalone do białości spawarki budziły długie cienie na

pociemniałym korpusie Pałacu Carycy.

Roboty budowały naturalnych rozmiarów kopię statku Inwestorów – jednostkę bez silników, czarny kadłub pozbawiony krzykliwych arabesek i inkrustacji charakteryzujących inwestorską sztukę zdobniczą. Inwestorzy nalegali, by tak wyglądał; chcieli skazać swą zboczoną królową na wygnanie w tej mrocznej parodii więzienia.

Wiele lat zabrało Lindsayowi złożenie w całość elementów składających się na prawdziwy obraz zbrodni Inwestorki.

U Inwestorów królowa wprowadzała jajo do specjalnej torby w ciele samca, pełniącej funkcję łona. Samiec zapładniał jajo i nosił je w torbie do momentu, gdy miały się wykluć młode. Bezpłodni chorążowie kontrolowali cykl rozrodczy w złożonym procesie hormonalnej pseudokopulacji.

Potępiona królowa w przyływie namiętności zabiła swojego chorążego i wzięła na jego miejsce zwykłego samca. Jednakże z braku prawdziwego chorążego jej cykl płciowy uległ zaburzeniu. W zarejestrowanej przez Lindsaya scenie królowa zniszczyła jedno ze zdeformowanych jaj. Dla Inwestorów jej czyn był czymś znacznie gorszym niż perwersja, gorszym nawet od morderstwa: źle wpływał na prowadzenie interesów.

Lindsay przedstawił nagranie w sposób, który boleśnie godził w inwestorską etykę. Obcy nie znali uczucia wstydu. Byli zwyczajnie oszołomieni. Lindsay czym prędzej podsunął im gotowe rozwiązanie problemu – banicja. Za jego propozycją kryła się nie wypowiedziana groźba rozpowszechnienia nagrania. Skandal odbiłby się szerokim echem na wszystkich inwestorskich statkach i w społeczeństwach ludzi.

I tak źle się stało, że wyselekcjonowane, zamożne królowe i ich chorążowie zostali zapoznani z szokującymi wieściami; nie do pomyślenia było, żeby poznały je również wrażliwe płodne samce. Strony doszły do porozumienia.

Królowa nigdy się nie dowiedziała, co stało się przyczyną jej klęski. Lindsay w pełni wykorzystał swoje talenty i zastosował wobec niej niezwykle subtelne podejście. Sprezentowane w odpowiednim momencie klejnoty z pewnością mu pomogły, obudziły bowiem w Inwestorach cechującą wszystkich obcych chciwość. Interesy nie szły najlepiej, odkąd okryła się niesławą i musiała się zadowolić nieszczęsnym, wykastrowanym chorążym.

Lindsay uzbroił się w przygotowane przez Wellsa wykresy statystyczne; wynikało z nich, jaki majątek można pozyskać z miasta-państwa, którym nie rządzi żadna znacząca frakcja – rosnące wykładniczo krzywe strzelały pod niebo, obiecując zapierające dech w piersi bogactwa. Powiedział królowej, że nic nie wie o jej hańbie, zdaje sobie tylko sprawę, że pobratymcy chętnie ją potępiają. Zasugerował, że dysponując odpowiednim łupem, mogłaby ponownie wkupić się w ich łaski.

Cierpliwie, po mistrzowsku operując słowem, pokazał jej, że takie rozwiązanie będzie wielką szansą. Cóż bowiem zdołałaby osiągnąć w pojedynkę, bez załogi i chorążego? Dlaczego miałaby odrzucić fachową pomoc grupy uprzejmych obcych? Instynkt społeczny niepozornych, towarzyskich ssaków sprawił, że uznali Inwestorkę za prawdziwą królową; Rada Konsultacyjna już oczekiwała jej rozkazów. Każdy członek Rady biegle władał językiem Inwestorów i czekał tylko, żeby królowa pozwoliła mu obsypać się bogactwami.

Sama chciwość nie pozwoliłaby jej uczynić następnego kroku. Dopiero strach przełamał opór i kazał królowej ugiąć się przed Lindsayem – lęk przed małym, miękkoskórym obcym, który osłaniał wyłupiaste oczy kawałkiem ciemnego plastiku i na wszystko miał gotową odpowiedź. Wyglądało na to, że lepiej zna jej rodaków niż ona sama.

Tydzień później ogłoszono decyzję publicznie i rozpoczął się exodus ze stolicy do miejsca wygnania. Królową nazwano carycą – to przezwisko nadał jej Riumin – jej miastem zaś stał się

Klaster Carycy. W cztery miesiące powstały z niczego na skraju Pasa klaster rozrósł się niepomiernie i tętnił życiem. Korporacyjna Republika Ludowa wyrosła i okrzepła, dokonując, według słów Wellsa, „prigogine'owskiego skoku” i „przetopienia się w wyższy stopień złożoności”. Rada Konsultacyjna nie nadążała z prowadzeniem interesów, a na liniach komunikacyjnych roilo się od niedoszłych dezertarów, poszukujących bezpiecznego schronienia i nowej szansy. Obecność Inwestorki oddziaływała na cały klaster, nadając mu prestiż, którego nie odważył się kwestionować żaden mechanista ani kształcercz.

Prowizoryczne domostwa skupiły się wokół nie wykończonego pałacu królowej – pajęczyna odpornych na wszystko kształcerskich bąbli; przyholowane na miejsce mechowskie plastry miodu z dmuchanego żelazoniklu; statki powszechnie pogardzanych piratów, spięte łańcuchem harmonijkowych rękawów abordażowych; podobne do ostryg i uczeplone rusztowań baraki budowniczych kompleksu miejskiego, dopiero co zdjętego z deski kreślarskiej. Miasto zapowiadało się na wolny port obsługujący całą przestrzeń okołosłoneczną, prawdziwą metropolię, ostateczną przystań dla wszystkich astrognid. To Lindsay ją stworzył, lecz nie dla siebie.

– Od takiego widoku krew się burzy w żyłach, przyjacielu.

Lindsay przeniósł wzrok na prawo. Mężczyzna znany kiedyś jako Wells przybył właśnie do kopuły obserwacyjnej. Podczas ciągnących się tygodniami działań przygotowawczych Wells zniknął, przybrawszy starannie przygotowaną fałszywą tożsamość. Nazywał się teraz Wellspring, miał dwieście lat i pochodził z Ziemi. Był postacią tajemniczą, intrygantem z prawdziwego zdarzenia, wizjonerem, może nawet prorokiem. Nie mógł poprzestać na niczym mniejszym; przewrót tej miary wymagał własnej legendy. Wymagał kłamstwa.

Lindsay skinął głową.

– Świat się rozwija.

– Dopiero teraz zaczynam rzeczywistą pracę. Nie podoba mi się ta Rada Konsultacyjna; są jacyś za sztywni, za bardzo mechanistyczni. W dodatku niektórzy mają własne ambicje. Ktoś powinien mieć na nich oko.

– Oczywiście.

– Nie skusiłbyś się na takie zajęcie? Stanowisko koordynatora czeka na ciebie. Świetnie byś się na nie nadawał.

– Lubię pozostawać w cieniu, Wellspring. Grając rolę na twoją miarę, znalazłbym się w blasku reflektorów.

Wellspring się zawahał.

– Moja filozofia sprawia mi wystarczające kłopoty. Mogę sobie nie poradzić z mitem. Jesteś mi potrzebny, ty i twoje cienie.

Lindsay odwrócił wzrok i patrzył, jak dwa roboty podążają sobie na spotkanie, by zetknąć się w pocałunku rozpalonych do białości dziobów.

– Moja żona nie żyje – powiedział.

– Alexandrina? Przykro mi. To musiał być wstrząs.

Lindsay się skrzywił.

– Nie o niej mówię. Nora, Nora Mavrides. Nora Everett.

– Ach tak – rzekł Wellspring. – Kiedy się o tym dowiedziałeś?

– Powiedziałem jej, że przygotowałem miejsce dla nas obojga. Pamiętasz może, jak mówiłem, że spodziewam się rozłamu w Radzie Pierścieni?

– Owszem.

– Zachowałem absolutną dyskrecję, ale to nie wystarczyło. Constantine jakoś się o wszystkim

dowiedział i ujawnił przygotowywaną ucieczkę. Norę oskarżono o zdradę, a ponieważ proces mógłby zaszkodzić jej klanowi, wybrała samobójstwo.

– Cóż za odwaga.

– Nie miała wyjścia.

– Na to wygląda.

– Wciąż mnie kochała, Wellspring. Chciała się tu ze mną spotkać; próbowała to zrobić, kiedy ją zabił.

– Rozumiem twój smutek, ale życie jeszcze się nie kończy. Nie wolno ci stracić z oczu ostatecznego celu.

– Wiesz, że nie odpowiada mi ta postkataklizyczna gadka – odparł ponuro Lindsay.

– Posthumanistyczna – poprawił go Wellspring. – Stoisz po stronie życia czy nie? Bo jeżeli nie, to pozwolisz, żeby ból cię pokonał, wystąpisz przeciw Constantine'owi i zginiesz jak Nora. Pogódź się z jej śmiercią i zostań z nami. Przyszłość należy do posthumanizmu, Lindsay. Nie do państw, nie do frakcji, lecz do życia, a życie lubi podgatunki.

– Słyszałem już ten tekst wcześniej, Wellspring. Jeżeli pogodzimy się z utratą człowieczeństwa, różnice tylko się pogłębia, walki nasilą, a wojny rozgorzeją z nową siłą.

– Nie stanie się tak, jeżeli nowe podgatunki osiągną porozumienie jako systemy poznawcze na czwartym stopniu złożoności Prigogine'a.

Zrozpaczony Lindsay przez chwilę w ogóle nie reagował. W końcu jednak powiedział:

– Szczerze życzę ci szczęścia. Chroń poranionych, jeśli tylko zdołasz. Może coś z tego wyjdzie.

– Lindsay, tu kryje się cały kosmos możliwości. Pomyśl o tym. Żadnych reguł, żadnych barier.

– Nie, dopóki on żyje. Wybacz.

– Sam będziesz musiał się tym zająć.

\* \* \*

*Statek handlowy Inwestorów, 14. 02.'86*

– Nie przepadamy za takim transakcjami – rzekł Inwestor.

– Czy my się już nie spotkaliśmy, panie chorąży? – spytał Lindsay.

– Nie. Znałem kiedyś jednego z pańskich studentów, kapitana doktora Simona Afriela. Nad wyraz kulturalny człowiek.

– Dobrze go pamiętam.

– Zmarł w ambasadzie. – Inwestor patrzył wprost na Lindsaya. Widoczne ponad krawędziami białych błon migawkowych czarne oczy ziały wrogością. – Szkoda go, zawsze dobrze mi się z nim rozmawiało. Nie da się jednak ukryć, że nieustannie pakował nos w nie swoje sprawy, węszył, knuł. Wy nazywacie to ciekawością: potrzeba nadawania wartości bezużytecznym informacjom. Istota obciążona taką wadą podejmuje wiele zbędnego ryzyka.

– Niewątpliwie – przyznał Lindsay. Na wieść o śmierci Afriela odczuł gorzką przyjemność: oto zniknął kolejny fanatyk, zmarnowano następnego młodego talent...

– Łatwiej wyobrazić sobie, że kimś kieruje nienawiść. Dziwne, że akurat ty padłeś jej łupem, artysto. Przez ciebie zaczynam powątpiewać w swoją zdolność oceny poczynań twojej rasy.

– Przykro mi, że obudziłem w tobie wątpliwości. Może wielki kanclerz Constantine lepiej by to wyjaśnił.

– Porozmawiam z nim. Właśnie przybył z orszakiem na pokład. Nie jest jednak najlepszym



modelem, kiedy przychodzi do oceny ludzkiej natury; wyniki naszych skanów potwierdziły, że dokonał w swoim organizmie poważnych zmian.

Nie on jeden, pomyślał Lindsay. Ostatnio nawet młodzi to robią. Zupełnie jakby istnienie Republiki Neoteniczej, z jej wymuszonym humanizmem, sprowokowało inne frakcje, by przestały udawać.

– Uważasz, że to dziwne u przedstawiciela rasy, która podróżuje pomiędzy gwiazdami?

– Nie, skądże. To dlatego tak niewiele tych ras zostało.

– Dziewiętnaście – podsunął Lindsay.

– Właśnie. Liczba ras, które wymarły w obrębie naszego imperium handlowego, jest o rząd wielkości większa. Wytwory ich cywilizacji przetrwały jednak; jeden z nich zamierzamy wam właśnie udostępnić. – Na znak niesmaku i niechęci Inwestor wyszczerzył żłobkowane, kołkowane zęby. – Liczyliśmy na nawiązanie prawdziwie długofalowej współpracy handlowej z twoją rasą, ale nie możemy odwieść was od prób dokonania przełomu w kwestiach metafizyki. Niebawem będziemy musieli objąć wasz układ kwarantanną, bo obawiamy się planowanych zmian. Tymczasem nie pozostaje nam nic innego, jak wyzbyć się skrupułów i zadbać o opłacalność naszych inwestycji w tym rejonie.

– Zatrważasz mnie – powiedział Lindsay. Słyszał o tym wcześniej: pojawiały się już zawoalowane groźby ze strony obcych, mające na celu zatrzymanie ludzkości na jej obecnym etapie rozwoju. Bawiła go myśl, że Inwestorów pociągają idee Zachowawców. – Wojna z pewnością stanowi większe zagrożenie.

– Nie – rzekł obcy. – Sami podsunęliśmy wam dowody. Nasz napęd międzygwiazdny dowodzi, że czasoprzestrzeń jest zupełnie inna, niż sądziliście. Musisz być tego świadomy, artysto. Przypomnij sobie ostatnie przełomowe dokonania w matematyce; nazywacie to przestrzenią Hilberta i praprzestrzenią prekontinuum. Nie mogły ujść naszej uwagi.

– Matematyka nie jest moją mocną stroną.

– Naszą też nie. Wiemy tylko, że owe odkrycia zapowiadają rychłe, niebezpieczne przejście do innego stanu istnienia.

– Rychłe?

– Właśnie. To kwestia najbliższych stuleci.

Stuleci, pomyślał Lindsay. Łatwo było zapomnieć, jak starzy są Inwestorzy. Zachowywali całkowitą obojętność wobec zmian. Własna historia ich nie interesowała, nie czuli potrzeby porównywania własnego życia z życiem zmarłych przodków, nic bowiem nie świadczyło o tym, żeby miały tu wystąpić choćby najdrobniejsze różnice. Mieli garść mętnych legend i niejasne opisy najcenniejszych zakupów, ale nawet te strzępy dziejów zaginęły w procesie gromadzenia bogactw.

– Nie wszystkie wymarłe rasy dokonały przejścia, te zaś, które odkryły Arenę, zginęły zapewne gwałtowną śmiercią – mówił dalej chorąży. – Nie mamy żadnych danych na ten temat, jedynie techniczne informacje o ich trybach percepcji, co pozwoliło nam przedstawić Arenę w sposób przystępny dla ludzkiego układu nerwowego. Pomógł nam w tym Wydział Neurologii Kosmosytetu Protektoratu Nysy.

Rekruci Constantine'a, pomyślał Lindsay. Zbuntowani druciarze z Nysy, dezertery mechów, którzy przeszli na stronę kształcerzy, łącząc mechanistyczną technologię z faszystowską strukturą naukowo-wojskowego kompleksu kształcerskiego.

– Najwłaściwsi ludzie... A raczej najwłaściwsze istoty do takiego zadania.

– Wielki kanclerz powiedział to samo. Jego orszak już się zebrał. Dołączymy do niego?

Grupa Constantine'a połączyła się z ekipą Lindsaya w jednym z przestronnych salonów na

położył statku. Pełno w nim było gigantycznych rokokowych mebli – sof, których nadmiar zdobień przyprawiał o zawrót głowy, i litych stołów wspartych na zakrzywionych nogach, rzeźbionych w prążkowane kopułki i stylizowane zwoje papieru. Wszystkie sprzęty przez swą wielkość zupełnie nie nadawały się dla ludzi, którzy starali się niczego nie dotykać. Wchodząc do pokoju Lindsay spostrzegł, że meble spryskano cienką warstwą ochronnego lakieru, żeby zabezpieczyć je przed działaniem tlenu.

Nigdy wcześniej nie spotkał młodych genetycznych Constantine'a – teraz Philip sprowadził ich tu dziesięcioro; pięciu mężczyzn i pięć kobiet. Bracia i siostry Constantine'a byli od niego wyżsi i mieli jaśniejsze włosy, co bez wątpienia należało przypisać obecności innych genów w ich genomie.

Cechował ich specyficzny, kształcerski magnetyzm, akrobatyczna giętkość i płynność ruchów, coś jednak w pozycji barków i smukłych, zwinnych dłoniach zdradzało kinezykę genetycznego dziedzictwa Constantine'a. Ubierali się z pozaświatową elegancją: okrągłe aksamitne kapelusze, kolczyki z rubinami, brokatowe, oblamowane złotą koronką płaszcze. Ubierali się tak dla Inwestorów, którzy umieli docenić zamożność, z jaką obnoszą się ich klienci.

Jedna z kobiet stała tyłem do Lindsaya, zapatrzona w strzelające pod sufit nogi mebli. Reszta kręciła się swobodnie, wymieniając niezobowiązujące uprzejmości z ludźmi Lindsaya – naukowcami i inwestorskimi specjalistami urlopowanymi z Klastra Carycy. Była wśród nich Alexandrina, jego żona – rozmawiała z samym Constantine'em, jak zwykle okazując nienaganne maniery. Nic nie wskazywało na to, że wszyscy są sekundantami w pojedynku, świadkami, którzy mają zagwarantować uczciwość rozstrzygnięcia.

Zaaranżowanie spotkania z Constantine'em kosztowało Lindsaya dwa lata starań i delikatnych negocjacji, ale w końcu zgodzili się obaj na statek Inwestorów – miejsce, w którym zdrada by nie popłacała – jako stosowne pole bitwy. Sama Arena pozostała w rękach obcych, natomiast technicy z Nysy opracowywali ogólnodostępne dane. Koszty podzielono sprawiedliwie: Constantine wziął na siebie większość zobowiązań finansowych, zachowując opcję na wykorzystanie ewentualnych odkryć technologicznych. Lindsay kontaktował się z nim przez podwójną zasłonę agentów w Kłastrze Carycy i na Dembowskiej, żeby utrudnić zadanie płatnym zabójcom; trzeba jednak Constantine'owi oddać sprawiedliwość – nie wysłał jego tropem ani jednego mordercy.

Sporo kłopotów przysporzyło im ustalenie mechanizmu pojedynku. Krąg zaangażowanych w sprawę osób bezustannie się rozszerzał, toteż przedyskutowano wiele wariantów. Z miejsca odrzucono możliwość starcia fizycznego, jako czegoś poniżej godności przeciwników. Miłośnicy hazardu społecznego w kształcerskim światku podziemnym sugerowali jakąś rozgrywkę losową, w której przegrany popełniłby samobójstwo. Zdanie się na ślepy los oznaczałoby jednak zrównanie szans stron, na co żaden z zainteresowanych nie chciał się zgodzić.

Sprawiedliwy pojedynek powinien dać zwycięstwo lepszemu. Pojawiły się więc argumenty, że wymagałoby to sprawdzenia czujności, siły woli i elastyczności umysłu, które to cechy uznano za kluczowe we współczesnym życiu. Wchodziły w grę obiektywne testy, byłoby jednak niezwykle trudno sprawdzić, czy strony zawczasu nie przygotowały się do spotkania ani czy nie próbowały wywrzeć nacisku na sędziów. Wśród druciarzy istniały metody doprowadzenia do bezpośredniej potyczki dwóch umysłów, lecz walki takie częstokroć ciągnęły się miesiącami, a w tym czasie dochodziło do radykalnych, sztucznie wywołanych zmian w organizmach przeciwników. Postanowiono więc skonsultować się z Inwestorami.

Z początku obcy nie mogli zrozumieć, o co chodzi. Później – jak na Inwestorów przystało – zasugerowali potyczkę na płaszczyźnie ekonomicznej: każdej ze stron należałoby przyznać startowy kapitał i dać szansę jego pomnażania. Po określonym na wstępie okresie mniej zamożny z

uczestników zostałby zlikwidowany.

Takie rozwiązanie uznano za niezadowalające. Kolejna propozycja obcych sprowadzała się do zadania stronom przeczytania „literatury (nieprzetłumaczalne)”, stwierdzono jednak, iż zwycięzca mógłby powtórzyć któryś z cytatów i stać się zagrożeniem dla reszty ludzkości. W tym też okresie w zagraconej ładowni jednego ze statków Inwestorów, przebywających akurat w Układzie Słonecznym, odnaleziono Arenę.

Bliższe badania szybko wykazały zalety Areny. Nieznane formy doświadczeń stanowiły wyzwanie nawet dla najlepszych członków społeczeństwa – emisariuszy do innych ras. Niezwykle wysoki procent ofiar w tej grupie gwarantował, że sama Arena będzie wystarczającym testem. W jej symulowanym środowisku przeciwnicy spotkają się w dwóch idealnie równych sobie ciałach obcych, co pozwalało mieć pewność, iż zwycięstwo odniesie lepszy strateg.

Constantine stał pod jednym z olbrzymich stołów i popijał destylowaną wodę ze srebrnego, samochłodzącego się kieliszka. Podobnie jak krzykliwie odziane rodzeństwo, on również nosił obrębiane koronką spodnie i przetykany złotą nicią płaszcz. Na stojącej jego koszuli widniały oznaki rangi. Okrągłe, łagodne oczy Constantine'a połyskiwały czernią pod miękkimi soczewkami antyodblaskowymi. Jego twarz, podobnie jak twarz Lindsaya, znaczyły zmarszczki.

Lindsay miał na sobie burobrązowy kombinezon bez żadnych ozdób. Twarz zabezpieczył przed jaskrawym światłem warstwą ochronnego olejku, oczy zaś przesłonił ciemnymi okularami.

Podszedł do Constantine'a. Zapadła cisza, ale na dany przez Constantine'a wymowny znak posłuszni mu genetyczni podjęli przerwane rozmowy.

– Witaj, kuzynie – rzekł Constantine.

Lindsay skinął głową.

– Piękny zespół współgenetycznych, Philipie. Gratuluję rodzeństwa.

– To dobry, solidny materiał. Świetnie radzą sobie z grawitacją. – Constantine spojrzał znacząco na żonę Lindsaya, która powłócząc nogami taktownie się oddaliła. Widać było, że teflonowe kolana sprawiają jej ból.

– Spędziłem mnóstwo czasu zajmując się polityką genetyczną – powiedział Lindsay. – Z perspektywy lat wygląda mi ona na arystokratyczny fetysz.

Constantine zmrużył oczy.

– Trochę dodatkowej pracy nad serią Mavridesów dobrze by im zrobiło.

Lindsay poczuł, jak zalewa go lodowata złość.

– Nadmierna lojalność ich zdradziła.

Constantine westchnął.

– Tu wymknęła mi się ironia, Abelardzie. Gdybyś dawno temu dotrzymał obietnicy, jaką złożyłeś Verze Kelland, żadne aberracje nie miałyby miejsca.

– Aberracje? – Lindsay uśmiechnął się chłodno. – To bardzo przyzwoite z twojej strony, że po mnie sprzątasz, kuzynie.

– Trudno się temu dziwić, skoro zostawiasz po sobie tyle beznadziejnych przypadków. – Constantine pociągnął łyk wody. – Weźmy na przykład politykę ugłaskania. Odprężenie. To dla ciebie typowe: gładkimi słówkami wpuścić ludzi w katastrofę, a potem wyslizgać się ze wszystkiego, kiedy świat zacznie się walić.

– Tak się teraz mówi? – zainteresował się Lindsay. – Ludzie obarczają mnie winą za pokój Inwestorów? To mi pochlebia. Czy warto jednak budzić upiory przeszłości? Po co komuś przypominać, że straciłeś Republikę?

Zaciśnięte na kielichu palce Constantine'a zbieleły.

– Widzę, że wciąż jesteś antykwariuszem. Aż dziw, że dogadałeś się z Wellspringiem i jego bandą anarchistów.

Lindsay skinął głową.

– Wiem, że przy pierwszej okazji zaatakujesz Klaster Carycy. Twoja hipokryzja mnie zdumiewa. Kształcerz z ciebie żaden; nie dość, że jesteś bezplanowcem, to jeszcze słyniesz z nadużywania mechowskich technologii. Jesteś żywym przykładem skuteczności odprężenia. Starasz się na wszelkie sposoby zdobyć przewagę, ale innym odmawiasz do tego prawa.

Constantine się uśmiechnął.

– Nie, nie jestem kształcerzem. Jestem ich strażnikiem. Taki już mój los; pogodziłem się z nim. Całe życie byłem sam, jeśli nie liczyć ciebie i Very. Wtedy byliśmy głupi.

– To ja byłem głupi – rzekł Lindsay. – Niepotrzebnie zabiłem Verę. Ty zabiłeś ją po to, żeby wykazać swoją potęgę.

– Słono zapłaciłem, ale nie żałuję. Odkułem się od tamtej pory.

Constantine opróżnił kielich i wyciągnął przed siebie rękę.

Vera Kelland wyjęła puchar z jego dłoni. Na szyi miała złote filigranowe puzderko, które Lindsay widział u niej po wypadku; puzderko, które miało zagwarantować jego zgon.

Lindsay stał jak oniemiały. Nie zwrócił uwagi na twarz dziewczyny, ponieważ z początku stała odwrócona do niego plecami.

Nie spojrzała mu w oczy.

Zafascynowany Lindsay śledził ją wzrokiem. Podobieństwo było ogromne, ale nie idealne. Dziewczyna odwróciła się i odeszła na bok. Wreszcie zmusił się do wypowiedzenia paru słów:

– Nie jest pełnym klonem.

– Oczywiście. Vera Kelland była bezplanowcem.

– Wykorzystałeś jej geny.

– Czyżbym słyszał w twoim głosie zazdrość, kuzynie? Chcesz powiedzieć, że komórki jej ciała kochały ciebie, a nie mnie?

Constantine wybuchnął śmiechem.

Lindsay oderwał oczy od młodej kobiety; jej uroda i wdzięk sprawiały mu ból. Wstrząśnięty do głębi czuł, jak ogarnia go panika.

– Co się z nią stanie, kiedy ty tutaj zginiesz?

Constantine uśmiechnął się spokojnie.

– Nie wolałbyś o tym rozmyślać, kiedy będziemy walczyć?

– Coś ci obiecuję – powiedział Lindsay. – Jeżeli wygram, oszczędzę w przyszłości twoich współgenetycznych.

– Moi ludzie są wierni Radzie Pierścieni. Dzicz z Klastra Carycy to ich wrogowie. Konfrontacja jest nieunikniona.

– I będzie wystarczająco nieprzyjemna bez naszego wkładu.

– Jesteś naiwny, Abelardzie. Klaster Carycy musi upaść.

Lindsay przeniósł wzrok na grupę sekundantów Constantine<sup>^</sup>.

– Nie wyglądają na głupców, Philipie. Zastanawiam się, czy twoja śmierć ich uraduje. Mogą dać się porwać ogólnej radości.

– Próżne spekulacje zawsze mnie nudziły – rzekł Constantine.

Lindsay spiorunował go wzrokiem.

– Chyba czas się przekonać, co się stanie.

Przerzucone przez jeden ze stołów ciężkie kotary zwieszały się do samej podłogi. W środku, pod

stołem, w przytłumionym świetle, ustawiono dwa wodne łóżka, które miały pomóc w walce z grawitacją na statku.

Sama Arena była maleńka – dwunastościan wielkości pięści, o ścianach tak czarnych i błyszczących, że mieniły się delikatnymi, pastelowymi kolorami. Z oprawnych w metal wtyczek, umieszczonych na biegunach bryły, wybiegały przewody prowadzące do zaopatrzonych w gogle hełmów z elastycznymi wypustkami na szyję. Hełmy były nieefektywne, typowo użytkowe, co cechowało wszystkie produkty mechanistów.

Constantine wygrał losowanie i wybrał prawy z nich. Z kieszeni płaszcza dobył płaską płytkę z beżowego plastiku i do wystających z niej pętli umocował elastyczny pasek.

– Analizator przestrzenny – wyjaśnił. – Zwyczajowo z niego korzystam. Jest dozwolony?

– Tak. – Z kieszeni na piersi Lindsay wyjął pasek koloru skóry z szeregiem samoprzylepnych, cętkowanych krążków. – PDKL-95 – powiedział. – W dawkach po dwieście mikrogramów.

– Niszczyciel! – Zdziwił się Constantine. – Dostałeś go od kataklistów?

– Nie, pochodzi z zapasów Michaela Camassusa. Oryginalny produkt mechanistów, dla ambasad. Chcesz?

– Nie – odparł wstrząśnięty Constantine. – Protestuję! Przybyłem tu, żeby potykać się z Abelardem Lindsayem, a nie jego rozbitą osobowością.

– Nie sprawia ci to chyba szczególnej różnicy, prawda? To walka na śmierć i życie, Constantine. Moje człowieczeństwo tylko by mi przeszkadzało.

Constantine wzruszył ramionami.

– Tak czy inaczej wygram.

Podłączył analizator przestrzenny, dopasowując jego krzywizny do swojego ciemienia. Mikrostyki wsunęły się gładko w gniazda w czaszce, połączone bezpośrednio z prawą półkulą mózgu. Dzięki urządzeniu przestrzeń nabierała niewiarygodnej spoistości, ruch zaś postrzegało się z nieludzką wręcz klarownością. Constantine wziął hełm i zerknął na swój rękaw. Lindsay widział, że się waha, studiując złożoną topologię włókien tkaniny. Po chwili Constantine wzdrygnął się i założył hełm.

Lindsay przykleił pierwszy krążek do nadgarstka i założył własny kask. Czuł, jak samoprzylepne obręcze przywierają mu do oczodołów, potem nastąpiło miejscowe odrętwienie, gdy środek znieczulający zaczął działać, a włókna usztywnionego biożelu prześliznęły mu się po gałkach ocznych i sięgnęły nerwów. Usłyszał słabe, cichnące dzwonięcie w uszach, gdy podobne włókna przegryzły mu się przez bębniaki, nawiązując chemotaktyczny kontakt z neuronami.

Obaj spoczywali na łóżkach wodnych, czekając aż elementy wsporników szyjnych przesiąkną przez wyborowane w siódmym kręgu szyjnym maleńkie otwory. Mikrowłókna wrosły nieszkodliwie w osłonę rdzenia kręgowego i opłotły neuryty niczym samopowielająca się, żelatynowa pajęczyna.

Lindsay czuł, jak PDKL-95 zaczyna działać. Odłączanie kręgosłupa postępowało. Ciało miękło i roztopiało się jak wosk. Poszczególne mięśnie wysyłały pożegnalne fale ciepła, w miarę jak wypustki szyjne odcinały je od rdzenia – ostatnie ukłucia człowieczeństwa, zbyt słabe, żeby nazwać je bólem. Niszczyciel pomagał mu zapomnieć: rozbijając wszystko co nowe, miał pozbawić świat nowości. Niwelował utarte sądy, lecz zarazem tak drastycznie wzmacniał potencjał umysłu, że z jednego przeblysku intuicji można było wysnuć całe systemy filozoficzne.

Lindsaya otaczała ciemność. W ustach czuł smak pajęczyny. Przez chwilę kręciło mu się w głowie i był przerażony, ale niszczyciel zaraz zneutralizował te wrażenia i uwięził go na emocjonalnej ziemi niczyjej, gdzie lęk w tajemniczy sposób przekształcił się w miążdzące poczucie cielesnego ciężaru.

Przykucnął u stóp niebotycznego muru. Ze znajdującego się przed nim tytanicznego łuku spływały fale przyćmionego blasku. Sterczące po bokach balustrady z lodowego kamienia otulała cienka,

obwisała, zakurzona pajęczyna grubych lin. Wyciągnął rękę, chcąc dotknąć ściany, i stwierdził, otepiał i zaskoczony, że palce przekształciły mu się w bezbarwne szpony. Całe ramię, zaopatrzone w dwa stawy łokciowe, okrywał blady pancerz.

Zaczął wspinać się po murze. Grawitacja towarzyszyła mu nieustępliwie. Z nowej perspektywy dostrzegł, że balustrady przeobraziły się w zakrzywione kolumny; sploty liny zastygły w złowrogie łuki.

Wszystko było stare. Miał wrażenie, jakby jakieś drzwi otwierały mu się w głowie, tuż za oczyma. Widział czas, zalegający na całym świecie niczym otaczająca wszystko poświata, patrzył na ruchome obiekty zatrzymane w kadrze i rozmazane, wycięte z kontekstu, jakby wyrysowane na powierzchni zimnych kamieni. Ściany stawały się podłogami, balustrady zmieniały się w lodowate barykady. Wtedy też spostrzegł, że ma za dużo nóg: wyrastały mu z miejsca, w którym powinny znajdować się żebra, natomiast ciarki, jakie czuł w brzuchu, miały swój odpowiednik w rzeczywistości – wrażenia z trzewi przekładały się na poruszenia drugiej pary kończyn.

Z wysiłkiem obejrzał własne ciało. Nie mógł zgiąć się w przód, za to plecy wyginały mu się do tyłu z fantastyczną łatwością; pozbawionym powiek oczom ukazały się opancerzone, poprzerastane sierścią segmenty. Z grzbietu wyrastały dwa niezwykle, pomarszczone organy. Potarł je pyskiem, nagle zakręciło mu się w głowie i poczuł żółty zapach. Chciał krzyknąć, lecz okazało się, że nie potrafi, nie może.

Opadł plecami na zimny kamień. Dał się porwać instynktom i popędził na złamanie karku przez pole porowatej, szorstkiej skały ku bezpiecznej ciemności gigantycznego gzymsu i szachownicy przezartych rdzą krat. Przykucnąwszy w ich cieniu, zatracił poczucie proporcji. Zadrzał w ohydny przyływie intuicji i zrozumiał nagle, że jest maleńki, niepozorny, że olbrzymie, spojone zaprawą kamienne bloki same są małe, tak małe, iż...

Dziabnął przednią łapą w porowaty kamień w murze. Sprężyste szpony ugięły się przy tym lekko. Ściana była solidna, mocna nużącą wytrzymałością, która pozwoliła jej przetrwać nieczułe tysiąclecia. Pokrywała ją warstewka delikatnego pyłu niczym potężną machinę, która dawno przekroczyła granice użyteczności i została skazana na ostateczne wyniszczenie i zużycie.

Czuł jej wiek, czuł go jak zapach, jak swoisty nacisk, jak strach. Mur był masywny, nieustępliwym i niespodziewanie Lindsay pomyślał o wodzie. Woda pędząca z dużą szybkością stawała się twarda niczym stal. Niespodziewanie zaczął rozważać jedność szybkości i substancji; energia kinetyczna atomów nadaje kształt twardemu kamieniowi, który wcześniej był pustką. Wszystko sprowadzało się do abstrakcyjnej struktury, bezczasowej formy, poziom za poziomem, pustka przesiąknięta zakłóceniami pustki, falami, kwantami. Zdał sobie sprawę z detali budowy kamienia; powierzchnia znaczyła teraz tyle co zakrzepły dym, mgła utwardzona uwiecznionymi eonami. Pod nią znajdowała się warstwa subtelniejsza, szczegóły nakładały się na siebie obsesyjną, cofającą się siecią...

Został zaatakowany. Wróg go dopadł. Poczuł przerażające cięcie, gdy pazury wroga uderzyły z góry; ból obcego uległ zniekształceniu podczas transmisji i oślepił mu mózg czarną falą mdłości i lęku. Rzucił się spazmatycznie na wszystkie strony, niczym w przedśmiertnych drgawkach; jego twarz rozdzieliła się, gdy wysunął makabryczne, ostre jak brzytwa szczęki. Złapał wroga za nogę, odgryzł mu ją w stawie. Głód i ból zapłonęły w nim jaskrawym ogniem, a po chwili dołączył do nich blask soków, tryskających z jego własnego ciała. Potem przyszło zimno, wilgoć i iskra zbladła, zlewając się w jedno ze starym kamieniem, czasem, mrokiem...

Zewnętrzne mikrofony na jego hełmie podchwyciły głos Constantine'a i przekazały słowa do nerwów:

– Abelardzie.

Lindsay miał w gardle pełno rdzy.

– Słyszę cię.

– Żyjesz?

Blokada nerwowa w kręgosłupie szyjnym osłabła i Lindsay odzyskał świadomość własnego ciała, choć wydawało mu się niematerialne jak obłok rozgrzanego gazu. Wymacał pod ręką przylepiec z dermadyskami; perforowany plastik był cieniutki jak wstążeczka. Zdarł z niego następny krążek i niezdarnie przykleił go u nasady kciuka.

– Musimy spróbować jeszcze raz.

– Co widziałeś, Abelardzie? Muszę to wiedzieć.

– Sale. Ściany. Ciemne kamienie.

– A otchłanie? Czarne, puste przestrzenie, większe niż sam Bóg?

– Nie mogę mówić. – Druga dawka zaczynała działać. Język odmawiał mu posłuszeństwa; słowa zmieniały się w płataninę błahych przypuszczeń rozrywanych nagłymi wątpliwościami, w kłębki gramatyki, zmiażdżonej uderzeniem narkotyku. – Jeszcze raz.

Wrócił. Teraz czuł wroga, odbierał jego obecność jako odległe, słabe klucie. Światło zrobiło się jaśniejsze; wszechogarniające fale blasku przesączały się przez kamienne bloki, tak zwietrzałe ze starości, że miały grubość tkaniny. Przesunął pazurami po okalających pysk wypustkach, ocierając je z wilgotnego brudu. Poczul obezwładniający głód i zrozumiał, że drzemiąca w nim żądza mordy i chęć przetrwania są równie potężne jak otaczające go budowle.

Znalazł nieprzyjaciela przycupniętego w zagłębieniu między balustradą i jedną z jej podpór. Zapachniało strachem.

Wróg przyjął niewłaściwą pozycję. Wczepił się w ścianę w błędnej perspektywie, postrzegając nieskończenie odległy horyzont jako bezdenną przepaść. W dole ziała wieczna otchłań, istny chaos ścian, komnat i podestów, powtarzających się, powstających z niczego – przerażająca, wiecznie rozwidlająca się nieskończoność.

Lindsay rzucił się do ataku, wgryzł głęboko w czarne łuski. Smak gorącego śluzu doprowadzał go do szału. Wróg odpowiedział ciosem na cios, kopał, napierał, szorował pazurami po skale, wreszcie się wyrwał i zaczął go spychać, chcąc zrzucić w stronę horyzontu. Przez moment Lindsay dał się zwieść perspektywie nieprzyjaciela i zrozumiał, że jeśli spadnie, będzie spadał po wiek wieków – w otchłań własnego przerażenia i klęski, bez końca w obracającym się labiryncie, z umysłem zamartwym w bezgranicznym cierpieniu, w płataninie nie kończących się doświadczeń, strachu, niewzruszonych murów, sal, schodów, ramp, krypt, piwnic, korytarzy – wiecznie lodowatych, niedosiężnych.

Ześliznął się w tył. Wróg był zdesperowany; oszalały z bólu, konwulsyjnie "drapał szponami skałę. Lindsay się osuwał, odpychany przez coraz bardziej śliski kamień, aż nagle nastąpił przełom i ujrzał świat taki, jaki był naprawdę. Z widmową łatwością wbił pazury w skałę, która rozstała się przed nimi niczym dym.

Zakotwiczył się. Bezradny wróg szarpał go i napierał, ale bez skutku. Poczul nagłą falę rozpacz, gdy wróg zostawił go i rzucił się do ucieczki.

Dogonił go w mgnieniu oka, chwycił i ciął pazurami. Rozdarte ciało nieprzyjaciela zionęło kurzem i strachem. Oderwał go od ściany, przytrzymał na wyciągnięcie kleszczy i w orgiastycznym przypiływie nienawiści i triumfu zrzucił w otchłań.

# Część trzecia

## Podgatunki

### Rozdział 8

*Neoteniczna Republika Kulturalna, 17. 06.'91*

Miał miłe sny, sny o ciepłe, świetle, zwierzęcym życiu i wiecznotrwałej terażniejszości.

Odzyskaniu przytomności towarzyszyło mrowienie, jakby krew napływała ponownie do zdętwiałej kończyny. Usiłował się pozbierać, przyjmując na siebie brzemień indywidualności Lindsaya; z bólu wbił paznokcie w trawę i obsypał nagą skórę ziemią.

Wokół panował chaos. Otaczała go rzeczywistość w najbardziej pierwotnej formie, oślepiające i ogłuszające zamieszanie. Leżał na wznak na trawie, usiłując złapać oddech. Zamrożony obraz z wolna się wyostrzał: światło zielone, białe, brązowa kratownica konarów. Świat na nowo nabierał konkretnych form. Patrzył wprost w ruchomy rój listków i gałązek, kształt, którego piękno przepęłniało go nabożnym lękiem. Przetoczył się z wysiłkiem na brzuch i poczołgał w stronę chropowatego pnia, wlokąc nagie ciało przez jedwabistą trawę. Objął drzewo ramionami i przycisnął do kory zarośnięty policzek.

Ogarnęła go rozkosz. Przytulał twarz do drzewa i szlochał, targany niewyobrażalnym szczęściem. Jego umysł odzyskiwał dawną spójność, intuicyjnie ogarniając duszącą jedność z żywą istotą, z drzewem. Przepęłniła go radość, gdy poddał się temu spokojnemu zespoleniu.

\* \* \*

Kiedy zawołał o pomoc, na jego niepewne krzyki zareagowało dwóch młodych kształtcerzy w białych szpitalnych kitlach. Wzięli go pod ramiona i przeprowadzili przez trawnik, do wbudowanych pod kamiennym łukiem drzwi kliniki.

Lindsaya martwił fakt, że nie radzi sobie z mówieniem. Myśli miał jasne, ale nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa. Rozpoznał budynek – dworek klanu Tylerów. Wrócił do Republiki. Chciał się odezwać do sanitariuszy, zapytać, jak się tu znalazł, ale jego mózg nie mógł sobie poradzić z zaprowadzeniem porządku w słowniku. Słowa były poza jego zasięgiem.

Zaprowadzili go do holu, pełnego rozmaitych prototypowych urządzeń i ukrytych za szkłem eksponatów. Lewe skrzydło budynku, gdzie znajdowały się sypialnie, ogołocono ze sprzętów, zostawiając tylko boazerię i mnóstwo aparatury medycznej. Lindsay patrzył bezradnie na mężczyznę po lewej stronie, który miał lekkość ruchów kształtcerza i przeszywające spojrzenie superinteligenta.

– Pan jest... – wykrztusił niespodziewanie Lindsay.

– Spokojnie, przyjacielu. Jesteś bezpieczny. Pani doktor już idzie.

Sanitariusz uśmiechnął się, przyodział go w szpitalny fartuch z szerokimi rękawami i związał na



plecach kilka luźnymi węzłami. We dwóch posadzili Lindsaya pod zawieszonym u góry skanerem mózgowym, podali mu inhalator.

– Niuchnij sobie, kuzynie. To znakowana glukoza, radioaktywna. Do skanera. – Pielęgniarski czule poklepał białą kopułę aparatu. – Musimy cię obejrzyć, ale tak do głębi.

Lindsay posłusznie zaciągnął się powietrzem z inhalatora. Miało słodki zapach. Skaner z terkotem zsunął się po wsporniku i zawisł mu nad czubkiem głowy.

Do pokoju weszła kobieta z drewnianą walizeczką na przybory lekarskie. Miała na sobie luźny kitel, krótką spódnicę i ubłocone plastikowe buty.

– Mówił coś? – zapytała.

Lindsay rozpoznał jej linię genetyczną.

– Juliano – stęknął z mozołem.

Uśmiechnęła się do niego i otworzyła walizeczkę. Zawiasy skrzypnęły.

– Tak, Abelardzie – odparła i posłała mu „spojrzenie”.

– Margaret Juliano – rzekł Lindsay. Nie umiał zinterpretować „spojrzenia”, co sprawiło, że na nowo poczuł przypływ energii i lęku. – Katakliści, Margaret. Włożyli cię do lodu.

– Zgadza się. – Wyjęła z walizki brązowy cukierek na małej tacce z marszczonego papieru. – Czekoladkę?

Lindsayowi pociekła ślinka.

– Poproszę – rzucił odruchowo.

Kobieta wsunęła mu czekoladkę do ust. Poczłł lepłą słodycz i zaczął bez entuzjazmu ssać.

– Możecie iść – powiedziała Juliano do techników. – Zajmę się nim.

Dwaj superinteligenci uśmiechnęli się i wyszli. Lindsay przełknął.

– Jeszcze jedną? – zapytała kobieta.

– Nigdy nie przeczokoladałem... nigdy nie przepadałem za czekoladą – odrzekł Lindsay.

– To dobry znak – powiedziała i zamknęła pudełko. Zerknąwszy na ekran skanera, dobyła zza ucha pióro świetlne. – Przez ostatnie pięć lat cały twój świat kręcił się wokół tych cukierków.

Wstrząs był okropny, ale Lindsay się go spodziewał. Zaszło mu w gardle.

– Pięć lat?

– Masz szczęście, że w ogóle zostało ci jakieś „ja” – mówiła dalej Juliano. – Leczenie trwało długo; nie jest łatwo odtworzyć stan mózgu zmienionego dużą dawką PDKL-95. Sprawę dodatkowo utrudniały zaburzenia percepcji przestrzennej, spowodowane działaniem Areny. Ambitne zadanie. No i spory wydatek. – Patrzyła na ekran, pogryzając koniuszek pióra. – Ale tym się nie martw. Twój przyjaciel, Wellspring, pokrywał wszystkie koszty.

Zmieniła się bardzo. Nie potrafił rozpoznać w niej zdyscyplinowanej pacyfistki z Kliku Północy, Margaret Juliano z Goldreich-Tremaine; zamiast niej miał przed sobą opanowaną, niedbałą kobietę z plamami z trawy na kolanach i rozczochranymi, przybrudzonymi włosami.

– Nie próbuj od razu za wiele mówić – ostrzegła go. – Prawa półkula mózgu obsługuje u ciebie funkcje językowe za pośrednictwem spoidła. Możemy się spodziewać neologizmów, ubożego słownictwa, osobistego dialektu... Nie bój się. – Obramowała coś kółkiem na ekranie i wcisnęła klawisz. Po wyświetlaczu zaczęły przesuwac się przekroje mózgu Lindsaya w komputerowych błękitach i pomarańczach. – Ilu ludzi jest w tym pokoju?

– Ty i ja – odparł Lindsay.

– Nie masz wrażenia, że z tyłu, po lewej, stoi ktoś trzeci?

Lindsay odwrócił się, żeby spojrzeć przez ramię i uderzył boleśnie o wnętrze kopuły skanera.

– Nie.

– To dobrze. Wykorzystanie spoiwa było wobec tego słuszne. W przypadkach rozpadu mózgu dochodzi czasem do podziału świadomości i pojawia się drugie, widmowe „ja”, śledzące poczynania „ja” percepcyjnego. Powiedz mi, jeżeli czujesz coś podobnego.

– Nie. Za to na dworze czułem... – Chciał opowiedzieć jej o nagłym przebudzeniu, o cudownej chwili, kiedy intuicyjnie pojął znaczenie życia i własnej świadomości. Ta wizja wciąż płonęła w nim jak ogień, lecz znalezienie słów przekraczało jego możliwości. Zrozumiał nagle, że nigdy nikomu nie zdoła powiedzieć całej prawdy, nie umiałby wyrazić jej słowami.

– Nie walcz z tym – powiedziała Juliano. – Pozwól, żeby samo przyszło. Masz mnóstwo czasu.

– Moja ręka – rzekł nagle Lindsay, zauważywszy ze zdumieniem, że prawe, metalowe ramię na powrót stało się ciałem. Podniósł lewą rękę: była sztuczna. Ogarnęło go przerażenie. Został wywrócony na nice!

– Ostrożnie – powiedziała. – Możesz mieć pewne kłopoty z percepcją przestrzenną, z rozróżnianiem lewej i prawej strony. To efekt dominacji spoidłowej. Poza tym poddano cię nowej kuracji odmładzającej. Dużo nad tobą pracowaliśmy przez te pięć lat, tak po prostu, żeby zaznaczyć upływ czasu.

Oszło mi ją go niedbałość, z jaką to powiedziała.

– Jesteś Bogiem?

Wzruszyła ramionami.

– Dokonano różnych przełomów, Abelardzie. Wiele się zmieniło, w kategoriach społecznych, politycznych, medycznych. To dzisiaj chyba wszystko jedno, ale pomyśl o tym jak o spontanicznej samoorganizacji, społecznym skoku Prigogine'a na nowy stopień złożoności...

– Och, nie – zaprotestował Lindsay.

Juliano postukała w skaner, który natychmiast wzniósł się wyżej i zniknął Lindsayowi znad głowy. Usiadła na zabytkowym, drewnianym krześle biurowym, podkulając nogę.

– Na pewno nie chcesz czekoladki?

– Nie!

– A ja zjem. – Wyjęła cukierek z walizki, odgryzła kawałek i zaczęła z zadowoleniem ssać. – Niezłe są – powiedziała niewzruszona, z pełnymi ustami. – Mamy jeden z dobrych okresów w dziejach, Abelardzie. Chyba właśnie dlatego mnie odmrozili.

– Zmieniłaś się.

– To wynik epizodu lodowego. Mieli rację katakliści, mieli rację, że mnie zamrozili. Wapniałam już. Raz przepływałam przez pracownię matematyki na Kosmosytecie z garścią wydruków w ręku. Byłam w drodze do biura, głowę zaprzętało mi mnóstwo drobiazgów, zmartwień, planów... Potem zakręciło mi się w głowie, a kiedy się rozejrzałam, wszystko zniknęło. Pustka. Wydruki rozsypywały mi się w rękach, na ubraniu miałam pełno kurzu, Goldreich-Tremaine legło w gruzach, komputery nie działały, studenci zniknęli... Świat w jednej chwili przeskoczył trzydzieści lat naprzód; nastąpił totalny kataklizm. Przez trzy dni pożerałam łapczywie wiadomości, próbowałam odszukać ludzi z Kliki Północy, dowiadywałam się, że jestem historią, a potem wszystko zważyło się na mnie jak olbrzymia fala. Wymięklam, Abelardzie. Moje wartości się posypały; świat mnie nie potrzebował, wszystko, co uważałam za ważne, zniknęło. Moje życie stało się zupełnie jałowe. I byłam zupełnie wolna.

– Wolna – powtórzył Lindsay, smakując to słowo. – Constantine – powiedział nagle. – Mój wróg.

– Można by rzec, że jest martwy, ale to kwestia definicji – odparła Juliano. – Od współgenetycznych Constantine'a dostałam skany dokumentujące jego stan. Odniosł poważne obrażenia. Zapadł w przedłużoną fugę i doznał przyspieszenia świadomości, które dla niego musiało

trwać całe wieki. Jego umysł nie był w stanie zachować sprawności, karmiąc się danymi z Areny. Fuga trwała tyle czasu, że jego osobowość została starta. Mówiąc poetycko, zapomniał się do szczętu.

– Powiedzieli ci to? Jego rodzeństwo?

– Czasy się zmieniły, Abelardzie. Wróciła moda na odprężenie. Linia genetyczna Constantine'a znalazła się w tarapatkach, my zaś nieźle im zapłaciliśmy za informacje. Unia Ślizgaczy przestała być stolicą, jej miejsce zajęła Stacja Jastrowa, gdzie aż się roi od serotonistów zen. Nienawidzą wszelkiego podniecenia.

Lindsay się ożywił.

– Pięć lat – powiedział i zerwał się na równe nogi. – Cóż dla mnie znaczy pięć lat? – Zrobił kilka kroków, zataczając się niepewnie. Pomieszczenie półkul w mózgu czyniło go niezdarnym. Zebrał się w sobie i postarał się wyczuć własną kinezykę.

Nie udało mu się.

Odwrócił się do Margaret Juliano.

– Moje szkolenie. Moja kinezyka.

– Tak. – Pokiwała głową. – Kiedy się za ciebie zabraliśmy, dostrzegliśmy jej pozostałości, ślady wczesnego kształcącego warunkowania psychotechnicznego, wedle dzisiejszych standardów nadzwyczaj prymitywnego. Przeszkadzałyby ci w powrocie do zdrowia, toteż przez te parę lat krok po kroku je wytłumiliśmy.

– To znaczy, że zniknęły bezpowrotnie?

– Ależ tak. Mieliśmy za dużo zabawy z dychotomią mózgową, żeby dopuścić do tego, by stare nawyki powodowały u ciebie dwoistość myśli. Wiesz, „hipokryzja jako stan świadomości” i tak dalej. – Prychnęła. – W ogóle to od początku był zły pomysł.

Lindsay opadł z powrotem na fotel pod skanerem.

– Ale to całe moje życie... Teraz mi je zabraliście. Dzięki nieudol... – Zamknął oczy, szukając właściwego słowa. – Dzięki technice.

Juliano sięgnęła po następną czekoladkę.

– Co z tego? – spytała obojętnie. – Przecież właśnie technika cię tak uwarunkowała. Przywróciliśmy ci dawną naturę. Czego chcesz więcej?

Przez otwarte drzwi weszła Alexandrina Tyler. Zaszleścił ciężki materiał – ubierała się wytwornie, zgodnie z modą obowiązującą, kiedy była małą dziewczynką: w bufiastą spódnicę do ziemi i sztywny kremowy żakiet ze stójką i wyszywanymi wtyczkami. Spojrzała w dół.

– Margaret – powiedziała – popatrz na swoje nogi.

Juliano zerknęła z roztargnieniem na odłóżące od butów płatki zaschniętego błota.

– Och, kochanie, przepraszam.

Na widok Alexandriny Lindsay doznał kolejnego zawrotu głowy. Kiedy przyszedł do siebie, poczuł się lepiej, jakby z jego myśli ustąpił paraliż, po którym została światłość i pustka.

– Alexandrino – odezwał się. Czuł się delikatniejszy, lecz zarazem bardziej rzeczywisty niż przed chwilą. – Byłaś czas? Cały tutaj?

– Abelardzie, ty mówisz! – zdziwiła się jego była żona.

– Staram się.

– Słyszałam, że lepiej się czujesz, więc przyniosłam ci ubranie. Z Muzeum. – Pokazała mu zawinięty w folię zabytkowy garnitur. – Widzisz? To twój własny garnitur; nosiłeś go siedemdziesiąt pięć lat temu. Szabrownicy go oszczędzili, kiedy ograbiono dwór Lindsayów. Przymierz go, skarbie.

Lindsay dotknął sztywnego, wytartego materiału.

– Ekspонат muzealny – powiedział.

– Oczywiście.

Margaret Juliano „spojrzała” na Alexandrinę.

– Nie wiem, czy nie wolałby się ubierać jak sanitariusz. Wtopiłby się w tłum, przybrał miejscowe barwy.

– Nie – sprzeciwił się Lindsay. – W porządku. Włożę go.

– Alexandrina nie mogła się doczekać tej chwili – szepnęła mu Margaret Juliano, gdy z mozołem przepychał bosc stopy przez usztywnione drutem, harmonijkowe kolana spodni. – Codziennie karmi cię jabłkami z ogrodu Tylerów.

– Przywiozłam cię tu po pojedynku – rzekła Alexandrina. – Nasze małżeństwo wygasło, ale to ja zarządzam teraz Muzeum. Mam tam posadę. – Uśmiechnęła się. – Ograbili domy, lecz sady wciąż stoją nietknięte. Ciotka Marietta zawsze ręczyła za jakość rodzinnych jabłoni.

W koszuli na ramieniu puścił szew.

– Pożerałeś te jabłka z ogonkami i pestkami – powiedziała Margaret Juliano. – To było cudowne.

– Jesteś w domu, Alexo – rzekł Lindsay. Tego chciała; cieszył się z jej powodu.

– To był dom Tylerów – wyjaśniła Alexandrina. – Lewe skrzydło i ogrody zajęła klinika, to dzieło Margaret. Ja jestem kuratorką, zarządzam resztą majątku. Zebrałam wszystkie pamiątki naszego dawnego stylu życia... Wszystko, co oszczędziły ekipy reedukacyjne Constantine'a. – Pomogła Lindsayowi wciągnąć przez głowę marynarkę, z kołnierzem jakby wyciętym ze skafandra kosmicznego. – Choć, oprowadzę cię.

Juliano zrzuciła buty i stanęła przed nim w opadających skarpetkach.

– Pójdę z wami. Chciałabym obserwować jego reakcje.

Główną salę balową przekształcono w salę wystawową. Trafiły do niej przeszklone gabloty i portrety założycieli klanu. Pod sufitem zawieszono zabytkowy, napędzany pedałami lekkiolot. Pięcioro kształcerzy podziwiała ekspozycję prymitywnych narzędzi, jakich używano podczas budowy światów okołoksiężycowych. Szykowne, niskograwitacyjne ubrania wisiały na zwiedzających groteskowo, gdyż w Republice ciężenie symulował ruch obrotowy. Alexandrina wzięła Lindsaya pod ramię i szepnęła:

– Podłoga wygląda ślicznie, prawda? Sama ją odnawiałam. Nie wpuszczamy tu żadnych robotów.

Lindsay zerknął na jedną ze ścian i zamarł na widok portretu założyciela klanu, Malcolma Lindsaya. Kiedy był dzieckiem, promieniejąca mądrością wieków twarz nieżyjącego pioniera, wyzierająca z bibliotecznych półek i regałów, napawała go lękiem. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak młody w rzeczywistości jest mężczyzna na portretach: zmarł w wieku siedemdziesięciu lat. Cały ośrodek mieszkalny został w pośpiechu odcięty przez ludzi, którzy właściwie dopiero co wyrosli z dzieciństwa. Lindsay wybuchnął histerycznym śmiechem.

– To żart! – krzyknął. Śmiech delikatnymi ukłuciami topił blokadę myśli.

Alexandrina popatrzyła nerwowo na zmieszanych kształcerzy.

– Może jeszcze na niego za wcześnie, Margaret.

Juliano się roześmiała.

– On ma rację: to żart. Zapytaj kataklistów. – Wzięła Lindsaya za drugą rękę. – Chodź, Abelardzie. Wyjdziemy na dwór.

– To żart – powtórzył Lindsay. Język odzyskał sprawność i słowa płynęły swobodnym strumieniem. – Niewiarygodne. Ci biedni głupcy nie mieli pojęcia. Niby skąd? Zginęli, zanim mieli okazję przejrzeć na oczy. Co dla nas znaczy pięć lat, dziesięć, sto...

– Bełkoczesz bez ładu i składu, skarbie. – Margaret Juliano zeszła z nim na dół, do holu i

wyprowadziła go przez kamienny portal. Na trawie kładły się cętki słonecznego blasku. – Uważaj, gdzie idziesz – ostrzegła go. – Mamy też innych pacjentów, nie najlepiej wychowanych.

Nieopodał, pod porośłym mchem murem, młoda naga kobieta z uporem rwała trawę, od czasu do czasu przerywając tę czynność, by zlizać brud z rąk.

Lindsay był przerażony; wyglądał, jakby sam posmakował ziemi.

– Wyjdźmy poza teren ośrodka – zaproponowała Margaret Juliano. – Pongpianskul nie będzie miał nic przeciwko temu.

– To on pozwala wam tu mieszkać, prawda? Ta kobieta jest kształcerką. Należy do kataklistów? Był coś kataklistom winien, więc teraz wy się nimi opiekujecie w jego imieniu.

– Staraj się za wiele nie mówić, kochanie. Mógłbyś sobie zrobić krzywdę. – Juliano otworzyła żelazną bramę. – Katakliści lubią to miejsce, podoba im się bardzo.

– O Boże! – westchnął Lindsay.

Republika oszałała. Olbrzymie, pochylające się ku sobie drzewa w ogrodach Muzeum przesłaniały widok i nie pozwalały w pełni ogarnąć rozległej panoramy, teraz jednak świat majaczył nad nim i wokół niego, wszędzie, w promieniu pięciu kilometrów – oszałamiająca gęstwina równo przyciętych, splecionych krzewów, trzy podłużne panele oświetlone przecinającymi się snopami światła, kierowanego systemem luster. Zapomniał już, jak jasny potrafi być blask Słońca w jego bliskim sąsiedztwie.

– Te drzewa – sapnął. – Boże mój, patrzcie!

– Odkąd stąd wyjechałeś, cały czas rosną – powiedziała Juliano. – Chodź, pokażę ci coś innego.

Lindsay odruchowo podniósł wzrok, żeby spojrzeć na swój niegdysiejszy dom. Widziane z góry ogrody dworku graniczyły z dawnym kwartałem tanich, tętniących życiem restauracyjek. Knajpki jednak podupadły, a sam dom stał w ruinie: w krytym czerwonym księżycowym łupkiem dachu ziały ogromne dziury, prywatne lądowisko na szczycie czteropiętrowej wieży tonęło w bluszczu.

Na północnym skraju świata, wysoko na ścianie, ekipa robotników – z tej odległości byli wielkości mrówek – niespiesznie rozbierała pozostałości jednego z druciarskich szpitali. Ławica chmur przesłoniła dawną elektrownię i obszar zajmowany przez Gnilec.

– Inaczej tu pachnie – doszedł do wniosku Lindsay. Przy samym Muzeum potknął się o skraj ścieżki rowerowej i musiał spojrzeć pod nogi. Miał brudne stopy. – Powiniennem się wykąpać.

– Musisz pogodzić się z bakteriami. Jeśli masz mikroby na skórze, odrobina brudu ci nie zaszkodzi. Ja to lubię. – Margaret Juliano się uśmiechnęła. – Dużo tu miejsca, prawda? Wiem, Goldreich-Tremaine było dziesięć razy większe, ale nie miało tyle otwartej przestrzeni. To wielki, niebezpieczny świat.

– Cieszę się, że Alexandrinie udało się wrócić – powiedział Lindsay.

Ich małżeństwo było udane, gdyż zapewniło Alexandrinie to, czego najbardziej pragnęła i Lindsay miał poczucie, że wynagrodził jej doznane krzywdy. Kosztowało go to jednak wiele wysiłku i teraz cieszył się, że jest już wolny.

Republika zmieniała się bardzo. Owszem, dużo w niej miejsca, pomyślał. Ale z pewnością nie dość dużo. Odczuwał zniecierpliwienie, palącą tęsknotę za czymś konkretnym, ogromnym i podstawowym. Przespał pięć lat i czuł teraz, że długi, ożywczy odpoczynek dał mu bezgraniczną siłę. Kolana się pod nim ugięły i Margaret Juliano musiała go złapać w swoje mocne, kształcerskie ramiona.

– Spokojnie – powiedziała.

– Nic mi nie jest.

Przeszli po mostku z ażurowymi balustradami, przerzuconym nad oślepiającym polem metaszkła, które oddzielała dwa panele uprawne. Spod chmur wynurzył się dawny Gnilec. Mokradła zmieniły

się w oazę roślinności tak oslepiająco zielonej, że zdawała się lśnić nawet w cieniu obłoków. Wysoki chłopak, na patykowatych nogach i w workowatym ubraniu, pędził przed siebie wzdłuż okalającego Gnilec płotu z siatki, próbując poderwać w górę ogromny latawiec skrzynekowy.

– Nie jesteś pierwszym pacjentem, którego wyleczyłam – mówiła Juliano, gdy ruszyli w kierunku ogrodu. – Zawsze twierdziłam, że mam obiecujących, superinteligentnych uczniów. Część z nich pracuje tutaj. To projekt pilotażowy. Chciałabym ci pokazać, co osiągnęli, zmagając się z botaniką z punktu widzenia teorii złożoności Prigogine'a. Nowe gatunki, ulepszony chlorofil... solidna praca twórcza.

– Zaczekaj – powstrzymała ją Lindsay. – Chciałbym zamienić dwa słowa z tym dzieciakiem.

Latawiec przyciągnął jego uwagę; wymalowany na nim obrazek przedstawiał nagiego mężczyznę wciśniętego między płaszczyzny nośne pudełka.

Kobieta w ubłoconych sztruksach wychyliła się zza płotu, machając nożycami.

– Margaret! Chodź, popatrz!

– Zaraz wrócę. Nie odchodź – przykazała Lindsayowi Juliano.

Lindsay podreptał niepewnie do chłopca, który wprawnie sterował latawcem.

– Cześć, starszy kuzynie – odezwał się chłopak. – Masz jakieś taśmy?

– Taśmy?

– Wideo, audio, cokolwiek z Rady Pierścieni. Stamtąd przecież pochodzisz, nie?

Lindsay odruchowo odwołał się do nabytych umiejętności, do automatycznej sieci spontanicznych kłamstw, które pozwoliłyby zaprezentować chłopcu wiarygodny obraz – lecz umysł miał pusty. Rozdziawił usta. Czas mijał, wykrztusił więc pierwsze słowa, jakie przyszły mu do głowy:

– Jestem astrognidą z Klastra Carycy.

– Poważnie? Posthumanizm! Stopnie złożoności Prigogine'a! Skale fraktalne, łożysko czasoprzestrzeni, prekontinuum, praprzestrzeń! Nic nie poplątałem?

– Podoba mi się twój latawiec. – Lindsay uniknął odpowiedzi.

– To dawny znak kataklistyczny – odparł chłopiec. – Sporo tu mamy starych kataklistów. Latawiec przyciąga ich uwagę, ale pierwszy raz zdarzyło mi się złapać cykadę.

Cykadę, pomyślał Lindsay: obywatela KC. Wellspring kochał się w slangu.

– Jesteś stąd?

– Zgadza się. Nazywam się Abelard, Abelard Gomez.

– Abelard... Rzadkie imię.

Chłopiec się roześmiał.

– W KC może i tak, ale w Republice nosi je co piąty dzieciak. Na pamiątkę Abelarda Lindsaya, takiej grubej ryby z zamierzchłych czasów. Na pewno o nim słyszałeś. – Chłopiec się zawahał. – Ubierał się tak jak ty. Widziałem zdjęcia.

Lindsay zerknął na strój chłopaka – młody Gomez miał na sobie podrabiany, niskograwitacyjny komplet, który beznadziejnie na nim wisiał.

– Wiem, że jestem nie na czasie – rzekł Lindsay. – Strasznie dużo się mówi o tym facecie, o Lindsayu, prawda?

– Nie słyszałeś nawet polowy – odparł Gomez. – Weźmy na przykład szkołę... tutaj to jeden wielki skansen. Każą nam czytać książkę Lindsaya. Nazywa się „Szekspir”. Abelard Lindsay przełożył ją na współczesny angielski.

– To takie złe? – zdziwił się Lindsay.

– Masz szczęście, dziadku, że nie musisz jej czytać. Przekartkowałem. Nie ma tam ani słowa o spontanicznej samoorganizacji.

Lindsay pokiwał głową.

– Szkoda.

– I wszyscy są w niej starzy. Nie mam na myśli takich fałszywek jak nasi Zachowawcy, czy dziwnie podstarzałych gości jak Pong.

– Masz na myśli Pongpianskula?

– Tak, strażnika. Właściwie chodzi mi o to, że wszyscy szybko się zużywają. Są wypaleni, pokręceni i chorzy. To przygnębiające.

Lindsay pokiwał głową. Historia kołem się toczy, pomyślał.

– Oburzacie się, gdy ktoś próbuje ingerować wasze życie – powiedział. – Ty i twoi przyjaciele jesteście radykałami. Chcecie zmian.

– Niezupełnie – sprzeciwił się Gomez. – Mają mnie dopiero od sześćdziesięciu lat, a ja pożyję jeszcze kilkaset, kuzynie. Zamierzam dokonać wielkich rzeczy i zajmie mi to mnóstwo czasu, ale to będą naprawdę ogromne, gigantyczne dzieła. Nie takie drobiazgi, jakimi chwalą się ci zasuszeni ludkowie z przeszłości.

– Jakie to wielkie dokonania?

– Rozsiewanie życia. Rozdzieranie planet. Tworzenie światów. Terraformowanie.

– Rozumiem – rzekł Lindsay, oszołomiony, że tyle pewności siebie kryje się w takim dziecku. To musiał być wpływ kataklistów; zawsze popierali zwariowane plany, złudzenia, które zwykle okazywały się funta kłaków warte. – Będiesz wtedy szczęśliwy?

Chłopiec spojrzał na niego podejrzliwie.

– Jesteś serotonistą zen? „Szczęśliwy”; co to za bełkot? Chrzanić szczęście, kuzynie. Kosmos mówi do nas. Stoisz po stronie życia, czy jesteś przeciw niemu?

Lindsay się uśmiechnął.

– To sprawa polityczna? Nie ufam polityce.

– Jaka polityka? Mówię o biologii, o organizmach, które żyją i rosną. O formach zintegrowanych.

– Gdzie jest w tym wszystkim miejsce dla ludzi?

Zniecierpliwiony chłopak machnął ręką i złapał lądujący latawiec.

– Mniejsza o nich, tu chodzi o podstawowe zasady wierności. Weźmy to drzewo: czy jesteś po jego stronie? Przeciw nieorganice?

Lindsay miał jeszcze świeżo w pamięci niedawne oświecenie. Chłopak pytał szczerze.

– Tak – odparł. – Jestem zwolennikiem życia.

– W takim razie rozumiesz cel terraformowania.

– Terraformowanie – powtórzył wolno Lindsay. – Znam teorie. Domysły. Przypuszczam, że to możliwe, ale co to ma z nami wspólnego?

– Prawdziwe zaangażowanie się po stronie życia wymaga moralnego aktu stworzenia – odparł natychmiast Gomez.

– Ktoś wbił ci do głowy slogany. Planety istnieją naprawdę, nie są tylko punktami na desce kreślarskiej. Wysilek byłby isticie tytaniczny, nie na ludzką miarę.

Chłopak się niecierpliwił.

– Jaki naprawdę jesteś? Jak duży? Większy od nieożywionej materii?

– Ale to potrwa wieki...

– A myślisz, że to drzewo by się zawahało? A tak właściwie, ile zostało ci czasu?

Lindsay roześmiał się, przyznając do porażki.

– No dobrze. Zamierzasz wieść cichy, mizerny żywot człowieka, czy odważysz się sięgnąć dalej, wykorzystać w pełni swój potencjał?

– Gdybym był człowiekiem, to dawno umarłbym ze starości.

– Nareszcie mówisz rozsądnie. Jesteś tak wielki, jak twoje sny. Tak się chyba mówi w KC, nie?

Żadnych reguł, żadnych barier. Spójrz na mechów i kształcerzy – ciągnął pogardliwie Gomez. – Mają całą władzę, jaką można sobie wymarzyć, a ograniczają się do kręcenia w kółko w pogoni za własnym ogonem. Nie obchodzą mnie ich wojny i gówniane ideologie; posthumanizm przerasta je wszystkie. Zapytaj tamtych. – Machnięciem ręki wskazał ogrodzenie. – Projektowanie ekosystemów, odtwarzanie życia w nowych warunkach. Trochę biochemii, szczypta fizyki statystycznej, trochę podłapiasz tu, trochę tam... to właśnie jest najciekawsze. Gdyby Abelard Lindsay żył, właśnie tym by się dziś zajmował.

Ironia tego stwierdzenia boleśnie ubodła Lindsaya, chociaż musiał przyznać, że w wieku Gomeza też rzadko mówił do rzeczy. Nagle zaczął się bać o chłopca, zapragnął chronić go przed katastrofą, którą podobna retoryka niechybnie ściągnie mu na głowę.

– Tak uważasz?

– Pewnie. Mówi się o nim, że był typem zatwardziałego Zachowawcy, ale przecież urwał się stąd i został astrognidą, kiedy wszystko dobrze szło, prawda? Nie kręcił się tutaj, czekając na „śmierć ze starości"... Zresztą nikt tak nie robi.

– Nawet tutaj? U źródeł idei Zachowawców?

– Jasne. Każdy, kto przekroczy czterdziestkę, rozgląda się na czarnym rynku, jak przedłużyć sobie żywot. Osiągnąwszy sześć dych, uciekają do Klastra Carycy. Cykad nie obchodzi nasza historia ani geny; przyjmują wszystkie podgatunki. U nich bardziej się liczą marzenia.

Marzenia, pomyślał Lindsay. Marzenia Zachowawców, zamienione na czarnorynkową walkę o nieśmiertelność. Sen o pokoju Inwestorów runął, tymczasem wizje terraformowania wciąż kusily własnym blaskiem. Młody Gomez nie mógł podejrzewać, że i on z czasem zblednie.

Ale i tak, rozmyślał dalej Lindsay, człowiek miał do wyboru śnić albo umrzeć. Mając świadomość przepelniającego go nowego życia, wiedział, jakiego dokonać wyboru.

Margaret Juliano wychyliła się zza płotu.

– Abelardzie! Chodź tutaj, Abelardzie. Musisz to zobaczyć!

Zaskoczony chłopak zaczął zwijać linkę latawca.

– Ale mam fart! Psychotechniczka chce mi coś tam pokazać.

– Idź do niej – rzekł Lindsay. – Powiedz jej, że prosiłem, by pokazała ci wszystko, co cię interesuje, dobrze? I że ja poszedłem pogadać z Pongpianskulem.

Chłopak kiwnął wolno głową.

– Dzięki, cykado. Jesteś swój człowiek.

\* \* \*

Biuro Pongpianskula przypominało papierowe pustkowie. Zakurzone, oprawne w płótno zbiory obowiązujących w Związku praw tworzyły wysoki stos obok drewnianego biurka. Plany i wykresy produkcyjne zdobiły w przypadkowych miejscach prastarą boazerię. W kącie pokoju cętkowany żółto-brązowy kot ziewnął, przeciągnął się i zaczął ostrzyć pazury o dywan. Lindsay, który miał niewielkie doświadczenie w kontaktach z kotami, uważnie go obserwował.

Pongpianskul miał na sobie garnitur podobny do tego, który nosił Lindsay, nowszy jednak i niewątpliwie ręcznie szyty. Od czasów Goldreich-Tremaine wypadły mu włosy i światło połyskiwało matowo na śniadej łysinie. Chudą, pomarszczoną dłonią zgarnął z blatu stertę papierów i spiął je w całość.



– Papiery – mruknął. – Ostatnio staram się nie korzystać z komputerów. Nie ufam im. Człowiek nigdy nie wie, kiedy znajdzie się jakiś mech, gotów wstawić mu do komputera nowe oprogramowanie. To pierwszy krok na równi pochyłej, Mavrides. A właściwie Lindsay.

– Lindsay lepiej brzmi.

– Musisz przyznać, że niełatwo śledzić twoje losy. Wykręciłeś znakomity numer, podając się w Pierścieniach za genetycznego ze starszyny. – Pongpianskul posłał Lindsayowi „spojrzenie”, które ten częściowo wychwycił; nabyte z wiekiem doświadczenie po części równoważyło brak kinezyznego treningu. – Ile to już czasu nie mieliśmy okazji porozmawiać?

– Hmm... A który mamy rok?

Pongpianskul zmarszczył brwi.

– Mniejsza z tym. I tak byłeś wtedy na Dembowskiej. Pod egidą neoteników sprawy mają się całkiem nieźle, nie uważasz, Mavrides? Republika trochę podupadła, ale wpłynęło to korzystnie na rozwój turystyki; ci z Rady Pierścieni chłoną te widoki jak gąbka. Prawdę mówiąc, musieliśmy dostać się do starego dworku Lindsayów i trochę go zdewastować, żeby był bardziej romantyczny. Wprowadziliśmy tam myszy. Znasz myszy? Z okazji laboratoryjnych udało się odtworzyć okazy żyjące na wolności. Wiesz, że w naturze miały różowe oczy? Dziwnie wyglądają; przypominają mi żonę.

Pongpianskul otworzył jedną z przepastnych szuflad biurka i wrzucił do niej spięty plik papierów, wyjął zaś garść rozsypujących się wydruków i wlepił w nie wzrok.

– A to co? Już dawno powinny być zrobione... Nieważne, na czym to skończyliśmy? Ach tak, żony. Nawiasem mówiąc, ożeniłem się z Alexandriną. To świetna Zachowawczyni. Nie mogłem dopuścić do tego, żeby się marnowała.

– Dobrze zrobiłeś – powiedział Lindsay. Ich kontrakt małżeński wygasł, a nowy związek był ze strony Alexandriny rozsądnym posunięciem politycznym. Nie przyszło mu do głowy, że mógłby odczuwać zazdrość; tego kontrakt nie przewidywał. Ucieszył się, że zapewniła sobie właściwą pozycję w społeczeństwie.

– Nie można mieć za dużo żon. Weźmy na przykład Georgianę, pierwszą małżonkę Constantine'a. Namówiłem ją na odrobinę niszczyciela, jakieś dwadzieścia mikro, nie więcej. Ogromnie poprawił jej samopoczucie i ostatnio jest słodziutka jak cukiereczek. – Pongpianskul spojrzał poważnie na Lindsaya. – Ale nie możemy tolerować tu zbyt wielu staruszków. To wbrew ideologii. Dość krwi psują nam ci katakliści z tymi swoimi posthumanistycznymi planami. Trzymam ich za drutami, na kwarantannie, ale i tak dzieciaki się przekradają.

– Miło z twojej strony, że ich tu przyjmujesz.

– Muszę dbać o dopływ gotówki z zewnątrz. KC finansuje badania kataklistów, choć niewiele z nich przyjdzie. Superinteligenci na niczym nie potrafią się dłużej skoncentrować. – Pongpianskul prychnął i wziął z biurka list przewozowy. – Potrzebuję pieniędzy. Spójrz na te liczby: importuję dwutlenek węgla. Wszystko przez te cholerne drzewa; pożerają go w ogromnych ilościach. – Westchnął. – A mnie są potrzebne. Ich masa stabilizuje ruch świata. Orbita okołoksiężycowa to istne piekło.

– Cieszę się, że sprawy są w dobrych rękach.

Pongpianskul uśmiechnął się smutno.

– Tak przypuszczam. Nic nigdy nie idzie według planu, ale chyba wszystko jest w porządku, bo inaczej mechowie dawno już doszliby do władzy. – Kot wskoczył mu na kolana i zaczął mruścić. Ten dźwięk dziwnie kojąco podziałał na Lindsaya. – Oto mój kot, Saturn. Saturnie, przywitaj się z Lindsayem.

Kot nawet nie otworzył oczu.

– Nie wiedziałem, że lubisz zwierzęta.

– Z początku go nie znosiłem. Wszędzie pełno jego włosów, jakby garściami wylażyły mu z grzbietu. Poza tym jest brudny jak prosię. A właśnie, widziałeś kiedyś prosię? Kazałem sprowadzić kilka sztuk. Niesamowite stworzenia; turyści nie mogą wyjść z podziwu.

– Koniecznie muszę je zobaczyć przed odlotem.

– Zwierząt wszędzie dziś pełno. Może nie dosłownie, chociaż mieliśmy kłopoty z prosiakami, które zapędziły się do strefy nieważkości. Jest jeszcze sprawa tej biośmiertelności w Kłastrze Carycy... następna kataklistyczna nowinka.

– Tak sądzisz?

– Hmm... – Strażnik się zamyślił. – Może i nie. Jak się zacznie manipulować przy ekologii, trudno wyczuć moment, kiedy należałoby się zatrzymać. Wysłałem skrawek skóry tego kociaka do Rady Pierścieni; muszę sklonować całą linię genetyczną. Ze względu na myszy, rozumiesz. Małe szkodniki wszędzie się rozpanoszyły.

– Planeta byłaby lepsza – zauważył Lindsay. – Więcej przestrzeni.

– Nie podoba mi się pomysł igrania ze studnią grawitacyjną – rzekł Pongpianskul. – To oznacza tylko więcej miejsca na popełnianie błędów. Nie mów, że dałeś się na to nabrać, Mavrides.

– Świat potrzebuje marzeń.

– Mam nadzieję, że nie zaczniesz mi tu bredzić o stopniach złożoności.

Lindsay się uśmiechnął.

– Nie.

– To dobrze. Kiedy przyszedłeś tu taki nie umyty i bez butów, obawiałem się najgorszego.

– Podobno mam sporo wspólnego z prosiakami.

Pongpianskul wytrzeszczył oczy, nie rozumiejąc o co chodzi Lindsayowi, a potem wybuchnął śmiechem.

– Cha, cha, cha! Widzę, że nie czepiasz się kurczowo własnej godności. Jej nadmiar okalecza. Fanatycy nigdy się nie śmieją. Mam nadzieję, że wciąż potrafisz się śmiać, kiedy próbujesz okiełznać światy.

– Na pewno ktoś się z tego niewąsko uśmieje.

– No, będziesz potrzebował dobrego humoru, przyjacielu, bo takie rzeczy nigdy nie idą tak, jak sobie człowiek zamyśli. Rzeczywistość to stado myszy, które podgryzają opokę naszych snów... Wiesz chyba, co chciałem tu osiągnąć, nie? Zrobić rezerwat dla ludzkości i ludzkiego stylu życia, ot co. Tymczasem mam ogromną scenę pełną podstawionych turystów i kataklistycznych świrów.

– Warto było spróbować – rzekł Lindsay.

– Jasne, złam staremu człowiekowi serce – rozzalił się Pongpianskul. – Jakieś pocieszające kłamstwo wcale by nie zaszkodziło.

– Przepraszam – powiedział Lindsay. – Już nie potrafię kłamać.

– To lepiej szybko się naucz, bo wielka, wredna Schismatrix wciąż na ciebie czyha, z odprężeniem czy bez. – Pongpianskul się zadumał. – A głupcy z Kłastry Carycy zaprzędali się obcym. Co się dzieje z tym światem? Słyszałem, że jakiś bałwan chce sprzedać Jowisza.

– Słucham?

– Tak, tak, chce go sprzedać jakiejś bandzie inteligentnych balonów. Skandal, prawda? Niektórzy zrobią wszystko, żeby wleźć obcym w tyłek. Och, przepraszam, bez urazy. – Posłał Lindsayowi „spojrzenie” i przekonał się, że nie obraził rozmówcy. – Nic im z tego nie przyjdzie, tak jak z ambasad. Na szczęście obcy mają chyba znacznie więcej rozumu od nas, no, może z wyjątkiem

Inwestorów. Właśnie, Inwestorzy. Banda międzygwiazdnych, wścibskich szkodników... Gdyby spróbowali zastosować rozwiązania siłowe, przysięgam, że obejmę Republikę kwarantanną, o jakiej Radzie Pierścieni się nawet nie śniło i poczekam, aż społeczeństwo kompletnie się rozpadnie. Ja pewnie do tego czasu zwiędnę, ale miejscowi ruszą w kosmos i wybierają resztki. Pojmą wtedy, że mój mały rezerwat miał sens.

– Rozumiem. Próbujesz uchronić ludzkość przed przegraną. Zawsze byłeś cwany graczem, Neville.

Słowa Lindsaya sprawiły staremu kształcerczowi przyjemność. Kichnął donośnie i wystraszony kot zeskoczył na biurko, mnąc papiery.

– Przepraszam – powiedział Pongpianskul. – Nigdy do końca nie przywykłem do bakterii i kociej sierści.

– Chcę cię prosić o przysługę – rzekł Lindsay. – Wybieram się do Klastra Carycy i chciałbym zabrać jednego z twoich obywateli.

– Chcesz, żeby „umarł w świat”? Zawsze dobrze sobie z tym radziliście na Dembowskiej. Nie ma sprawy.

– Nie, chodzi mi o młodego człowieka.

– Nie ma mowy. Powstałby niebezpieczny precedens. Ale zaraz... Masz na myśli Abelarda Gomeza?

– W rzeczy samej.

– Rozumiem. Martwi mnie ten chłopak. W jego żyłach płynie krew Constantine'a. Wiedziałeś o tym? Obserwuję tutejszych genetycznych; geniusze pojawiają się w tej linii jak nieudane rzuty w grze w kości.

– Wobec tego to ja wyświadczę ci przysługę.

– Chyba tak. Przykro mi, że musisz odlecieć, Abelardzie, ale w tej chwili, wyznając taką ideologię, wywierałbyś zły wpływ na ludzi. Wiesz o tym, że jesteś tu bohaterem kultury masowej.

– Skończyłem ze starymi marzeniami. Odzyskałem dawną energię, a w Kłastrze Carycy czeka na mnie nowy sen. Nawet jeśli w niego nie wierzę, mogę przynajmniej pomóc tym, co wierzą. – Lindsay wstał i cofnął się ostrożnie, patrząc jak kot obwąchuje mu stopy. – Powodzenia z myszami, Neville.

– Powodzenia, Abelardzie.

## Rozdział 9

*Korporacyjna Republika Ludowa Klastra Carycy, 15. 12.'91*

Machina bogactwa pracowała pełną parą. Wir pieniędzy porwał i wciągnął świat. Wykładnicze krzywe wzrostu gospodarczego uderzyły jak zwykle za szybko, z przeczącą intuicji gwałtownością, która oślepiła nieświadomych i oszołomiła tych, którzy się jej spodziewali.

Populacja przestrzeni okołosłonecznej sięgnęła trzech miliardów dwustu milionów obywateli i podwajała się co dwadzieścia lat. Czteryście głównych asteroid mechanistów pławiło się w fali dóbr, produkowanych przez czterdzieści tysięcy całkowicie zautomatyzowanych zakładów przemysłowych oraz roboty górnicze, których liczbę szacowano na osiem miliardów. W światach kształcerczy bogactwo miało inną miarę, ale i tak ginęło wobec dwudziestu miliardów ton biomasy produkcyjnej.

Główny licznik kilobajtów okołosłonecznych sięgnął astronomicznej wartości, którą w najlepszym

przybliżeniu określano na 9, 45x10<sup>18</sup>. Ilość krążących między światami informacji – z samych tylko ogólnodostępnych banków danych, z pominięciem gigantycznych obszarów informacji zastrzeżonej – oceniano na 2, 3x10<sup>18</sup> bitów.

Zaistniała konieczność wprowadzenia ścisłych regulacji społecznych, by całe narody nie rozpadły się w orgii obfitości.

Mierzoną w megawatach energię, która bez trudu zaspokoiłaby potrzeby całych Pierścieni, beztrudno przeznaczano na budowę szybkich liniowców transorbitalnych. Statki te, wystarczająco wielkie, by setkom pasażerów zapewnić wszelkie wyobrażalne wygody, przyjmowały status odrębnych państw i przeżywały własne eksplozje demograficzne.

Żaden jednak postęp materialny nie był w stanie zrównoważyć wpływu, jaki najnowsze odkrycia naukowe wywierały na społeczeństwa. Przełomowe badania w fizyce statystycznej pozwoliły dowieść obiektywnego istnienia czterech stopni złożoności Prigogine'a i postulować istnienie piątego. Wiek wszechświata oszacowano z dokładnością do czterech lat, poczyniono również nieśmiałe próby oszacowania „quasi-czasu”, jaki upłynął w praprzestrzeni prekontinuum.

Podróże międzygwiazdne z prędkością podświetlną stały się możliwe, wyruszyło więc pięć ekspedycji, których załogę stanowili mniej znaczeni, zapatrzeni w gwiazdy mechanicyści. Interferometria dalekiego zasięgu, wykorzystująca fale generowane przez radioteleskopy na pokładach owych statków, pozwoliła wyznaczyć paralaksy większości gwiazd w orionowym ramieniu Galaktyki. Badania Perseusza i ramienia Centaura doprowadziły do odkrycia niepokojących obszarów, w których układ gwiazd powtarzał się ze złowrogą regularnością.

Dalsze obserwacje galaktyk Gromady Lokalnej pozwoliły z lepszym przybliżeniem oszacować wartość stałej Hubble'a. Drobne nieścisłości w wyliczeniach kazały niektórym wizjonerom wyciągnąć wniosek, że ktoś niezdarnie manipulował rozszerzaniem się wszechświata.

Wiedza decydowała o posiadaniu władzy. Zdobywając wiedzę, ludzkość posiadała władzę, która potrafiła razić wściekle, jak przewód pod napięciem. Na szali znalazły się kwestie nieznanego dotąd skali; perspektywy były bardziej oślepiające niż kiedykolwiek wcześniej, możliwości większe, a ich implikacje przewyższały wszystko, czemu stawiała czoło ludzkość i jej następcy.

A jednak umysł ludzki wciąż dysponował własnymi niezbadanymi zasobami. Monopolu na przetrwanie nie zapewnili sobie ani kształcerze z ich wyostrzoną percepcją i arsenałem poszerzających świadomość chemikaliów, ani mechanicyści ze swymi cybernetycznymi udoskonaleniami i nieubłaganą logiką sztucznych inteligencji. Świat trwał niezmienny dzięki niewiarygodnej podatności ludzkiego umysłu na nudę.

Od zarania dziejów rodzajowi ludzkiemu towarzyszyły cuda – i niewiele z tego wynikało. W cieniu kosmicznych objawień życie toczyło się w ramach bezpiecznej rutyny. Frakcje, które się z tych ram wyłamywały, stawały się coraz bardziej dziwaczne, lecz ludzie już się oswoili z ich istnieniem i przestali się bać. Otwarcie antyludzkie podgatunki, w rodzaju widmowych inteligentów, homarów czy krwawników, z czasem wpisały się w szeroki repertuar możliwych skutków; ba, zaczęły wręcz krążyć dowcipy na ich temat.

Jednakże na każdym kroku wyczuwało się napięcie. Nowe, zwielokrotnione populacje ludzkie pędziły na oślep ku nieznanemu przeznaczeniu; wywołane tym przyśpieszeniem zawirowania sięgnęły głęboko. Stare przekonania legły w gruzach, dawne zasady lojalności straciły sens, wizje bezgranicznych możliwości porażały całe narody.

Owo napięcie przybierało różną postać. Wśród kataklistów, czyli tych superinteligentów, którzy pierwsi odczuli zmiany, oznaczało ślepe pogodzenie z Nieskończonym, bez oglądania się na konsekwencje; samozniszczenie pozwalało złagodzić niewysłowiony ból. Serotoniści zen porzucili

bladą ułudę szczęścia i spokoju. Inni nie zdawali sobie tak wyraźnie sprawy z działania nowych sił – odczuwali je jako niepokój czający się na granicy snu i jawy, jako nagłe wybuchy rozpaczy, gdy umysł pękał pod wpływem alkoholu lub narkotyków...

Dla Abelarda Lindsaya napięcie manifestowało się w tej chwili przy stoliku w Bistro Marineris, jednym z barów w Kłastrze Carycy. Bistro Marineris urządzone w nadmuchiwanej bąblu umieszczonym na skrzyżowaniu czterech długich kanałów komunikacyjnych, w strefie nieważkości. Stanowiło stację przesiadkową dla kompleksu zabudowań mieszkalnych tworzących kampus kosmosytetu.

Lindsay czekał na Wellspringa. Oparł się na wypukłym stole i przycisnął naszyte na łokciach rzepey do czepnego blatu.

Miał sto sześć lat i ostatnia kuracja odmładzająca nie usunęła już wszystkich widocznych oznak starości: obok oczu rysowały się kurze łapki, a od nosa do kącików ust biegły głębokie bruzdy. Przerośnięte mięśnie twarzy przydawały wyrazistości krzaczastym brwiom. Lindsay nosił krótką bródkę, długie, przetykane siwizną włosy podpinał ozdobnymi spinkami. Naturalną rękę miał bardzo pomarszczoną, a blada skóra przypominała nawoskowany pergamin. Drugie, metalowe ramię pokrywała gęsta siateczka sensorów.

Lindsay oglądał ściany baru. Właściciel lokalu zmatowił od wewnątrz ich powierzchnię i przekształcił bar w planetarium. Lindsaya i kilkunastu innych klientów ze wszystkich stron otaczał pustynny, potrzaskany krajobraz marsjański – obraz transmitowano na żywo z powierzchni planety i wyświetlano w gryzących barwach na ekranie-kopule.

Od miesięcy już masywny robot badawczy posuwał się wzdłuż krawędzi Doliny Marinera i przekazywał obraz ze swoich kamer. Lindsay siedział plecami do rozległej rozpadliny: jej ogrom, wrażenie pustki, martwoty i starości budziły w głębi jego duszy bolesne wspomnienia. Na zaokrąglonej ścianie, którą miał przed oczyma, piętrzyły się marsjańskie wzgórza i kopce gładów: widok olbrzymich, sterczących pionowo i zerodowanych wiatrem bloków był dla niego jak niewypowiedziany wyrzut sumienia. Nigdy wcześniej nie czuł się odpowiedzialny za całą planetę; po trzech miesiącach spędzonych w KC wciąż mierzył się z własnymi marzeniami.

Trzech akademików z kosmosytetu wypięło się z krzeseł i odepchnęło od sąsiedniego stolika, kierując ku wyjściu. Jeden z nich kątem oka dostrzegł Lindsaya, drgnął i podpłynął do niego.

– Bardzo przepraszam, ale ja chyba pana znam. Profesor Bela Miłosz, prawda?

Otaczała go aura lekkiej wyniosłości, charakteryzująca wielu zbuntowanych kształcerzy, jakby powodował nimi jakiś źle ukierunkowany fanatyzm.

– Owszem, kiedyś znano mnie pod tym nazwiskiem – odparł Lindsay.

– Nazywam się Jewgienij Navarre.

Nazwisko to obudziło w Lindsayu dawno zapomniane echa.

– Specjalista od chemii membran? Cóż za nieoczekiwana przyjemność spotkać pana tutaj. – Lindsay poznał go na Dembowskiej, ale nie osobiście; spotykali się zwykle na wideokonferencjach. Na żywo Navarre okazał się postacią bezbarwną i oschłą. Rozdrażniło Lindsaya, gdy zdał sobie sprawę, że sam przez te lata stał się oschły i bezbarwny. – Proszę, niech pan siada, profesorze.

Navarre usiadł i zapiął pas.

– Miło mi, że pamięta pan mój artykuł dla „Dziennika”: „Pęcherzyki powierzchniowo czynne w katalizie koloidalnej egzoarchozaurów” to jedna z pierwszych rzeczy, jakie napisałem.

Navarre promieniał grzecznym samozadowoleniem. Dał znak obsługującemu gości serwu i robot przydreptał do stolika na swych licznych plastikowych odnóżach. Modny automat stanowił dokładną miniaturę marsjańskiego robota badawczego. Lindsay przez grzeczność zamówił likier.

– Od dawna przebywa pan w KC, profesorze Miłosz? Pańska muskulatura sugeruje, że spędził pan sporo czasu w zwiększonej grawitacji. Interesy z Inwestorami?

Wyrobione mięśnie Lindsay zawdzięczał dużej sile odśrodkowej w Republice, uśmiechnął się więc tajemniczo.

– Nie bardzo mogę o tym mówić.

– Rozumiem. – Navarre posłał mu posępne, konspiracyjne spojrzenie światowego bywalca. – Cieszę się, że spotykam pana w sąsiedztwie kosmosytetu. Zamierza się pan zatrudnić na naszym wydziale?

– Owszem.

– Będzie pan gwiazdą w zespole specjalistów od Inwestorów.

– Szczerze mówiąc, profesorze Navarre, Inwestorzy stracili dla mnie urok nowości. Zamierzam się specjalizować w zagadnieniach terraformowania.

Navarre uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Nie wątpię, że stać pana na więcej.

– Tak? – Lindsay pochylił się nad stołem w nagłym przypiływie niezgrabnej, intuicyjnej kinezyki, ale wszelkie umiejętności zniknęły. Odruch zawstydził go, po raz setny postanowił więc o nim zapomnieć.

– W dziale terraformowania siedzi mnóstwo postkataklizycznych oszołomów – mówił dalej Navarre. – A pan zawsze słynął z rozsądku, solidności, świetnej organizacji pracy. Byłoby fatalnie, gdyby dostał się pan teraz w niewłaściwe kręgi.

– Rozumiem... A co pana sprowadza do Klastra Carycy, profesorze?

– Cóż, nie mogłem dojść do porozumienia ze Stacją Jastrowa w kwestii ochrony patentowej. Wie pan, technologia membran. Chodzi o sposób produkcji sztucznej skóry inwestorskiej. To dzisiaj bardzo modny materiał. Widzi pan buty tej młodej damy? – Studentka z KC o jaskrawo pomalowanej twarzy, ubrana w zdobioną koralikami spódnicę, siedząca na tle czerwonej, pociętej wąwozami pustyni, sączyła koktajl mleczny. Jej buty przypominały miniaturowe stopy Inwestora, z palcami i szponami. Krajobraz za jej plecami przekręcił się nagle na bok, gdy robot na Marsie ruszył dalej. Lindsay poczuł zawroty głowy i kurczowo chwycił blat stolika.

Navarre zachwiał się lekko.

– Klaster Carycy to lepsze miejsce dla przedsiębiorcy – powiedział. – Już po ośmiu miesiącach zdjęli ze mnie psy.

– Moje gratulacje – rzekł Lindsay.

Większość przybyszów do KC była na zlecenie królewskich doradców przez pełne dwa lata trzymana pod obserwacją automatycznych kamer. W niektórych leżących na obrzeżu klastra gnidomiastach nie było ani jednego miejsca, gdzie nie zainstalowano by kamer, i ani jednego mieszkańca, za którym nie podążałyby wideopsy. Podgląd i podsłuch stanowiły zwykły element życia publicznego w Klastrze Carycy, tylko pełnoprawni obywatele mogli ukryć się przed wścibstwem doradców w swych rezydencjach, luksusowych twierdzach prywatności.

Lindsay pociągnął łyk likieru.

– Powinienem chyba uprzedzić ewentualne nieporozumienia i nadmienić, że obecnie używam imienia Lindsay.

– Co takiego? Tak jak Wellspring?

– Słucham?

– To pan nie wie, kim naprawdę jest Wellspring?

– Nie, skąd – przyznał Lindsay. – Podobno jego akta zaginęły na Ziemi, skąd pochodzi.

Navarre był zachwycony. Co za niespodzianka!

– W wyższych kręgach wśród cykad to tajemnica poliszynela. Wszędzie się o tym przebąkuje.

Wellspring pochodzi ze Związku i naprawdę nazywa się Abelard Malcolm Tyler Lindsay.

– Zaskakuje mnie pan.

– Wellspring prowadzi podwójną grę. Interesy z Ziemianami to tylko kamuflaż.

– Niesamowite.

– O wilku mowa – zauważył Navarre, gdy z wylotu tunelu po lewej stronie wynurzył się rozgadany tłumek. To Wellspring przybył do baru w towarzystwie rozbawionych cykad. Najwyraźniej niedawno wyszli z jakiegoś przyjęcia, bo byli zaczerwienieni i podchmieleni. Przywodzili na myśl wzburzoną falę zieleni i błękitów – w powłóczystych pelerynach, bufiastych, rozcinanych spodniach i błyszczących, pokrytych nibygadzią łuską kamizelkach.

Dostrzegłszy Lindsaya, Wellspring podleciał do stolika. Grzywę zmierzwionych czarnych włosów miał spiętą miedziano-platynowym diademem. Na ramieniu ozdobionego drukowanymi roślinnymi motywami płaszcza nosił opaskę z magnetofonem, który rozbrzmiewał pseudomuzyką szeleszczących liści i zwierzęcych odgłosów.

– Lindsay! – krzyknął Wellspring. – Tak się cieszę, że wróciłeś.

Objął Lindsaya i wpiął się w sąsiednie krzesło. Wyglądał na pijanego; na twarz wystąpił mu rumieniec, kołnierzyk miał rozpięty, w brodzie zaś roiły mu się małe zwierzątka, na pierwszy rzut oka przypominające metalowe pchły.

– Jak podróż? – zagadnął Lindsay.

– W Radzie Pierścieni jest strasznie nudno! Przepraszam, że nie mogłem cię tu powitać. – Wellspring gestem przywołał robota. – Co pijecie? Kapitalna jest ta Dolina Marinera, nie? Same dopływy ma większe niż Wielki Kanion w Arizonie. – Wyciągniętą ręką wskazał ponad ramieniem Lindsaya piętzące się ściany wąwozu, z których lodowaty wiatr podrywał obłoczki rdzawego pyłu. – Wyobraźcie sobie tam kataraktę, z której woda spada z grzmiotem i rozbryzguje się w tęczę! Taki widok poruszyłby duszę do głębi.

– Bez wątpienia – przyznał Navarre, uśmiechając się lekko.

– Dla niedowiarków w rodzaju Jewgienija mam takie małe ćwiczenie duchowe – Wellspring zwrócił się do Lindsaya. – Powinni codziennie powtarzać sobie: „Stulecia... stulecia... stulecia”.

– Jestem pragmatykiem – wtrącił Navarre i zauważywszy porozumiewawcze spojrzenie Lindsaya, uniósł znacząco brew. – Trzeba żyć z dnia na dzień, a nie mierzyć życie wiekami. Żaden entuzjazm tak długo się nie utrzyma; ciało i krew nie udźwigną takiego ciężaru. – Zwrócił się do Wellspringa: – Pańskie ambicje sięgają o wiele dalej.

– Ależ oczywiście, inaczej być nie może. Życie zawiera się w moich ambicjach.

– Królewscy doradcy są bardziej praktyczni. – Navarre obserwował Wellspringa z na wpół pogardliwą podejrzliwością.

Królewscy doradcy szybko zyskali sobie wysoką pozycję w KC. Zamiast walczyć z nimi o władzę, Wellspring ustąpił. Teraz zaś, kiedy oni borykali się z codziennymi kłopotami kierowania Pałacem Carycy, wolał odwiedzać gnidomiasta i rezydencje. Często zniknął na długie miesiące, by ponownie wypłynąć w towarzystwie podejrzanych postludzi, rekrutujących się ze społecznego marginesu. Jego postępowanie dawało Navarre do myślenia.

– Chciałbym dostać tu posiadłość – rzekł Lindsay – ale nic związanego z polityką.

– Nie wątpię, że uda się nam to załatwić – uspokoił go Wellspring.

Lindsay rozejrzał się dookoła.

– Mars mi się nie podoba – zdał sobie nagle sprawę.

Wellspring się nachmurzył.

– Zdajesz sobie sprawę, że od takiego oświadczenia, wygłoszonego pod wpływem chwili, może zależeć przyszłość? Z takich właśnie załączków wolnej woli rodzi się przeznaczenie; to kwestia łagodnego determinizmu.

Lindsay się uśmiechnął.

– Jest za suchy – dodał. Tłum wstrzymał oddech i rozległy się krzyki, gdy marsjańska sonda zbiegła po stromym zboczu. Cały świat zawirował. – I za szybko się porusza.

Wellspring był zmartwiony. Kiedy poprawiał kołnierzyk, Lindsay dostrzegł na jego szyi siny ślad zaciśniętych zębów. Wellspring ściszył leśny podkład dźwiękowy.

– Jeden świat naraz; tak byłoby chyba najrozsądniej, nie uważasz?

Navarre zaśmiał się sceptycznie.

Lindsay, nie zwracając na niego uwagi, spojrzął ponad ramieniem Wellspringa na towarzyszącą mu gromadę klakierów. Młody kształcerz w akademickim garniturze z rozcięciami na łokciach wtulił twarz w loki młodej, ognistej kobiety, ta zaś roześmiała się i odchyliła głowę do tyłu. Za nią Lindsay dostrzegł zatroskane oblicze Abelarda Gomeza. Towarzyszyły mu dwa wideopsy; przycupnęły na ścianie za jego plecami, ich metalowe żebra połyskiwały lekko, a obiektywy bezustannie nagrywały jego życie. Lindsayowi zrobiło się żal chłopca i ogarnął go smutek na myśl o ulotnej naturze wiecznotrwałych ludzkich prawd.

Wellspring wdał się w ożywioną kłótnię z Navarre, odrzucając jego cyniczne uwagi falą gwałtownej retoryki. Rozwodził się właśnie ze swadą nad asteroidami: bryły lodu wielkości całych miast miałyby opaść z impetem na powierzchnię Marsa. Megatony lodu strzaskałyby skorupę planety i wybiły w niej kratery, które przekształciłyby się w oazy. Z początku miały się pojawić tylko szczeliny, a później całe jeziora, gdy para i inne gazy utworzyłyby atmosferę; biegunowe czapy lodu powinny się stopić i przeobrazić w chmury dwutlenku węgla. W oazach pojawiłyby się ekipy naukowców, których zadaniem byłoby bioformowanie całych ekosystemów. Pierwszy raz w dziejach ludzkość przeszłaby samą siebie – żyjący świat zawdzięczałby istnienie ludziom, nie zaś odwrotnie. Wellspring pojmował przekształcenie Marsa jako rodzaj moralnego obowiązku ciężącego na ludziach, konieczność spłaty długu. Koszty nie grały roli; pieniądze miały znaczenie symboliczne, liczyło się tylko życie.

– Czynniki ludzki zadecyduje o waszej klęsce – przerwał mu Navarre. – Gdzie hołd złożony chciwości? Taki błąd popełniliście już poprzednio. Mogliście rządzić Klastrem Carycy, tymczasem wymknął się wam z rąk i królewscy doradcy, ci mechanistyczni... – W tym momencie Navarre dostrzegł towarzyszące Gomezowi psy – ... dżentelmeni, kierują wszystkim ze zwykłą dla siebie skutecznością. Ale mniejsza o politykę, te bzdury uniemożliwiają rozwój przyzwoitej nauki w KC! Chodzi mi o prawdziwe badania, które owocowałyby nowymi patentami i pozwoliły obronić Klaster Carycy przed nieprzyjaciółmi. Terraformowanie to marnotrawstwo naszych środków, a tymczasem mechowie i kształcerze bez wytchnienia knują przeciw nam. Owszem, przyznaję, wasze sny są wspaniałe; to prawda, spełniają pożyteczną funkcję społeczną jako względnie nieszkodliwa oficjalna ideologia. W końcu jednak runą i pociągną KC za sobą.

– Przepracowujesz się, Jewgienij. – Wellspringowi zabłyśły oczy. – Powinieneś spojrzeć na świat z nowej perspektywy. Weź sobie dziesięć lat urlopu i przekonaj się, czy czas nie wpłynie na twoje poglądy.

Navarre poczerwieniał i wściekły odwrócił się do Lindsaya.

– Widzi pan?! To czysty kataklizm! Ta ostatnia uwaga odnosiła się do lodowego zabójstwa! Sam pan słyszał! Dalej, panie Miłosz, nie wierzę, żeby mógł pan ograniczyć się do takich pozorowanych



działań!

Lindsay milczał. Kiedyś, dawno temu, potrafiłby tak pokierować rozmową, by coś na tym skorzystać, lecz teraz jego umiejętności ulotniły się bez śladu. Zresztą wcale o nich nie marzył.

Słowa były bezużyteczne; niecierpliwiły go i przestały wystarczać.

Nagle zdał sobie sprawę, że musi złamać reguły.

Wypiął się z krzesła i zaczął zdejmować ubranie.

Navarre, rozdrażniony i urażony, natychmiast wyszedł z baru. Elementy stroju Lindsaya unosiły się w powietrzu, marynarka i spodnie, kołując wolno, przemierzały przestrzeń nad stolikami, a rozbawieni klienci uchylali przed nimi głowy. Wkrótce Lindsay był nagi, a wówczas nerwowy śmiech zmienił się w zdumienie i zakłopotanie. Wystraszeni ludzie odsuwali się od psów Gomeza i szeptali między sobą.

Lindsay nie zwracał na nich uwagi. W powietrzu skrzyżował nogi po turecku i wbił wzrok w ścianę. Studenci Wellspringa opuścili bistro, bąkając pod nosem przeprosiny i rzucając przez ramię ostatnie spojrzenia; sam Wellspring również nie krył zdziwienia i zaraz wyszedł, a wraz z nim zniknęli ostatni klienci.

Lindsay został sam z barowym robotem, młodym Gomezem i pilnującymi chłopca psami.

Gomez przysunął się bliżej.

– Klaster Carycy jest inny, niż się spodziewałem – powiedział.

Lindsay oddał się kontemplacji krajobrazu.

– Przydzielili mi te psy, bo mogę być niebezpieczny. Nie ma pan nic przeciwko nim, prawda?... Nie, widzę, że nie. – Gomez westchnął i zadrżał. – Minęły trzy miesiące, a wszyscy wciąż trzymają się ode mnie z daleka. Nie chcą mnie wprowadzić do Kliki. Widział pan tę dziewczynę, nie? To doktor Melanie Omaha z kosmosytetu. Kurczę, jest fantastyczna, prawda? Ale dopóki mam psy, nawet na mnie nie spojrzysz... kto by chciał się ze mną zadawać, skoro bezpieka ma mnie wciąż na oku? Oddałbym prawą rękę, żeby tylko *znaleźć* się z nią sam na sam w jakimś kąciku, przez dziesięć minut. Och, przepraszam – wykrztusił, spojrzawszy z zakłopotaniem na mechaniczną rękę Lindsaya.

Otarł z policzków czerwone smugi farby.

– Pamięta pan, jak mówiłem o Abelardzie Lindsayu? No więc jeśli wierzyć plotkom, to pan nim jest... A ja chyba w to wierzę. Jest pan Lindsayem. Tym Lindsayem.

Lindsay wciągnął głębiej powietrze w płuca.

– Rozumiem – ciągnął Gomez. – Mówi mi pan, że to bez znaczenia; liczy się tylko Sprawa. Ale niech pan posłucha! – Z wewnętrznej kieszeni drukowanego w wierzby płaszcza wyjął notes i zrozpaczony zaczął czytać na głos: – „Dyssypatywny samoorganizujący się system ewoluuje w spójnym ciągu struktur czasoprzestrzennych. Rozróżniamy cztery modele wymiarowe: autopojetyczny, ontogenetyczny, filogenetyczny i anagenetyczny”. – Roztrzęsiony Gomez zmiął kartkę. – Takich rzeczy ucze się na lekcjach poezji!

Zapadła cisza, ale po chwili Gomez wybuchnął:

– Może na tym właśnie polega tajemnica życia, ale jeśli tak, to czy zdołamy ją udźwignąć?! Czy potrafimy osiągnąć cele, jakie sami sobie wyznaczaliśmy na przestrzeni wieków? A co z najprostszymi rzeczami? Jak mogę cieszyć się którymkolwiek dniem, kiedy wisi nade mną widmo tych stuleci... Za dużo tego wszystkiego... Tak, nawet pan... Pan, który mnie tu ściągnął. Dlaczego nie powiedział mi pan, że Wellspring jest pańskim przyjacielem? Przez skromność? Ale przecież to pan jest Lindsayem, tym wielkim Lindsayem! Z początku w to nie wierzyłem, kiedy zaś doszedłem do wniosku, że to prawda, byłem przerażony. Jakbym usłyszał, że mój cień do mnie mówi. – Gomez zawahał się przez moment. – Ukrywał się pan przez te lata, ale teraz przybywa pan do Schismatrix

otwarcie, czyż nie? Ujawnił się pan, by dokonać wielkich rzeczy, by oślepić świat... To straszny widok, ujrzeć pana na swobodzie; to tak jak dostrzec szkielet matematyki w głębi ciała świata. Ale nawet jeśli mam rację, co z tym ciałem? To my nim jesteśmy! Co z nami?

Lindsay nie miał mu nic do powiedzenia.

– Wiem, co pan sobie myśli – rzekł wreszcie Gomez. – . Miłość złamała mu serce; nic nowego. Tylko czas pozwoli mu lepiej zrozumieć samego siebie". Tak właśnie pan myśli, prawda?... Oczywiście, że tak.

Kiedy odezwał się ponownie, mówił z namysłem, jakby medytował:

– Zaczynam pojmować. Tego nie da się wyrazić słowami, tak? Można to wszystko tylko ogarnąć za jednym zamachem i pewnego dnia to zrozumieć. Psy już wtedy dawno mnie opuszczą, a Melanie Omaha stanie się wspomnieniem. – Gomez był smutny, ale mówił dalej w uniesieniu: – Słyszałem, jak rozmawiali, gdy dokonał pan tego... hmm, gestu. Ci tak zwani wyrafinowani obywatele, dumne cykady. Oni mają swój żargon, ale to pan posiadał mądrość. – Twarz chłopca promieniała. – Dziękuję panu.

Lindsay odczekał, aż Gomez wyjdzie, a potem nie mógł się powstrzymać ani chwili dłużej.

Miał wrażenie, że nigdy nie przestanie się śmiać.

## Rozdział 10

Mimo roli, jaką odegrała przy powstaniu Klastra Carycy, Kitsune nigdy go nie odwiedziła. Podobnie jak Wellspring, w pierwszych latach jego istnienia miała w kłastrze ogromną władzę, ale w przeciwieństwie do Wellspringa nie oddała jej łatwo. Kiedy on wycofał się z codziennego rządzenia KC, by poświęcić się strategii rządzenia poprzez modę, ona otwarcie przeciwstawiła się królewskim doradcom.

W latach kiedy Lindsay dochodził do siebie, Kitsune odniosła nawet pewien sukces. Zapowiedziała, że zamierza przeprowadzić się do KC, z czasem odmówiła jednak porzucenia dotychczasowych zwyczajów i jej władza osłabła. Doprowadziło to do rozłamu, po którym losy Dembowskiej i Klastra Carycy potoczyły się zupełnie różnymi drogami.

Niepokojące doniesienia o tych przekształceniach zastały Lindsaya w KC. Plotki głosiły, że Kitsune zaakceptowała nowe technologie, wykorzystując swobodę odprężenia. Dembowska wciąż należała do mechanistycznej Unii Karteli, lada chwila mogło jej jednak grozić wykluczenie z tego grona; tolerowano ją wyłącznie jako centralę ruchu uciekinierów z Rady Pierścieni.

Nowo opracowana na Dembowskiej technologia ciała wstrząsnęła nawet samą Radą, która, znalazłszy się w rękach serotonistów zen, walczyła o zachowanie stabilności, a w efekcie – zostawała w tyle. W genetyce palmę pierwszeństwa odebrali jej obłąkani czarni chirurdzy z komet i pierścieni Urana, mnożąc postludzkie podgatunki w rodzaju metrobiegunowców, krwawników i endosymbiotyków, którzy pozbyli się człowieczeństwa jak czepka z główki noworodka. Rozpadające się mikrofrakcje otuliły Schismatrix jak płaszcz przegrzanej plazmy.

Triumfalny pochód nauki przerodził się w pęd na oślep. Mechanisci i kształcerze wystąpili przeciwko sobie niczym dwie wrogie armie, których żołnierze, rozproszeni wśród bagien i zagajników, ignorują rozkazy starzejących się generałów. Rodzące się nowe filozofie: posthumanizm,

serotonina zen, galaktyzm – filozofie dezertów – niczym ogniska sygnałowe przyciągały zbłąkane jednostki.

Ognisko Lindsaya płonęło jasno i jego blask zwabił licznych zwolenników. Nazwali się Kliką Stronników Życia.

Organizacje działające w Kłastrze Carycy same w sobie stanowiły mikroskopijne frakcje. Utworzyły gabinet cieni KC, moralny odpowiednik słabnącego, oficjalnego rządu królewskich doradców. Ich elity prześcigały się w zakulisowych posunięciach, naśladowując swojego mistrza, Wellspringa, w tkaniu przemysłnych sieci słów, służących zaciemnieniu obrazu. Formy władzy powoli oddzielały się od mechanizmów jej rzeczywistego sprawowania. Społeczni arbitrzy ze Stronników Życia, Kliki Poliwęglowej czy Zielonej Kamaryli potrafili dokonywać cudów umiejętnym podszeptem czy uniesieniem brwi.

Doszło do tego, że grupy rozważające dezercję do Kłastry konsultowały się z klikami cykad przed wystąpieniem z oficjalną prośbą o azyl. Zwykle zajmował się tym Wellspring.

Jednakże ostatnim razem wybrał się akurat na jedną z rozlicznych wypraw rekrutacyjnych. Lindsay, zapoznawszy się ze sprawą, zgodził się spotkać z przywódcą odłamu na neutralnym gruncie w obrębie kartelu.

W skład towarzyszącego mu orszaku wchodził porucznik Gomez, czworo studentów po doktoracie i reprezentujący doradców obserwator dyplomatyczny.

Dembowska się zmieniła. Kiedy wraz z nielicznymi pasażerami zeszli z pokładu liniowca na cło, Lindsaya uderzyło przede wszystkim panujące w kartelu ciepło. Powietrze miało temperaturę ludzkiego ciała i lekko pachniało skórą Kitsune. Wraz z jej wonią napłynęły wspomnienia i Lindsay uśmiechnął się melancholijnie; liczyły sobie osiemdziesiąt pięć lat i stały się wątłe jak papier, jak gdyby wszystko przydarzyło się komuś innemu.

Stronnicy Życia sprawdzili bagaże gości. Dwaj studenci, mechanicy, mruclili do mikrofonów swoje pierwsze wrażenia. Pozostali pasażerowie czekali w kolejce do skanerów.

Dwoje agentów z Dembowskiej podeszło do grupy Lindsaya, który w słabej grawitacji wystąpił krok naprzód.

– Policja Haremu? – zapytał.

– Ścienne dzieci – odparł mężczyzna odziany w cienkie kimono bez rękawów. Nagie ramiona miał pokryte oznaczającym rangę tatuażem. Jego twarz wydała się Lindsayowi znajoma – w końcu rozpoznał w niej ślady linii genetycznej Michaela Carnassusa. Odwróciwszy się do agentki, ujrzał młodszą wersję Kitsune, dziewczynę o krótko przyciętych włosach i śniadych, wytatuowanych białym tuszem rękach.

– Pułkownik Martin Dembowska – przedstawił się mężczyzna. – To moja ścienna siostra, kapitan Murasaki Dembowska.

– Kanclerz Lindsay. To są moi towarzysze z Kliki: Abelard Gomez, Jane Murray, Glen Szilard, Colin Szilard, Emma Meyer i podsekretarz Fidel Nakamura, nasz obserwator dyplomatyczny.

Każda z cykad ukłoniła się, gdy Lindsay wymieniał jej nazwisko.

– Mam nadzieję, że wymiana bakterii na statku nie sprawiła państwu przykrości – powiedziała Murasaki głosem Kitsune.

– To tylko drobna niedogodność.

– Jesteśmy zmuszeni dbać o bakterie skórne naszej Ściennej Matki – wyjaśnił pułkownik. – Zajmuje sporą powierzchnię. Z pewnością nas rozumiecie.

– Czy mógłby nam pan przedstawić konkretne liczby? – zainteresował się jeden z braci Szilardów, jak każdy rasowy mechanista żądny suchych danych. – Raporty, jakimi dysponujemy w Kłastrze

Carycy, są niejasne.

– Według ostatnich informacji Ścienna Matka waży czterysta tysięcy osiemset dwanaście ton – odparł z dumą pułkownik. – Macie państwo coś do oclenia? Nie? To proszę za mną.

Idąc jego śladem, trafili do utajnionego biura celnego, gdzie zostawili bagaż. Dostarczono im wysterylizowane kimona dla gości. Boso wylecieli w gorące powietrze, na główny deptak Dembowskiej.

Przestronny sektor sklepów wolnocłowych miał chodniki, ściany i sufit z żywego ciała. Cykady z niechęcią stąpały po posadzce, ledwie muskając twardą skórę. Posyłały tęskne spojrzenia sklepom – bezpiecznym wyspom szkła i metalu. Lindsay nauczył ich taktu i z dumą obserwował maskowane reakcje.

Nawet on sam poczuł się niewyraźnie, gdy zagłębili się w pierwszy długi tunel – był okrągły w przekroju, przypominał przetyk i budził głęboki niepokój. Wsiedli na ażurowe sanie, napędzane skurczami położonych na dnie tunelu torów, przywodzących na myśl ścięgna.

W oślizłej ścianie w regularnych odstępach rozmieszczono otoczone zwieraczami zatyczki, służące do podawania wstępnie przetrawionej papki. Z półprzezroczystych pęcherzy sączył się łagodny, fosforescencyjny blask. Siedzący obok Lindsaya Gomez obserwował otoczenie jak zahipnotyzowany; narkotyk znany wśród cykad jako zielona ekstaza niewiarygodnie wyostrzył mu percepcję.

– Niezły pokaz tu urządzili – rzekł cicho. – Czy za tym wszystkim może się kryć jakaś osobowość? Do sterowania taką ilością miecha potrzeba by z pół tony szarych komórek. – Gomez zmrużył oczy. – Wyobraźcie sobie, jakie musi być w dotyku.

Klon Carnassusa, zasiadający z przodu sań, dotknął sterów. Z wilgotnym plaśnięciem otworzyła się szczelina w podłożu i pojazd runął w pionowy spadek, w głąb wielotorowego szybu wind, od czasu do czasu przerywanego oszałamiającymi widokami placów i przedmieść.

Sklepy i biura migwały w szaleńczym tempie, otulone zwojami aksamitnej ciemnej skóry. Gorąco i zapach perfum były wszechobecne – intymność na skalę przemysłową. Ludzi widziało się niewielu, głównie dzieci, biegające bez ubrania.

Sanie się zatrzymały i pasażerowie wysiedli z nich na futrzasty pomost. Pusty pojazd ruszył do góry. Gomez szturchnął Lindsaya.

– Ściany mają uszy, kanclerzu.

Rzeczywiście; miały również oczy.

Na tym poziomie zapach perfum znacznie się nasilił. Gomezowi od razu zakręciło się w głowie, bracia Szilardowie zaś ściągnęli przyczepione do głów kamery i zaczęli ocierać pot z czoła. Jane Murray i Emma Meyer, zaintrygowane czymś nieokreślonym, rozglądały się podejrzliwie. Dwoje mieszkańców Dembowskiej sprowadziło ich z pomostu i powiodło w cielistą otchłań, gdy Lindsay zrozumiał, co się dzieje: czuli feromony płciowe; otaczająca ich konstrukcja była podniecona.

Szli niskograwitacyjną ścieżką z utwardzonej skóry, poznaczonej olbrzymimi płatkami nie kończących się odcisków palców. Ponad ich głowami sufit był wyścielony lśniąco czarnymi włosami, które pozwalały przemieszczać się w tunelu na samych rękach.

Ten poziom niewątpliwie przygotowano z myślą o gościach. Dawne budynki rozebrano, zostawiając tylko szkielety i wsporniki dla ciała. Zmysłowa cielesność otaczała ich ze wszystkich stron; euklidesowe, ostre narożniki znikły; zastąpiły je gładkie, matczyne krzywizny; konstrukcje wyrastały z podłogi, by podobnymi do łabędziej szyi łukami zespolić się z połyskliwym sufitem. Ściany były pokryte dołeczkami, a mięsiste różowe śluzy rozchyłały się, niknąc bez śladu pod pokrytą puszką skórą.

Zatrzymali się przy włochatym trawniku przed masywną budowlą o ścianach wykładanych mozaiką

z kości.

– To wasz dom – oznajmił pułkownik. Podwójne drzwi rozchyliły się na masywnych, zuchwowych zawiasach.

Jane Murray zawahała się, gdy inni wchodzili do środka. Złapała Lindsaya za rękę.

– Ta kość na ścianach... to zęby – powiedziała i zbladła pod warstwą niebieskiej i zielonej farby na twarzy.

– W powietrzu jest pełno kobiecych feromonów – rzekł Lindsay. – Przez nie jesteś taka rozdrażniona. Reakcja nieświadoma, pani doktor.

– Jestem zazdrosna o ściany. – Uśmiechnęła się. – Czuję się tu jak w ogromnej alkwie.

Mimo odwagi, jaką okazywała, Lindsay zdawał sobie sprawę, że Jane się boi. Wołałaby znaleźć się w dowolnej, nawet najbardziej jawnej kryjówce cykad i oddać się ich tajemnym rozgrywkom, niż trafić tutaj. Weszli do środka.

– Będziecie dzielić hotel z dwoma grupami agentów handlowych, z Diotimy i z Themis – poinformowała ich Murasaki. – Jedno skrzydło jest jednak całkowicie do waszej dyspozycji. Tędy proszę.

Ruszyli za nią po ścieżce z płaskich implantów kostnych. Jedno z niezliczonych serc Dembowskiej – ogromna, przemysłowa stacja pomp – łomotało ukryte za żebrowanym sufitem. Podwójne dudnienie nadawało rytm delikatnej melodii płynącej z wbudowanej w ścianę głośni.

Przygotowane dla gości kwatery stanowiły biomechaniczną płataninę. Ze ścian wзираły monitory giełdowe, pozwalające śledzić zmiany kursów najważniejszych mechanistycznych akcji. Umebłowanie stanowiły gustowne bryły i kopczyki: obłe łóża z ciała, skromnie okryte pościelą malowaną w irysy.

Rozległy apartament podzielono parawanami z tatuowanej błony. Pułkownik stuknął w jeden z nich palcem i błona zwinęła się pod sufit jak uniesiona powieka.

– Meble są przykładem osiągnięć erototechnologii naszej Ściennej Matki. Znalazły się tutaj dla państwa wygody i przyjemności, muszę jednak nadmienić, że Ścienna Matka zastrzega sobie prawo do płodów.

Emma Meyer, która ostrożnie przysiadła na łóżku, zerwała się na równe nogi.

– Słucham? – zdziwiła się.

Pułkownik zmarszczył brwi.

– Materia męskiej ejakulacji staje się własnością odbiorcy, to stare kobiece prawo.

– Ach, rozumiem.

– Uważa pani, że to dziwne, pani doktor? – Murasaki odeła usta.

– Ależ skąd! – odparła Meyer. – To brzmi bardzo sensownie.

– Dzieci poczęte przez mężczyzn z państwa grupy uzyskają pełne obywatelstwo – ciągnęła kapitan Murasaki. – Wszystkie ścienne dzieci są równie ukochane. Tak się akurat składa, że jestem klonem idealnym, ale zdobyłam posadę dzięki własnym zasługom. Prawda, Martinie?

Pułkownik lepiej radził sobie z dyplomatycznymi subtelnościami rozmowy. Skinął krótko głową i zmienił temat:

– Woda jest sterylna i zawiera minimalną ilość rozpuszczonych substancji organicznych. Można ją śmiało pić. System hydrauliczny zbudowano zgodnie z technologią genitomoczową, ale z kranów bynajmniej nie płyną odchody.

– Jako bioprojektant jestem zachwycony waszą niezwykłą architekturą. – Słowa Gomeza wręcz ociekały słodyczą. – Nie chodzi mi tylko o techniczną doskonałość, lecz także o wyrefinowaną estetykę. – Młody Abelard się zawahał. – Czy możemy się wykąpać przed przyjściem naszego

bagażu?

Cykady musiały się wykąpać: nie oswoili się jeszcze ze skutkami wymiany flory bakteryjnej i gorącym powietrzem Dembowskiej, wciąż swędziała ich skóra.

Lindsay cofnął się do rogu pomieszczenia i opuścił błonistą ścianę. Wreszcie mógł zwolnić tempo.

Nie musiał się kąpać; stara skóra nie była w stanie wyżywić licznej populacji bakterii. Przysiadł na skraju łóżka. Był zmęczony i niemal od razu, automatycznie oczy zaszyły mu mgłą. Długą chwilę siedział bez ruchu, pusty, zapatrzony w dal.

Wreszcie zamrugnął i wrócił do rzeczywistości. Odruchowo sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął emaliowany inhalator. Dwa długie wdechy zielonej ekstazy przywróciły światu barwy. Lindsay rozejrzał się po pokoju i ze zdumieniem zauważył z boku niebieskie kimono. Miała je na sobie Murasaki, lecz jej ciało idealnie maskowało się na tle wyściełającej ściany skóry.

– Kapitan Murasaki – powiedział. – Proszę mi wybaczyć, nie zauważyłem pani.

– Kazano... – Do tej pory Murasaki stała w rogu pomieszczenia, milcząc uprzejmie; sława gościa ją onieśmiałała. – Kazano mi... – Wskazała ręką drzwi, w tej chwili będące zaledwie zmarszczką na ścianie.

– Chce mnie pani gdzieś zabrać? – upewnił się Lindsay. – Moi towarzysze poradzą sobie beze mnie. Jestem do pani dyspozycji.

Wyszedł za dziewczyną na wykładany kością i włosami korytarz. Murasaki przesunęła dłonią po gładkim cieple ściany. Pod jej stopami otworzył się otwór i wraz z Lindsayem łagodnie zjechali piętro w dół.

Poniżej poziomu mieszkalnego znajdował się poziom serwisowy. Lindsay usłyszał rytmiczny szmer pracujących tętnic i nieregularne bulgotanie dobiegające z głębi nagich ścian. Otoczone warstwą pomarszczonej tkanki biomonitory migotały bezustannie.

– To jest centrum zdrowotne – wyjaśniła Murasaki. – Naszej Ściennej Matki, rzecz jasna. Ma tutaj łącze umysłowe i będzie mogła z panem porozmawiać, za moim pośrednictwem. Niech się pan nie boi.

Kapitan odwróciła się plecami do Lindsaya i podwinęła opadające jej na kark ciemne loki. U podstawy czaszki widniało gniazdko złącza.

Narkotyk obudził w Lindsayu delikatną, niepokojącą falę ciekawości; zielona ekstaza – najlepszy środek na nudę, biochemiczna esencja zainteresowania. Po zażyciu odpowiednio dużej dawki człowiek potrafił bez reszty zatracić się w fascynujących wzorach linii na własnej dłoni. Lindsay uśmiechnął się, szczerze zachwycony.

– Cudowne – powiedział.

Murasaki zawahała się, posyłając mu zdumione spojrzenie.

– Proszę wybaczyć, że się tak pani przyglądam – rzekł Lindsay. – Bardzo przypomina pani matkę.

– Naprawdę jest pan tym człowiekiem, kanclerzu? Abelardem Lindsayem, kochankiem mojej matki?

– Zawsze byliśmy przyjaciółmi.

– Jestem do niej podobna?

– Klony rządzą się własnymi prawami – odparł łagodnie Lindsay. – Mieszkając w Radzie Pierścieni, założyłem rodzinę. Moi współgenetyczni, czyli moje dzieci, były klonami. Kochałem je.

– Nie powinien pan traktować mnie jak zwykły fragment Ściany – powiedziała Murasaki. – Komórki Ściany mają niepełny zestaw chromosomów, są takimi urojonymi blastemami. Ściana nie jest w pełni ludzka, w przeciwieństwie do pierwotnego ciała Kitsune czy mojego. – Spojrzała

Lindsayowi badawczo w oczy. – Nie ma pan nic przeciwko temu, żeby najpierw porozmawiać ze mną? Nie nudzę pana?

– Skądże znowu.

– My, ścienne dzieci, miałyśmy wcześniej sporo kłopotów. Niektórzy cudzoziemcy wciąż traktują nas jak potwory. – Murasaki westchnęła. – Sęk w tym, że jesteśmy raczej nudni.

– Tak pani uważa? – spytał współczująco Lindsay.

– Tu jest inaczej niż w Kłastrze Carycy. Tam wszystko jest takie ekscytujące, prawda? Zawsze coś się dzieje: piraci, posthunianiści, uchodźcy, Inwestorzy; oglądam czasem taśmy. Strasznie chciałabym mieć takie ubranie.

Lindsay się uśmiechnął.

– Stroje zawsze lepiej się prezentują na odległość. Ubiór cykad wyraża ich status społeczny, toteż przywdzianie go potrafi ciągnąć się godzinami.

– Jest pan uprzedzony, "kanclerzu. To pan wymyślił nagość społeczną!

Lindsay się skrzywił. Czy ten stereotyp wszędzie go będzie prześladował?

– Widziałam to w jednej sztuce – ciągnęła dziewczyna. – Kiedy Goldreich Intrasolar przyjechali do nas na tournée. Wystawiali „Litość dla szkodników” Fernanda Vetterlinga. Bohater sztuki rozbiera się w ostatnim akcie.

Lindsay był rozczarowany. Odkąd Vetterling przystał do serotoninistów zen, jego sztuki straciły wszelką jadowitość. Powiedziała by o tym dziewczynie, ale zańadto czuł się winny, że to przez niego kariera Vetterlinga przybrała tak tragiczny obrót. Z powodów politycznych młody dramaturg przez całe lata nie istniał dla świata i trudno było go winić, że szukał spokoju za wszelką cenę.

– Rozbieranie się nie należy dziś do dobrego tonu – zauważył. – Straciło sens. Ludzie rozbierają się teraz, żeby zaakcentować swoje poglądy w rozmowie.

– Sądziłam, że to wspaniałe. Chociaż na Dembowskiej nagość niewiele znaczy... Nie powinnam opowiadać panu o przedstawieniach. Czy to pan założył Kabuki Intrasolar?

– Nie ja, tylko Fiodor Riumin.

– Kto to taki?

– Znakomity dramaturg. Zmarł jakiś czas temu.

– Był stary?

– Bardzo. Starszy nawet ode mnie.

– Och, przepraszam. – Słowa Lindsaya wprawiły Murasaki w zakłopotanie. – Pójdę już. Ma pan pewnie sporo do omówienia ze Ścienną Matką. – Dziewczyna odwróciła się do Lindsaya plecami, a potem jeszcze raz spojrzała na niego. – Dziękuję, że spełnił pan moją zachciankę. To dla mnie zaszczyt.

Ze ściany wysunęła się mięsista macka, której rozszerzająca się końcówka przylgnęła do karku Murasaki. Dziewczyna odgarnęła włosy i wsunęła wtyczkę na miejsce.

Jej twarz natychmiast straciła wszelki wyraz. Murasaki zaczęła się słaniać na nogach, o mało co nie upadła na podłogę, ale Kitsune przejęła kontrolę i kapitan drgnęła, wyprostowała się i przesunęła dłońmi po ramionach. Twarz jej ożyła, całe ciało nabrało wdzięku i żarłocznej witalności. Tylko oczy pozostały martwe.

– Cześć, Kitsune.

– Podoba ci się to ciało, skarbie? – Murasaki przeciągnęła się zmysłowo. – Wcielenie się w młodą kobietę doskonale odświeża pamięć. Jak się obecnie nazywasz?

– Abelard Lindsay. Jestem kanclerzem Metasystemów Kosmosytetu Kłastry Carycy, z Wydziału Układów Jowiszowych.

– I arbitrem Kliki Stronników Życia?

Lindsay się uśmiechnął.

– Pozycja zajmowana w klubie towarzyskim nie ma prawnego znaczenia, Kitsune.

– A jednak jest wystarczająco mocna, żeby przywieść tu dezerterkę, i to skąd? Z samej Unii Ślizgaczy... Twierdzi, że nazywa się Vera Constantine. Rozumiem, że to nazwisko znaczy dla ciebie wystarczająco dużo, żebyś się tu zjawił osobiście?

– Przejrzałaś mnie na wylot, Kitsune.

– Córnica twojego byłego wroga? Współgenetyczna dawno zmarłej kobiety, której nazwiska nie mogę sobie teraz przypomnieć?

– Very Kelland.

– Za to ty je dobrze pamiętasz... Lepiej niż nasz związek?

– To były dwa związki, Kitsune. Pamiętam nasze młode lata w Zaibatsu, chociaż nie tak dobrze, jak bym sobie tego życzył. I pamiętam trzydzieści lat spędzone tutaj, na Dembowskiej, kiedy to nie mogłem się do ciebie zbliżyć, bo brzydziłem się tobą i tęskniłem za żoną.

– Gdybym chciała, i tak byś mi się nie oparł. Wtedy tylko się z tobą drażniłam.

– Zmieniłem się od tego czasu. Dziś ulegam innym naciskom.

– Ja zaś mam lepszą postać. Taką jak dawniej. – Ciało Murasaki wysliznęło się z kimona. – Spróbujemy? Przez wzgląd na stare dobre czasy?

Lindsay podszedł bliżej i niedbale przesunął pomarszczoną dłoń po wcięciu talii dziewczyny.

– Jest piękne – powiedział.

– Należy do ciebie – odparła Kitsune. – Miłej zabawy.

Lindsay westchnął i przeniósł dłoń na wypukłość macki na karku Murasaki.

– Przed pojedynkiem z Constantine'em zainstalowano mi coś podobnego – powiedział. – Podczas transmisji dużo się traci. Nie poczujesz tego w ten sposób, Kitsune, nie tak jak kiedyś.

– Kiedyś? – Kitsune roześmiała się donośnie. Usta dziewczyny otworzyły się, ale cała twarz ani drgnęła. – Tak dawno temu wyzbyłam się tych ograniczeń, że zdażyłam o nich zapomnieć.

– Nic nie szkodzi, Kitsune. Ja również nie potrafię niczego odczuwać w ten sam sposób. – Lindsay cofnął się i usiadł na podłodze. – Jeśli to dla ciebie jakaś pociecha, przyznam, że wciąż coś do ciebie czuję, mimo upływu czasu i tych wszystkich przemian. Nie potrafię tego nazwać... Ale przecież to, co nas łączyło, nigdy nie miało nazwy.

Murasaki podniosła kimono z ziemi.

– Ludzie, którzy tracą czas na nazywanie rzeczy, nie mają go na życie.

Upłynęło kilka chwil w miłym, spokojnym milczeniu. Dziewczyna ubrała się i usiadła naprzeciwko.

– Jak się miewa Michael Camassus? – zapytał Lindsay.

– Nieźle. Przy każdej kuracji odmładzającej udaje nam się naprawić część uszkodzeń spowodowanych działaniem niszczyciela. Ostatnio coraz częściej opuszcza Ekstraterrarium i coraz dłużej przebywa poza nim. W moich korytarzach czuje się bezpiecznie. I może już mówić.

– Cieszę się.

– Chyba mnie kocha.

– To coś nie do pogardzenia.

– Czasem na myśl o tym, ile skorzystałam na znajomości z nim, czuję coś dziwnego, jakieś miłe ciepło. Nigdy nie przytrafiła mi się lepsza okazja. Okazał się tak cudownie plastyczny... Mimo że jest w tej chwili bezużyteczny, nadal czuję prawdziwą satysfakcję, gdy tylko na niego spoglądam. Postanowiłam, że nigdy się go nie pozbędę.



– Znakomicie.

– W swoim czasie był całkiem bystry jak na mechanistę. Ambasador w świecie obcych – musiał być jednym z najlepszych. Ma tu wiele dzieci, współgenetycznych. Ze wszystkich jestem nad wyraz zadowolona.

– Zwróciłem na to uwagę, kiedy poznałem pułkownika Martina Dembowska. Bardzo zdolny oficer.

– Naprawdę tak uważasz?

– No cóż, jest oczywiście młody – odparł rozsądnie Lindsay. – Ale to nie problem.

– Nie. A ta gaduła – dziewczyna wskazała na siebie – jest jeszcze młodsza, ma dopiero dziewiętnaście lat. Ale moje ścienne dzieci muszą szybko dorastać. Chcę uczynić z Dembowskiej moją genetyczną wylęgarnię; wszyscy inni będą musieli odejść, w tym także twoja kształcierska przyjaciółka ze Ślizgaczy.

– Odbiorę ją, kiedy tylko zechcesz.

– To pułapka, Abelardzie. Dzieci Constantine'a nie mają żadnych powodów, żeby cię kochać. Nie ufaj jej. Tak jak Carnassus, spędziła trochę czasu wśród obcych. Odcisnęli na niej swoje piętno.

– Przyznam, że strasznie jestem jej ciekaw. – Lindsay się uśmiechnął. – To pewnie zastrzyki.

– Zastrzyki? Ale chyba nie twoja ulubiona wazopresyna, bo miałbyś lepszą pamięć.

– To zielona ekstaza, Kitsune. Mam pewne długofalowe plany... Zielona ekstaza pozwala mi nie tracić zainteresowania nimi.

– Ach tak, twoje terraformowanie.

– Właśnie. Widzisz, wszystko jest kwestią skali i czasu. Na dłuższą metę trudno jest zachować fanatyzm. Bez zielonej ekstazy umysł tak długo wgryza się w niesamowitość, że staje się ona codziennością.

– Rozumiem – odparła Kitsune. – Twoja niesamowitość, moja ekstaza... Urodzenie dziecka to coś cudownego.

– Sprowadzenie nowego życia na świat... To tajemnica. Prawdziwie prigogine'owskie wydarzenie, godne piątego stopnia złożoności.

– Musisz być zmęczony, kochanie. Doprowadziłam do tego, że sypiesz komunałami jak przeciętna cykada.

– Wybacz, zmiana otoczenia tak na mnie działa.

– Tworzycie z Wellspringiem sprytne stronnictwo; obaj jesteście wspaniałymi mówcami. Z pewnością możecie wyklądać całymi godzinami czy nawet całe dni. Ale wieki?

Lindsay roześmiał się głośno.

– Czasem brzmi to jak żart, prawda? Dwie astrognidy zmagają się z absolutem. Wellspring chyba w to wierzy, a ja robię, co mogę.

– Może on myśli, że ty też wierzysz.

– Może tak myśli; może i wierzę. – Lindsay chwycił metalowymi palcami długi kosmyk włosów. – Jeśli chodzi o marzenia, to posthumaniści mają pewne osiągnięcia. Istnienie czterech stopni złożoności zostało matematycznie udowodnione. Sam widziałem te równania.

– Oszczędź mi tego, skarbie. Z pewnością nie zestarzeliliśmy się tak bardzo, żeby musieć dyskutować o równaniach.

Słowa Kitsune nie dotarły do Lindsaya. Jego znajdujący się pod wpływem zielonej ekstazy mózg dał się przez moment uwieść matematyce, tej najczystszej z intelektualnych przyjemności. W normalnym stanie umysłu, mimo wieloletnich studiów, wzory męczyły Lindsaya i przeradzały się w otępiającą masę symboli bez znaczenia. Na haju potrafił je ogarnąć, choć później pamiętał tylko szaloną radość z ich zrozumienia. Było to uczucie zbliżone do wiary.

Upłynęła dłuższa chwila.

– Przepraszam, Kitsune – rzucił wreszcie Lindsay. – Co mówiłaś?

– Pamiętasz, Abelardzie... Kiedyś chciałam cię przekonać, że rozkosz to coś wspanialszego niż być Bogiem?

– Pamiętam.

– Myliłam się, najdroższy. Wolę być Bogiem.

\* \* \*

Kwaterna Very Constantine świadczyła o braku zaufania ze strony Kitsune. Młoda kształcerka od trzech tygodni pozostawała w areszcie domowym, w domu złożonym z trzech cel z kamienia i stali, poza wszechogarniającym uściskiem Kitsune.

Vera siedziała przed wbudowanym w ścianę monitorem giełdowym, śledząc przebieg transakcji w trójwymiarowej sieci. Nigdy wcześniej nie grała na giełdzie, ale Abelard Gomez podesłał jej trochę grosza, żeby mogła się zabawić. Nie mając lepszego pomysłu, zastosowała do gry rynkowej zasady dynamiki atmosferycznej, przyswojone na Fomalhaucie IV. Najdziwniejsze było to, że chyba okazały się skuteczne. Jej zysk rósł z każdą chwilą.

Drzwi rozszczelniły się i otworzyły. Do pokoju wszedł stary człowiek – wysoki, szczupły, odziany w jedną z odmian obowiązującego w KC stroju: długi płaszcz, ciemne, rozcinane spodnie, białe rękawiczki i wysadzone klejnotami pierścienie na palcach. Jego pobrużdżoną twarz częściowo przesłaniała broda, srebrny diadem zaś, kuty w roślinne wzory, podkreślał linię przetykanych siwizną, sięgających do ramion włosów. Vera wyplątała stopy ze strzemion, wstała i ukloniła się przybyszowi na modłę cykad.

– Witam pana, kanclerzu.

Lindsay rozejrzał się po celi, marszcząc ze zdumieniem wyraziste brwi. Starał się zachować ostrożność, nie wobec lokatorki pokoju jednak, lecz wobec samego pomieszczenia. W tym momencie Vera również to poczuła: Przybysz wrócił. Wbrew sobie samej, wiedząc, że to bezużyteczny gest, Vera popatrzyła szybko dookoła i dostrzegła coś kątem oka, ale tylko przez ułamek sekundy.

Lindsay uśmiechnął się do niej, a potem wrócił do oględzin celi. Nie chciała mówić mu o Przybyszu – lada chwila i tak przestanie go szukać, wszyscy się tak zachowywali.

– Dziękuję – odparł poniewczasie. – Mam nadzieję, że dobrze się pani miewa, pani kapitan doktor.

– Pańscy przyjaciele, doktor Gomez i sekretarz Nakamura, poświęcają mi mnóstwo uwagi. Dziękuję za taśmy i prezenty.

– Nie ma za co.

Nagle Vera wystraszyła się, że go rozczarowuje. Przez piętnaście lat, jakie upłynęły od pojedynku, ani razu się nie spotkali, ona zaś była wtedy bardzo młodą, zaledwie dwudziestoletnią dziewczyną. Wciąż miała wysokie kości policzkowe i ostry podbródek Kellandów, ale czas ją odmienił – poza tym nigdy nie miała czystego genotypu. Nie była klonem Very Kelland.

Pozbawione rękawów kimono bezlitośnie obnażało zmiany, jakie nastąpiły, gdy pełniła funkcję emisariusza wśród obcych. Dwa okrężne przewody odcisnęły ślady na jej szyi, a skóra nabrała woskowego połysku; w ambasadzie na Fomalhaucie Vera całe lata musiała żyć w wodzie.

Lindsay bezustannie rozglądał się po celi, Vera była więc przekonana, że wyczuł Przybysza, że uchwycił obecność czegoś ulotnego, tajemniczego. Prędzej czy później przypisze to uczucie spotkaniu z nią samą, a wówczas szanse wkupienia się w jego łaski zmaleją do zera.

– Przykro mi, że tych spraw nie można załatwić szybciej... – rzucił z roztargnieniem Lindsay. – W kwestiach dezercji lepiej nie przyśpieszać naturalnego biegu rzeczy.

Vera odniosła wrażenie, że słowa gościa niejasno nawiązują do losu Nory Mavrides. Przebiegł ją dreszcz.

– Rozumiem, kanclerzu – odparła.

Nie miała oficjalnego poparcia klanu Constantine'ów, który nie mógł sobie pozwolić na oskarżenie przed Radą Pierścieni. W Unii Ślizgaczy nie żyło się ostatnimi czasy łatwo. Po utracie stołeczności wybuchły okrutne walki o resztki władzy i gorączkowe poszukiwania kozłów ofiarnych; członkowie klanu znaleźli się na pierwszych miejscach list ofiar.

Kiedyś była faworytą założyciela klanu; Constantine obsypywał ją prezentami i poświęcał jej wiele uwagi. Poczyniono jednak zbyt dużo nierozważnych, ryzykownych posunięć. Philip Constantine zaryzykował przyszłość ich wszystkich, stając w szranki z Lindsayem – i przegrał. Klan zainwestował ogromne środki w ambasadorostwo Very, ona zaś nie przywiozła spodziewanych bogactw, a w dodatku zmieniła się w sposób, który ich przerażał. Stała się zbędna.

Ród słabł, żyjąc w wiecznym strachu przed Lindsayem, który przeżył pojedynek i wrócił na scenę potężniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Był nie do zatrzymania, przerastał wszystkich, ale atak, którego się spodziewali, nie nastąpił. Wyglądało więc na to, że i Lindsay ma swoje słabe punkty. Za pośrednictwem Very Constantine'owie mieli zamiar zagrać mu na uczuciach, na miłości i poczuciu winy, jakie żywił wobec Very Kelland; była to ich ostatnia, najbardziej desperacka zagrywka – przy odrobinie szczęścia mogli wygrać dla siebie azyl bądź zemstę. Albo jedno i drugie.

– Dlaczego przybyła pani do mnie? – spytał Lindsay. – Jest tyle innych możliwości. Życie mechanisty nie jest wcale takie złe, jak przedstawia to Rada Pierścieni.

– Mechowie skłóciliby nas z naszymi ludźmi i doprowadzili do rozpadu klanu. Nie, Klaster Carycy był najlepszym miejscem. Można liczyć na schronienie u boku waszej królowej, chociaż nie w sytuacji, gdy będziecie działać przeciwko nam.

– Rozumiem – przytaknął Lindsay. – Moi przyjaciele są wobec pani nieufni. Niewiele możemy na tym zyskać. W KC i tak roi się już od uchodźców; wasz klan nie podziela naszej posthumanistycznej ideologii, a co więcej, w KC nie brakuje ludzi, którzy nienawidzą samego nazwiska Constantine'a: byłych kataklistów, zwolenników odprężenia i tak dalej... Rozumie pani, że mogą z tym być kłopoty.

– To już przeszłość, kanclerzu. Nie chcemy niczyjej krzywdy.

Lindsay zamknął oczy.

– Moglibyśmy do końca świata na zmianę zapewniać się I braku złych zamiarów – powiedział, jakby kogoś cytował. – 2 żadne z nas nie przekonałoby drugiego. Albo sobie zaufamy, albo nie.

Jego szczerość sprawiła, że Vera nabrała wątpliwości. Nie miała pojęcia, co powiedzieć, i milczenie zaczęło się przedłużać nieprzyjemnie.

– Mam dla was prezent – odezwała się w końcu. – Część naszego prastarego dziedzictwa. – Przeszła na drugi koniec wąskiej celi i podniosła z podłogi prostopadłościenną klatkę z drutu, okrytą brzoskwińowej barwy aksamitem. Pokazała Lindsayowi klanowy skarb: białego laboratoryjnego szczura, który biegał po klatce tam i z powrotem, drobiąc łapkami z niezwykłą, niezmienną precyzją. – To jedno z pierwszych stworzeń, jakie zdołały osiągnąć Fizyczną nieśmiertelność, starożytny okaz laboratoryjny. Ma ponad trzysta lat.

– Jesteście bardzo hojni – rzekł Lindsay, podnosząc klatkę. Przyjrzał się zwierzęciu z bliska. Zachowanie szczura, którego zdolność uczenia się zanikła z wiekiem, zostało sprowadzone do odruchów podkorowych: marszczenie pyszczka, nawet ruchy oczu stały się całkowicie mechaniczne.

Stary człowiek przyglądał mu się badawczo. Vera zdawała sobie sprawę, że szczur nie zareaguje

na jego obecność; z jego galaretowatych różowych ślepi ziało pustką, brak było choćby śladu zwierzęcej czujności.

– Wypuszczacie go z klatki? – zapytał Lindsay.

– Od wieków już nie, kanclerzu. Jest zbyt cenny.

Lindsay otworzył klatkę. Szczur, w którego otoczeniu zaszła gwałtowna zmiana, skulił się przy metalowym podajniku wody. Żyłaste, porośnięte sierścią łapki drżały.

Lindsay poruszył palcami przed wejściem.

– Nie bój się – powiedział poważnie. – Tu jest cały nowy świat.

I nagle jakiś pradawny, zapomniany odruch obudził się w szczurzym łebku. Zwierzę z piskiem rzuciło się przez klatkę i dopadło odzianej w rękawiczkę dłoni Lindsaya, drapiąc ją i kęsając w napadzie szału. Verze zaparło dech w piersi; odskoczyła odruchowo, wstrząśnięta reakcją szczura. Lindsay dał jej znak, żeby podeszła bliżej i podniósł dłoń, patrząc ze współczuciem, jak szczur stara się mu zrobić krzywdę. Z rozdartej rękawiczki wyzierała czarno-miedziana siatka czujników protezy.

Delikatnie złapał wyrywające się zwierzątko, pilnując, żeby nie połamało sobie zębów.

– Więzienie ukształtowało jego umysł – stwierdził. – Wiele czasu upłynie, zanim znikną kraty, które ma w oczach. – Uśmiechnął się. – Na szczęście czasu nam nie brakuje.

Szczur przestał walczyć i tylko dyszał ciężko, targany spazmami jakiegoś gryzoniowego objawienia. Lindsay postawił go ostrożnie na stole, tuż obok monitora. Zwierzę z wysiłkiem wstało i zaczęło nerwowo dreptać po blacie, zawracając w miejscach, gdzie kończyłaby się klatka.

– Nie potrafi się zmienić – powiedziała Vera. – Wyczerpał swój potencjał.

– Nonsens – zaproponował Lindsay. – Musi po prostu dokonać prigogine'owskiego przeskoku na następny stopień zachowania.

Takie spokojne odwołanie do ideologii przeraziło Verę i chyba coś z tego lęku musiało odbić się na jej twarzy. Lindsay ściągnął podartą rękawiczkę.

– Naszym obowiązkiem jest mieć nadzieję – powiedział. – Nigdy nie wolno jej tracić.

– Przez lata liczyliśmy na to, że uda nam się wyleczyć Philipa Constantine'a, ale teraz wiemy, że to niemożliwe. Jesteśmy gotowi oddać go panu w zamian za gwarancje bezpieczeństwa.

– To okrutne – rzekł Lindsay ze śmiertelną powagą.

– Był pana wrogiem. Chcielibyśmy to panu wynagrodzić.

– Dla mnie pani sama jest zadośćuczynieniem.

Podziała! Vera Kelland wciąż żyła w jego pamięci.

– Proszę się nie oszukiwać – mówił dalej Lindsay. – Nie oferuję prawdziwej rekompensaty. Klaster Carycy również pewnego dnia musi upaść. W naszych czasach państwa nie istnieją długo, tylko ludzie trwają, ludzie i ich nadzieje, plany... Mogę zaoferować jedynie to, co naprawdę mam. A nie jest to bezpieczeństwo, lecz wolność.

– Posthumanizm – powiedziała Vera. – Ideologia państwowa. Rzecz jasna przystosujemy się do niej.

– Sądziłem, że masz własne przekonania, Vero. Jesteś galaktystką.

Delikatnie, z roztargnieniem przesunęła dłonią po skrzepopodobnej szczelinie na szyi.

– Uczyłam się polityki w kopule obserwacyjnej. W ambasadzie na Fomalhaucie. – Zawahała się. – Zmieniło mnie to bardziej, niż mógłby pan przypuszczać. Pewnych rzeczy nie umiem wyjaśnić.

– W tym pokoju coś jest – rzekł Lindsay.

– Tak – odparła oszołomiona. – Wyczuł pan to? Niewielu osobom się to udaje.

– Co to takiego? Dar od obcych z Fomalhauta? Od balonowców?

– Oni nic o tym nie wiedzą.

– Ale pani wie. Proszę mi powiedzieć.

Zbyt daleko zabrnęła, żeby się teraz wycofać, zaczęła więc niechętnie mówić:

– Pierwszy raz zwróciłam na to uwagę w ambasadzie. Ambasada szybuje w atmosferze czwartej planety układu Fomalhauta. To podobny do Jowisza olbrzym gazowy... Musieliśmy mieszkać cały czas w wodzie, żeby znieść tamtejszą grawitację. Umieszczono nas razem, mechanistów i kształcerzy; ambasada była wspólna i nie mieliśmy wyboru. Wszystko się zmieniło; my sami się zmieniliśmy... Wtedy przylecieli Inwestorzy, żeby zabrać kontyngent mechów z powrotem do Schismatrix. Wydaje mi się, że Przybysz był na ich statku. Od tamtej pory nie odstępuję mnie ani na krok.

– Czy istnieje naprawdę?

– Chyba tak. Czasem prawie udaje mi się go zobaczyć, takie migotanie na skraju pola widzenia, jakby miał kolor lustra.

– Co na to Inwestorzy?

– Wszystkiego się wyparli, mówiąc, że uległam złudzeniu. – Vera znów się zawahała. – Nie oni jedni.

Natychmiast pożałowała, że powiedziała o tym Lindsayowi, ale ciężące jej brzemię zelżało. Podniosła na niego wzrok pełen nadziei.

– Czyli mamy obcego – rzekł Lindsay. – I to z nieznannej, dwudziestej rasy.

– Wierzy mi pan – powiedziała Vera. – Naprawdę uważa pan, że on tu jest.

– Musimy sobie nawzajem wierzyć. Życie staje się wtedy prostsze. – Lindsay popatrzył ostrożnie po celi, jakby sprawdzał, czy wzrok go nie zawodzi. – Chciałbym wywabić go z ukrycia.

– Nie wyjdzie – zapewniła go dziewczyna. – Proszę mi wierzyć, wiele razy już go błagałam.

– Nie możemy tutaj podjąć takiej próby, bo Kitsune natychmiast by się zorientowała. Czuje się w tym świecie bezpieczna, a nam wypada uszanować jej uczucia.

Szczerłość kanclerza zaskoczyła Verę. Nie przyszło jej do głowy, że więżąca ją gigantyczna masa ciała może mieć jakieś uczucia; nie sądziła też, że ktoś mógłby traktować to ciało jak żywą osobę.

Lindsay wziął szczura ze stołu. Zwierzątko od razu zaczęło głośno, rozpaczliwie piszczeć, on zaś oglądał je z tak szczerym zainteresowaniem, że Verę ogarnęła litość. To uczucie przyjemnie ją zdumiało.

– Zaraz będziemy się zbierać – powiedział Lindsay do szczura. – A ty idziesz z nami. – Włożył gryzonia do kieszeni płaszcza. Stworzenie uspokoiło się i ucichło.

\* \* \*

Historia Schismatrix była zapisem wstrząsających całym światem zmian. Liczba mieszkańców sięgnęła dziewięciu miliardów. W Radzie Pierścieni przeżarci narkotykami serotoniści zen oddali władzę. Po czterdziestu latach ich panowania coraz to nowi kształcerscy ideolodzy przyjmowali agresywne założenia wizjonerskiego galaktyzmu.

Nowe kredo rozpowszechniało się powoli. Narodziło się w międzygwiazdnych ambasadach, gdzie przedstawiciele Schismatrix przekraczali ograniczające rodzaj ludzki bariery, nie ustając w wysiłkach zrozumienia życia obcych. Prorocy galaktyzmu poczuli się w końcu gotowi, by całkowicie odrzucić ludzkość i osiągnąć świadomość galaktyczną, przy której zwykła lojalność wobec własnej rasy przestawała się liczyć.

Idee odprężenia po raz drugi straciły na wartości. Mechaniści i kształcerze walczyli bez pardonu o łaski obcych. Tymczasem z dziewiętnastu inteligentnych ras tylko pięć przejawiało choćby najmniejsze zainteresowanie zbliżeniem z ludźmi. Pożeracze chmur z Chondrule chętnie

wprowadziliby się do Schismatrix, ale tylko wówczas, gdyby Wenus została zamieniona w chmurę atomów, co ułatwiłoby im jej strawienie. Korale Nerwowe wyraziły pewne zainteresowanie dokonaniem najazdu na Ziemię, co jednak oznaczałoby pogwałcenie uświęconego tradycją interdymtu. Duchy Kultury zawitałyby chemie do każdego, kto potrafiłby znieść ich obecność, ale makabryczny wpływ, jaki wywarły na korpus dyplomatyczny Schismatrix, szczerze wszystkich przeraził.

Najciekawszą ofertę przedstawiły balonowce z Fomalhauta. Wiele lat zajęło ludziom opanowanie ich „języka”, który najlepiej było opisywać jako złożone stany niestabilne dynamiki atmosferycznej. Po nawiązaniu prawdziwego kontaktu nastąpił szybki postęp w rozmowach. Fomalhaut był olbrzymią gwiazdą otoczoną grubym pierścieniem bogatych w ciężkie metale asteroid.

Dla istot z układu Fomalhauta, które nie przepadały za międzygwiazdowymi podróżami, asteroidy nie miały żadnej wartości. Interesował je natomiast Jowisz, w którego atmosferze planowały hodować powietrzne kryle. Inwestorzy z chęcią podjęliby się transportu w obie strony, chociaż nawet ich gigantyczne statki mieściły najwyżej po kilka Balonowców, z których chirurgicznie spuszczone gaz.

Spory w Schismatrix narastały. Wśród mechanistów istniała odrębna frakcja galaktystyczna, usiłująca ogarnąć założenia niewiarygodnej fizyki ponurych Kidnaperów. Kidnaperzy, podobnie jak Inwestorzy, opanowali metodę podróży z prędkością nadświetlną. Inwestorzy byli gotowi sprzedać swój sekret, ale za cenę, która zrujnowałaby ludzkość. Kidnaperzy natomiast naśmiewali się z ludzi, lecz mniej starannie strzegli swych tajemnic.

Ekspansja w głąb ramienia Galaktyki zdawała się nieunikniona. Zanosilo się na to, że zwycięży jedna z dwóch strategii: kształcerska, kładąca nacisk na negocjacje dyplomatyczne, bądź mechanistyczna, uzależniająca postęp od samodzielnego rozwiązania kwestii lotów do gwiazd. Tylko jedna duża frakcja mogła wyjść z takiej konfrontacji zwycięsko; mniejszym odłomom brakowało funduszy, wykształconej kadry, dyplomatycznego rozmachu. Powoli kształtował się niepokojący, dwubiegunowy układ sił.

Tymczasem larwy balonowców, zamknięte w jajowatych statkach, z mozołem przeczesywały przestrzeń okołosłoneczną, a nieliczne grupki kształcerskich i mechanistycznych renegatów kreśliły mapy złożeń na orbicie Fomalhauta. Jeden układ planetarny przestawał ludziom wystarczać.

Załamaniem odprężenia obudziło dawne nienawiści. Pożoga wyścigu zbrojeń wybuchła z nową siłą, nie nadzorowana przez tracących wpływy Inwestorów. Pojawiały się coraz to nowe, dziwaczne frakcje, na czele których stawali dawni dyplomaci. Ich członkowie rekrutowali się z obrzeży społeczeństwa – Armia Wirusowa, Drapieźniki, Koronasferycy.

Kalejdoskop historii tworzył nowe permutacje zdarzeń i z każdą chwilą przyśpieszał obrót, zbliżając się do niewiadomego crescendo. Wzory zmieniały się, odkształcały i rozpadały; każdy błysk światła oznaczał jedno ludzkie życie.

\* \* \*

*Korporacyjna Republika Ludowa Klastra Carycy, 13. 01.'54*

Po okresie siedemdziesięcioletniej stabilizacji i zamożności w Klastrze Carycy nastąpiła katastrofa. Elita Kliki Stronników Życia spotkała się na tajnej naradzie, by zmierzyć się z kryzysem.

Akwamarynowa Alkowa była idealnie zabezpieczoną cytadelą Kliki. Ściany ozdobiono mozaikowymi, powiększonymi obrazami Europy, księżycą Jowisza; pożłobiony bruzdami ład miał barwę białą i matowopomarańczową, morza zaś lśniły błękitem i indygo. Nad połyskliwym stołem

konferencyjnym zwieszał się trójwymiarowy model Europy i jej okolic. Wysadzone klejnotami statki kosmiczne, przedstawiające należące do Stronników Życia satelity, z cichutkim tykaniem przesuwały się po srebrnych drucikach.

Kanclerz Abelard Gomez, pełen życia osiemdziesięcioletni, przejął zarządzanie bieżącymi sprawami Kliki. Jego głównymi współpracownikami byli profesor Glen Szilard, królewski doradca Fidel Nakamura oraz menedżer projektu Jane Murray, aktualna żona Gomeza. U szczytu stołu zasiadał kanclerz honorowy, Abelard Lindsay. Na pobrużdżonym obliczu starego wizjonera błąkał się zagadkowy uśmiech, zdradzający działanie pokaźnej dawki zielonej ekstazy.

Gomez zabębnił w stół, żeby uciszyć zebranych. Umilkli i ciszę mąciły tylko popiskiwanie wiekowego szczura, siedzącego u starego kanclerza na ramieniu.

– Przepraszam – mruknął Lindsay i schował gryzonia do kieszeni.

– Fidelu, czy możemy usłyszeć twój raport? – Gomez przejął kierowanie zebraniem.

– To wszystko prawda, kanclerzu. Królowa zniknęła.

Wszyscy zgodnie jęknęli, Gomez zaś spytał ostro:

– Uciekła czy została porwana?

Nakamura otarł pot z czoła.

– Wellspring ją zabrał i tylko on mógłby udzielić odpowiedzi. Wśród doradców zapanował chaos. Koordynator wezwał psy; gorzej, wyciągnął z lamusa tygrysy. Chce dopaść Wellspringa i skazać go za zdradę stanu. Nie spocznie, póki go nie dostanie.

– Albo póki KC się nie zawali – uzupełnił Gomez. W sali zapanowała ciężka atmosfera. – Tygrysy... To ogromne maszyny; mogłyby przebić się przez ściany tego schronienia jak przez papier. Nie możemy spotkać się ponownie bez broni i bez kordonu straży.

– Nasze psy pilnują wyjść – odezwał się Szilard. – Jestem gotów do przeprowadzenia testów lojalności. Moglibyśmy oczyścić nasze przedmieście z wrogich ideologów i uczynić z niego nasz bastion, który ostałby się nawet po tym, jak Klaster Carycy się rozpadnie.

– To okrutne – zauważyła Jane Murray.

– Oni albo my – rzekł Szilard. – Kiedy wieści się rozejdą, zaczną się samosady, ataki na twierdze, prześladowania dysydentów. Nadchodzi czas anarchii. Musimy się bronić.

– Co z naszymi sprzymierzeńcami? – zapytał Gomez.

– Nasze wtyczki w Klice Poliwęglowej donoszą, że ogłoszenie o dokonanej przez Wellspringa zamachu stanu zbiegnie się w czasie z pierwszym zderzeniem Marsa z asteroidą, co nastąpi rankiem 14. Ol.'54... Rozpad KC jest kwestią paru tygodni. Większość uchodźców trafi na marsjańską orbitę, gdzie Wellspring przetrzymuje królową. Będzie miał władzę. W nowym Klastrze Terraformowania posthumanizm będzie znacznie silniejszy.

– Mechowie i kształcerze rozszarpią KC na strzępy – wtrąciła Jane Murray. – Nasza filozofia zaś pozwala czerpać korzyści ze zniszczenia... To zdrada stanu, przyjaciele. Niedobrze mi.

– Ludzie żyją dłużej od państw – powiedział cicho Lindsay. Oddychał z nieludzką regularnością, odkąd mechanistyczny biokirys sterował pracą jego organów wewnętrznych. – KC jest zgubiony. Bez królowej żadne psy ani czystki go nie uratują. To koniec.

– Kanclerz honorowy ma rację – zgodził się z nim Gomez. – Dokąd mamy się udać? Taką właśnie decyzję musimy podjąć. Czy przyłączymy się do Kliki Poliwęglowej na orbicie Marsa, żeby żyć pod panowaniem królowej? Czy raczej przeniesiemy się na orbitę Europy i zaczniemy wprowadzać nasz plan w życie?

– Jestem za Marszem – rzekł Nakamura. – We współczesnym klimacie posthumanizm potrzebuje całego poparcia, na jakie może liczyć. Sprawa wymaga solidarności.

– Solidarności? – zdziwił się Lindsay i z wysiłkiem się wyprostował. – Chyba raczej płynności. Jedna królowa więcej, jedna mniej... jakie to ma znaczenie? Obcy są jest coraz liczniejszy. Pewnego dnia posthumanizm będzie musiał i tak znaleźć sobie własną orbitę. Dlaczego nie teraz?

Podczas gdy pozostali pograżyli się w dyskusji, Gomez patrzył ponuro spod półprzymkniętych powiek na swego mentora. Stary ból wciąż nie dawał mu spokoju; nie potrafił zapomnieć długiego małżeństwa z faworytą Lindsaya, Verą Constantine. Zbyt wiele rzeczy kładło się cieniem na ich związku.

Raz udało im się ten cień usunąć – to było wtedy, gdy zdradziła Gomezowi, że zamierzała zabić Lindsaya. Lindsay nie uczynił nic, żeby się przed nią bronić, ale Vera jakoś nigdy nie mogła trafić na właściwy moment. Mijały lata, z ich upływem przekonania bladły i niknęły w natłoku praktycznych banałów, aż pewnego dnia Vera zrozumiała, że nie da rady tego zrobić. Powiedziała o tym Gomezowi, ponieważ mu ufała. Kochali się.

Gomez odwiódł ją od planowanej zemsty i nawróciła się na posthumanizm. Udało mu się nawet zaskarbić zaufanie jej klanu – potomkowie Constantine'a stali się pionierami, którzy z ramienia Stronników Życia rozpoczęli prace na orbicie Europy.

Sam Gomez jednak nie uciekł przed upływającymi latami; z czasem namiętność przekształciła się w rutynę. Zdobył to, czego chciał; jego sen się ziszczył. Musiał teraz z nim żyć i z niego się rozliczać. I stracił Verę, gdyż jeden cień wciąż zalegał pomiędzy nimi.

Vera nigdy nie była w pełni zdrowa psychicznie. Często narzekała, że Przybysz na każdym kroku śledzi ją i obserwuje. Wyglądało na to, że przychodzi i odchodzi wraz ze zmianami nastroju Very; czasem całymi dniami dziewczyna potrafiła się śmiać i cieszyć, przekonana, że Przybysz „gdzieś się zapodział”, a potem Gomez znajdował ją smętną i zamyśloną, bo Przybysz rzekomo powracał.

Lindsay przymykał oko na chorobę Very i utrzymywał, że jej wierzy. Gomez zresztą również wierzył w istnienie Przybysza, uważał jego pojawienie się za reakcję żony na wyobcowanie ze świata żywych. Nie na darmo mówiła o nim, że ma „kolor lustra”. Coś nieokreślonego, wcielenie niemożliwej do potwierdzenia płynności... Kiedy Gomez osiągnął stan, w którym sam czuł coś podobnego – miał wręcz wrażenie, że dostrzega coś kątem oka – zrozumiał, że sprawy zaszły za daleko. Ich rozstanie przebiegło łagodnie, w atmosferze chłodnej uprzejmości.

Zastanawiał się czasami, czy Lindsay tego wszystkiego nie ukartował. Wiedział przecież, jaką pułapką może stać się szczęście, i znał siłę, jaką dawało wyzwolenie się z niej. Cierpiący Gomez zyskał tę siłę... Szilard cytował z pamięci ciąg faktów i liczb, opisujących stan CircumEuropy. Na orbicie księżyca Jowisza powstawał przyszły dom Stronników Życia, zlepek ścian, ostrych kątów i bąbli.

Będący w rozkwicie klan Constantine'ów instalował już sieć hydrauliczną i uruchamiał układy podtrzymywania życia, ale na razie próba przeniesienia tam wszystkich Stronników jednocześnie stanowiłaby zbyt duże obciążenie dla systemu.

Na stosunki z gazowymi balonowcami z Jowisza nikt nie mógł narzekać. Dysponowali doświadczeniem Very i wyszkolonego przez nią personelu, jednakże byli bezbronni wobec innych ludzkich frakcji; nie mieli ani ambicji, ani prestiżu, dzięki któremu mogliby równać się z królową KC.

Jane Murray przedstawiła obraz spraw z perspektywy projektu zagospodarowania Europy. Powierzchnia tego księżyca Jowisza nie dawała wielkich nadziei – bezkres gładkiego wodnego lodu, tak zimnego, że w tej temperaturze kości pękałyby jak szkło, był pozbawiony atmosfery i pлавił się w falach śmiertelnie promieniowania. W lodzie trafiały się jednak rozpadliny, ciemne uskoki ciągnące się tysiącami kilometrów... Szczeliny pływowe. Pod skuwającą powierzchnię skorupą



rozciągało się oblewające cały glob morze wody w stanie ciekłym. Przyciąganie Jowisza, Ganimedesa i Io powodowało pływy i topiło lód, ogrzewając wodę do temperatury ludzkiego ciała. Pod koronkową siecią pęknięć, na łożysku geotermicznych skał przelewał się sterylny ocean.

Stronnicy Życia od lat planowali całą serię katastrof dla nieorganicznej materii. Wszystko miało zacząć się od glonów – wyhodowano już gatunki, które potrafiły przetrwać w nasączonym specyficzną mieszkanką soli i związków siarki oceanie Europy. Glony mogły gromadzić się wokół świeżych pęknięć, gdzie światło przesączało się w głąb lodowej skorupy; żywiły się ciężkimi węglowodorami, których ogromne cząsteczki pływały w wodzie. Następne miały być ryby – początkowo niewielkie, wyhodowane z kilku gatunków komercyjnych, które człowiek zabrał w kosmos. Oceaniczne skorupiaki w rodzaju krabów i krewetek, znane wyłącznie ze starych ksiąg, można było podrobić, manipulując genami owadów.

Zrzucane z orbity ładunki wybuchowe miały wybijać w lodzie wielkie dziury, wypełnione krą i zalane światłem. Co więcej, można by prowadzić badania na kilku szczelinach równocześnie i metodą prób i błędów dobrać najlepszy ekosystem.

Musiało to zająć całe stulecia. Gomez ponownie wziął całe to brzemie na swoje barki.

– Bioprojektowanie wciąż jeszcze jest w powijakach – rzekł. – Spójrzmy prawdzie w oczy: rządony przez królową Klaster Marsjański zapewni nam majątek i bezpieczeństwo. Naszym jedynym wrogiem będzie czas.

Lindsay rzucił się zniecka naprzód i uderzył metalową pięścią w stół.

– Musimy działać! To przełomowa chwila, w której jeden akt może zdeterminować całą naszą przyszłość! Stoimy przed wyborem: zwyczajność albo cuda. Upomnijmy się o nie!

Gomez nie wierzył własnym uszom.

– Opowiada się pan za Europą, kanclerzu? – spytał. – Plany Wellspringa prezentują się bezpiecznie.

– Bezpieczniej? – Lindsay się roześmiał. – Klaster Carycy też wyglądał bezpiecznie, ale Sprawa przeniosła się dalej, a królowa wraz z nią. Abstrakcyjny sen rozkwitnie, lecz materialne miasto runie. Ci, którzy nie potrafią śnić, umrą wraz z nim. Rezydencje spłyną krwią samobójców. Sam Wellspring też może zginąć. Agenci mechów zaanektują całe przedmieścia, kształcerze przejmą banki i fabryki. Ustalone zasady, tak pozornie stabilne, wyparują jak wysychające łyzy... Jeśli się pod nimi podpiszemy, wyparujemy także.

– Co w takim razie mamy zrobić?

– Wellspring nie jest jedynym nadmiernie ambitnym zbrodniarzem. I nie on ostatni zniknie.

– Opuszcza nas pan, kanclerzu?

– Sami musicie sobie poradzić z niesnaskami i katastrofą. Ja się już do tego nie nadaję.

Wszyscy byli wstrząśnięci. Gomez pozbierał się najszybciej.

– Kanclerz honorowy ma rację – rzekł. – Miałem właśnie zamiar zaproponować coś podobnego. Ataki naszych wrogów będą wymierzone w arbitra Kliki, najlepiej więc będzie, gdy się ukryje.

Reszta uczestników zebrania automatycznie zaprotestowała, ale Lindsay oddalił ich sprzeciwy.

– Zapas królowych i Wellspringów nie jest niewyczerpany. Musicie zaufać własnej sile. Ja w nią wierzę.

– Dokąd się pan uda, kanclerzu?

– Tam, gdzie najmniej się mnie spodziewają. – Lindsay się uśmiechnął. – To nie pierwszy kryzys, jakiego jestem świadkiem; widziałem już niejedno. Kiedy nadchodziło uderzenie, zawsze uciekałem. Od lat wygłaszałem tu wam kazania, prosiłem, byście poświęcili życie... Zawsze wiedziałem, że taki moment nadejdzie. Nie miałem tylko pojęcia, co zrobię, kiedy mojemu marzeniu zacznie grozić

załamanie. Ucieknę i zostanę astrognidą, jak zawsze? Czy może zaangażuję się w walkę? Oto ta chwila; muszę zaprzeć się własnej przeszłości, tak jak i wy. Wiem, jak sprawić cud, na który czekacie, i przysięgam, że to zrobię.

Gomez załapała nagła fala zgrozy. Od lat nie widział, żeby Lindsay przejawiał taką determinację, przyszło mu więc nagle do głowy, że stary kanclerz zamierza umrzeć. Nie znał jego planów, zrozumiał jednak, że Lindsay osiągnął punkt zwrotny w życiu. Byłoby w jego stylu zejść ze sceny w finale, skryć się w cieniu, póki blask tajemnej sławy do reszty nie zgaś.

– Kiedy możemy się spodziewać pana powrotu, kanclerzu? – zapytał.

– Zanim umrę, staniemy się aniołami Europy. Spotkamy się w raju.

Lindsay otworzył hermetyczne drzwi. Z rozciągających się za nimi, pozbawionych grawitacji korytarzy dobiegał chaotyczny zgiełk. Drzwi zamknęły się ze szczękiem. Lindsay zniknął.

Zapadła grobowa cisza.

Starzec pozostawił po sobie pustkę. Siedzieli w milczeniu, rozpamiętując stratę, patrzyli po sobie, aż wreszcie jak jeden mąż przenieśli wzrok na Gomeza. Chwila minęła; niepokój się rozmył.

– W takim razie... – powiedział Gomez z uśmiechem. – Czas na cuda.

Szczur Lindsaya wyskoczył na stół.

– Zostawił go – stwierdziła Jane Murray i pogłaskała zwierzątko.

Szczur zaskrzeczał głośno.

– Przywołuję szczura do porządku – upomniał go Gomez.

Postukał w stół i wszyscy wrócili do pracy.

## Rozdział 11

*Orbita okołoziemiska, 14. 04.'54*

Czekali na statku we troje: Lindsay, Vera Constantine i ich wywodzący się z homarów nawigator, nazywany po prostu pilotem.

– Końcowe podejście – oznajmił pilot. Jego piękny, syntetyzowany głos dobiegał z podłączonego wprost do strun głosowych wokodera.

Przypięty pasami do fotela na wprost tablicy z przyrządami homar był bezkształtną bryłą cienia. Miał na sobie hermetyczny, permanentny, matowoczarny kombinezon, poznaczony wypukłościami w miejscach, gdzie od środka zainstalowano dodatkowe wyposażenie, i cały w złotych plamkach gniazdek do transmisji danych. Homary, pozbawione twarzy istoty ludzkie, czuły się w otwartym kosmosie jak w domu. Ich oczy i uszy miały bezpośrednie połączenie z sensorami na powierzchni skafandra.

Pilot nic nie jadł i nie pił. Jego ciało funkcjonowało w obiegu zamkniętym wewnątrz kombinezonu. Nie podobało mu się zresztą na tym statku – homary panicznie bały się zamkniętych przestrzeni – ale znosił niewygody dzielnie, podniecony myślą, że będzie uczestniczyć w przestępstwie.

Po kilku tygodniach lotu opadali z orbity w dół i leniwy spokój prysnął. Lindsay nigdy dotąd nie widział Very tak ożywionej. Jej nieskrywany zachwyt sprawiał mu przyjemność.

Miała powody, żeby się cieszyć: Przybysz zniknął. Vera nie wyczuła go ani razu, odkąd zostali zamknięci na pokładzie statku, od tego czasu przebyli zaś tak długą drogę, iż miała nadzieję, że na dobre się go pozbyła. Przyniosło jej to ulgę i cieszyło na równi z dopełniającym się, udanym

spiskiem.

Lindsay też był zadowolony. Nigdy nie zdołał zdobyć obiektywnego dowodu na istnienie Przybysza, ale dla Very zgodził się w niego uwierzyć. Vera również we wszystkim mu wierzyła – zawarli taką niepisaną umowę, opartą na wzajemnym zaufaniu. Lindsay wiedział, że mogła go zabić, ale zaufanie ocaliło mu życie. Długie lata, jakie upłynęły od tamtej pory, dodatkowo wzmocniły tę więź.

– Wygląda nieźle – zaśpiewał homar. Statkiem zatrzęsło, gdy trafił w prześwit w atmosferze. Z wokodera dobiegł trzask zakłóceń, a potem dalsze słowa: – Powietrze. Nienawidzę powietrza. Już go nie mogę znieść.

– Spokojnie – powiedział Lindsay, zapinając mocniej pasy i rozwijając ekran.

Znajdowali się ponad kontynentem znanym niegdyś pod nazwą Afryki. Poziom morza podniósł się i woda zmieniła kontury lądu; archipelagi zatopionych wzgórz nurzały się w chmurach, podczas gdy ich brzegi omywała gęsta od glonów zupa. Rzeki spłukiwały do oceanu szarą, wierzchnią warstwę gleby i ich mętna woda mieszała się z czerwonym od kwitnących alg morzem.

Statek rozgrzał się do białości i płomienie przesłoniły utwardzany obiekt przedniego skanera. Lindsay usiadł wygodniej.

Statek był dziwny; nie zaprojektowano go z myślą o ludziach. Jajowaty kadłub lśnił białawym połyskiem ustabilizowanego metalicznego wodoru, a z takiego materiału korzystały tylko balonowce. Gołe sufity i podłogi były poznaczone okrągłymi, żłobkowanymi śladami segmentów poprzedniego pilota – larwy z Fomalhauta. Upakowano ją wewnątrz kadłuba na wcisk, jak rosnące w formie ciasto.

W „rozmowie” z Verą Constantine jeden z balonowców napomknął coś o śmierci larwy. Wyczulony na zmiany pola magnetycznego astronauta zareagował na wybuch na Słońcu, którego kształt i rozmiary były dla niego jak bluźnierstwo. Umarł z rozpaczy.

Lindsay tylko czekał na taką okazję. Kiedy Vera opowiedziała mu o wypadku, zadziałał bez namysłu. Miał wśród homarów wtyczkę, przez którą prowadził interesy w Kłastrze Carycy – nazywał ją modemem.

Razem w najgłębszej tajemnicy ustalili warunki umowy z anarchizującymi homarami. Jeden z ich delikatnych, pozbawionych powietrza statków odszukał martwą larwę. Lindsay zgodził się, żeby ją pokroiły i przywłaszczyły sobie silniki maszyny; w zamian oczekiwał wyszykowania pustej skorupy statku do dyskretnego naruszenia interdyktu z Ziemią.

Interdykt nigdy nie dotyczył balonowców, które upierały się przy zbadaniu całego Układu Słonecznego i automatycznie przyznawały prawa do podobnej działalności gościom w układzie Fomalhauta. Ich statki zwiadowcze wielokrotnie odwiedzały Ziemię, ale balonowce nie usiłowały skontaktować się z jej prymitywnymi mieszkańcami. Wystarczało im, że planeta jest nieszkodliwa, więc wracały do domu i nie interesowały się nią więcej.

Lindsay z dwójgiem towarzyszy użył kamuflażu najwyższego rzędu: chciał uchodzić za obcego i w tym przebraniu oszukać całą Schismatm.

Podniecenie i uczucie triumfu go odmładzały. Podkreślił ustawienia biokirysu, żeby serce nadażało za burzą emocji. Wbudowany w przedramię monitor lśnił bursztynowo od przyływu adrenaliny.

Statek przeskoczył nad poszerzonym południowym Atlantykiem i zapadł się głębiej w atmosferę na linii terminatora. Przeciężenie przy hamowaniu wbiło Lindsaya w pasy bezpieczeństwa.

Homary wykonały swoje zadanie w pośpiechu i najprostszymi metodami. Trzyosobowa załoga gnieździła się w żebrowanej kapsułce o średnicy czterech metrów. Zmieściły się w niej dwa stelaże powietrzne, przetwornik atmosfery i trzy leżanki akceleracyjne z czarnego elastycznego włókna rozpiętego na żelaznych ramach, które wklejono w podłogę. Resztę statku zajmowały silniki i

przypominająca garaż ładownia. W niej właśnie siedział przycupnięty robot – jedna z używanych na Europie sond podwodnych.

Dawne otwory w ciele larwy odarto całkowicie z tkanki, by zainstalować w nich kamery i skanery. Do ładowni prowadził wprawdzie właz, ale w kabinie załogi nie starczyło już miejsca na służę. Trójka pasażerów została dosłownie zaspawana w statku.

Pilotowi nieszczęśliwie spodobał się ten pomysł, ale można mu było zaufać. Europa nie obchodziła go nic a nic, podobnie jak plany jej mieszkańców, ale nie mógł oprzeć się pokusie zaliczenia studni grawitacyjnej, z której wyszli jego przodkowie. Przemierzył Układ Słoneczny wzdłuż i wszerz, od krawędzi korony słonecznej z jej groźnymi zawirowaniami po kometarny Obłok Oorta za orbitą Plutona. Nie był człowiekiem, ale na jakiś czas stał się jednym z nich.

Obraz ze skanerów zaczął się wyostriać. Przeciężenie osłabło, ustępując miejsca zwykłej ziemskiej grawitacji. Lindsay osunął się w pasach, posapując w rytm skurczów biokirysu, pompujących mu powietrze do płuc.

– Patrzcie tylko, co to gówno robi z gwiazdami – poskarżył się melodyjnie pilot.

Vera podniosła z podłogi i rozwinęła ciasno złożoną wideotablicę. Wyprostowała ją i wygładziła fałdy.

– Spójrz, Abelardzie. Atmosfera jest tak gruba, że gwiazdy się rozmazują. Pomyśl tylko, ile tu musi być powietrza. To fantastyczne.

Lindsay poruszył się na fotelu i przeniósł wzrok na obraz z kamery rufowej. Ściana cumulonimbusów piętrzyła się aż do granic troposfery. Czarne, ociekające deszczem macki wznosiły się do białych chmur podświetlonych ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Obserwowali wyciągnięte w bok ramię pasa burz, nieustannie szalejących wokół równika planety.

Lindsay przełączył kamerę i obraz zajął całą tablicę. Widok go przeraził.

– Spójrzcie na te burzowe chmury za nami – rzekł. – Strzelają z nich języki ognia. Co tam się może palić?

– Skrawki roślin? – podsunęła Vera.

– Zaraz, chwileczkę... To pioruny – powiedział Lindsay. – Jak w tym starym powiedzeniu o burzy z piorunami. – Zafascynowany nie mógł oderwać wzroku od ekranu.

– Ale błyskawice powinny być czerwone i mieć zygzakowate krawędzie – zdziwiła się Vera. – A te wyglądają jak cienkie białe gałązki.

– Katastrofa musiała je zmienić.

Burza zniknęła za horyzontem.

– Widać linię brzegową – zameldował pilot.

Zapadł zmierzch i przełączyli aparaturę na podczerwień.

– To fragment Ameryki – stwierdził Lindsay. – Nazywano go Meksykiem albo Teksykiem. Kontury zmieniły się, odkąd czapy lodowe uległy stopieniu. Nie wygląda znajomo.

Pilot mocował się ze sterami.

– Lecimy szybciej od dźwięku w tej atmosferze, pilocie – zauważyła Vera. – Może zwolnijmy.

– Gówno! – zaklął żałośnie pilot. – Naprawdę chcecie to oglądać? A jeśli tubylcy nas zauważą?

– To barbarzyńcy. Nie mają sprzętu na podczerwień.

– Uważa pani, że wystarczy im samo pasmo widzialne? – Pilot nie posiadał się ze zdziwienia.

Uważnie obserwowali przesuwający się w dole krajobraz. Płaty gęstych zarośli połyskiwały lekko w fałszywej bieli i czerni podczerwonego obrazu. Od czasu do czasu gęstwinę przecinały rozmazane ciemne linie.

– To uskoki tektoniczne? – spytała Vera.

– Drogi – odparł Lindsay i wyjaśnił ideę tras o niskim współczynniku tarcia, stosowanych do transportu lądowego w normalnym ciężeniu. Na razie nie znaleźli ani jednego miasta, chociaż tu i ówdzie rozbuchana roślinność przerzedzała się nieco.

Pilot zszedł niżej i w dużym powiększeniu obejrzelili gąszcz.

– To chwasty – doszedł do wniosku Lindsay. – Po katastrofie nastąpiła destabilizacja ekologiczna i na scenę wkroczyły przypadkowe rośliny. Kiedyś pewnie rozciągały się tu pola uprawne.

– Jak tu wstrętne – powiedziała Vera.

– Często tak bywa, gdy system runie.

– Wykrywam silny strumień energii przed nami – poinformował ich pilot. Statek opadł nieco i zawisł nad grzbietem wzgórza.

Na zboczach szerzył się pożar, rozświetlając noc na wiele kilometrów dookoła. Prądy wznoszące z grzotem podrywały w górę płatki popiołu i odwrócone kaskady liści i gałęzi. Z drugiej strony ściany ognia widniały pokręcone, żarzące się szkielety chwastów, które osiągnęły rozmiary drzew; ich dymiące pnie składały się ze zdrewniałych włókien.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał, tak byli przejęci widokiem pożogi.

– Astrognidy wśród roślin – rzekł w końcu Lindsay.

– Co takiego?

– Te chwasty są jak astrognidy. Karmią się katastrofą. Zajmą każde miejsce, w którym system się wykruszył. Na pożarze skorzystają te rośliny, które najszybciej wyrosną na wypalanej ziemi...

– Następne chwasty – podsumowała Vera.

– Właśnie.

Zostawili morze ognia za sobą i lecieli wśród wzgórz. Lindsay sięgnął do jednego ze stelaży z glonami i wepchnął sobie do ust garść zielonej pasty.

– Statek powietrzny – rzucił nagle pilot.

Przez chwilę Lindsayowi wydawało się, że ma przed sobą zmutowanego balonowca, jakiś dziwny przykład ewolucji równoległej, ale zaraz zrozumiał, że widzi maszynę latającą, podobną do starych sterowców czy balonów. U dołu zszywanej, poznaczonej długimi szwami powłoki zwieszała się szkieletowa gondola. Cętki okrągłych baterii słonecznych pokrywały całą powłokę, od góry do bielejącego w dole brzucha. Cumy na kształt długich czułek zwieszały się z dzioba statku.

Kiedy ostrożnie podlecieli bliżej, ujrzeli port, w którym balon zacumowano. Sieć krzyżujących się ulic dzieliła osadę na kwartały białych kamiennych domostw rozstawionych wokół centralnego placu i górującej nad wszystkim budowli – kamiennej czworościennej piramidy. Zabudowania otaczał prostokątny mur, za którym widmową bielą lśniły nawiezione popiołem pola.

Pod piramidą odbywała się właśnie jakaś uroczystość. U stóp budowli płonął stos, mieszkańcy zaś zebrali się na placu w równych szeregach – było ich niespełna dwa tysiące. Emitowane przez ich ciała ciepło zacierało obraz ubrań.

– Co tu się dzieje? – zdziwiła się Vera. – Dlaczego wszyscy stoją tak bez ruchu?

– To chyba pogrzeb – powiedział Lindsay.

– A piramida to co? Mauzoleum? Czy raczej ośrodek indoktrynacji?

– Może jedno i drugie... Widzicie system okablowania? Do mauzoleum dochodzi jedyne w całej wiosce łącze informacyjne. Ten, kto w nim mieszka, nadzoruje wszelkie kontakty ze światem. – Lindsay przypomniał sobie nagle kopulastą twierdzę Czarnych Medyków Nephri w Zaibatsu. Nie myślał o niej od lat, ale doskonale pamiętał panujący w niej nastrój, poczucie paranoicznej izolacji i fanatyzmu. Świat, który zmurszał. – Stabilizacja – powiedział. – Ziemianie pragnęli stabilizacji. Dlatego właśnie powstał interdikt. Nie chcieli, żeby technika ich podzieliła, tak jak stało się z nami.

Obarczyli technikę winą za katastrofy: wojny, emisja dwutlenku węgla, która doprowadziła do stopienia się czap lodowych... Nie potrafią zapomnieć o swoich zmarłych.

- Z pewnością cały świat tak nie wygląda – rzekła Vera.
- Mylisz się. Różnorodność oznaczałaby ryzyko zmian, a zmian nie można tolerować.
- Mają przecież telefony. I statki powietrzne.
- To technika w służbie władzy.

W drodze nad Pacyfik natknęli się jeszcze na dwa osiedla, oddzielone rozległym obszarem gnijącej dziczy. Miasta były do siebie podobne jak bliźniacze układy scalone. Przycupnęły nienaturalnie w dzikim krajobrazie, jakby wytłoczono je pod prasą hydrauliczną i zrzucono z powietrza w gąszcz.

Pilot zwrócił uwagę pasażerów na kolejne statki latające i w końcu Lindsay zrozumiał ich przeznaczenie: pełniły funkcję nosicieli zarazy, przenosząc ideologiczny wirus kulturalnego zwapnienia. W sercu każdego z miast pyszniły się piramidy – olbrzymie, przytłaczające pomniki legionów umarłych, przy których nie było miejsca dla nadziei.

Łzy napłynęły Lindsayowi do oczu i zapłakał cicho, nie starając się pohamować rozpacz. Płakał nad rodzajem ludzkim i tą ślepotą, co kazała ludziom myśleć, że kosmos rządzi się prawami, które ochronią ich przed własną wolnością. Takie schronienie nie istniało; nie było żadnego ostatecznego celu. Daremność i wolność były absolutem.

Ześliznęli się pod powierzchnię oceanu na południe od łańcucha skalistych wysepek Baja California. Pilot otworzył właz, załadował ładownię i zaczęli natychmiast opadać na dno.

Szukali największego ekosystemu Ziemi, jedyne, którego człowiek nigdy nawet nie dotknął.

Wody powierzchniowe nie uniknęły skutków ludzkiej ingerencji. Nad zatopionymi lądami unosiły się masy gnijących mchów i glonów – oceanicznych chwastów – dusząc się i gnijąc z braku przestrzeni. Przepastne głębiny pozostały jednak nietknięte. Pod miażdżącym ciśnieniem, na obszarze większym niż wszystkie lądy razem wzięte, warunki od bieguna do bieguna praktycznie się nie zmieniały. Mieszkańcy owego rozległego królestwa byli mało znani; żaden człowiek nie wpadł na pomysł, jak można by ich wykorzystać.

Jednakże żyjący w Schismatrix następcy rodzaju ludzkiego okazali się sprytniejsi. Podobieństwo oceanicznych otchłani do mrocznych mórz Europy nie uszło uwagi Lindsaya, który strawił całe lata na grzebaniu w bankach danych i poszukiwaniu strzępków informacji. Ocalałe zapiski, dotyczące życia w głębinach, pochodziły z niemowlęcych lat biologii i były praktycznie bezużyteczne, ale i one pociągały Lindsaya obietnicą nieoczekiwanego cudu. Na Europie nie brakowało pograżonych w ciemności mórz i zatopionych w nich wulkanicznych grani, z których sączyło się geotermiczne ciepło.

W otchłani zawsze znajdowały się oazy. Wiedza, którą zdobył Lindsay, rozpałała w jego mózgu słaby, skryty płomyk wyobraźni. Życie – nieskażone, pierwotne, wspaniałe – rodziło się we wrzątku na ognistych krawędziach płyt tektonicznych. W głębinach czekał cały cudownie bogaty ekosystem, starszy niż ludzkość. Życie, które można było pochwycić i przeszczepić na Europę.

Lindsay nie od razu przekonał się do tego pomysłu. Interdykt był rzeczą świętą, starą jak niewysłowiona wina dawnych kosmicznych wędrowców, którzy porzucili zagrożoną katastrofą Ziemię. Odchodząc pozbawili planetę własnych umiejętności i doświadczenia, które mogło ją uratować. Podczas stuleci spędzonych poza Ziemią poczucie winy wsiąkło w mroczne pokłady świadomości kulturalnej i ujawniało się tylko w karykaturalnej postaci, jako rytualne zaprzeczenie i rozmyślna ignorancja.

Podział nastąpił wraz z nienawiścią: uciekinierów w przestrzeń ludzie pozostali na planecie nazwali złodziejami i wrogami ludzkości, natomiast awaryjny rząd ziemski uciekinierzy potępiali za

faszystów i barbarzyństwo. Nienawiść wszystko ułatwiła – ci, którzy wybrali próżnię, mogli wyprzeć się wszelkiej odpowiedzialności, ci zaś, którzy zostali na Ziemi, mieli wolną rękę, żeby stłamsić mozaikę kultur i przekształcić ją w jeden szary reżim pokuty i bezsensownej stabilności.

Życie jednak lubiło podgatunki – dla Lindsaya ten fakt nie ulegał wątpliwości. Gatunek, któremu się powiodło, zawsze rodził radosną falę pokrewnych odmian, obiecujących potworów, które z czasem odsyłały własnych przodków do lamusa. Powstrzymywanie zmian równało się zaprzeczaniu życiu.

Dlatego właśnie był pewien, że ludzkość na Ziemi stała się reliktem przeszłości.

Na dłuższą metę w rozległej, biologicznej perspektywie czasowej, którą obsesyjnie stosował Lindsay, czas niszczył wszystko, co nie potrafiło się ruszać. Przyszłość Ziemi nie należała do ludzi, lecz do monstrualnych chwastów, wybijających i zdrewniałych, oraz małych, ruchliwych stworzonek, które się wśród nich kryły i rozmnażały. Lindsay uważał, że to sprawiedliwe rozwiązanie.

Tonęli w ciemności.

Statek znakomicie radził sobie z potwornym ciśnieniem. Balonowce żyły w ekstremalnych warunkach atmosferycznych, wobec których ściśnięta woda ziemskich oceanów przypominała raczej rzadką plazmę. Pilot przełączył sterowanie na wodne silniki odrzutowe przyklejone do kadłuba. Włączył radar. Na wideotablicach jasną zielenią rozbłysły kontury morskiego dna.

Lindsay ożywił się, widząc znajome formy geologiczne.

– Jak na Europie – mruknęła Vera.

Przepływali właśnie nad rozległym uskokiem; wulkaniczny bazalt wybrzuszył się i pęki, skały o ostrych krawędziach sterczały na boki – obraz pierwotny, nietknięty deszczem ani wiatrem. Prostokątne góry pokryte delikatną warstewką organicznego śluzu opadały w dół zapierającymi dech w piersi przepaściami – w takich miejscach poziomice na obrazie zacieśniały się jak zęby grzebienia.

Uskok był jednak martwy, pozbawiony wszelkich śladów energii termicznej.

– Płyn wzduż uskoku – zdecydował Lindsay. – Rozglądaj się za cieplejszymi obszarami.

Zbyt długo już żył, żeby nawet w takiej chwili pozwolić sobie na zniecierpliwienie.

– Mam włączyć główne silniki? – zapytał pilot.

– I wygotować całą wodę w promieniu paru kilometrów? Jesteśmy bardzo głęboko, pilocie. Tutaj woda jest gęsta jak stal.

– Naprawdę? No dobrze, wolę w ogóle nie oglądać gwiazd, niż takie rozmazane jak na górze.

Przez kilka godzin podążali śladem tektonicznej wyrwy, nie napotykając ani jednego wycieku lawy. Vera spała. Lindsay momentami drzemał, choć nigdy zbyt długo, jak każdy starszy człowiek. Obudził ich pilot, który prawie wcale nie sypiał.

– Ciepły obszar – oznajmił.

Lindsay zerknął na wideotablice. W podczerwieni widać było, jak ciepło sączy się leniwie spod sterczącej płyty. Sama płyta wyglądała co najmniej dziwnie – podłużny, ukośnie leżący, idealnie płaski blok wznosił się znienacka ponad oślizłym gruzowiskiem. U jego stóp, na bąblu lawy, znajdowało się dziwacznie odkształcone, jakby zmięte, wzniesienie o regularnych kształtach.

– Wypuść robota – polecił Lindsay.

Vera wyjęła spod fotela zestaw sterowniczy sondy. Założyła okularosłuchawki. Robot podpłynął spokojnie do niezwyklej formacji. Włączył oślepiająco jasne reflektory. Lindsay przełączył wideotablice na obraz z kamer automatu.

Płyta była pomalowana: widniały na niej białe paski, smugi łuszczącej się farby, układające się w długą linię.

– To wrak – rzekł nagle Lindsay. – Dzieło ludzkich rąk.

– Niemożliwe – zaoponowała Vera. – Jest wielkości sporego statku kosmicznego. Na jego pokładzie zmieściłyby się tysiące ludzi.

W tym momencie dostrzegła coś, co rozsądziło spory: maszynę przymocowaną do gładkiej powierzchni pokładu olbrzymiego statku. Skorodowała, ale zarys skrzydeł nie pozostawiał złudzeń.

– Samolot – powiedział pilot. – Odrzutowy. To musiał być jakiś pływający port lotniczy.

– Chimera! – krzyknął Lindsay. – Vera, goń ją!

Robot pomknął za głębinową rybą o długim, cienkim ogonie i tępo zakończonym łbie. Chimera śmignęła w poszukiwaniu schronienia i zniknęła w otworze wyrwanym w ścianie kilkupiętrowej wieży kontrolnej. Robot się zatrzymał.

– Zaraz – powiedziała Vera. – Jeżeli to jest statek, skąd pochodziło ciepło?

Pilot zerknął na przyrządy.

– Promieniowanie – odparł. – Czy to coś niezwykłego?

– Napęd jądrowy – rzekł Lindsay. – Na statku musi się znajdować stos atomowy.

Zwykła przyzwoitość kazała mu przemilczeć możliwość znalezienia broni jądrowej na pokładzie.

– Moje instrumenty wykazują obecność rozpuszczonej substancji organicznej – stwierdziła Vera. – Zwierzęta skupiają się wokół stosu, żeby się rozgrzać. – Szarpnęła łapami robota grodz i skorodowany metal ustąpił w obłoku rdzy. – Mam wejść za nią?

– Nie – powstrzymał ją Lindsay. – Potrzebuję czegoś bardziej pierwotnego.

Vera wprowadziła robota z powrotem do ładowni i popłynęli dalej. Czas mijał; dno oceanu przesuwało się pod nimi z powolnością, która kiedyś przerażałaby Lindsaya. Złapał się na tym, że wraca myślami do Klastra Carycy. Czasem się martwił, że tak mało go interesują rozpacz i cierpienie, jakie stały się udziałem tamtejszych mieszkańców. Klaster umierał, jego elegancję zastąpiła nędza, delikatna równowaga została bezpowrotnie naruszona i fragmenty KC rozprysnęły się po całej Schismatrix. Czy to źle, że pogodził się ze śmiercią kwiatu, wiążąc nadzieję z jego nasionami?

Nie umiał się za to potępić; ludzkie poczucie czasu nic już dla niego nie znaczyło. Chciał tylko zostawić po sobie ślad, rzucić światło na owe długie eony, doprowadzić do przebudzenia świata, ofiarować planecie nieodwołalny dar życia. A wówczas... Wówczas da sobie spokój.

– Jest – powiedział pilot.

Znaleźli to, czego szukali. Statek opadł głębiej.

\* \* \*

Zewsząd otaczało ich życie – dżungla, która nie potrzebowała słońca. W światłach robota strome, szorstkie ściany zagłębienia spływały wielobarwnym kobiercem, szkarłat mieszał się z kredową bielą, siarkowym złotem i czernią obsydianu. Wyższe od człowieka serpule na podobieństwo kęp bambusa porastały ściany, kołysząc się na boki. Na skałach roilo się od małży, które rozchyłały blade skorupy, odsłaniając czerwone jak krew ciało. Purpurowe gąbki pulsowały, a korale głębinowe tworzyły czarny gąszcz; na ich cienkich odnóżkach pyszniły się polipy.

Życiodajny strumień tryskał z głębi doliny. Z pokrytych denkami kominów buchały gorące siarkowe obłoki; całe dno zdawało się bulgotać – bańki pary unosiły się w chmurach drobnoustrojów. Bakterie były najważniejsze, stanowiły bowiem podstawowe ogniwo łańcucha pokarmowego. Na drodze chemosyntezy czerpały energię bezpośrednio z siarki, porzuciwszy blask słońca na rzecz ciepła płynącego z trzewi Ziemi.



W ciepłe i mroku dolina tętniła życiem; same skały zdawały się poruszać, z festonami porowatych wypukłości, oślizłych szczelin i poskręcanych, czerwono-czarnych strug zakrzepłej lawy. Falliczne kominy z wytraconych z wody minerałów połyskiwały zielenią śniedzi; blade kraby, o odnóżach długości męskiej ręki, delikatnie sunęły po zboczach; czarne jak smoła ryby głębinowe pływały leniwie w labiryncie serpuli; jasnożółte meduzy niczym ścięte kwiaty szybowwały w zawirowaniach wody gęstej od bakterii.

– Wszystko – wyszeptał Lindsay. – Chcę mieć to wszystko.

Vera zdjęła okularosłuchawki. Po twarzy płynęły jej łzy.

– Nic nie widzę – poskarżyła się chrapliwie i oddała Lindsayowi stery robota. – Proszę... To twoje zadanie, Abelardzie.

Lindsay założył gogle, wsunął dłonie w szczeliny w pudełku i nagle znalazł się na zewnątrz, a skanery naśladowały ruchy jego głowy. Wyciągnął przed siebie manipulatory z delikatną siatką próbników genetycznych. Podpłynął do najbliższego skupiska serpuli. U szczytu białych kolumn grubości jego ręki rozpościerały się długie jak ludzkie ramię „liście” – pierzaste, czerwone, kołysały się z kobiecą elegancją, wyczesując z wody pokarm. Wśród białych „pni” aż roiło się od mniejszych istot: wąsonogów, maleńkich krabów, frędzlastych pierścienic w odcieniach morskiej zieleni i metalicznego błękitu oraz meduz, mieniących się bladymi, pastelowymi odcieniami.

Nagle z tej dżungli wynurzył się drapieżca – czarna ryba, wielka jak noga Lindsaya, prześliznęła się między rurami serpuli. Jej ciało było bocznie spłaszczone i poznaczone plamami fosforyzujących barw. Zbliżyła się do robota bez cienia lęku, zafascynowana światłem. Tuż za jej opatrzoną olbrzymimi oczyma głową pulsowały skrzela. Otworzyła lśniąca, pełną ostrych zębów paszczę.

– Więc zmuszono cię, byś przekroczyła wszelkie granice i zeszła w głębiny, gdzie nie ma życia – powiedział do niej Lindsay. – No i popatrz, co znalazłaś: samą śmietankę układu, astrognido. Witaj w raju.

Mówiąc to, wysunął jedno ramię. Długa igła próbniaka wyskoczyła do przodu, ukłuła rybę i natychmiast się cofnęła, zwierzę zaś mignęło złotem i zielenią i uciekło poza krąg światła.

Lindsay przeniósł się do lasu. Dotykał wszystkich istot, które zwróciły jego uwagę, zbierał bakterie delikatnymi filtrami ssącymi. W pół godziny napełnił wszystkie kapsuły na próbki i zawrócił po następne.

A wtedy ujrzał, jak coś odrywa się od kadłuba statku. Z początku miał wrażenie, że wzrok płata mu figle i po prostu światło odbiło się w zawirowaniu wody, ale zaraz potem zobaczył, jak zbliża się do niego – trzepoczący, pozbawiony kształtu twór, galaretowate lustro, srebrzysta bańka cieczy. Usłyszał krzyk Very.

Cofnął ręce od przyrządów i zerwał z głowy słuchawki. Pochylona nad ekranem Vera nie odrywała wzroku od obrazu.

– To Przybysz! – wykrzyknęła. – Widziałeś go? Przybysz!

Przepląnął obok nich, kurcząc się i rozciągając jak ameba, i zanurzył głębiej w rozpadlinę. Lindsay czym prędzej z powrotem naciągnął okulary i złapał stery, śledząc ruch Przybysza za pomocą reflektorów robota. Światło odbijało się od bezkształtnej powierzchni i padało na kolonie małży i koralu.

– Widzisz to, pilocie? – spytał Lindsay.

Pilot obrócił statek, naprowadzając czujniki kadłuba na umykający obiekt.

– Coś widzę... Odbija w całym zakresie fal. Co za dziwna istota... Zdobądź jej próbkę, Lindsayu.

– Nie pochodzi stąd. Przybyła z nami. Widziałem ją na kadłubie.

– Na kadłubie? To znaczy, że przeżyła lot w próżni? A potem wejście w atmosferę? I ciśnienie?

To niemożliwe.

– Czyżby?

– Tak – powiedział homar. – Bo gdyby istniała naprawdę, nie zniósłbym myśli, że nią nie jestem.

– Popisuje się, cieszy! – Vera nie posiadała się ze szczęścia. – Widzicie? Widzicie? – Roześmiała się. – On tańczy!

Stwór przepłynął nad jednym z dymiących kominów i rozpląszczył się, kąpiąc w rwącym prądzie, w niewyobrażalnej temperaturze i ciśnieniu. Gorące bańki zatrzymywały się na dolnej powierzchni jego ciała, by po chwili bez tarcia prześliznąć się w górę i opłynąć je bokiem. Na oczach obserwatorów ze statku stwór zwinął się w falującą kulę, a potem z niewiarygodną szybkością wniknął do płonącej rozpadliny przez szczelinę szeroką na palec. Zniknął bez śladu.

– Nic nie widziałem – upierał się homar. – Nie widziałem, jak zniknął w bebeczach Ziemi. Może już polecimy? Może byśmy spróbowali od niego uciec?

– Nie – odparła Vera.

– Racja. – Pilot zdrzął. – Moglibyśmy go rozwścieczyć.

– Widzieliście? – Vera nie mogła wyjść z zachwytu. – Jego to bawiło! Bo on wie, wie, że tu jest raj! – Drżała na całym ciele. – Abelardzie, pewnego dnia na Europie to wszystko będzie nasze! Będziemy mogli tego dotknąć, oddychać w wodzie, poczuć jej zapach i smak! Chcę tego! Chcę wyjść na zewnątrz, tak jak Przybysz... – Vera oddychała coraz szybciej, jej twarz promieniała. – Abelardzie... Gdyby nie ty, nigdy bym tego nie zobaczyła... Dziękuję ci. Tobie również dziękuję, pilocie.

– Jasne, oczywiście – zaświergotał niespokojnie wokoder pilota. – Lindsay, co z robotem? Nie powinieneś ściągnąć go na pokład?

– Nie bój się, pilocie. Przybysz wyświadczył ci przysługę. Poznałeś jego możliwości; wiesz teraz, do czego dążyć.

– Pomyślcie, jak wielką musi mieć moc. Jak jakiś bóg...

– W takim razie jesteśmy dla niego odpowiednim towarzystwem.

Lindsay wprowadził robota do ładowni, wyładował kapsuły z próbkami i ułożył je na stelażach ciśnieniowych. Zabrał nowy ładunek pojemników i wrócił do przerwane zajęcia.

Przybysz wynurzył się niespodziewanie z innego komina, tuż obok robota. Podpłynął bliżej, żeby przyglądać się jego pracy. Lindsay pomachał manipulatorem, ale nie doczekał się żadnej reakcji, a wkrótce potem stwór oddalił się poza zasięg światła i zniknął w mroku.

Żyjące w głębinach stworzenia nie okazywały strachu przed automatem. Vera przejęła stery, żeby delikatnie porozchyłać rurki serpulii i zebrać materiał genetyczny wszystkich zwierząt. Robot przemierzył całą oazę, gmerając w szczelinach i gromadząc próbki śluzu.

Udało im się znaleźć miejsce, w którym właśnie otworzyło się nowe gorące źródło. We wrzącej wodzie ugotowała się kolonia stworzonek uczepionych przewieszki ponad źródłem i mogli je wykorzystać jako przynętę dla drapieźników, a także, dokonawszy sekcji, pobrać drobnoustroje z ich przewodu pokarmowego i poznać miejscowe bakterie gnilne.

Nie mogło być mowy o zebraniu próbek wszystkich okazów – stanowczo zbyt wiele istot zamieszkiwało oazę – ale i tak odnieśli sukces. Żadne stworzenie z Ziemi nie przeżyłoby w obcych wodach satelity Jowisza, ale teraz pałeczkę miały przejąć anioły Europy, Stronnicy Życia, których zadaniem było rozebrać owe genetyczne skarby na części i odtworzyć z nich istoty przystosowane do nowych warunków. Organizmy z Ziemi miały stać się modelami, archetypami nowego procesu stworzenia, w którym sztuka i celowość zastąpią miliardy lat ewolucji.

Chowając robota po raz ostami w ładowni, nigdzie nie widzieli ani śladu Przybysza, lecz Lindsay

nie miał wątpliwości, że cały czas jest blisko nich.

Zaczęli się wynurzać i opadło go zmęczenie. Bardziej niż Vera czy pilot odczuwał brzemię własnej dumy. Kimże był, żeby dokonać takich rzeczy? Dał się przyciągnąć światłu i rósł w jego kierunku niczym drzewo, które otwiera ślepe liście na nieznanne promieniowanie. Teraz oto jego życie wydało owoce – i był szczęśliwy. Drzewo umiera jednak, gdy podciąć mu korzenie, a Lindsay zdawał sobie sprawę, że rolę korzeni pełni jego człowieczeństwo. Był istotą z krwi i kości, stworzeniem śmiertelnym, nie zaś immanentną wolą.

Drzewo czerpało moc ze światła, ale samo światłem nie było. Podobnie życie składało się z następujących po sobie zmian, ale od zmiany się różniło. Zmianą była śmierć.

Kiedy dotarli tuż pod powierzchnię i przebiły się do nich pierwsze promienie słońca, z wokodera dobiegło elektronicznie przetworzone, radosne wycie. Pilot włączył główne silniki. Para buchnęła za rufą statku, wyciskając w powierzchni morza płytki, rozetowy krater. W kilka sekund przekroczyli prędkość dźwięku; przyspieszenie wgniotło ich w fotele. Vera z wysiłkiem przeniosła wzrok na ekran i krzyknęła:

– Niebo! Błękitne niebo! Ściana ponad światem! Pilocie, daj nam kosmos!

Morze przyjęło na siebie falę uderzeniową, niewzruszone jak zawsze. Odlecieli.

\* \* \*

*Neoteniczna Republika Kulturalna, 8. 08.'86*

Życie lubi podgatunki.

Klaster Terraform majaczył nad Marsem, burząc rdzawą monotonię kłębamii białej pary, plamami zielonej roślinności i błękitem rodzących się mórz. Na Wenus udało się pokonać śmierć – korona prawdziwych chmur rozciągała się po całym przeżartym kwasami niebie.

Lodowe statki pełne nowych istot wprost z laboratoriów trafiały na Europę i tonęły w oceanach, gdzie roztopiały się w głębi ciepłych wód.

Wielka Czerwona Plama na Jowiszu rozpadała się na strzępy zawierające masę drobniotkiego czerwonego kryla; maleńkie stworzonka zbierały się w stada i ławice, które rozmiarami przewyższały całą Ziemię.

W Neotenicznej Republice Kulturalnej Abelard Lindsay zszedł z pokładu ogromnego statku kosmicznego. W strefie nieważkości poruszał się z łatwością i nieświadomym wdziękiem, właściwym ludziom w bardzo podeszłym wieku.

Kiedy jednak schodził po zboczu cylindrycznego świata, mijając hotele i niskograwitacyjne sklepy dla turystów, coraz ciężiej wspierał się na masywnej głowie towarzyszącego mu robota. Razem zeszedli na płaski teren porośnięty rzędami prastarych drzew. Beczkowaty robot-pielęgniarski pobrał próbkę krwi z pozbawionej czucia nogi Lindsaya. Kiedy szli zasypaną liśćmi ścieżką, automat zaczął analizować krew i przetwarzać dane.

Republika stała się królestwem półmroku. Przenikające przez zielone sklepienie promienie słońca kładły się na ziemi mozaiką plamek. W ciszy rozbrzmiewały ptasie trele. Miejscowi neotenicy w wystudiowanych, skrojonych na antyczną modłę strojach wylegiwali się na omszałych kamiennych ławkach, podczas gdy ich podopieczni – podstarzali kształcerze i nikomu niepotrzebni mechanicy – dreptali w zachwycie po lesie.

Lindsay przystanął na chwilę, dysząc ciężko; ukryty pod ciemnoniebieskim płaszczem biokirys niezmordowanie pompował mu powietrze do płuc. Workowate spodnie i ortopedyczne buty

pomagały ukryć protezy nóg. Nad jego głową ciągnęła się za lekkolotem smuga szarego popiołu, opadając na zielone korony drzew.

Nikt nie zwracał na Lindsaya uwagi. Wyhaftowane na płaszczu kałamarnice i ryby głębinowe pozwalały rozpoznać w nim gościa z CircumEuropy, ale przybył do Republiki incognito.

Złapał oddech i ruszył w stronę dworu Tylerów, gdzie miał umówione spotkanie z Constantine'em.

Dworek został rozbudowany. Za obrośniętym bluszczem murem wyrosły nowe rezydencje, tworzące cały kompleks przytułków i domów opieki. Mimo działań Zachowawców z biegiem lat wpływy świata zewnętrznego zaznaczały się w Republice coraz wyraźniej. Główne źródło dochodu w państwie stanowiły szpitale i domy pogrzebowe. Ci, których dało się uratować, mogli liczyć na rehabilitację; ci, dla których nie było już żadnej szansy – na spokojne przejście na tamten świat.

Lindsay przeszedł przez dziedziniec pierwszego szpitala. Grupa krwawników opalała się na słońcu, czekając ze zwierzęcą cierpliwością, aż odrośnie im skóra. Dalej znajdował się następny gmach i następne podwórze, na którym grupa strażników otoczyła dwoje wzorcowców. Wzorcowcy zamiatali ziemię gałązkami, a ich zdeformowane głowy niemal się stykały. Jeden podniósł na chwilę wzrok i Lindsay dostrzegł w jego oczach przebłysk lodowatej logiki paranoika.

Schludnie ubrani pielęgniarze przeprowadzili Lindsaya przez bramę majątku Tylerów. Margaret Juliano od lat już nie żyła, Lindsay zaś rozpoznał w nowym dyrektorze ośrodka jednego z jej superinteligentnych studentów.

Dyrektor przywitał się z nim na trawniku przed budynkiem. Jego twarz zdradzała spokojną pewność siebie, cechującą serotoninistów zen.

– Wszystko przygotowałem na pańskie spotkanie ze strażnikiem Pongpianskulem – powiedział.

– To znakomity pomysł – przyznał Lindsay. Neville Pongpianskul również nie żył, ale wypominanie tego byłoby źle widziane. Zgodnie z rytuałem obowiązującym w Radzie Pierścieni Pongpianskul „zwiądl”, zostawiając po sobie zaprogramowaną sieć przemówień, oświadczeń, nagranych wystąpień i przypadkowych telefonów. Neotenicy nie zawracali sobie głowy wyborem nowego strażnika, co oszczędzało im licznych kłopotów.

– Pozwoli pan się oprowadzić po muzeum? – spytał dyrektor. – Nasza świętej pamięci kuratorka, Alexandrina Tyler, pozostawiła nam niezrównaną kolekcję lindsayanów.

– Może później. Czy wielki kanclerz Constantine przyjmuje gości?

Constantine był w ogrodzie różanym. Leżał w fotelu nieopodal pszczelego ula i wpatrywał się w słońce sztucznymi oczyma. Mimo że zapewniono mu najlepszą opiekę, czas nie obszedł się z nim łaskawie. Długie lata spędzone w naturalnej grawitacji doprowadziły do rozwoju mięśni, które dziwaczными węzłami i wypukłościami rysowały się na jego delikatnych kościach.

W odbitym świetle słonecznym Republiki nie było ultrafioletu, ale Constantine i tak się opalił; na jego nagiej, starej skórze pojawiły się purpurowe i niebieskie cętki, podobne do znamion. Stracił większość włosów, w strategicznych punktach jego czaszki widniały liczne zgrubienia. Kuracje odmładzające były głębokie, wyczerpujące, ale skuteczne.

Odwrócił się, słysząc poskrzypywanie protez Lindsaya. Żrenice jego oczu miały różne rozmiary. Widać było, jak się rozszerzają, próbując uchwycić ostrość.

– Abelard... To ty?

– Tak, Philipie.

Robot przycupnął u boku fotela, a Lindsay usiadł wygodnie na jego mięsistym łbie.

– A więc stało się. Jak podróż?

– To stary statek – odparł Lindsay. – Czuję się, jakbym leciał na pokładzie oddziału geriatrycznego. Wystawiali nawet ponownie „Biały amulet” Vetterlinga.

– Hmm... Nie jest to jego najlepsza sztuka.

– Zawsze miałeś dobry gust, Philipie.

Constantine usiadł prosto.

– Powiniennem poprosić o szlafrok? Wiem, że zdarzało mi się już lepiej wyglądać.

Lindsay rozłożył ręce.

– Szkoda, że nie widzisz, co noszę pod ubraniem – rzekł. – Ostatnio nie przepuszczałem pieniędzy na odmładzanie. Po powrocie planuję całkowitą transformację. Czeka na mnie Europa, Philipie. Ze swoimi morzami.

– Chcesz się wymknąć z ludzkich ograniczeń?

– Można to i tak ująć... Przywiozłem plany. – Z wewnętrznej kieszeni płaszcza Lindsay dobył broszurę. – Przejrzyjmy je wspólnie.

– Dobrze. Zrobię ci tę przyjemność – odparł Constantine i wziął od niego broszurkę.

Na rozkładówce zamieszczono portret anioła – postczłowieka przystosowanego do życia w wodzie. Miał gładką, śliską, czarną skórę. Nogi i cała obręcz biodrowa zniknęły, a kręgosłup przechodził u dołu w muskularną płetwę ogonową. Z szyi wyrastały szkarłatne skrzela, klatka piersiowa zaś była otwartą ażurową konstrukcją, z której wypływały delikatne białe siatki, pełne symbiotycznych bakterii.

Długie czarne ramiona pokrywała mozaika fosforescencyjnych plamek – czerwonych, niebieskich i zielonych, włączonych bezpośrednio w układ nerwowy. Wzdłuż klatki piersiowej i ogona ciągnęły się dwie linie boczne – narządy nowego, podwodnego zmysłu, który pozwalał wyczuć drżenie wody, niczym odległe wrażenie dotyku. Kanały nosowe wiodły wprost do płucokształtnych worków, wypełnionych komórkami chemoczułymi. W przekształconej czaszce osadzono dwoje olbrzymich, pozbawionych powiek oczu.

Constantine przesunął broszurę przed oczyma, usiłując złapać ostrość.

– Jakie to eleganckie – stwierdził. – Żadnych wnętrzości.

– To prawda. Te białe siateczki odfiltrują siarkę dla bakterii. Anioł jest samowystarczalny; wszystko, czego mu potrzeba, czerpie z wody.

– Rozumiem – rzekł Constantine. – Czy anioły potrafią mówić?

Lindsay pochylił się nad obrazem i wskazał fosforyzujące światelka.

– One świecą.

– A rozmnażają się?

– Mamy laboratoria genetyczne. Podwodne. Można tworzyć dzieci, ale te istoty będą żyły całe wieki.

– Ale gdzie tu miejsce na grzech, Abelardzie? Na kłamstwa, na zazdrość, na walkę o władzę? – Constantine się uśmiechnął. – Przypuszczam, że potrafią dokonywać nietaktownego projektowania ekosystemów.

– Nie brak im pomysłowości, Philipie. Jestem pewien, że gdyby poszukali, znaleźliby jakieś pomysły na przestępstwa, ale są inni niż my. Nie muszą tego robić.

– Nie muszą... – Na twarzy Constantine'a przysiadła pszczoła. Zrzucił ją ostrożnie i mówił dalej: – Byłem w zeszłym miesiącu na miejscu wypadku. – Chodziło mu o miejsce, gdzie rozbiła się Vera Kelland. – Rosną tam drzewa stare jak świat.

– Minęło sporo czasu.

– Nie wiem, czego się spodziewałem... Może jakiejś złocistej poświaty, blasku, bo tam spoczęło pogrzebane moje serce. Jesteśmy jednak małutkimi istotkami i wszechświat się nami nie przejmuje. Nie znalazłem ani śladu. – Constantine westchnął. – Chciałem zmierzyć się ze światem, a ona

mogłaby mnie przed tym powstrzymać. Więc ją zabiłem.

– Byliśmy wtedy inni.

– Nie. Wydawało mi się, że mogę się zmienić... Myślałem, że kiedy ty i Vera zginiecie, stanę się machiną napędzaną czystą ambicją... Kulą wystrzeloną w głowę historii... Chciałem zawładnąć miłością, zakuć wszystko w żelazo i spętać. Żelazo pękło jednak pierwsze.

– Rozumiem cię – rzekł Lindsay. – Sam również poznałem siłę planów. Ambicje mojego życia skupiają się teraz na Europie. – Wyjął broszurę z dłoni Constantine'a. – Mógłbyś je ze mną dzielić.

– W moim liście przekazałem ci, że jestem gotowy na śmierć. Zawsze wolałeś unikać konfrontacji, Abelardzie. Wiele razem przeszliśmy, zbyt wiele, żeby takie słowa jak „przyjaciel” czy „wróg” wciąż miały zastosowanie... Nie wiem, jak cię nazywać, ale znam cię. Znam cię lepiej niż ktokolwiek inny, lepiej niż ty sam. Kiedy przyjdzie ci podjąć ostateczną decyzję, znowu ustąpisz. Wiem, że tak będzie. Nigdy nie zobaczysz Europy.

Lindsay pochylił głowę.

– To się musi skończyć, Abelardzie – ciągnął Constantine. – Zmierzyłem się ze światem; po to tylko żyłem. Rzuciłem potężny cień, chyba nie zaprzeczysz?

– Tak, Philipie – przytaknął zduszonym głosem Lindsay. – Nawet wtedy, gdy najbardziej cię nienawidziłem, byłem z ciebie dumny.

– Ale mierzyć się ze śmiercią, jakbym miał żyć wiecznie... W tym nie ma ani śladu godności. Czym jesteśmy dla życia? Zaledwie iskierkami.

– Iskierkami, które mogą rozniecić ognisko.

– Właśnie. Europa jest twoim ogniskiem. Zazdroszczę ci, ale jeżeli tam wrócisz, zagubisz się w niej, a tego byś nie zniósł.

– Ale ty tak, Philipie. Europa może należeć do ciebie. Twoi ludzie tam będą, cały klan Constantine'ów.

– Mój lud... Tak. Stanęli po twojej stronie.

– Byli mi potrzebni. Potrzebowałem waszego geniuszu... Chętnie do mnie przystali.

– Tak... Śmierć w końcu nas pokona. Dzieci są naszym narzędziem zemsty na niej. Próbowałem ich nie kochać; chciałem, żeby były do mnie podobne, najlepsze, jak ze stali. Ale i tak je pokochałem... Nie dlatego że były takie jak ja, ale przez to że były inne. To najbardziej odmienne pokochałem najbardziej.

– Verę.

– Tak. Stworzyłem ją z próbek wykradzonych stąd, z Republiki, ze skrawków naskórka. Z genów tych, których kochałem... – Constantine posłał Lindsayowi błagalne spojrzenie. – Co możesz mi o niej powiedzieć, Abelardzie? Jak tam twoja córka?

– Moja córka...

– No właśnie. Stanowiliście z Verą wspaniałą parę... Wydawało mi się to bez sensu, żeby śmierć uczyniła cię bezpłodnym. Ja też kochałem Verę; chciałem opiekować się jej dzieckiem, które będzie miała z wybranym przez siebie mężczyzną. Stworzyłem więc twoją córkę. To źle?

– Nie – przyznał Lindsay. – Życie jest lepsze.

– Dałem jej wszystko, co mogłem. Jak się czuje?

Lindsayowi zakręciło się w głowie. Robot wbił mu igłę w nogę.

– Jest w laboratorium. Przechodzi przemianę.

– To dobrze. Sama dokonuje wyboru. Wszyscy musimy wybierać. – Constantine sięgnął pod fotel. – Mam truciznę; dostałem od pielęgniarki. Przyznano nam prawo do śmierci.

Lindsay pokiwał z roztargnieniem głową, gdy leki uspokajały mu oszalałe serce.

– Wszyscy na nie zasługujemy.

– Moglibyśmy razem wybrać się na miejsce wypadku, tylko ty i ja, i wypić truciznę. Wystarczy na dwóch – rzekł Constantine z uśmiechem. – Miło byłoby mieć towarzystwo.

– Nie, Philipie. Jeszcze nie. Przykro mi.

– Wciąż cenisz sobie wolność? – Constantine pokazał mu fiolkę brunatnego płynu. – Chodzenie przychodzi mi z trudem. Percepcja wszystkich wymiarów sprawia mi kłopot, od czasu... od czasu pojedynku na Arenie. Dlatego właśnie dali mi nowe oczy; one widzą za mnie. – Powykrzywianymi palcami zdjął zakrętkę. – Postrzegam teraz życie takie, jakie jest naprawdę. I dlatego wiem, że muszę to zrobić. – Przytknął fiolkę do ust i opróżnił ją jednym haustem. – Daj mi rękę.

Lindsay wyciągnął ramiona przed siebie i Constantine złapał jego dłonie.

– Obie masz metalowe?

– Przepraszam, Philipie.

– Nic nie szkodzi. Wszystkie nasze cudowne maszyny... – Constantine zadrżał. – Zostań ze mną, to nie potrwa długo.

– Jestem tutaj, Philipie.

– Abelardzie... Przepraszam za Norę. Za okrucieństwo...

– Philipie, nic się... Wybaczam...

Słowa przyszły za późno. Constantine zmarł.

\* \* \*

### *Circum Europa, 25. 12.'86*

Całe życie, jakie zostało na CircumEuropie, ograniczało się do laboratoriów. Opuściwszy pokład statku, Lindsay nie zastał w porcie ani jednego celnika. CircumEuropa się skończyła; import stracił wszelkie znaczenie.

Lindsay podążył krętym korytarzem wiodącym wśród przezroczystych, pochyłych, błoniastych ścian, które mieniły się wszystkimi zielonobłękitnymi odcieniami morskiej toni. Prawie nie spotykał ludzi.

Natknął się tylko na paru szabrowników i kilka astrognid, przybyłych w poszukiwaniu łupów. Jedna z grup z hałasem przebijała się przez utwardzoną ścianę; pomachali mu przyjaźnie rękoma. Do CircumEuropy zacumował również statek Inwestorów, Lindsay jednak nigdzie nie dostrzegł nikogo z załogi.

Wszelki ruch miał jeden kierunek: na zewnątrz. Olbrzymie statki lodowe, pokryte kryształowymi kadłubami, opadały łukami ku powierzchni planety, by zapaść się w nowo powstałe szczeliny w skorupie. Córnica Lindsaya, Vera, znajdowała się na pokładzie jednego z nich. Odeszła już z CircumEuropy.

Populacja stacji orbitalnej skurczyła się do maleńkiej garstki chętnych do transformacji. Sama stacja przeobraziła się w zlepek laboratoriów, w których ostatni szczęśliwcy unosili się w mętnej morskiej wodzie.

Lindsay zatrzymał się przed śluzą, śledząc na monitorze sytuację w środku. Przekształceni chirurdzy asystowali przy narodzinach aniołów, pilnując rozwoju nowej tkanki nerwowej w odmienionych ciałach. Ich lśniąca ramiona migwały kolorami, gdy wdali się w ożywioną rozmowę.

Wystarczyło założyć akwalung, przejść przez śluzę do ciepłej jak krew wody, by dołączyć do pozostałych. Vera już to zrobiła, podobnie Gomez i reszta. Zgotują mu radosne powitanie. Cały

proces był prosty i bezbolesny.

Przeszłość na moment zawisła w równowadze.

Nie mógł tego zrobić.

Odwrócił się.

I wtedy go wyczuł.

– Jesteś tutaj – powiedział. – Pokaż mi się.

Przybysz spłynął z przekrzywionej zielonkawej membrany na ścianie. Zwierciadlane jeziorko rozlało się na podłodze, z wolna nabierając kształtu.

Lindsay przyglądał się zafascynowany. Przybysz posługiwał się własną grawitacją; przywarł do posadzki, jakby coś trzymało go w miejscu. Marszczył się i falował, chcąc przybrać postać, która sprawi mu przyjemność – stał się małym, ruchliwym stworzonkiem. Przycupnął na czworakach jak zwierzę. Jak łasica, pomyślał Lindsay. Albo lis.

– Odeszła – powiedział Lindsay. – Pozwoliłeś jej odejść.

– Spokojnie, obywatelu – odparł lis. Jego głos nie odbijał się echem w korytarzu; w ogóle nie rozbrzmiewał w powietrzu. – Nie przywiązuję się do ludzi i rzeczy; to nie w moim stylu.

– Europa ci się nie podoba?

– Ach, do diabła, tam na pewno jest fantastycznie, ale ja widziałem tę prawdziwą Europę, pamiętasz? Na Ziemi. A ty co, astrognido? Jakoś nie widzę, żebyś się palił do skoku w dół.

– Jestem stary, a oni młodzi. To powinien być ich świat. Nie potrzebują mnie.

Stwór przeciągnął się i zadrzał.

– Wiedziałem, że to powiesz. A tak w ogóle, to co masz do powiedzenia? Teraz, kiedy trafia ci się chwila... hmm... na refleksję?

Lindsay uśmiechnął się, widząc własną, wykrzywioną twarz na błyszczącej powierzchni Przybysza.

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

– I bardzo dobrze. – W niesłyszalnym głosie zabrzmiała wesołość. – Przypuszczam, że niedługo umrzesz.

– A powinienem? – Lindsay się zawahał. – Może jeszcze za wcześnie.

– Może tak – zgodził się z nim Przybysz. – Czyli zamierzasz zostać tu jeszcze kilkaset lat? I oczekiwać ostatecznego, transcendentnego przeżycia?

– Piątego stopnia złożoności?

– Można to i tak nazwać; słowa się nie liczą. To doświadczenie jest równie odległe od życia, jak życie od materii nieożywionej. Wiele razy już byłem jego świadkiem. Czuję, że się zbliża, czuję jego zapach. Ludzie – wszystkie stworzenia, wszystkie istoty są dla mnie ludźmi – zadają pytania ostateczne. I dostają ostateczne odpowiedzi, a potem do widzenia. To jest prawdziwa boskość albo tak dokładne jej przybliżenie, że dla takich jak ty czy ja nie ma różnicy. Może tego właśnie chcesz, astrognido? Absolutu?

– Absolut – zamyślił się Lindsay. – Ostateczne odpowiedzi... Jakie wobec tego masz dla mnie odpowiedzi, przyjacielu?

– Ja? Żadnych. Nie obchodzi mnie, co się dzieje pod tą skórą, chcę tylko widzieć i czuć. Pochodzenie, przeznaczenie, prorocтва, wspomnienia, życie i śmierć – omijam je wszystkie. Jestem za śliski, żeby czas mógł się mnie cześcić.

– Czego w takim razie chcesz?

– Tego co już mam! Wiecznego zadziwienia, ciekawości zaspokajanej bez końca... Nawet nie wiecznego, po prostu nieokreślonego, w tym całe piękno... Doczekam ciepłej śmierci wszechświata,



żeby zobaczyć, co będzie dalej! A tymczasem – czyż to wszystko nie jest wspaniałe?

– Rzeczywiście – przytaknął Lindsay. Serce waliło mu jak młotem. Robot-pielęgniarka wyciągnął w jego kierunku igłę strzykawki pełnej środków uspokajających, ale Lindsay wyłączył go, zaśmiał się i przeciągnął. – Rzeczywiście wspaniałe.

– Świetnie się tu bawiłem – rzekł Przybysz. – Ciekawy dom zbudowaliście sobie wokół tej maleńkiej gwiazdy.

– Dziękuję.

– Ależ nie ma za co, obywatelu! Czekają na mnie jednak inne światy. – Przybysz się zawahał. –

Pójdiesz ze mną?

– Oczywiście!

– No to obejmij mnie.

Lindsay wyciągnął przed siebie ręce. Zalała go srebrzysta fala, potem był gwiazdny chłód, roztopienie się, uwolnienie.

Wszystko stało się nowe i świeże.

Patrzył na własne ubranie unoszące się w powietrzu na korytarzu. Jego sztuczne ramiona wyśliznęły się z rękawów, ciągnąc za sobą zwoje kosztownych obwodów. Na szczycie białej drabiny kręgosłupa pusta czaszka szczyrzyła zęby w uśmiechu, na wpół kryjąc się za kołnierzem płaszcza.

Na końcu korytarza pojawił się Inwestor, odpychając się w nieważkości od ścian. Lindsay odruchowo przywarł do ściany i zniknął mu z oczu. Inwestor nastroszył grzebień i z godną sroki ciekawością zaczął grzebać w płataninie kości, pakując interesujące go przedmioty do wypchanej torby.

– Zawsze kręcą się gdzieś w pobliżu, żeby pozbierać resztki – zauważył Przybysz. – Są dla nas użyteczni. Przekonasz się.

Lindsay wczuł się w swoją nową postać.

– Nie mam rąk – powiedział.

– Nie będą ci potrzebne. – Przybysz się roześmiał. – Chodź, pójdziemy za nim. Niedługo gdzieś odleca.

Poszli za Inwestorem.

– Dokąd? – zapytał Lindsay.

– Nieważne. I tak będzie cudownie.

# Spis treści

<a href="#">Prolog.</a>	3
<a href="#">Część pierwsza.</a>	12
<a href="#">Rozdział 1.</a>	13
<a href="#">Rozdział 2.</a>	48
<a href="#">Rozdział 3.</a>	103
<a href="#">Rozdział 4.</a>	151
<a href="#">Część Druga.</a>	238
<a href="#">Rozdział 5.</a>	239
<a href="#">Rozdział 6.</a>	301
<a href="#">Rozdział 7.</a>	360
<a href="#">Część trzecia.</a>	408
<a href="#">Rozdział 8.</a>	409
<a href="#">Rozdział 9.</a>	438
<a href="#">Rozdział 10.</a>	456
<a href="#">Rozdział 11.</a>	499